



PHILIP PULLMAN

MROCZNE MATERIE II

MAGICZNY NÓŻ



PULLMAN PHILIP

Mroczne Materie II Magiczny

Noz

PHILIP PULLMAN

Z angielskiego przełożyła EWA

WOJTCZAK

„Magiczny nóż” to druga część trylogii „Mroczne materie”. Akcja powieści rozgrywa się w trzech wszechświatach – w naszym świecie, w świecie znanym z pierwszej części „Zorza północna”, który jest podobny do naszego, lecz równocześnie odmienny, oraz w nowym, obcym świecie, który różni się od tamtych obu.

KOTKI GRABY

Will ciągnął matkę za rękę i mówił:

–Chodź, no chodź...

Matka jednak ociągała się. Wciąż jeszcze się bała. Chłopiec spojrzał w górę i w dół wąskiej, stromej uliczki oświetlonej zachodzącym słońcem. Przed każdym domem znajdował się mały ogródek i żywopłot. W oknach budynków po jednej stronie ulicy odbijało się słońce, druga strona pozostawała zacieniona. Mieli mało czasu. Większość mieszkańców jadła kolację, ale za chwilę z domów wybiegną dzieci, które będą się gapić, komentować i robić uwagi. Każda chwila zwłoki przybliżała niebezpieczeństwo, toteż Will usilnie starał się przekonać matkę.

–Mamo, wejdźmy i porozmawiajmy z panią Cooper – powiedział. – Zobacz, jesteśmy już prawie na miejscu.

–Z panią Cooper? – zapytała niepewnie kobieta. Jej syn, nie czekając, nacisnął dzwonek. Aby to zrobić, musiał postawić torbę, ponieważ drugą ręką nadal ścisnął dłoń matki. Will miał już dwanaście lat, toteż czuł się trochę nieswojo, trzymając matkę za rękę, wiedział jednak, co się zdarzy, jeśli ją puści.

Drzwi otworzyły się i w progu stanęła przygarbiona postać starszej pani – nauczycielki gry na pianinie. Tak jak Will pamiętał, pachniała lawendową wodą toaletową.

–A któż to? William? – spytała staruszka. – Nie widziałam cię od lat. Czego sobie życzysz, mój drogi?

–Chcielibyśmy wejść. Przyprowadziłem mamę – odparł twardo.

Pani Cooper popatrzyła na rozczochraną kobietę o niepewnym półuśmiechu na twarzy, potem na chłopca o dzikim, smutnym spojrzeniu, mocno zaciśniętych ustach i wydatnej dolnej szczęce. Zauważyła, że pani Parry, matka Willa, ma pomalowane tylko jedno oko; najwyraźniej nie dostrzegła tego ani ona, ani jej syn. Staruszka doszła do wniosku, że coś musi być nie w porządku.

–No cóż... – zaczęła i odsunęła się na bok, aby zrobić dziwnej parze miejsce w wąskim korytarzu.

Will spojrział w górę i w dół ulicy, później zamknął drzwi, a pani Cooper dostrzegła, że kobieta kurczowo trzyma rękę syna i że chłopiec z wielką czułością prowadzi matkę do salonu, w którym stało pianino (był to jedyny znany chłopcu pokój w tym domu). Nie umknęło uwagi nauczycielki, że ubranie pani Parry nieco pachnie stęchlizną, jak gdyby po wypraniu zbyt długo leżało w pralce. Matka i syn byli do siebie bardzo podobni, zwłaszcza gdy tak siedzieli obok siebie na sofie oświetleni zachodzącym słońcem – oboje mieli wystające kości policzkowe, duże oczy i proste, czarne brwi.

–O co chodzi, Williamie? – spytała staruszka. – Co się stało?

— Moja mama musi gdzieś się zatrzymać na parę dni – odparł. – W tej chwili trudno byłoby mi zadbać o nią w domu... Nie chcę przez to powiedzieć, że jest chora, jest tylko trochę zakłopotana i zaniepokojona. Nie wymaga szczególnej opieki, potrzebuje po prostu towarzystwa życzliwej osoby i dlatego pomyślałem o pani.

Matka obrzuciła syna błędnym spojrzeniem. Nauczycielka dostrzegła siniak na jej policzku. Will ciągle patrzył na panią Cooper z rozpaczą w oczach.

–Nie jest wymagająca – kontynuował. – Przyniosłem kilka paczek z jedzeniem. Wystarczy, by przetrwać. Pani również może z nich korzystać. Mama nie będzie miała nic przeciwko temu.

–Ale... Nie wiem, czy powinnam... Czy twoja mama nie potrzebuje lekarza?

–Nie! Nie jest chora.

–Jednak... musi być ktoś, kto mógłby... To znaczy, sąsiad albo ktoś z rodziny...

–Nie mamy rodziny. Jesteśmy sami. Sąsiedzi są zbyt zajęci.

–A pomoc społeczna? Nie chcę ci odmawiać, mój drogi, lecz...

–Nie! Nie. Proszę mi pomóc. Chwilowo nie mogę się nią zajmować, ale nie wyjeżdżam na długo. Jadę do... Muszę załatwić pewne sprawy. Wrócę szybko i zabiorę ją do domu, obiecuję. To potrwa tylko kilka dni.

Matka patrzyła na syna z wielką ufnością, a on uśmiechał się do niej ze spokojem i miłością. Pani Cooper nie potrafiła mu odmówić.

–No dobrze – powiedziała, zwracając się do pani Parry. – Jestem pewna, że przez kilka dni jakoś sobie poradzimy. Zajmie pani pokój mojej córki. Jest w Australii i przez jakiś czas nie będzie z niego korzystała.

–Dziękuję pani – powiedział Will i natychmiast wstał, jakby się gdzieś bardzo spieszył.

–Powiedz mi chociaż, dokąd się wybierasz – poprosiła pani Cooper.

–Zatrzymam się u przyjaciela – odparł. – Będę często telefonował. Znam pani numer. Wszystko będzie dobrze.

Jego matka popatrzyła na niego zdezorientowana. Chłopiec pochylił się i niezdarnie ją pocałował.

–Nie martw się – szepnął. – Pani Cooper zatroszczy się o ciebie lepiej niż ja. Naprawdę. Zadzwoń jutro, to porozmawiamy.

Uściskali się czule, Will znowu pocałował matkę, po czym łagodnie zdjął jej ramiona ze swojej szyi i ruszył do frontowych drzwi. Pani Cooper widziała, że jest zdenerwowany, ponieważ błyszczały mu oczy, jednak w ostatniej chwili przypomniał sobie o manierach, odwrócił się i wyciągnął do niej rękę.

–Do zobaczenia – powiedział – i bardzo dziękuję.

–Williamie – rzuciła szybko staruszka – szkoda, że nie wyjaśniłeś mi, o co chodzi...

–To trochę skomplikowane – odparł – ale jestem pewien, że moja matka nie sprawi pani kłopotu.

Pani Cooper nie to miała na myśli, jednak ufała Willowi. Pomyślała, że nigdy nie spotkała tak zdeterminowanego dziecka.

Chłopiec skierował się do wyjścia. Głowę miał już całkowicie zaprzątniętą pustym domem.

Will wraz z matką mieszkali w nowoczesnym osiedlu, poprzecinanym ulicami i zabudowanym mniej więcej tuzinem identycznych domów; ich własny był z pewnością w najgorszym stanie. Ogród od frontu stał się obecnie poletkiem zachwaszczonej trawy. Matka Willa wprawdzie posadziła tego roku kilka krzewów, ale dość szybko uschły, gdyż zapomniała je podlewać. Kiedy Will skręcił za róg, jego kotka Moxie wstała z ulubionego miejsca pod ciągle jeszcze żywym krzakiem

hortensji, przeciągnęła się, podeszła i powitała swego młodego pana subtelnym miauczeniem, po czym zaczęła ocierać się łebkiem o jego nogę.

Will podniósł zwierzątko z ziemi i szepnął:

–Wrócili, Moxie? Widziałaś ich?

W domu panowała cisza. Po drugiej stronie ulicy, korzystając z ostatnich promieni słońca, sąsiad mył samochód, nie zwrócił jednak uwagi na Willa. Chłopiec również nie patrzył na mężczyznę; im mniej ludzi go zauważało, tym lepiej.

Trzymając Moxie przy piersi, kluczem otworzył drzwi i szybko wszedł do domu. Przez chwilę bardzo uważnie nasłuchiwał, później postawił kotkę na ziemi. Dom był pusty i pogrążony w ciszy.

Will otworzył puszkę z kocią karmą i postawił na podłodze w kuchni. Kiedy wróca tamci mężczyźni? Nie sposób było tego przewidzieć, lecz chłopiec wiedział, że musi działać szybko. Wszedł po schodach na piętro i zaczął je przeszukiwać.

Szukał starej, skórzanej zielonej teczki na papierzy. W ich nowoczesnym domu znajdowało się zaskakująco wiele miejsc, w których można było ukryć coś tak małego; niepotrzebne były żadne skrytki ani rozległe piwnice. Will najpierw przetrząsnął sypialnię matki, zawstydzony, że przegląda szuflady z jej bielizną, potem systematycznie przeszukał pozostałe pokoje, łącznie z jego własnym. Moxie przyszła zobaczyć, co robi. Dla towarzystwa usiadła w pobliżu i rozpoczęła kocią toaletę.

Chłopiec nie znalazł teczki.

Tymczasem zrobiło się ciemno i poczuł głód. Podgrzał sobie fasolkę, zrobił grzanekę i zjadł przy kuchennym stole, zastanawiając się, od którego pomieszczenia rozpocząć poszukiwania na parterze.

Gdy kończył posiłek, zadzwonił telefon.

Will znieruchomiał, serce mu łomotało. Liczył. Dwadzieścia sześć dzwonek, wreszcie cisza. Włożył talerz do zlewu i zabrał się do pracy.

Cztery godziny później wciąż jeszcze szukał teczki z zielonej skóry. Było wpół do drugiej w nocy. Wyczerpany, położył się na łóżku w ubraniu i natychmiast zasnął. We śnie czuł natłok myśli, widział nieszczęśliwą i przerażoną twarz matki, która stale się od niego oddalała.

Mimo iż przespał niemal trzy godziny, wydawało mu się, że obudził się po zaledwie kilku minutach. Od razu uświadomił sobie dwie sprawy.

Po pierwsze, wiedział już, gdzie leży teczka. Po drugie, był przekonany, że przed domem przy kuchennych drzwiach stoją tamci mężczyźni.

Chłopiec podniósł Moxie i łagodnie uciszył protest rozespanego zwierzątka. Potem opuścił nogi z łóżka i włożył buty, z całych sił wytężył słuch, aby wyłapać dochodzące z dołu dźwięki; były bardzo ciche – podnoszenie i odstawianie krzesła, krótki szept, skrzypnięcie podłogi.

Poruszając się jak najciszej, Will opuścił sypialnię i poszedł na palcach do pokoju znajdującego się najbliżej schodów. W widmowo szarym świetle przedświt chłopiec dostrzegł starą maszynę do szycia. Przeszukał dokładnie to pomieszczenie zaledwie kilka godzin temu, ale zapomniał o przegródce przy bocznej ścianie maszyny, gdzie matka przechowywała wszystkie wykroje i szpulki z nićmi.

Delikatnie obmacywał ściankę, przez cały czas nasłuchując odgłosów z dołu. Mężczyźni chodzili po pokojach; Will dostrzegł przyćmione migotanie światła przy framudze drzwi, które mogła rzucać latarka.

Wreszcie znalazł zapadkę przegródki i otworzył ją. Wewnątrz, dokładnie tak, jak się spodziewał, znajdowała się skórzana teczka na papiery.

Zastanowił się, co robić dalej.

Teraz musiał czekać. Przykucnął w półmroku, serce tłukło mu się w piersi, skupił się i słuchał.

Dwaj mężczyźni byli w korytarzu. Will usłyszał, jak jeden z nich mówi cicho:

–Chodźmy. Na ulicy jest już mleczarz. Słyszę go.

–Tu tego nie ma – odparł drugi głos. – Musimy sprawdzić na górze.

–Szybko. Nie ma na co czekać.

Will znieruchomiał, kiedy usłyszał ciche skrzypnięcie na szczycie schodów. Mężczyzna zachowywał się bardzo cicho, ale nie spodziewał się, że ostatni stopień zaskrzypi. Przez chwilę nic się nie działo, po czym bardzo słaby snop światła latarki przesunął się po podłodze przed drzwiami: Will zauważył go przez szparę.

Nagle drzwi zaczęły się otwierać. Chłopiec odczekał, aż mężczyzna stanie w progu, następnie wypadł z ciemności i z furią uderzył intruza w brzuch.

Żaden z nich jednak nie dostrzegł kotki.

W momencie gdy mężczyzna znalazł się na najwyższym stopniu schodów, Moxie

wyszła cicho z sypialni i z podniesionym ogonem zatrzymała się tuż za nogami mężczyzny, prawdopodobnie pragnąc się o nie otrzeć. Napastnik pewnie poradziłby sobie z Willem, ponieważ był silny, wysportowany i miał dobry refleks, ale gdy próbował się cofnąć, potknął się o kotkę. Gwałtownie łapiąc powietrze, upadł na plecy, sturlał się po schodach i uderzył głową w stojący w korytarzu stół.

Will usłyszał trzask, lecz nie zatrzymał się, aby sprawdzić, co go spowodowało: zjechał po poręczy, ponad ciałem mężczyzny, które leżało w nienaturalnej pozycji u podnóża schodów, chwycił ze stołu postrzępioną siatkę na zakupy i wybiegł przez frontowe drzwi, nie patrząc na drugiego mężczyznę, który właśnie pojawił się w drzwiach salonu.

Mimo strachu i pośpiechu Will zastanowił się, dlaczego drugi mężczyzna nie krzyknął ani za nim nie pobiegł. Przecież z łatwością by go dogonił. Tacy jak on dysponowali samochodami i telefonami komórkowymi. Tak czy owak, jedynym wyjściem była ucieczka.

Spostrzegł mleczarza, który wjeżdżał na ulicę. W promykach świtu światelka jego elektrycznego wózka były ledwie widoczne. Will przeskoczył przez płot do sąsiedniego ogrodu, przebiegł dróżkę obok domu, pokonał mur następnego ogrodu, potem mokry od rosy trawnik, żywopłot, płataninę krzewów i drzew między osiedlem a główną ulicą. Tam wczołgał się pod krzaki i położył. Przez długą chwilę leżał, dysząc i drżąc. Była zbyt wczesna pora, aby wyjść na miasto. Musiał poczekać, aż zaczną się godziny szczytu.

Ciągle pamiętał trzask, który rozległ się, kiedy napastnik uderzył głową w stół. Jak dziwnie mężczyźni przekrzywiła się szyja, a jak dziwnie wyglądały kończyny... Napastnik zapewne nie żył! Zabił go on, Will.

Chłopiec wiedział, że musi zapomnieć o tym zdarzeniu. Miał do przemyślenia wystarczająco dużo innych spraw. Na przykład, czy mama będzie naprawdę bezpieczna u pani Cooper? Staruszka chyba nikomu nie powie, prawda? Nawet jeśli Will, mimo obietnicy, nie wróci? Teraz już przecież nie mógł wrócić, teraz, gdy zabił człowieka!

A co z Moxie? Kto ją nakarmi? Czy będzie się o nich martwiła? Czy spróbuje ich odszukać?

Z każdą minutą robiło się jaśniej, toteż Will postanowił przejrzeć siatkę na zakupy. Znalazł w niej portmonetkę matki, ostatni list od prawnika, mapę samochodową południowej Anglii, czekoladowe batoniki, pastę do zębów, skarpetki i slipki. No i oczywiście teczkę z zielonej skóry.

Miał wszystko i działał zgodnie z planem. Tyle, że nigdy nie zamierzał nikogo

zabijać.

W wieku siedmiu lat Will uświadomił sobie, że jego matka różni się od innych ludzi i że musi się nią opiekować. Byli wówczas w supermarkecie i grali w pewną grę: wolno im było włożyć jakiś towar do koszyka tylko wtedy, gdy nikt nie patrzył. Chłopiec rozglądał się wokół i w odpowiednim momencie szeptał: „Teraz”, a wówczas matka chwyciła z półki puszkę albo karton i delikatnie kładła do koszyka. Zgodnie z zasadami zabawy, rzeczy w koszyku stawały się bezpiecznie niewidzialne.

Gra bardzo się podobała Willowi. Trwała dość długo, ponieważ był sobotni poranek i w sklepie znajdowało się mnóstwo klientów. Chłopiec i jego matka dobrze sobie radzili i razem działali bardzo skutecznie. Darzyli się bezgranicznym zaufaniem. Will bardzo kochał matkę i często jej o tym mówił, podobnie jak ona jemu.

Wreszcie podeszli do kasy. Chłopiec był podniecony i szczęśliwy, ponieważ już prawie wygrali. Kiedy matka nie mogła znaleźć portmonetki, uważał, że nadal się bawią, nawet gdy powiedziała, że chyba okradli ją wrogowie. Jednak Will zmęczył się już i zgłodniał, a dobry nastrój matki prysnął – wyglądała wręcz na przerażoną. Wrócili między rzędy półek i odkładali towary na miejsce. Od tej chwili musieli być jeszcze ostrożniejsi, ponieważ wrogowie mieli karty kredytowe matki, które zdobyli wraz z portmonetką...

Chłopiec zaczął się bać. Zrozumiał, że matka postąpiła bardzo sprytnie, ponieważ nie chcąc przestraszyć syna, wymyśliła tę grę. Will odgadł to, postanowił jednak ukryć przerażenie.

Aby nie martwić matki, udawał więc, że nadal gra. Poszli do domu bez zakupów, ale bezpieczni; wrogowie nie mogli im zagrozić. A później chłopiec znalazł portmonetkę na stole w korytarzu. W poniedziałek poszli do banku, zamknęli konto matki i otworzyli drugie w innym miejscu, ot tak, dla pewności. W ten sposób zażegnali grożące im „niebezpieczeństwo”.

Podczas następnych kilku miesięcy Will zaczął sobie jednak – powoli i niechętnie – zdawać sprawę z tego, że wrogowie jego matki nie istnieją w świecie realnym, ale jedynie w jej umyśle. Fakt ten wszakże nie czynił ich ani trochę mniej prawdziwymi, przerażającymi czy niebezpiecznymi. Chłopiec wiedział, że musi ją chronić z jeszcze większą troską. Zresztą, od tamtego dnia w supermarkecie, kiedy postanowił udawać, aby nie niepokoić matki, stał się w pogotowiu, wyczulony na jej lęki. Kochał ją tak bardzo, że bez wahania poświęciłby życie, gdyby od tego zależało jej bezpieczeństwo.

Ojciec Willa zniknął przed wieloma laty, gdy jego syn był jeszcze zbyt mały, by go zapamiętać. Chłopiec bardzo był go ciekaw, zdręczał więc stale matkę pytaniami; na większość z nich biedna kobieta niestety nie potrafiła odpowiedzieć.

„Był bogaty?”. „Dokąd wyjechał?”. „Dlaczego odszedł?”. „Umarł?”. „Wróci?”. „Jaki był?”.

Jedynie na to ostatnie pytanie umiała mu odpowiedzieć. John Parry był przystojnym mężczyzną, odważnym i zdolnym oficerem Marynarki Królewskiej, który porzucił wojsko, został odkrywcą i zaczął organizować ekspedycje w odległe zakątki świata. Willa te informacje głęboko poruszyły. Jakież ojciec mógł być bardziej ekscytujący niż odkrywca? Od tej pory chłopiec we wszystkich zabawach wyobrażał sobie niewidzialnego towarzysza – wraz z ojcem przedzierali się przez dżunglę, przysłaniając oczy, spoglądali z pokładu szkunera na sztormowe morza, przyświecając sobie pochodniami, odszyfrowywali tajemnicze inskrypcje w jaskiniach, gdzie roilo się od nietoperzy... Byli najlepszymi przyjaciółmi, wielokrotnie ratowali sobie życie, śmiali się i długo w noc rozmawiali przy ognisku.

Jednak wraz z wiekiem w Willu zaczęły się rodzić wątpliwości. Zastanawiał się, dlaczego w domu nie było żadnych fotografii ojca z dalekich lądów i mórz, ani z arktycznych gór (w towarzystwie mężczyzn o zaszronionych brodach), ani z porośniętych pnączem ruin w dżungli? Czyżby nie przetrwały żadne trofea albo osobliwości? Przecież musiał je przywozić do domu? Czy nic nie pisano o nim w książkach?

Matka Willa nie wiedziała. Powiedziała jednak synowi coś, co mocno mu się wryło w pamięć: – Pewnego dnia pójdiesz w ślady ojca. Będziesz także wspaniałym człowiekiem. Włóżysz jego płaszcz...

I chociaż chłopiec zupełnie nie rozumiał jej słów, odniósł wrażenie, że chwyta ich sens. Poczł dumę, a myśl, że ma przed sobą cel, podniosła go na duchu. Marzył, że wszystkie jego zabawy zmieniają się w prawdziwe wyzwania. Okaże się, że ojciec żyje, zagubiony gdzieś w dziczy, i on, Will, uratuje go, a następnie okryje swe ciało jego płaszczem... Sądził, że dla takiego wspaniałego celu warto znosić wszelkie trudy życia.

Z tego powodu nikomu nie powiedział o problemach matki. Czasami zresztą bywała spokojna i pewna siebie, a wówczas syn uczył się od niej, jak robić zakupy, gotować i sprzątać dom, aby mógł wypełniać te obowiązki w chwilach, gdy matka była dziwnie zagubiona lub przerażona. Nauczył się też specyficznego zachowania, dzięki któremu pozostawał niezauważony w szkole i nie przyciągał uwagi sąsiadów, nawet kiedy matka popadała w stan takiego strachu i szaleństwa, że ledwie mogła mówić. Chłopiec bowiem najbardziej ze wszystkiego obawiał się, że władze dowiedzą się o stanie biednej kobiety, zabiorą ją i umieszczą w jakimś zakładzie wśród obcych ludzi. Potrafił przewyciężyć każdą trudność, byle tylko nie dopuścić do takiej sytuacji. Szczególnie, że bywały chwile, kiedy czuła się szczęśliwa, śmiała się z własnych lęków i błogosławiła syna za czułą opiekę, jaką ją otaczał; wtedy przepelniała ją ogromna miłość i słodycz, a Will nie potrafił sobie wymarzyć lepszej towarzyszki i nie

pragnął niczego więcej niż tylko mieszkać z nią samotnie do końca życia.

Potem jednak przyszli ci mężczyźni.

Nie byli z policji ani z pomocy społecznej, nie byli też przestępcami – tak przynajmniej sądził Will. Próbował się ich pozbyć, niestety, nie udało mu się, nie powiedzieli mu zresztą, czego chcą; rozmawiali jedynie z matką, która była akurat wtedy w bardzo złym stanie.

Stojąc za drzwiami, chłopiec podsłuchiwał rozmowę.

Usłyszał, że pytają o ojca, i poczuł, że jego oddech staje się szybszy.

Chcieli wiedzieć, dokąd wyjechał John Parry, czy żona otrzymała od niego jakąś przesyłkę, kiedy ostatnio się kontaktował z rodziną i czy współpracował z obcymi ambasadami. Kolejne pytania coraz bardziej wyczerpywały matkę, toteż w końcu chłopiec wbiegł do pokoju i kazał natrętom wyjść.

Wyglądał na tak rozjuszonego, że żaden z mężczyzn się nie roześmiał, chociaż Will był tylko dzieckiem; bez problemu mogli go odepchnąć albo jedną ręką podnieść z podłogi. Chłopiec stał nieustraszony, a jego gniew był tak niepohamowany, że mężczyźni wyszli. Ich wizyta utwierdziła Willa w przekonaniu, że ojciec ma kłopoty i tylko on, syn, może mu pomóc. Jego zabawy nie były już dziecinne i bawił się rzadziej. Gra stawała się prawdą, a chłopiec musiał zasłużyć na zaufanie ojca.

W kilka dni później mężczyźni wrócili. Nalegali, żeby matka Willa odpowiedziała na ich pytania. Przyszli przed południem, kiedy chłopiec był w szkole. Jeden z nich rozmawiał z nią na dole, natomiast drugi przeszukiwał w tym czasie sypialnię. Matka Willa nie miała pojęcia, co robią. Na szczęście chłopiec wrócił wcześniej i przyłapał ich na gorącym uczynku. Po raz kolejny wybuchnął gniewem, a oni jeszcze raz spokojnie odeszli.

Prawdopodobnie wiedzieli, że Will – bojąc się utracić matkę – nie pójdzie na policję, w każdym razie stawali się coraz bardziej natarczywi. W końcu włamali się do domu, kiedy chłopiec poszedł po matkę do parku. Ich wizyty pogarszały jej stan i biedną kobietę zaczęła ogarniać swego rodzaju obsesja – matka Willa uważała, że musi dotknąć każdej listewki we wszystkich ławkach stojących wokół stawu. Aby stracić jak najmniej czasu, Will pomagał jej w tym zadaniu. Podczas drogi powrotnej dostrzegli jeszcze tył odjeżdżającego samochodu mężczyzn. Chłopiec wszedł do domu i uświadomił sobie, że tamci przetrząsnęli pokoje; zdążyli przeszukać większość szuflad i szaf.

Wiedział, że nie zostawią ich w spokoju. Zielona skórzana teczka była najcenniejszą rzeczą w domu; do tej pory Will nigdy nawet nie pomyślał, aby do niej zajrzeć, nie miał też pojęcia, gdzie matka ją przechowuje. Wiedział jednak, że teczka zawiera listy,

które ona czasami czytała, płacząc, a potem opowiadała synowi o jego ojcu. Will przypuszczał więc, że właśnie tych papierów szukają mężczyźni. Zdał sobie sprawę, że musi znaleźć wyjście z tej niebezpiecznej sytuacji.

Najpierw zastanowił się, gdzie mógłby ukryć matkę. Myślał i myślał, ale nie miał żadnych przyjaciół, których mógłby poprosić o przysługę, a sąsiedzi i tak już coś podejrzewali. Przyszła mu na myśl tylko jedna godna zaufania osoba – pani Cooper.

Po odprowadzeniu matki w bezpieczne miejsce zamierzał znaleźć teczkę z zielonej skóry, sprawdzić jej zawartość, a następnie pojechać do Oksfordu, gdzie powinien otrzymać odpowiedzi na niektóre ze swoich pytań. Niestety, mężczyźni wrócili zbyt szybko.

A teraz w dodatku zabił jednego z nich i będzie go ścigać także policja!

No cóż, bardzo dobrze nauczył się żyć w taki sposób, by go nie zauważano. Teraz musiał wykorzystać tę umiejętność staranniej niż kiedykolwiek i jak najdłużej – do czasu znalezienia ojca albo do chwili, gdy mężczyźni znajdą jego, Willa. Postanowił sobie, że jeśli go dopadną, nie podda się łatwo. Nie dbał o to, jak wielu ich jeszcze uśmierci!

Jeszcze tego samego dnia, a ściśle rzecz biorąc, tuż przed północą, chłopiec opuścił miasto i ruszył do oddalonego o sześćdziesiąt pięć kilometrów Oksfordu. Był śmiertelnie zmęczony. Część drogi przejechał autostopem, dwoma autobusami, resztę pokonał na piechotę. Do rogatek Oksfordu dotarł o osiemnastej. Było już zbyt późno na spotkanie, które sobie zaplanował. Zjadł więc kolację w „Burger Kingu” i poszedł do kina, aby przeczekać do wieczora; tytułu filmu zapomniał już w trakcie seansu. Teraz szedł na północ niekończącą się drogą przez przedmieścia.

Do tej pory nikt nie zwrócił na niego uwagi, był jednak świadom, że szybko musi sobie znaleźć miejsce do spania, ponieważ samotne dziecko w nocy budzi zainteresowanie. Kłopot w tym, że nie mógł znaleźć kryjówki – mijał położone wzdłuż ulicy ogródki i ładne domki, ale nigdzie wokół nie było otwartych terenów.

Doszedł do dużego skrzyżowania – droga na północ przecinała w tym miejscu oksfordzką obwodnicę, prowadzącą na wschód i na zachód. Tak późno w nocy panował tu bardzo niewielki ruch. Po obu stronach spokojnej uliczki, którą przyszedł Will, przed domkami rozciągały się szerokie trawniki. Wzdłuż drogi stały dwa rzędy grabów, które wyglądały niesamowicie z powodu koron przyciętych w sposób idealnie symetryczny i bardziej przypominały dziecięce rysunki niż prawdziwe drzewa; uliczne światła nadawały temu miejscu sztuczny wygląd, przywodzący na myśl dekoracje sceniczne. Will czuł się otępiały ze zmęczenia. Miał do wyboru: iść dalej na północ albo położyć się na trawie pod jednym z tych drzew i zasnąć. Gdy tak stał, próbując podjąć właściwą decyzję, nagle zobaczył kotkę.

Była bura, podobna do Moxie. Wyszła z ogrodu po oksfordzkiej stronie ulicy, niedaleko Willa. Chłopiec odłożył siatkę i wyciągnął rękę do zwierzątka, które podeszło i potarło łebkiem o jego kłykcie, dokładnie tak jak jego kotka. Will wiedział, że większość kotów zachowuje się w ten sposób, niemniej jednak zapragnął wrócić do domu; w oczach zakręciły mu się łzy.

W końcu kotka odwróciła się i powoli odeszła. Była noc, czas łowów, i zapewne zamierzała upolować mysz. Przeszła przez ulicę i ruszyła ku rosnącym tuż za grabami krzewom. Tam się zatrzymała.

Obserwujący ją Will doszedł do wniosku, że zwierzątko zachowuje się dość osobiwie.

Wyciągnęło łapę, aby pacnąć w powietrzu przed sobą coś, czego Will nie widział. Potem odskoczyło w tył, wygięło grzbiet w łuk, zjeżyło się i sztywno postawiło ogon. Chłopiec znał kocie zachowanie, toteż z całych sił wytężył wzrok, kiedy kotka ponownie podeszła do tego samego miejsca – pasa trawy między grabem a krzewami ogrodowego żywopłotu. Dostrzegł, że ponownie pacnęła łapą powietrze.

Znowu odskoczyła, lecz tym razem nie tak daleko i ze znacznie mniejszą trwogą. Przez kilka sekund węszyła, wysuwała pyszczek i poruszała wąsami, aż w końcu ciekawość zwyciężyła ostrożność.

Zwierzątko zrobiło krok do przodu i zniknęło.

Will aż zamrugał oczyma. Na moment zamarł, opierając się o pień najbliższego drzewa. W pewnej chwili ulicą przejechała ciężarówka, oświetlając go reflektorami, a wówczas otrząsnął się z zaskoczenia i przeszedł na drugą stronę, nie spuszczać oczu z punktu, który wcześniej badała kotka. Niełatwo było skoncentrować na nim wzrok, ponieważ z daleka niczym szczególnym się nie wyróżniał, kiedy jednak chłopiec doszedł na miejsce i rozejrzał się z uwagą, zobaczył tuż nad ziemią, około dwóch metrów od krawężnika, coś niezwykłego.

Było to okienko w powietrzu – mniej więcej kwadratowe, o boku długości niecałego metra. Z przodu słabo widoczne, z tyłu niemal całkowicie zlewało się z tłem. Dojrzeć je można było jedynie pod odpowiednim kątem – patrząc z boku, od strony ulicy. Zresztą, nawet z bardzo bliska łatwo je było przeoczyć, ponieważ za nim znajdował się identyczny, oświetlony przez uliczne latarnie trawnik.

Will jednak nie miał najmniejszej wątpliwości, iż ten pas trawy należy do innego świata. Chłopiec nie wiedział, skąd wzięła się ta pewność, uwierzył jednak w istnienie obcego świata natychmiast i równie mocno jak w to, że ogień płonie, a życzliwość dla innych jest zachowaniem pozytywnym.

W dodatku nie potrafił się oprzeć pokusie, pochylił się i zajrzał w głąb. Od widoku

za okienkiem zakręciło mu się w głowie, a serce забиło mocniej. Nie wahał się jednak: przełożył przez otwór siatkę, po czym precyzyjnie przeszedł do innego świata.

Znalazł się pod rzędem drzew. Nie były to jednak graby, ale wysokie palmy, chociaż podobnie jak drzewa w Oksfordzie rosły w rzędzie wzdłuż trawnika. Will stał w połowie długości szerokiego bulwaru. Przed nim, pod niebem gęsto upstrzonym gwiazdami, po obu stronach ciągnęły się kafeterie i małe sklepy, wszystkie jaskrawo oświetlone, otwarte, lecz zupełnie ciche i puste. Noc była gorąca, wypełniona aromatem kwiatów i słonym zapachem morza.

Chłopiec bacznie rozejrzał się wokół siebie. Daleko za nim leżały wysokie zielone wzgórza oświetlone poświatą księżycy w pełni. U stóp wzgórz stały otoczone bujnymi ogrodami domy, był też park z alejkami drzew i lśniąca bielą klasyczną świątynią.

Tuż obok Willa znajdowało się okienko w powietrzu, od tej strony równie trudne do zauważenia jak z tamtej. Chłopiec odwrócił się, spojrzął przez nie i zobaczył ulicę w Oksfordzie, w swoim rodzimym świecie. Porzucił ten widok z drżeniem. Pomyślał, że każdy świat z pewnością jest lepszy od tego, który właśnie opuścił. Czuł wczesnoporanne roztargnienie, jak gdyby jeszcze śnił, a równocześnie był przekonany, że wszystko to dzieje się naprawdę. Rozejrzał się za swoją przewodniczką, kotką.

Nie dostrzegł jej. Zapewne zwiedzała już wąskie uliczki i ogrody za zachęcająco oświetlonymi kafeteriami. Will podniósł sfatygowaną siatkę i powoli przeszedł na drugą stronę bulwaru. Poruszał się bardzo ostrożnie, na wypadek, gdyby całe otoczenie zamierzało za chwilę zniknąć.

Krajobraz miał w sobie coś śródziemnomorskiego albo karaibskiego. Will nigdy nie wyjeżdżał z Anglii, więc nie potrafił porównać tego miasta z żadnym, które znał, przyszło mu jednak do głowy, że ludzie wychodzą tu z domów późno w nocy, jedzą, piją, tańczą i słuchają muzyki. Tyle, że wokół nie było nikogo i panowała absolutna cisza.

Na pierwszym rogu, do którego dotarł, znajdowała się kafeteria z małymi zielonymi stolikami na chodniku, cynkowym kontuarem i ekspresem do kawy. Na kilku stolikach stały częściowo opróżnione szklanki. Papieros w popielniczce spalił się aż do filtra. Talerz z risottem stał obok koszyka z czerstwymi bułeczkami. Will dotknął ich – były twarde jak kamień.

Wziął butelkę lemoniady z lodówki za barem, zastanowił się chwilę, po czym wrzucił do kasy funtową monetę. Zamknął kasę, a następnie otworzył ponownie, uznał bowiem, że pieniądze powinny mu pomóc w ustaleniu, gdzie się znajduje. Waluta nazywała się korona. Chłopcu nic ta nazwa nie mówiła.

Odłożył z powrotem pieniądze, zamknął kasę i przymocowanym do kontuaru otwieraczem otworzył butelkę, po czym opuścił lokal i ruszył uliczką, oddalając się od bulwaru. Małe spożywcze sklepiki i piekarenki znajdowały się między sklepami jubilerskimi i kwiaciarniami. Gdzieś wisiły paciorkowe zasłony, za którymi znajdowały się prowadzące do prywatnych domów drzwi; nad zasłonkami wisiły balkony z kutego żelaza, gęsto obwieszane kwiatami. Na tej wąskiej uliczce milczenie wydawało się jeszcze bardziej niesamowite.

Uliczka łączyła się z szeroką aleją, wzdłuż której również rosły wysokie palmy; wewnętrzne strony liści tych drzew jarzyły się w światłach latarni.

Po drugiej stronie alei rozciągało się morze.

Na lewo Will dostrzegł port otoczony kamiennym falochronem, na prawo zaś znajdował się cypel, na którym wśród kwitnących drzew i krzewów stał jeden wielki, oświetlony reflektorami budynek z kamiennymi kolumnami, szerokimi schodami i ozdobnymi balkonami. W porcie cumowało kilka łodzi wiosłowych. Za falochronem w spokojnym morzu odbijały się gwiazdy.

Do tej pory Will zapomniał o zmęczeniu. Czuł się zupełnie rozbudzony i był zdumiony. Od czasu do czasu, podczas wędrówki wąskimi uliczkami, wyciągał rękę i dotykał ściany, drzwi lub kwiatów w skrzynkach. Wszystko było przekonująco rzeczywiste. Zaprażył sprawdzić realność każdego przedmiotu i tworu natury, widok bowiem, który się przed nim roztaczał, wydawał mu się zbyt wspaniały, aby chłopiec mógł zawierzyć oczom. Stał nieruchomo, oddychał głęboko, obawiając się, że cały pejzaż nagle zniknie.

Zdał sobie sprawę, że nadal trzyma w ręku zabraną z kafeterii butelkę. Pociągnął łyk. Napój smakował tak, jak powinien – lodowata lemoniada, przyjemnie orzeźwiająca podczas parnej nocy.

Will ruszył w prawo. Mijał hotele z markizami nad jaskrawo oświetlonymi wejściami i ścianami, przy których rosła kwitnąca bugenwilla, aż dotarł do ogrodów na małym przylądku. Stojący wśród drzew budynek o przeładowanej ozdobami, rozświetlonej reflektorami fasadzie wyglądał na kasyno lub operę. Między obwieszonymi lampami oleandrami wydeptano ścieżki, ale nie słychać było żadnych odgłosów życia: ani śpiewu nocnych ptaków, ani brzęczenia owadów; do uszu chłopca docierały jedynie własne kroki oraz regularny, cichy plusk niewielkich fal załamujących się na plaży za palmami, które porastały skraj ogrodu. Will ruszył w tamtą stronę. Zaczął się przypliw lub odpływ. Na sypkim, jasnym piasku plaży, tuż ponad pasem pomiaru wysokości wody, leżały w szeregu wiosłowe łodzie. Co kilka sekund niewielka biała grzywa pojawiała się ponad linią brzegu, po czym cofała się, przykryta następną falą. W odległości mniej więcej pięćdziesięciu metrów w spokojne morze sięgał pomost z trampoliną.

Will usiadł na burcie jednej z wiosłowych łodzi, zdjął buty – tanie trampki, które rozklejały się na rozgrzanych stopach i uwierały. Obok butów chłopiec rzucił skarpetki, po czym zagłębił palce w piasek plaży. W kilka sekund później zrzucił resztę ubrania i wszedł do wody.

Była rozkosznie ciepła. Popłynął do pomostu, wdrapał się na niego i usiadł na deskach. Uważnie przyjrzał się miastu.

Po prawej stronie miał otoczony falochronem port. Prawie milę dalej stała czerwono biała latarnia. Za nią ciągnęły się blade, słabo widoczne klify oraz rozległe, wysokie wzgórza, które chłopiec zobaczył, gdy wszedł do tego świata.

W pobliżu Willa znajdowały się oświetlone drzewa z ogrodów kasyna, ulice miasta i nabrzeże zabudowane hotelami, kafeteriami i jasnymi sklepami. Wszędzie było cicho i pusto.

Równocześnie jednak bezpiecznie. Nikt nie mógł tu przyjść za Willem. Mężczyzna, który przeszukiwał dom, nigdy nie dowie się o tym miejscu, podobnie jak policja. Na pewno go nie znajdą. Chłopiec miał do dyspozycji cały świat, w którym mógł się ukrywać, jak długo chciał.

Po raz pierwszy od wczorajszego ranka, od momentu opuszczenia swego domu, Will poczuł się naprawdę bezpiecznie.

Znowu odczuwał pragnienie, a także głód, ponieważ ostatni posiłek jadł przed wieloma godzinami, jeszcze w swoim świecie. Wsunął się z powrotem do wody i wolno popłynął ku plaży. Tam włożył slipki. Resztę garderoby i plecak niósł w rękach. Do pierwszego napotkanego kosza wrzucił pustą butelkę i ruszył boso po chodniku ku portowi.

Kiedy trochę wysechł, włożył dzinsy i zaczął szukać lokalu, w którym mogłby znaleźć coś do jedzenia. Hotele uznał za miejsca zbyt eleganckie. Zajrzał do pierwszego z nich, ale sam hol wydał mu się tak ogromny, że poczuł się nieswojo i poszedł dalej nabrzeżem. Wreszcie znalazł małą kafeterię, którą uznał za odpowiednią. Właściwie nie wiedział, dlaczego ją wybrał, ponieważ niewiele się różniła od tuzina innych (balkon na pierwszym piętrze ugiął się pod ciężarem doniczek z kwiatami, na chodniku przed lokalem stały stoliki i krzesła) – po prostu mu się spodobała.

Nad barem wisały fotografie bokserów i plakat z autografem szeroko uśmiechniętego akordeonisty. W głębi widać było kuchnię, drzwi obok niej otwierały się na wąską klatkę schodową; na schodach leżał chodnik w jaskrawy wzorek roślinny.

Will cicho wspiął się na wąskie półpiętro i otworzył pierwsze drzwi. Powietrze w

pokoju było parne i duszne, więc chłopiec otworzył szklane drzwi na balkon od frontu, aby wpuścić trochę nocnego wiatru. Pomieszczenie było małe i umeblowane zbyt dużymi, zniszczonymi meblami, ale czyste i przyjemne. Mieszkali tu z pewnością gościnni ludzie. W pokoju znajdowała się jeszcze mała półka z książkami, na stole leżało czasopismo i stało parę zdjęć w ramkach.

Chłopiec wyszedł i zajrzał do innych pomieszczeń – znalazł małą łazienkę i sypialnię z podwójnym łóżkiem.

Zanim otworzył ostatnie drzwi, poczuł dziwny dreszcz i serce zabiło mu mocniej. Nie był pewien, czy rzeczywiście usłyszał z wnętrza jakiś dźwięk, ale coś mu mówiło, że pokój nie jest pusty. Will pomyślał, że ten dzień jest naprawdę niesamowity – obudził się w ciemnym pokoju i bez tchu czekał na zbliżającego się włamywacza, teraz natomiast sytuacja się odwróciła i to on stał przed zamkniętym pokojem...

Podczas gdy zastanawiał się, co robić, nagle drzwi się otworzyły i ktoś ruszył na niego niczym dzika bestia. Na szczęście chłopiec intuicyjnie ustawił się w pewnej odległości od progu, dzięki czemu napastniczka nie zdołała go przewrócić. Walczył z nią ze wszystkich sił, używając kolan, głowy, pięści i ramion...

Dziewczynka była mniej więcej jego rówieśniczką. Rozwścieczona, sapiąca, w poszarpanym ubraniu. Ramiona miała gołe i chude.

Gdy uprzytomniła sobie, że jej przeciwnik również jest dzieckiem, odskoczyła od jego nagiego torsu, po czym przycupnęła w narożniku ciemnego półpiętra, gotowa do skoku niczym osaczony kot. A u jej boku – ku zdziwieniu chłopca – rzeczywiście stał kot, a ściśle rzecz ujmując, wielki żbik. Sięgał ponad kolana, miał nastroszone futro, obnażone zęby i wyprostowany ogon.

Dziewczynka położyła dłoń na grzbiecie kota i oblizwała suche wargi, obserwując każdy ruch chłopca.

Will powoli wstał.

–Kim jesteś?

–Nazywam się Lyra Złotousta – odparła.

–Mieszkasz tu?

–Nie – prychnęła pogardliwie.

–A co to za miejsce? Jakie to miasto?

–Nie wiem.

–Skąd jesteś?

–Z mojego świata. Graniczy z tym. Gdzie twoja dajmona?

Chłopiec otworzył szeroko oczy. Potem zauważył, że z kotem dziewczynki dzieje się coś nadzwyczajnego: skoczył jej w ramiona, a kiedy się w nich znalazł, zmienił kształt. Teraz miał postać czerwono-brązowego gronostaja o kremowym podgardlu i brzuchu. Zwierzę obrzuciło Willa piorunującym spojrzeniem, równie przenikliwym jak jego właścicielka. W chwilę później jednak chłopiec uświadomił sobie, że dziewczynka i jej towarzysz boją się go, sądząc, że jest duchem.

–Nie mam demona – odparł. – Nawet nie wiem, co masz na myśli. – Po sekundzie dodał: – Och! Czy to jest może twój demon? Dajmon?

Dziewczynka podniosła się powoli. Gronostaj owinął się wokół jej szyi. Ani na moment nie spuszczał ciemnych oczu z twarzy Willa.

–Ależ ty żyjesz – mruknęła, na wpół niedowierzającym tonem. – Nie jesteś... Nie...

–Nazywam się Will Parry – przedstawił się. – Nie wiem, o co ci chodzi z tymi demonami. W moim świecie demon oznacza... hm, diabła, coś złego.

–W twoim świecie? Chcesz powiedzieć, że mieszkasz w jeszcze innym? Nie w tym?

–Tak. Właśnie odkryłem przejście. Mój świat graniczy z tym, zapewne tak samo jak twój.

Dziewczynka trochę się uspokoiła, nadal jednak czujnie obserwowała chłopca. Will starał się zachowywać spokojnie i rozważnie, jak gdyby miał przed sobą dzikiego kota, którego musi oswoić.

–Spotkałaś kogoś w tym mieście? – zapytał.

–Nie.

–Długo tu jesteś?

–Nie wiem. Kilka dni. Nie pamiętam.

–Po co tu przyszłaś?

–Szukam Pyłu – odparła.

–Pyłu? Złotego? Jakiego pyłu?

Zmrużyła oczy i nic nie odpowiedziała. Chłopiec ruszył ku schodom, aby zejść na

parter.

–Jestem głodny – stwierdził. – Jest w kuchni coś do jedzenia?

–Nie wiem... – szepnęła i poszła za nim, trzymając się w pewnej odległości.

W kuchni Will znalazł składniki na potrawkę z kurczaka, cebule i papryki, ale nie były ugotowane i w tym gorącym powietrzu nie pachniały najlepiej, wrzucił więc wszystko do kosza na śmieci.

–Nic nie jadłaś, odkąd tu dotarłaś? – spytał i otworzył lodówkę.

Lyra przyszła, aby popatrzeć.

–Nie wiedziałam, co to jest – odrzekła. – Och! Tu jest zimno...

Jej dajmon znowu się zmienił i stał się ogromnym, jaskrawo ubarwionym motylem, który na krótko wleciał z trzepotem do lodówki, po czym wrócił do dziewczynki i usadowił się na jej ramieniu, powoli podnosząc i opuszczając skrzydła. Will odniósł wrażenie, że nie powinien na nich patrzeć, a równocześnie nie potrafił oderwać oczu od niezwykłego widoku.

–Nigdy nie widziałaś lodówki? – spytał. Znalazł puszkę z colą i wręczył dziewczynce, potem wyjął tackę z jajkami. Lyra z widoczną przyjemnością ścisnęła puszkę w dłoniach.

–Wypij to – powiedział Will.

Popatrzyła na puszkę, marszcząc brwi. Najwyraźniej nie wiedziała, jak ją otworzyć. Chłopiec pociągnął za metalowy uchwyt i nieco spienionego napoju pojawiło się na pokrywce. Dziewczynka zlizwała go podejrzliwie i oczy zrobiły jej się okrągłe ze zdumienia.

–Czy to dobre? – spytała; w jej głosie słychać było jednocześnie nadzieję i strach.

–Tak. Świetnie, że mają colę w tym świecie. Zobacz, wypiję trochę. Udowodnię ci, że nie jest zatruta.

Otworzył drugą puszkę. Gdy dziewczynka zobaczyła, jak chłopiec pije, poszła za jego przykładem. Była bardzo spragniona. Piła tak szybko, że bąbelki podniosły jej się do nosa, a wtedy parsknęła, czknęła głośno i popatrzyła spode łba na Willa.

–Zrobię omlet – powiedział. – Zjesz trochę?

–Nie wiem, co to jest omlet.

–No cóż, obserwuj, a się dowiesz. Jeśli wolisz coś innego, tam stoi puszka pieczonej fasolki.

–Nie znam się na fasolce.

Pokazał jej puszkę. Lyra zaczęła szukać takiego uchwytu, jaki był na puszcze z colą.

–Nie, musisz użyć otwieracza do puszek – wyjaśnił. – W twoim świecie nie ma otwieraczy?

–W moim świecie jedzenie przyrządza służba – odparła pogardliwie.

–Zobacz w tamtej szufladzie.

Dziewczynka z hałasem przetrząsała szuflady, a Will tymczasem rozbił sześć jaj do miski i pomieszał widelcem.

–Właśnie ten – powiedział, obserwując Lyrę. – Ten z czerwoną rączką. Przynies go tutaj.

Wbił otwieracz w przykrywkę puszek i pokazał, jak ją otworzyć.

–Teraz zdejmij ten rondel z haka i wrzuć do niego zawartość puszek.

Dziewczynka powąchała fasolkę i na jej twarzy zagościło łakomstwo, a zarazem podejrzliwość. Włożyła zawartość puszek do rondelka i oblizywała palec, obserwując, jak Will potrząsa solniczką i pieprzniczką nad masą jajeczną, a następnie wyjmując z lodówki kostkę masła, odcina z niej kawałek i kładzie go na żelaznej patelni.

Chłopiec poszedł do baru po zapalniczki, a gdy wrócił, Lyra maczała brudny palec w misce z rozbitymi jajkami, po czym zachłannie go oblizywała. Jej dajmon, znowu pod postacią kota, także zamierzał zanurzyć łapę w jajkach, ale wycofał się na widok Willa.

–Nie są jeszcze usmażone – burknął chłopiec, zabierając miskę. – Kiedy ostatni raz jadłaś?

–W domu mojego ojca na Svalbardzie – odparła. – Kilka dni temu. Nie wiem. Znalazłam tu chleb i coś jeszcze, więc to zjadłam.

Will zapalił gaz, stopił masło, wlał jajka i rozprowadził równomiernie po dnie patelni. Oczy Lyry śledziły każdy jego ruch. Chłopiec podnosił lekko usmażone krawędzie, po czym przechylał patelnię, aby wlać pod nie surową masę. Dziewczynka spoglądała to na patelnię, to na niego – na jego twarz, ręce, gołe ramiona i stopy.

Kiedy omlet był gotowy, Will złożył go i przeciął łyżką na połowę.

–Znajdź dwa talerze – mruknął i Lyra posłusznie zrobiła, co jej kazał.

Wydawała się całkiem chętna do wykonywania poleceń, które rozumiała, wysłał ją więc, by przygotowała stół przed kafeterią. Wyniósł jedzenie oraz znalezione w szufladzie noże i widelce. Dwoje dzieci trochę niezgrabnie usiadło przy stoliku.

Dziewczynka pochłonęła swoją porcję w niecałą minutę, po czym zaczęła się nudzić – huśtała się na krześle w tył i przód, szarpała plastikowe listewki plecionego siedzenia i czekała, aż Will skończy jeść omlet. Jej dajmon przybrał postać szczygła i dziobał niewidoczne okruszki na blacie stołu.

Chłopiec jadł powoli. Odstąpił Lyrze większą część fasolki, lecz mimo to jadł znacznie dłużej niż dziewczynka. Przed nimi rozciągał się port, pusty bulwar lśnił od świateł, na ciemnym niebie mrugały gwiazdy. Cały ten świat trwał w ciszy, jak gdyby nie istniało nic poza nim.

Will popatrywał na Lyre. Była mała i drobna, ale silna; walczyła przecież jak tygrysica. Od uderzenia pięścią powstał na jej policzku siniak, ale najwyraźniej zupełnie się nim nie przejmowała. Czasem wyglądała jak zwykle dziecko (na przykład gdy wzięła pierwszy łyk coli), innym razem – jak smutna i poważna osoba w nieokreślonym wieku, którą okoliczności stale zmuszały do ostrożności. Oczy Lyry były jasnoniebieskie, włosy zapewne – gdyby je umyła – ciemnoblonde; dziewczynka była brudna, a zapach wskazywał, że chyba nie myła się od wielu dni.

–Jesteś Laura? Lara? – spytał Will.

–Lyra.

–Lyra... Złotousta?

–Tak.

–Gdzie jest twój świat? Jak się tu dostałaś? Wzruszyła ramionami.

–Szłam we mgle – odparła. – Wokół wszystko było strasznie niewyraźne... Nie miałam pojęcia, dokąd idę. Wiedziałam, że opuszczam mój świat, ale niczego nie widziałam, póki nie opadła mgła. Wtedy znalazłam się tu.

–Mówiłaś o jakimś pyle...

–Ach, tak, Pył. Muszę się o nim wszystkiego dowiedzieć. Tyle że ten świat wygląda na opuszczony. Nie ma kogo zapytać. Jestem tutaj od... no, nie wiem, trzech dni, może czterech. Nikogo nie spotkałam.

–Po co chcesz się dowiedzieć czegoś o pyle?

–Chodzi o specjalny Pył – odparła krótko. – Jest niezwykły.

Jej dajmon znowu się zmienił. W mgnieniu oka ze szczygła przekształcił się w szczura – wielkiego, czarnego jak smoła, z czerwonymi oczyma. Will patrzył na niego z lękiem szeroko otwartymi oczyma. Dziewczynka dostrzegła jego spojrzenie.

–Jednak masz dajmonę – powiedziała stanowczym tonem. – W sobie.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

–Tak – kontynuowała. – W przeciwnym razie nie byłbyś człowiekiem. Byłbyś... półtrupem. Widzieliśmy kiedyś chłopca, któremu odebrano dajmonę. Nie jesteś do niego podobny. Nie znasz swojej dajmony, ale nosisz ją w sobie. W pierwszej chwili, gdy cię zobaczyliśmy, przeraziliśmy się. Wydawałeś się jakąś nocną marą... Potem jednak uświadomiliśmy sobie, że wcale nie przypominasz tamtego półchłopca.

–My?

–Ja i Pantalaimon. My. Dajmon nie jest kimś odrębnym, lecz częścią człowieka. We dwoje stanowią jedną całość. Nie ma w twoim świecie takich istot jak my? Wszyscy są podobni do ciebie? Wszystkie dajmony są ukryte?

Will przyjrzał się z uwagą osobliwej parze – chudej, jasnookiej dziewczynce i czarnemu szczurowi, którego tuliła w ramionach – i poczuł się bardzo samotny.

–Jestem zmęczony. Idę spać – oświadczył. – Zamierzasz zostać w mieście?

–Nie wiem. Muszę się dowiedzieć więcej o Pyle. Są chyba w tym świecie jacyś uczeni. Musi być ktoś, kto wie.

–W tym świecie może ich nie być, ja jednak przybyłem z miejsca zwanego Oksford, gdzie pracuje wielu uczonych.

–Oksford?! – krzyknęła. – Ja też pochodzę z Oksfordu!

–Więc jest i w twoim świecie? Nigdy przecież nie odwiedziłaś mojego świata.

–Na pewno nie – odrzekła z przekonaniem. – Pochodzimy z dwóch zupełnie odmiennych światów. Ale w moim również istnieje Oksford. Mówimy też w tym samym języku, zauważyłaś? Zapewne istnieje wiele innych podobieństw. Jak się tu dostałaś? Przez most?

–Nie. Przez pewne niezwykle okienko wycięte w powietrzu.

–Pokaż mi je – rzuciła szybko.

To był rozkaz, nie prośba. Jednakże Will potrząsnął głową.

–Nie teraz – odparł. – Chce mi się spać. Jest przecież środek nocy.

–Więc zaprowadzisz mnie do niego rano!

–W porządku, zaprowadzę cię. Ale pamiętaj, że mam własne sprawy. Będziesz musiała sama poszukać uczonych.

–To łatwe – mruknęła. – Wiem o nich wszystko. Will zebrał talerze i wstał.

–Ja zrobiłem kolację – powiedział – więc ty pozmywasz naczynia.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

–Po co? – zadrwiła. – Wszędzie wokół stoją miliony czystych naczyń! Zresztą, nie jestem służącą. Nie zamierzam niczego myć.

–Więc nie pokażę ci drogi do mojego świata.

–Znajdę ją sama.

–Nie znajdziesz, jest dobrze ukryta. Nigdy ci się nie uda odszukać przejścia. Nie wiem, jak długo możemy zostać w tym mieście. Ponieważ musimy coś jeść, będziemy więc jedli tutejsze jedzenie, ale za każdym razem posprzątam po sobie. Będziemy utrzymywać to miejsce w czystości, ponieważ tak należy postępować. Zmyj naczynia. Musimy traktować to miejsce dobrze. Teraz idę spać. Wybiorę sobie inny pokój. Zobaczymy się rano.

Poszedł na górę, gdzie umył zęby palcem i pastą wydobytą z poszarpanej siatki, potem wszedł do sypialni, padł na podwójne łóżko i natychmiast zasnął.

Lyra odczekała jakiś czas, a gdy upewniła się, że Will śpi, zaniosiła naczynia do kuchni, włożyła do zlewu i odkręciła kran. Mocno tarła talerze zmywakiem, aż wyglądały na czyste. Tak samo zrobiła z nożami i widelcami, niestety patelni po omlecie nie udało jej się w ten sposób domyć, skorzystała więc z kawałka żółtego mydła i tarła uparcie, póki efekt jej nie zadowolił. Następnie ścierką wytarła wszystkie naczynia do sucha i postawiła je na suszarce.

Ponieważ nadal była spragniona i chciała sprawdzić, czy sama potrafi otworzyć puszkę, wzięła kolejną colę i pociągnęła za metalowy uchwyt. Otwartą puszkę zabrała na górę. Stała na chwilę pod drzwiami pokoju Willa, ale niczego nie usłyszała; weszła na palcach do drugiego pokoju i wyjęła spod poduszki aletheiometr.

Nie musiała znajdować się w pobliżu chłopca, aby zapytać o niego urządzenie, lecz

tak czy owak chciała na Willa spojrzeć. Najciszej jak potrafiła, przekręciła gałkę w drzwiach i weszła.

Pokój był rozświetlony światłem od morza. W poświacie odbitej od sufitu Lyra spojrzała na śpiącego Willa. Marszczył brwi, a jego twarz lśniła od potu. Chłopiec był krępy i silny, choć rzecz jasna nie był jeszcze zbyt wysoki; ponieważ wydawał się niewiele starszy od Lyry, dziewczynka przypuszczała, że kiedyś wyrośnie na potężnego mężczyznę. Znacznie łatwiej potrafiłaby go ocenić, gdyby mogła się przyjrzeć jego dajmonie! Zastanawiała się, jaka byłaby jej postać i czy osiągnęłaby już stałą formę. W każdym razie, na pewno uosabiałaby Willa – gwałtownego, a zarazem uprzejmego, równocześnie z jakiegoś powodu nieszczęśliwego.

Dziewczynka podeszła na palcach do okna. W świetle ulicznej lampy starannie rozstawiła wskazówki aletheiometru, rozluźniła się, a następnie skupiła na pytaniu. Igła zaczęła się huścić wokół tarczy, zatrzymując się na sekundę przy kilku obrazkach.

Lyra zadała pytanie:

–Kim on jest? Przyjacielem czy wrogiem?

„To morderca”, odpowiedział aletheiometr.

Kiedy dziewczynka otrzymała odpowiedź, od razu się odprężyła. Will potrafił znaleźć jedzenie i wskazać jej drogę do Oksfordu. Były to użyteczne umiejętności, jednak Lyra obawiała się, że chłopiec okaże się osobnikiem niegodnym zaufania lub tchórzem. A mordercę uważała za cennego towarzysza i wiedziała, że będzie się z Willem czuła równie bezpiecznie, jak niegdyś z pancernym niedźwiedziem lorkiem Byrnisonem.

Nie zamykając okna, zasunęła zasłony, aby poranne słońce nie obudziło chłopca, i wyszła na palcach z pokoju.

WŚRÓD CZAROWNIC

Serafina Pekkala, czarownica, która uratowała Lyrę i inne dzieci uciekające ze stacji eksperymentalnej w Bolvangarze, a następnie towarzyszyła dziewczynce w locie na wyspę Svalbard, była ogromnie zaniepokojona.

Po ucieczce Lorda Asriela z miejsca jego wygnania na Svalbardzie nastąpiły niezwykle zakłócenia atmosferyczne, które rzuciły czarownice ponad zamrożonym morzem na wiele mil od wyspy. Niektóre z towarzyszek Serafiny trzymały się blisko uszkodzonego balonu teksańskiego aeronauty Lee Scoresby'ego, jednak ją samą wichura skierowała wysoko w górę, w mgielne chmury, które wydobyły się ze szczeliny powstałej w niebie po eksperymencie Lorda Asriela.

Kiedy Serafina stwierdziła, że ponownie potrafi kontrolować swój lot, natychmiast pomyślała o Lyrze. Nie wiedziała ani o walce między samozwańczym niedźwiedzim królem a lorkiem Byrnisonem, ani o tym, co się przydarzyło dziewczynce po tym zdarzeniu, zaczęła więc jej szukać w swoim świecie.

Na gałęzi z sosny obłocznej leciała przez mętne powietrze o odcieniu złota. Towarzyszył jej dajmon, Kaisa, śnieżny gąsior. Najpierw zawrócili ku Svalbardowi, lekko zbaczając na południe, i przez wiele godzin szybowali pod chmurami zabarwionymi niezwyklejmi plamami światła i cienia. Światło to w niepokojący sposób łaskotało skórę Serafiny Pekkali, dzięki czemu czarownica domyśliła się, że pochodzi ono z innego świata. Po pewnym czasie odezwał się Kaisa.

–Spójrz! Dajmon jakiejś czarownicy. Chyba się zgubił...

Serafina spojrzała poprzez mgielne zasłony i w smugach zamglonego światła zobaczyła krążącego i krzyczącego samca rybołówki. Czarownica i jej dajmon zakołowali i polecili w jego kierunku. Widząc, że nadlatują, przerażona rybołówka szaleńczo rzuciła się w górę, lecz Serafina zasygnalizowała przyjazne zamiary, a wówczas samotny dajmon opadł i wyrównał lot. Leciał teraz obok nich.

–Z jakiego jesteś klanu? – spytała Serafina Pekkala.

–Z tajmyrskiego – odparł. – Moją czarownicę schwytano, nasze towarzyski przepędzono! Zgubiłem się...

–Kto schwycił twoją czarownicę?

–Kobieta z dajmonem w postaci małpy. Z Bolvangaru... Pomóżcie nam! Pomóżcie mi! Tak bardzo się boję!

–Czy twój klan sprzymierzył się z rozcinaczami dzieci?

–Tak, ale tylko do chwili, gdy poznaliśmy ich zamiary... Po walce w Bolvangarze przegnali nas, a moją czarownicę wzięli do niewoli... Zabrali ją na statek... Co mam robić? Woła mnie, ale nie mogę jej znaleźć! Och, pomóżcie mi, błagam!

–Cicho – mruknął Kaisa. – Wsłuchajmy się w odgłosy z dołu.

Szybowali teraz niżej, uważnie nasłuchując. Wkrótce uwagę Serafiny Pekkali przyciągnęło stłumione przez mgłę dudnienie gazowego silnika.

–W takiej mgle nie sposób żeglować – zauważył Kaisa. – Co oni robią?

–To mały silnik – odparła Serafina Pekkala. W chwili gdy to powiedziała, usłyszeli nowy dźwięk dochodzący z innego kierunku. Był niski, ostry, przeszywający, jak gdyby z głębin wołał o pomoc jakiś ogromny morski stwór. Ryk trwał przez wiele sekund, potem nagle się urwał.

–Sygnał mgłowy statku – oświadczyła Serafina Pekkala.

Lecieli teraz niżej nad wodą, na odgłos silnika zawrócili i w pewnym momencie nieoczekiwanie zobaczyli mały statek; najwyraźniej mgła w pewnych miejscach różniła się gęstością. Czarownica niemal w ostatniej chwili skierowała się w górę, znikając z pola widzenia załodze statku, który spokojnie sunął w wilgotnym powietrzu. Fale poruszały się powoli i leniwie, jak gdyby woda nie miała ochoty się podnieść.

Czarownica i gąsior lecieli w pobliżu statku. Dajmon – rybołówka trzymał się blisko nich niczym dziecko matki i obserwował sternika, który pod wpływem sygnału mgłowego regulował kurs. Na dziobie paliło się światełko, ale z powodu mgły widoczność sięgała zaledwie kilku metrów.

–Czy niektóre czarownice jeszcze pomagają tamtym ludziom? – spytała Serafina Pekkala zagubionego dajmona.

–Tak mi się zdaje... Zostało kilka zdrajczyń z Wołgorska... Chyba że uciekły – odparł. – Co zamierzasz zrobić? Poszukasz mojej czarownicy?

–Tak. Zostań z Kaisą.

Zostawiwszy dajmony wysoko w górze, Serafina Pekkala poleciała w dół ku statkowi. Wylądowała na pokładzie, tuż za sternikiem. Jego dajmona w postaci mewy zaskrzeczała. Mężczyzna odwrócił się i spojrzał na czarownicę.

–Odpoczywasz sobie, co? – spytał. – Leć naprzód i wprowadź nas do portu.

Serafina ruszyła natychmiast. Udało się! Najwidoczniej ludziom pomagało jeszcze

kilka czarownic i sternik wziął ją za jedną z nich. Pamiętała, że oświetlony czerwonym światłem port znajduje się po lewej stronie. Czarownica oddaliła się niecałe sto metrów w mgłę, potem zawróciła i zawisała nad statkiem, skąd wykrzykiwała sternikowi polecenia. Łódź w żółwym tempie podpływała do drabinki wiszącej tuż ponad pasem zanurzenia. Sternik zawołał coś. Jakiś marynarz rzucił z góry linę, drugi pospieszył po trapie w dół, aby ją przymocować do łodzi.

Serafina Pekkala wleciała ku balustradzie statku i wycofała się w cień łodzi ratunkowych. Nie dostrzegła żadnych innych czarownic, pomyślała jednak, że zapewne patrolują niebo. Kaisa będzie wiedział, co robić.

Po drabince wspiął się nowy pasażer – okutany w futro, z kapturem na głowie. Kiedy dotarł na pokład, u jego boku pojawił się dajmon. Złota małpa. Rozhuśtała się lekko na balustradzie i obrzuciła wszystkich pełnym wściekłości spojrzeniem; w jej czarnych oczkach widać było jawną wrogość. Serafina wstrzymała oddech – osobą w futrze okazała się pani Coulter.

Ubrany na ciemno mężczyzna, prawdopodobnie duchowny, pospiesznie przeszedł na pokład, aby ją powitać, po czym rozejrzał się, jak gdyby spodziewał się jeszcze kogoś.

–Czy Lord Boreal... – zaczął.

–Udał się w inne miejsce – przerwała mu pani Coulter. – Zaczęto już tortury?

–Tak, droga pani – padła odpowiedź – ale...

–Kazałam wam czekać – warknęła. – Zamierzacie mi się sprzeciwić? Może trzeba by zwiększyć dyscyplinę na tym statku.

Odrzuciła ręką kaptur z głowy. W żółtym świetle królowa klanu czarownic wyraźnie dostrzegła twarz tamtej: dumną, zapalczywą i (zdaniem Serafiny) jakże młodą.

–Gdzie są inne czarownice? – zapytała.

–Wszystkie odleciały, pani – odparł mężczyzna z szalupy. – Uciekły do swojego kraju.

–Ależ widziałam, że jakaś czarownica wprowadziła statek do basenu portowego – powiedziała pani Coulter. – Gdzie się podziała?

Serafina skurczyła się w sobie; najwyraźniej sternik nie słyszał najnowszych wieści. Duchowny rozejrzał się, dezorientowany, ale pani Coulter była zbyt niecierpliwa, więc tylko pobieżnie rzuciła okiem na niebo i wzdłuż pokładu, po czym potrząsnęła głową i wraz ze swym dajmonem pospiesznie weszła do środka przez otwarte drzwi,

z których padała żółta smuga światła. Mężczyzna podążył za kobietą i małpą.

Serafina Pekkala rozejrzała się, by ocenić swoje położenie. Zaslaniał ją wentylator, stojący na wąskim obszarze pokładu między balustradą a środkową nadbudówką. Na tym samym poziomie, pod mostkiem i kominem znajdował się salon, którego okna (nie iluminatory, ale okna) wychodziły na trzy strony. Tam właśnie weszła pani Coulter i duchowny. Ostre światło wylewało się z okien salonu na słabo widoczną we mgle balustradę, maszt przedni i przykryty brezentem właz; wszystko było pokryte wilgocią i zaczynało zamarzać. Serafina pozostawała niewidoczna, gdyby jednak sama chciała zobaczyć więcej, musiałaby opuścić swoją kryjówkę.

Sytuacja nie wyglądała najgorzej. Dzięki sosnowej gałęzi, czarownica mogła w każdej chwili uciec, a nóż i łuk dawały jej możliwość obrony. Ukryła gałąź za wentylatorem i przebiegła po pokładzie do pierwszego okna. Było zaparowane i nic nie mogła przez nie dojrzeć. Nie słyszała też żadnych odgłosów ze środka. Wycofała się ponownie w cień, musiała bowiem podjąć pewną decyzję. Myślała o tym przedsięwzięciu z niechęcią, ponieważ było niezwykle ryzykowne i za każdym razem wyczerpywało jej siły, jednak w chwili obecnej nie miała wyboru. Używając pewnego rodzaju magii, mogła się uczynić niewidzialną. Prawdziwa „niewidzialność” była oczywiście niemożliwa, a magia wiązała się raczej z psychiką – dzięki wielkiemu skupieniu i skromności Serafina stawała się niemal niewidoczna dla ludzi. Gdy się odpowiednio skoncentrowała, potrafiła przejść niedostrzeżona zarówno przez zatłoczony pokój, jak i obok samotnego podróżnika.

Czarownica skupiła się całkowicie na tej jednej sprawie. Minęło kilka minut, zanim nabrała pewności, że osiągnęła odpowiedni stan umysłu. Sprawdziła swą „niewidzialność”, wychodząc naprzeciw marynarzowi, który szedł po pokładzie z torbą pełną narzędzi. Mężczyzna usunął się z drogi Serafinie, nawet na nią nie spojrzawszy.

Była zatem gotowa. Podeszła do drzwi jasno oświetlonego salonu i otworzyła je. Pomieszczenie było puste. Zostawiła drzwi uchylone, aby w razie potrzeby przez nie uciec, i weszła. Drzwi na drugim końcu pokoju otwierały się na schody, które prowadziły pod pokład statku. Serafina zeszła po nich i znalazła się w wąskim korytarzu oblepionym białą tapetą i oświetlonym anbarycznymi kasetonami. Korytarz ciągnął się przez całą długość kadłuba, po obu jego stronach znajdowały się liczne drzwi.

Czarownica szła cicho przed siebie. Nasłuchiwała, aż usłyszała głosy. Najwyraźniej w którejś sali odbywały się obrady.

Otworzyła drzwi i weszła.

Wokół wielkiego stołu siedziało kilkanaście osób. Niektóre z nich podniosły na

moment oczy, spojrzwały na Serafinę i natychmiast o niej zapomniały. Stała spokojnie przy drzwiach i obserwowała. Zebraniu przewodniczył starszy osobnik w kardynalskich szatach, pozostali mężczyźni również wyglądali na duchownych. W naradzie uczestniczyła tylko jedna kobieta – pani Coulter. Jej futro wisiało na oparciu krzesła. Policzki matki Lyry były zarumienione od panującego w pomieszczeniu ciepła.

Serafina Pekkala rozejrzała się uważnie i zobaczyła, że w sali znajduje się jeszcze jedna osoba. Mężczyzna o pociągłej twarzy z dajmoną w postaci żaby siedział przy drugim stoliku, który ugiął się pod ciężarem oprawnych w skórę ksiąg i luźnych stert poźółkłych papierów. W pierwszej chwili czarownica wzięła mężczyznę za pisarza lub sekretarza, później jednak dostrzegła, co robił: z uwagą przypatrywał się jakiemś złotemu przyrządowi o wyglądzie wielkiego zegara albo kompasu i mniej więcej co minutę notował swoje spostrzeżenia. Potem otwierał którąś z ksiąg, przeglądał indeks, szukał wzmianki na interesujący temat, zapisywał informację, po czym ponownie się przyglądał złotemu urządzeniu.

Serafina spojrzała jeszcze raz na osoby przy stole, ponieważ usłyszała słowo „czarownica”.

–Wie coś o dziecku – oznajmił z przekonaniem jeden z duchownych. – Przyznała się do tego. Wszystkie czarownice słyszały o tej małej.

–Zastanawiam się, co wie pani Coulter – mruknął kardynał. – Może powinna się pani z nami podzielić swoimi wiadomościami – dodał głośnie.

–Proszę mówić trochę jaśniej, Eminencjo – odparła lodowato zapytana. – Zapomina pan, że jestem tylko kobietą, a zatem nie mam przenikliwości charakterystycznej dla głowy Kościoła. Cóż to za wiadomości, które jakoby ukrywam?

Kardynał zrobił znaczącą minę, nic jednak nie odpowiedział. Po chwili ciszy kolejny duchowny odezwał się prawie przepaszającym tonem:

–Podobno istnieje jakieś proroctwo, droga pani. Dotyczy ono dziecka. Spełnione zostały liczne warunki, przede wszystkim, okoliczności jej narodzin... O dziewczynce coś wiedzą Cyganie. Gdy mówią o niej, wspominają o czarodziejskiej oliwie i błędnych ognikach bagiennych. Zjawiska nadnaturalne, sama pani rozumie. Podobno dzięki niezwykłym zdolnościom udało jej się zaprowadzić Cyganów do Bolvangaru. Oprócz tego jej zdumiewający wyczyn usunięcia lofura Raknisona z królewskiego tronu. To nie jest zwyczajne dziecko. Brat Pavel może nam chyba powiedzieć więcej na jej temat.

Mężczyzna spojrzął na szczupłego osobnika obserwującego osobliwy przyrząd. Brat Pavel zamrugał oczyma, przetarł je rękoma i popatrzył na panią Coulter.

–Poza urządzeniem, które dziecko ma w swoim posiadaniu, istnieje już tylko ten jeden aletheiometr – odezwał się. – Wszystkie inne zabrano i zniszczono z rozkazu Magistratury. Dowiedziałem się też, że dziewczynka otrzymała swój przyrząd od Rektora Kolegium Jordana. Sama nauczyła się rozumieć odpowiedzi przyrządu i potrafi używać go bez ksiąg interpretacyjnych. Aletheiometr z pewnością nie skłamał w tym względzie, choć trudno mi w tę kwestię uwierzyć... Nawet nie potrafię sobie tego wyobrazić... Moim zdaniem osiągnięcie jako takiego zrozumienia wskazań aletheiometru zajmuje dziesięciolecia pilnych studiów, a dziewczynka posiadała tę umiejętność po zaledwie kilku tygodniach. Teraz jest podobno absolutną mistrzynią. Przewyższa zatem mądrością wszystkich znanych mi uczonych!

–Gdzie jest teraz, bracie Pavle? – spytał kardynał.

–W innym świecie – odparł. – Spóźniliśmy się.

–Ta czarownica zna prawdę! – wtrącił któryś z mężczyzn. Jego dajmona w postaci piżmoszczura nieustannie ogryzała ołówek. – Wystarczy ją przesłuchać! Uważam, że trzeba ponownie poddać ją torturom!

–Jak brzmi to proroctwo? – spytała pani Coulter, której gniew rósł. – Jak śmiecie je ukrywać przede mną?

Widać było, że ma nad zebranymi władzę. Złota małpa obrzuciła wszystkich mężczyzn spojrzeniem pełnym nienawiści; żaden nie potrafił spojrzeć dajmonowi pani Coulter prosto w oczy. Jedynie kardynał nie odwrócił wzroku. Jego dajmona, ara, podniosła łapkę i podrapała się w łebek.

–Czarownica wspomniała o jakiejś nadzwyczajnej sprawie – wyjaśnił kardynał. – Nie ośmielę się powtórzyć jej dziwnych słów. Jeśli te informacje są prawdziwe, na nas, ludzi, spada straszliwa odpowiedzialność... Spytałem panią jednak ponownie: co pani wie o dziewczynce i jej ojcu?

Twarz kobiety zrobiła się kredowobiała z wściekłości.

–Jak śmiecie mnie przesłuchiwać? – prychnęła. – I jak śmiecie ukrywać informacje, które przekazała wam czarownica? I wreszcie, jak możecie przypuszczać, że zachowałam dla siebie jakieś wiadomości? Sądzicie, że jestem po jej stronie? A może wam się zdaje, że popieram jej ojca? Może zamierzacie mnie poddać torturom jak tę czarownicę? No cóż, pan tu rządzi, Eminencjo. Wystarczy, że da pan znak, a pańscy ludzie mnie zaatakują. Jednak choćby wymyślał pan przeróżne tortury, chcąc usłyszeć odpowiedź, nie otrzyma jej, ponieważ nie znam proroctwa i nie mam na ten temat żadnych informacji. Żądam, żeby mi pan powiedział, co sam wie. Niech pan nie zapomina, że chodzi o moje dziecko, wprowadzone w grzechu i zrodzone w hańbie, ale moje dziecko, a pan ukrywa przede mną wiadomości, które mam prawo

znać!

–Bardzo panią proszę – przemówił nerwowym głosem kolejny duchowny. – Proszę się uspokoić, pani Coulter. Czarownica nie powiedziała jeszcze wszystkiego. Dowiemy się od niej znacznie więcej. Kardynał Sturrock powiedział, że czarownica jedynie wspomniała o tej sprawie.

–Przypuśćmy, że nam nie zdradzi całej prawdy – zauważyła kobieta. – Co wtedy? Będziemy zgadywać? Przestraszymy się, wycofamy i zaczniemy domniemywać?

–Nie musimy – odparł brat Pavel – ponieważ przygotowuję się, aby zadać to pytanie aletheiometrowi. Otrzymamy odpowiedź: jeśli nie od czarownicy, to z ksiąg interpretacyjnych.

–Ale jak to długo potrwa?

Mężczyzna uniósł brwi ze znużeniem.

–Dość długo – odrzekł. – To ogromnie skomplikowane pytanie.

–Czarownica natomiast może nam powiedzieć od razu – podsumowała pani Coulter.

Wstała. Jak gdyby z lęku przed nią, większość mężczyzn również się podniosła; tylko kardynał i brat Pavel pozostali na swoich miejscach. Serafina Pekkala cofnęła się, z całych sił starając się pozostać niewidoczna. Złota małpa zgrzytała zębami, strosząc migoczące futro.

Pani Coulter posadziła swego dajmona na ramieniu.

–Więc chodźmy i porozmawiajmy z nią – zaproponowała.

Odwróciła się i wyszła na korytarz. Mężczyźni pospieszyli za nią, poszturchując się i przepychając obok czarownicy, która w ostatniej chwili uskakiwała. Myśli w jej głowie kłębiły się jak oszalałe. Ostatni wychodził kardynał.

Po ich wyjściu Serafina przez kilka sekund starała się uspokoić, ponieważ podniecenie niszczyło jej „niewidzialność”. Później ruszyła korytarzem w ślad za duchownymi. Weszła za nimi do mniejszego pokoju o nagich, białych ścianach; było tu gorąco. Mężczyźni i pani Coulter zebrali się już wokół postaci w środku – czarownica była mocno przywiązana do metalowego krzesła, na jej poszarzałej twarzy widać było ból nie do zniesienia, nogi miała połamane.

Pani Coulter stanęła nad uwięzioną. Serafina zajęła pozycję przy drzwiach, wiedziała bowiem, że w tych trudnych warunkach nie zdoła długo pozostać niewidoczna.

–Powiedz nam o dziecku, czarownico! – rozkazała pani Coulter.

–Nie!

–Będziesz cierpiała.

–I tak cierpię.

–Och, cierpienie może być większe. W kwestii tortur nasz Kościół posiada tysiącletnie doświadczenie. Możemy przeciągać twoje katusze w nieskończoność. Powiedz nam o dziecku – powtórzyła, po czym wyciągnęła rękę i rozległ się trzask kości – złamała czarownicy palec.

Czarownica krzyknęła z bólu. W tej samej sekundzie Serafina Pekkala stała się dla wszystkich widoczna. Kilku duchownych spojrzało na nią z zaskoczeniem i przerażeniem. Królowa klanu czarownic opanowała się i ponownie stała niewidzialna, a tortury trwały dalej.

–Jeśli nie odpowiesz – zagroziła pani Coulter – złamię ci następny palec, a potem jeszcze jeden. Co wiesz o dziecku? Powiedz mi.

–Dobrze, dobrze! Proszę, już dość!

–Odpowiadaj!

Dał się słyszeć kolejny przerażający trzask. Uwięziona czarownica szlochała. Serafina Pekkala ledwie nad sobą panowała.

–Nie, nie! – krzyczała torturowana. – Powiem! Błagam, już nie! Czarownice czekały na narodziny tej dziewczynki... Wiedziały o niej, zanim pani... Dowiedziały się jej imienia...

–Znamy jej imię. A jakie ty masz na myśli?

–Jej prawdziwe imię! Imię jej przeznaczenia!

–Jakie to imię? Powiedz mi! – nakazała pani Coulter.

–Nie... nie...

–Ale jak? Jak je poznałyście?

–Sprawdziłyśmy... W domu naszego konsula w Trollesundzie dziewczynce, która przybyła tam z Cyganami, udało się wybrać jedną gałązkę sosny obłocznej spośród wielu innych. Jest więc tym wybranym dzieckiem... Dzieckiem z niedźwiedziem...

Głos cierpiącej załamał się.

Pani Coulter wydała z siebie krótki okrzyk zniecierpliwienia, po czym dał się słyszeć kolejny głośny trzask, a po nim jęk bólu.

–Jak brzmi wasze proroctwo związane z tym dzieckiem? – kontynuowała pani Coulter. Mówiła ponurym, pełnym nienawiści głosem. – Wypowiedz imię związane z przeznaczeniem dziewczynki!

Serafina Pekkala zrobiła kilka kroków do przodu, w krąg mężczyzn zebranych ciasno dokoła czarownicy; żaden z duchownych nie wyczuł jej obecności. Serafina wiedziała, że musi jak najszybciej zakończyć cierpienia torturowanej, przytłaczało ją jednak ogromne zmęczenie spowodowane długotrwałym utrzymywaniem się w „stanie niewidzialności”. Drżała, wyjmując nóż zza pasa.

Uwięziona łkała.

–Mała jest wcieleniem kobiety, która żyła już wcześniej. Nienawidzicie jej i boicie się! Teraz przybyła powtórnie. Nie zdołaliście jej schwytać... Była na Svalbardzie... Była z Lordem Asrielem, a wy pozwoliliście jej uciec. Zniknęła i będzie...

Nie dokończyła, ponieważ coś jej przerwało.

Przez otwarte drzwi wleciała do pomieszczenia rybołówka, oszalały z przerażenia dajmon. Przez chwilę bił nierówno skrzydłami, potem upadł na podłogę, wreszcie z trudem się podniósł i rzucił do piersi torturowanej czarownicy; przytulał się do niej, poruszał łbem, cmokał, wydawał krzykliwe odgłosy, a wówczas udręczona czarownica zawołała:

–Yambe – Akka! Przyjdź po mnie! Przyjdź!

Nikt poza Serafiną Pekkala nie zrozumiał jej prośby. Yambe – Akka była boginią, która przychodziła do każdej czarownicy w chwili jej śmierci.

Serafina była gotowa. Natychmiast stała się widoczna i zrobiła kolejny krok do przodu. Wbrew sobie uśmiechała się beztrosko, ponieważ Yambe – Akka była boginką niefrasobliwą i wesołą, a jej wizyty nazywano darami radości. Cierpiąca czarownica dostrzegła Serafinę i odwróciła ku niej zalaną łzami twarz. Serafina pochyliła się, aby pocałować czarownicę, i delikatnie wsunęła jej w pierś nóż. Dajmon w postaci rybołówki podniósł na moment zamglone oczy, po czym zniknął.

Królowa klanu czarownic wiedziała, że teraz musi sobie wywalczyć drogę powrotną.

Wstrząśnięci i oszołomieni mężczyźni znieruchomieli, lecz pani Coulter zareagowała natychmiast.

–Aresztujcie ją! Nie pozwólcie jej uciec! – krzyczała, Serafina jednak była już przy drzwiach ze strzałą nałożoną na cięciwę. Podniosła łuk i wypuściła strzałę. Kardynał upadł; dusił się i kopał nogami podłogę.

Gdy Serafina znalazła się na korytarzu przy schodach, odwróciła się, nałożyła na cięciwę kolejną strzałę i wystrzeliła; następny mężczyzna upadł na podłogę. W tej samej chwili rozległ się głośny, drażniący dźwięk dzwonka.

Czarownica wbiegła po schodach na pokład. Dwóch marynarzy zagrodziło jej drogę, a wtedy krzyknęła:

–Szybko, na dół! Ktoś uwolnił więźniarkę! Musicie pomóc!

Jej słowa zaskoczyły ich, toteż stanęli niezdecydowani. Ta chwila wystarczyła Serafinie. Wymknęła się im i wzięła z kryjówki za wentylatorem sosnową gałąź.

–Strzelajcie do niej! – usłyszała za sobą krzyk pani Coulter.

Wypaliły trzy strzelby. Kule odbiły się od metalu i trafiły w mgłę, a tymczasem czarownica wskoczyła na gałąź i poszybowała w górę niczym strzała z jej łuku. W kilka sekund później znajdowała się już w gęstej mgłę, bezpieczna. Po pewnym czasie dołączył do niej wielki siwy gąsior.

–Dokąd lecimy? – spytał.

–Byle dalej stąd, Kaiso – odparła. – Jak najdalej od tych okrutnych ludzi.

Tak naprawdę, nie wiedziała, dokąd ma teraz lecieć i co zrobić. Ale jednego była pewna: któraś strzała z jej kołczanu musi trafić w gardło pani Coulter.

Czarownica i jej dajmon skierowali się na południe, z dala od niepokojącego migotania innego świata we mgłę. Podczas lotu Serafina zaczęła się zastanawiać, co robi Lord Asriel.

Pytanie to zrodziło się w jej umyśle, ponieważ zdarzenia, które zachwiały ich światem, zaczęły się od tajemniczych działań tego człowieka.

Zazwyczaj źródłem wiedzy Serafiny była natura. Potrafiła śledzić każde zwierzę, złowić każdą rybę, znaleźć najrzadsze jagody, umiała odczytać znaki we wnętrznościach zabitej kuny, odszyfrować mądrość z łusek okonia oraz interpretować przestrogi zawarte w pyłku krokusów; zwierzęta i rośliny były dziećmi natury i zawsze przekazywały czarownicy naturalne prawdy.

Po informacje na temat Lorda Asriela Serafina musiała się jednak udać gdzieś indziej – do portu Trollesund, gdzie urzędował konsul czarownic, doktor Lanselius,

który utrzymywał w ich imieniu kontakt ze światem ludzi. Postanowiła wypytać konsula, więc pospieszyła przez mgłę do jego siedziby. Przez jakiś czas krążyła ponad portem wśród zasłon mgły snujących się upiornie nad lodowatą wodą i obserwowała, jak pilot kieruje do basenu wielki statek z banderą jakiegoś afrykańskiego kraju. Przy wejściu do portu stało na kotwicach także sporo innych statków; Serafina nigdy nie widziała tak wielu naraz. Kiedy po krótkim dniu zapadł wieczór, czarownica poleciała do miasta i wylądowała w ogrodzie na tyłach domu konsula.

Zastukała w okno i doktor Lanselius otworzył jej drzwi, kładąc palec na ustach.

– Witam cię, Serafino Pekkala – odezwał się. – Wejdź szybko i lepiej nie zostawaj zbyt długo. – Wskazał jej fotel przy kominku, potem spojrzał przez firankę na ulicę i spytał: – Napijesz się wina?

Sącząc tokaj o złotej barwie, czarownica opowiedziała, co widziała i słyszała na pokładzie statku.

– Myślisz, że tamci zrozumieli jej słowa dotyczące dziecka? – spytał.

– Nie sądzę, żeby wszystko pojęli. Wiedzą jednak, że dziewczynka jest kimś ważnym. Obawiam się tej kobiety, doktorze Lanselius. Jestem pewna, że kiedyś ją zabiję, lecz i tak się jej obawiam.

– Wiem – odparł. – Ja również.

Serafina Pekkala wysłuchiwała konsula, który przekazał jej krążące po mieście pogłoski. Wśród ewidentnych plotek wyłowiła jednak kilka faktów.

– Ludzie mówią, że Magistratura zebrała największą w historii armię i przygotowuje ją do jakiegoś starcia. Pojawiły się niepokojące plotki o niektórych żołnierzach, pani. Dowiedziałem się o Bolvangarze... że odcinano tam dzieciom dajmony... To najpodlejsza tortura, o jakiej kiedykolwiek słyszałem. Podobno w armii istnieje pułk żołnierzy, których poddano temu samemu eksperymentowi. Znasz słowo „zombi”? Są nieustraszeni, ponieważ nie mają duszy. Kilku z nich przebywa w naszym mieście. Władze trzymają to w sekrecie, ale plotki łatwo się rozchodzą, przerażając naszych mieszkańców.

– Ma pan jakieś nowiny z innych klanów czarownic? – spytała. – Co u nich słychać?

– Większość wróciła do ojczyzny. Wszystkie czarownice ze strachem w sercach oczekują na to, co się zdarzy.

– A jakie wieści o Kościele?

–Duchowni są bardzo zakłopotani, ponieważ nie wiedzą, jakie zamiary ma Lord Asriel.

–Ja również ich nie znam – wtrąciła. – Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co ten człowiek planuje. A jakie jest pańskie zdanie na jego temat, doktorze?

Konsul delikatnie potarł kciukiem łebek swojej dajmony w postaci węża.

–To uczony – odparł po chwili – lecz erudycja nie jest jego prawdziwą pasją. Nie jest nią również polityka. Spotkałem go raz i wiem, że ma porywczą i gwałtowną naturę, nie jest jednak despotą. Nie sądzę, by jego celem była władza... No cóż, nie wiem, co myśleć. Przypuszczam, że nieco informacji na temat swego pana mógłby ci udzielić jego służący. Ma na imię Thorold. Więziono go wraz z Asrielem w domu na Svalbardzie. Może warto byłoby tam polecieć i z nim porozmawiać, jeśli nie uciekł do innego świata wraz z Lordem.

–Dziękuję panu. To dobry pomysł... Zrobię to. Od razu.

Serafina pożegnała się z konsulem i poleciała w gęstniejący mrok. W chmurach czekał na nią Kaisa.

Podróż czarownicy na północ utrudniał chaos, który zapanował na świecie. Wszystkich mieszkańców terenów arktycznych ogarnęła panika, podobnie tamtejsze zwierzęta. Przerażała ich nie tylko mgła i zakłócenia pola magnetycznego, lecz także niespotykane o tej porze roku pęknięcie lodu i ruchy ziemi. Niektórzy ludzie mawiali obrazowo, że wieczna zmarzlina powoli budzi się z długiego snu o własnym zamknięciu.

Wszędzie wokół panował straszliwy zgiełk. Nagle promienie tajemniczej jasności przebiły się przez szczeliny w kolumnach mgły, a potem równie szybko zniknęły. Stada wołów piżmowych popędziły na południe, potem skręciły na zachód lub zawróciły na północ. Pod wpływem zmian pola magnetycznego zwarte dotąd stada gęsi chaotycznie rozpraszały się w grupy, gęgając, leciały nierówno i niepewnie. Tymczasem Serafina Pekkala podążała ku północy na swojej gałęzi z sosny obłocznej, do domu na przylądku rozległego Svalbardu.

Tam znalazła służącego Lorda Asriela, Thorolda. Walczył z grupą kliwuchów.

Dostrzegła poruszenie, jeszcze zanim zbliżyła się na tyle, aby stwierdzić, co się dzieje. Skórzaste skrzydła wirowały szaleńczo w powietrzu, na zaśnieżonym dziedzińcu rozbrzmiewało wrogie „joui, joui”, a obrzydliwe stworzenia usiłowała odeprzeć jedna osoba ze strzelbą: okutany w futro mężczyzna. Dajmona Thorolda – wychudzona suka – warczała i kłapała zębami, ilekroć któryś z kliwuchów przelatował wystarczająco nisko.

Serafina nie знаła mężczyzny, kliwuchy jednak zawsze były jej wrogami, bez namysłu więc napięła łuk i wypuściła w grupę paskudnych stworzeń tuzin strzał. Wszyscy członkowie słabo zorganizowanego stada spojrzeli w kierunku nowego przeciwnika, ocenili jego siłę i ze strachem uciekli. W minutę później niebo znowu było czyste, a piski przerażonych kliwuchów powtarzało górskie echo. Wreszcie zapadła całkowita cisza.

Serafina skierowała się ku dziedzińcowi i wylądowała na udeptanym, poplamionym krwią śniegu. Mężczyzna odrzucił futro. Ciągle był ostrożny i nie wypuszczał z dłoni strzelby, ponieważ czarownice też czasami bywały wrogo nastawione do ludzi. Serafina miała przed sobą starszego, posiwiałego mężczyznę o wydłużonej szczęce i stanowczym spojrzeniu.

–Jestem przyjaciółką Lyry – przedstawiła się. – Chciałabym z panem porozmawiać. Proszę spojrzeć, odłożyłam łuk.

–Gdzie jest dziewczynka? – spytał.

–W innym świecie. Niepokoję się o jej bezpieczeństwo. Muszę się też dowiedzieć, co zamierza Lord Asriel.

Mężczyzna opuścił strzelbę.

–Proszę więc wejść do środka.

Po wymianie grzeczności weszli do domu; Kaisa wzleciał w niebo, by trzymać straż. Thorold zaparzył kawę, po czym Serafina opowiedziała mu o swoich kontaktach z Lyrą.

–Zawsze była dzieckiem samowolnym – powiedział, kiedy usiedli przy dębowym stole oświetlonym lampą naftową. – Widywałem ją mniej więcej raz do roku, kiedy Jego Lordowska Mość odwiedzał swoje kolegium. Lubiałem ją, jakże mogło być inaczej. Jednak niewiele o niej wiem.

–Jakie plany miał Lord Asriel?

–Nie sądzisz chyba, pani, że mi powiedział? Jestem tylko jego służącym. Czyszczę mu ubrania, gotuję posiłki i utrzymuję dom w czystości. Podczas lat spędzonych u Jego Lordowskiej Mości dowiedziałem się zaledwie kilku rzeczy, zawsze jednak przypadkowo. Nie zwierzał mi się częściej niż przedmiotom.

–Proszę mi w takim razie powiedzieć o tych paru faktach, o których dowiedział się pan przypadkiem – nalegała Serafina.

Thorold był starszym człowiekiem, ale jeszcze zdrowym i krzepkim, toteż jak

każdego mężczyznę mile polechtała go prośba młodej czarownicy o niezwyklej urodzie, choć zdawał sobie sprawę, że jego pięknej rozmówczyni nie interesuje on sam, lecz wiadomości, które ma. Zaczął mówić i nie przeciągał swojej opowieści dłużej, niż było trzeba.

–Nie potrafię dokładnie powiedzieć, czym się zajmuje mój pan – stwierdził – ponieważ wszelkie szczegóły filozoficzne i naukowe są dla mnie całkowicie niezrozumiałe. Wiem jednak, co kieruje Jego Lordowską Mością. Nie ma pojęcia, że się domyślam, wywnioskowałem to dzięki setkom małych znaków... Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale zdaje mi się, że czarownice wierzą w innych bogów niż my, ludzie, prawda?

–Tak, zgadza się.

–Pani słyszała jednak zapewne o naszym Bogu? O Bogu Kościoła, tym, którego nazywają Wszechmocnym?

–Tak.

–No cóż, Lordowi Asrielowi nigdy nie odpowiadała, że tak powiem, doktrynalność Kościoła. Widziałem, że ukrywał odrazę, gdy słyszał o sakramentach, pokucie, wybawieniu i tego typu kwestiach. Ludziom wydaje się, że nie sposób pokonać Kościoła, ale Lord Asriel, odkąd mu służę, zawsze zamyślał bunt. Wiem to na pewno!

–Chciał się zbuntować przeciwko Kościołowi?

–Tak, częściowo. Był czas, kiedy planował użyć przemocy, lecz porzucił ten pomysł.

–Dlaczego? Kościół okazał się zbyt silny?

–Nie – odparł stary służący – taki fakt nie powstrzymałby mojego pana. Może to zabrzmieć dziwnie, ale znam tego człowieka lepiej, niż mogłaby go poznać żona, lepiej, niż znała go matka. Służę mu od blisko czterdziestu lat i sporo o nim myślę. Nie potrafię nadażyć za jego lotnym umysłem, znam jednak wiele jego zamiarów i jestem przekonany, że odstąpił od buntu, ponieważ uważał Kościół za zbyt słabego, niegodnego swoich wysiłków przeciwnika.

–Co zatem postanowił?

–Wydaje mi się, że zaplanował wywołać wojnę w innym wymiarze. Prawdopodobnie chce zbuntować się przeciwko najwyższej władzy. Wyruszył szukać siedziby Wszechmocnego, którego pragnie zabić. Tak właśnie myślę. Nawet kiedy o tym mówię, serce mi drży, pani. Ledwie mam odwagę pomyśleć, co się może zdarzyć. Nie potrafię jednak w żaden inny sposób wytłumaczyć sensu działań mojego pana.

Serafina milczała przez kilka chwil, rozmyślając nad słowami służącego. Zanim zdążyła się odezwać, Thorold podjął opowieść:

–Oczywiście, ktoś, kto stawia sobie taki cel, naraża się na gniew Kościoła. Jest to największe z możliwych bluźnierstwo. Lord Asriel stawał już zresztą przed obliczem Sądu Konsystorskiego i został niemal natychmiast skazany przezeń na śmierć. Nigdy z nikim o tej sprawie nie rozmawiałem i nie zamierzam. Mówię o tym tylko dlatego, że jest pani czarownicą, pozostaje więc poza władzą naszego Kościoła. Myślę, że mój pan chce odnaleźć Wszechmocnego i zabić Go.

–Czy coś takiego jest w ogóle możliwe? – spytała Serafina.

–Życie Lorda Asriela zawsze wypełniały sprawy niemożliwe. Nie wiem, czy istnieje problem, z którym mój pan nie umie sobie poradzić. Jednak walka z Wszechmocnym wygląda mi na szaleństwo. Skoro anioły nie potrafiły pokonać Boga, jak śmiertelnik może choćby o tym marzyć?

–Anioły? Co to są anioły?

–Kościół nazywa je istotami zrodzonymi z czystego ducha. Zgodnie z naszą religią niektóre anioły jeszcze przed stworzeniem świata zbuntowały się, za co Bóg strącił je z niebios do piekła. Nie udało im się zatem pokonać Boga. A miały wielką anielską siłę. Cóż przy nich znaczy Lord Asriel! Jest tylko człowiekiem i dysponuje jedynie ludzkimi możliwościami, niczym więcej. Ambicję ma jednak ogromną, wręcz bezgraniczną. Odważa się robić rzeczy, o których większość mężczyzn i kobiet nawet nie ośmiela się myśleć. Zauważ, pani, co już osiągnął: rozdarł niebo i otworzył sobie drogę do innego świata. Któż inny potrafiłby tego dokonać? Komuż innemu zaświtałaby taka myśl w głowie? W mojej panuje chaos, pani. Z jednej strony nazywam mego pana szaleńcem, grzesznikiem i człowiekiem obłąkanym, z drugiej powtarzam sobie, że jest przecież Lordem Asrielem i różni się od innych ludzi. Może... Gdyby rzeczywiście istniała sposobność pokonania Boga, sądzę, że mógłby tego dokonać tylko mój pan, nikt inny.

–Jakie są twoje plany, Thoroldzie?

–Zostanę tutaj i poczekam. Będę strzegł tego domu, aż Lord Asriel wróci i wyznaczy mi inne zadania. Albo tu umrę... A co ty zamierzasz, pani?

–Muszę sprawdzić, czy dziewczynka jest bezpieczna – odrzekła czarownica. – Może będę musiała tu przybyć jeszcze raz, Thoroldzie. Cieszę się na myśl, że cię tu znajdę.

–Nie ruszę się stąd – potwierdził.

Odrzuciła jego propozycję wspólnego posiłku, pożegnała się i wyruszyła w drogę. Po mniej więcej minucie dołączyła do swojego gąsiora. Milczeli, szybując i kołując

ponad zamglonymi górami. Czarownica czuła wielki smutek. Nie musiała jego powodów wyjaśniać dajmonowi; wiedział, że każda kępka mchu, każda zamarznięta kałuża, każda najdrobniejsza nawet rzecz z jej ojczyzny wzywają do powrotu. Serafina drżała na myśl o swoim kraju, bała się o niego, a także o siebie, zdawała sobie bowiem sprawę z zagrożeń, jakie wywoływały kontakty ze światem ludzi. Bóg Lorda Asriela nie był jej bogiem i czarownica zastanawiała się, czy zagłębiając się w ludzkie sprawy, nie stanie się zwykłą kobietą, czy nie przestanie być czarownicą...

W każdym razie sama nie mogła działać.

–Lecimy do domu, Kaiso – powiedziała w końcu. – Musimy porozmawiać z siostrami. Te sprawy nas przerastają.

Przyspieszyli lot poprzez mętne kłębowiska mgły. Kierowali się ku Jezioru Enara.

W leśnych jaskiniach obok jeziora Serafina spotkała przedstawicielki swego klanu oraz Lee Scoresby'ego. Po wydarzeniach na Svalbardzie aeronauta musiał dokładnie obejrzeć balon, czarownice zabrały go więc do swej ojczyzny. Tu zaczął naprawiać uszkodzoną gondolę i czaszę.

–Bardzo się cieszę, że cię widzę, pani – odezwał się na widok Serafiny Pekkali. – Czy masz jakieś wiadomości o dziewczynce?

–Żadnych, panie Scoresby. Czy zechce pan dziś wieczorem wziąć udział w naszej naradzie i pomoże nam zdecydować, co powinniśmy zrobić?

Teksańczyk zamrugnął zaskoczony, ponieważ nigdy nie słyszał, aby jakiś człowiek uczestniczył w zebraniu czarownic.

–Będę wielce zaszczycony – odparł. – Przyznam się, że mam kilka sugestii.

Przez cały dzień nad jezioro przybywały czarownice, jak płatki czarnego śniegu na skrzydłach burzy, wypełniając niebo odgłosami trzepoczącego jedwabiu i świstem powietrza w igłach ich gałęzi z sosny obłocznej. Ludzie, którzy polowali w pobliskich lasach albo łowili ryby przy topniejących krach, słyszeli szepty dobiegające z zamglonego nieba; gdyby było klarowne, widzieliby na nim lecące czarownice, niczym cząstki ciemności unoszące się na niewidocznych falach.

Do wieczora sosny rosnące wokół jeziora oświetlono od dołu setką ogni, a przed jaskinią zgromadzeń rozpalono wielkie ognisko. Tam po posiłku zebrały się czarownice. Serafina Pekkala zasiadła pośrodku; jej jasne włosy zdobił wianek z małych purpurowych kwiatków. Po lewej stronie usiadł Lee Scoresby, a po prawej – gość: królowa klanu łotewskich czarownic, której imię brzmiało Ruta Skadi.

Przybyła zaledwie godzinę wcześniej, zaskakując Serafinę. Była równie piękna jak

pani Coulter, a ponadto miała tajemniczy, niezgłębiony i niedostępny ludzkim istotom czar. Mawiano o niej, że obcuje z duchami. Ruta była bystra i zapalczywa, miała wielkie czarne oczy. Podobno do jej kochanków należał także Lord Asriel. W uszach nosiła ciężkie kolczyki ze złota, a na czarnych lokach ozdobionych kłami śnieżnych tygrysów – koronę. Kaisa dowiedział się od jej dajmona, że łotewska królowa osobiście zabiła te tygrysy, pragnąc ukarać czczące je tatarskie plemię, ponieważ jego przedstawiciele nie oddali jej honorów, gdy odwiedzała ich terytorium. Bez tygrysih bogów Tatarzy odczuwali strach i melancholię i błagali Rutę, by pozwoliła im wielbić siebie zamiast zabitych zwierząt, czarownica jednak z pogardą odrzuciła ich prośbę. „Cóż dobrego może mi przynieść oddawana przez was cześć?”, spytała. A dla tygrysów i tak było już za późno. Taka była Ruta Skadi: piękna, dumna i bezlitosna.

Serafina nie знаła celu, dla którego Łotyszka zaszczyliła zebranie swą obecnością, zgotowała jednak królowej odpowiednie powitanie i zgodnie z etykietą posadziła ją po swojej prawej stronie.

Gdy wszyscy już się usadowili, Serafina Pekkala zaczęła mówić:

–Siostry! Wiecie, po co się zebrałyśmy: musimy postanowić, jak się zachować wobec nowych wydarzeń. Wszechświat stanął otworem. Lord Asriel wyznaczył drogę z tego świata do innego. Zastanówmy się, czy problem ten w ogóle nas dotyczy, czy też może – tak jak do tej pory – powinniśmy żyć własnym życiem, troszcząc się jedynie o swoje sprawy. Musimy też pomyśleć o dziewczynce nazwiskiem Lyra Belacqua, znanej obecnie pod nadanym jej przez króla Iorka Byrnisona imieniem Lyry Złotoustej. Pamiętacie? Wybrała właściwą gałązkę sosny obłocznej w domu doktora Lanseliusa, jest zatem tym dzieckiem, którego od tak dawna oczekiwaliśmy... Teraz zniknęła... Mamy dziś dwoje gości. Przedstawią nam swoje zdanie na temat aktualnej sytuacji. Jako pierwszej posłuchajmy królowej Ruty Skadi.

Łotyszka wstała. Jej białe ramiona połyskiwały w świetle ognia, a oczy tak lśniły, że nawet siedząca najdalej czarownica widziała, jak emocje igrają na jej pięknej twarzy.

–Siostry – przemówiła. – Pragnę wam wyjaśnić, co się dzieje wokół nas. Nadchodzi wojna. Nie mam pojęcia, kto stanie po naszej stronie, wiem jednak, z kim musimy walczyć. Naszym wrogiem jest Magistratura, czyli Kościół. W czasie swojego istnienia (które z naszej perspektywy nie jest długie, ale obejmuje wiele ludzkich pokoleń) Kościół starał się tłumić i kontrolować wszelkie naturalne impulsy. Gdy nie potrafił nad nimi zapanować, zakazywał ich. Niektóre z was widziały, czym zajmowali się jego wysłannicy w Bolvangarze. Przeróżające, prawda? Weźcie pod uwagę, że istnieje wiele takich miejsc i mnóstwo podobnych praktyk. Wy, siostry, znacie tylko północne tereny naszego świata, ja podróżowałam również po krainach południowych. Wierście mi, widziałam tam straszne rzeczy, na przykład stacje, w których także robią doświadczenia na dzieciach, tak jak ludzie w Bolvangarze. Nie

identyczne, ale równie okropne... Zarówno chłopcom, jak i dziewczynkom wycina się pod znieczuleniem organy płciowe. Tak właśnie postępuje Kościół, wszędzie jest taki sam – kontroluje, niszczy i usuwa wszystko, co w człowieku dobre. Jeśli zatem nadejdzie wojna, trzeba się opowiedzieć przeciwko tej instytucji, niezależnie od tego, jak dziwnych znajdzie sobie sojuszników. Proponuję połączyć nasze klany, wyruszyć na północ, przedostać się do sąsiedniego świata i zbadać go. Nie możemy znaleźć dziewczynki w naszym świecie, ponieważ wyruszyła za Lordem Asrielem, który zresztą stanowi klucz do całej sprawy. Był kiedyś moim kochankiem i chętnie stanę po jego stronie, ponieważ człowiek ten nienawidzi Kościoła i jego zatrważających okrucieństw. Tyle miałam wam do powiedzenia.

Ruta Skadi mówiła z pasją, podziwiana za energię i urodę. Kiedy usiadła, Serafina zwróciła się do Lee Scoresby'ego:

–Pan Scoresby jest przyjacielem dziewczynki, a zatem i naszym. Proszę nam powiedzieć, co pan myśli o całej sprawie.

Teksańczyk wstał. Roztropny i uprzejmy, zachowywał się w taki sposób, jak gdyby nie zdawał sobie sprawy z niezwykłości sytuacji, w której się znalazł. Jego dajmona – zajęczyca Hester – przycupnęła blisko niego, płasko położyła uszy i przymknęła złote oczy.

–Pani – odezwał się Lee. – Najpierw muszę podziękować wam wszystkim za życzliwość i pomoc, jaką okazałyście zwykłemu aeronaucie sponiewieranemu przez wiatry nie z tego świata. Nie zamierzam zabierać wam czasu, powiem więc krótko. Kiedy wraz z Cyganami podróżowałem na północ, do Bolvangaru, dziewczynka imieniem Lyra opowiedziała mi o czymś, co miało miejsce w jej kolegium w Oksfordzie. Lord Asriel pokazał mianowicie uczonym odciętą głowę należącą jakoby do mężczyzny nazwiskiem Stanislaus Grumman i w ten sposób przekonał ich, aby dali pieniądze, dzięki którym ojciec Lyry mógłby się wyprawić na północ i sprawdzić, co zaszło. Dziewczynka była tak pewna tego, co widziała, że nie chciałem kwestionować jej słów, wywołały one jednak we mnie pewne wspomnienie, którego wówczas nie zdołałem sobie przypomnieć wyraźnie. Pamiętałem jedynie, że coś wiem o doktorze Grummanie. Dopiero podczas lotu ze Svalbardu tutaj uświadomiłem sobie, o co chodziło. Kiedyś stary myśliwy z Tunguska powiedział mi, że Grumman zna miejsce, w którym znajduje się pewien obiekt, zapewniający swojemu właścicielowi absolutną ochronę. Nie chcę umniejszać waszej magii, jednak ten przedmiot – czymkolwiek jest – ma w sobie ponoć większą moc niż wszystko, o czym słyszałem. Pomyślałem więc sobie, żeby odroczyć na pewien czas termin przejścia na emeryturę i poszukać doktora Grummana, który moim zdaniem nadal żyje. Sądzę bowiem, że Lord Asriel oszukał uczonych, by zdobyć fundusze. Zamierzam się zatem udać do Nowej Zemli, gdzie po raz ostatni widziano doktora żywego.

Nie potrafię przewidywać przyszłości, lecz wystarczająco klarownie widzę

teraźniejszość. Jestem po waszej stronie w tej wojnie, nie będę szczędził kul, na początek jednak wyznaczyłem sobie, pani, to zadanie – zakończył, zwracając się do Serafiny. – Pragnę odszukać Stanislausa Grummana, wypytać go o interesujący mnie przedmiot, potem go odnaleźć i wręczyć Lyrze.

–Jest pan żonaty, panie Scoresby? – spytała królowa klanu czarownic. – Ma pan dzieci?

–Nie, nie mam, chociaż znajduję w sobie ojcowskie uczucia. Rozumiem twoje pytanie, pani. Masz rację: dziewczynka nie miała szczęścia, prawdziwi rodzice ją zawiedli. Chciałbym jej wynagrodzić rzeczywisty brak rodziny. Ktoś powinien się tego podjąć. Jestem gotów.

–Dziękuję, panie Scoresby – powiedziała Serafina, po czym zdjęła wianek i wyrwała z niego jeden mały purpurowy kwiatek; wszystkie one wyglądały tak świeżo, jak gdyby dopiero przed chwilą zerwano je na łące.

–Proszę go wziąć ze sobą – oświadczyła czarownica. – Jeśli będzie pan potrzebował mojej pomocy, proszę ścisnąć go w rękę i przywołać mnie. Usłyszę, gdziekolwiek pan będzie.

–Och, dziękuję ci, pani – powiedział zaskoczony Lee. Wziął kwiatek i ostrożnie wsunął go do kieszonki na piersi.

–Polecimy wiatrowi, aby pomógł ci dotrzeć do Nowej Zembli – dodała Serafina Pekkala, po czym zwróciła się do pozostałych czarownic: – Siostry, która chciałaby teraz zabrać głos?

Zaczęła się właściwa narada. Na zebraniach czarownice zawsze postępowały w sposób demokratyczny, toteż każda z nich, nawet najmłodsza, miała prawo przemówić. Ostateczne decyzje należały do królowej. Dyskusja trwała całą noc. Wiele zapalczywych czarownic opowiadało się za natychmiastową otwartą wojną, niektóre zalecały ostrożność, a kilka najmądrzejszych proponowało wysłać misje do innych klanów, aby zachęcić je do pierwszego w historii zjednoczenia całego narodu czarownic.

Ruta Skadi zgodziła się z tą ostatnią sugestią. Serafina natychmiast rozesłała posłańców, a potem wybrała dwadzieścia najlepszych wojowniczek i rozkazała im przygotować się na wyprawę. Miały wraz z Serafiną polecieć na północ, do otwartego przez Lorda Asriela innego świata i poszukać w nim Lyry.

–A ty, królowo Ruto Skadi? – spytała na koniec Serafina. – Jakie masz plany?

–Zamierzam odnaleźć Lorda Asriela i dowiedzieć się, co zamierza. A ponieważ on również udał się na północ, chciałabym pierwszy etap podróży odbyć z tobą, siostrze.

–Bardzo się z tego cieszę – powiedziała Serafina, zadowolona z towarzystwa łotewskiej królowej.

Na tym skończyła się narada, jednak gdy jej uczestniczki się rozeszły, przyszła do Serafiny pewna starsza czarownica.

–Królowo, lepiej posłuchaj tego, co ma do powiedzenia Juta Kamainen – zasugerowała. – To zawzięta osóbką, ale jej informacje są chyba ważne.

Znana z uporu młoda czarownica, Juta Kamainen – młoda jak na przeciętny wiek czarownic, liczyła sobie bowiem zaledwie nieco powyżej stu lat – była w chwili obecnej dziwnie zakłopotana. Jej dajmon w postaci rudzika skakał w podnieceniu od ramienia do ręki, wlatywał wysoko ponad głowę swej pani, po czym znowu na moment przysiadł na ramieniu. Policzki czarownicy były pulchne i czerwone; mówiono, że ma zapalczą naturę, lecz Serafina nie знаła jej zbyt dobrze.

–Królowo – odezwała się młoda czarownica, ponieważ nie potrafiła milczeć pod spojrzeniem Serafiny – dobrze znam mężczyznę nazwiskiem Stanislaus Grumman. Kiedyś go kochałam, lecz teraz nienawidzę tak bardzo, że gdybym go zobaczyła, od razu zabiłabym! Nie chciałam ci nic mówić, ale kazała mi powiedzieć moja siostra.

Popatrzyła z wściekłością na starszą czarownicę, która oddała jej pełne współczucia spojrzenie, wiele bowiem wiedziała o miłości.

–No cóż – odparła Serafina – jeśli ten człowiek nadal żyje, musi żyć, póki pan Scoresby go nie odnajdzie! Rozkazuję ci lecieć z nami do nowego świata, aby oddalić pokusę. Zapomnij o nim, Juto Kamainen. Miłość niesie ze sobą cierpienie, nasze zadanie jest jednak ważniejsze niż zemsta. Zapamiętaj moje słowa.

–Tak, królowo – rzekła pokornie młoda czarownica.

Serafina Pekkala, jej dwadzieścia jeden towarzyszek i królowa Ruta Skadi z Łotwy zaczęły się szykować do lotu. Ich celem było miejsce, którego nigdy przedtem nie widziała żadna czarownica.

DZIECIĘCY ŚWIAT

Lyra obudziła się wcześniej.

Miała straszny sen: otrzymała próżniowy pojemnik, ten sam, który kiedyś jej ojciec pokazywał Rektorowi i Uczonym Kolegium Jordana. Wtedy Lyra ukrywała się w szafie i widziała, jak Lord Asriel otwiera pojemnik, aby pokazać odciętą głowę Stanislausa Grummana, zaginionego badacza, jednak teraz, w swoim śnie dziewczynka musiała otworzyć pojemnik sama i bardzo się tego obawiała. Ściśle rzecz biorąc, była przerażona, choć wiedziała, że musi to zrobić. Czuła, jak ręce słabną jej ze zdenerwowania. Odkręciła pokrywę i usłyszała szum powietrza wdzierającego się do komory. Potem podniosła pokrywę, prawie się dusząc ze strachu. W środku nie było nic. Głowa zniknęła. Lyra nie miała się czego bać.

Zapłakana i spocona obudziła się w niewielkiej, ciepłej sypialni, której rozświetlone księżycową poświatą okna wychodziły na port. Dziewczynka leżała w obcym łóżku i ścisnęła w rękach poduszkę. Pantalaimon w postaci gronostaja pochylał nad nią pyszczek i wydawał uspokajające odgłosy. Była naprawdę przerażona. Nagle wydało jej się dziwne, że kiedyś rzeczywiście pragnęła zobaczyć odciętą głowę Stanislausa Grummana i wręcz błagała Lorda Asriela, aby otworzył pojemnik i pozwolił jej zajrzeć do środka. We śnie była przecież taka przerażona...

Rano spytała aletheiometr, co oznaczał jej sen, ale urządzenie odpowiedziało jedynie: „To był sen o głowie”.

Lyra zastanawiała się, czy nie obudzić chłopca, był jednak pogrążony w tak głębokim śnie, że zrezygnowała. Zeszła więc do kuchni i próbowała usmażyć omlet, a w dwadzieścia minut później usiadła przy stole stojącym na chodniku i z wielką dumą jadła szernią, ziarnistą papkę, podczas gdy Pantalaimon jako wróbel dziobał kawałki skorupki.

Nagle dziewczynka usłyszała za sobą jakiś dźwięk i dostrzegła zaspanego Willa.

–Zobacz, potrafię zrobić omlet – powiedziała. – Zrobię ci, jeśli chcesz.

Popatrzył na jej talerz i odparł:

–Nie, dziękuję, raczej zjem płatki. Zdaje się, że w lodówce jest trochę mleka. Mieszkańcy tego miasta z pewnością nie odeszli zbyt daleko, skoro mleko nie skwaśniało.

Lyra obserwowała chłopca, który wsypał do miseczki płatki kukurydziane i zalał je mlekiem. Nigdy czegoś takiego nie widziała.

Will wyniósł miseczkę na dwór i spytał:

–Gdzie znajduje się świat, z którego pochodzisz? I jak się tutaj dostałaś?

–Przez most. Mój ojciec go zbudował, a ja... przeszłam za nim na drugą stronę. Jednak zniknął mi z oczu, nie wiem, dokąd poszedł. Zresztą, wcale mnie to nie obchodzi. Szłam w strasznie gęstej mgle, no i ojciec nagle zniknął. Błądziłam przez kilka dni, jedząc tylko jagody i różne znalezione paskudztwa, aż któregoś dnia mgła opadła i znaleźliśmy się z Pantalaimonem na tym klifie, tam... – Wskazała za siebie. Will spojrział wzdłuż brzegu, obok latarni i zobaczył, że wybrzeże wznosi się klifem, który w oddali znikał we mgle.

–Zobaczyliśmy to miasto i zeszliśmy. Nie spotkaliśmy wprawdzie nikogo, ale przynajmniej było tu trochę jedzenia i łóżka do spania. Nie mieliśmy pojęcia, co dalej robić.

–Jesteś pewna, że nie jest to część twojego świata?

–No coś ty! To nie jest mój świat. Wiem to na pewno.

Will pokiwał głową, przypomniał sobie bowiem, jak patrzył przez okienko w powietrzu na trawnik po drugiej stronie. Miał wówczas absolutną pewność, że spogląda na inny świat.

–Istnieją zatem co najmniej trzy połączone ze sobą światy – stwierdził.

–Ależ są ich całe miliony! – krzyknęła Lyra. – Powiedział mi to pewien dajmon, a dokładnie mówiąc, dajmon czarownicy. Nikt nie jest w stanie zliczyć tych światów. Wszystkie istnieją w tej samej przestrzeni, lecz zanim mój ojciec zbudował most, nie można się było między nimi przemieszczać.

–A co z okienkiem, które znalazłem?

–Nic o nim nie wiem. Może światy zaczynają się ze sobą mieszać.

–Po co szukasz jakiegoś pyłu?

Popatrzyła na niego chłodno.

–Może kiedyś ci powiem – odparła.

–W porządku. A jak zamierzasz go znaleźć?

–Odszukam uczonego, który mi o nim opowie.

–Co ty mówisz? Byle jakiego uczonego?

–Nie. Teologa eksperymentalnego – odparła. – W moim Oksfordzie oni właśnie się znali na Pyle. Przypuszczam, że tak samo będzie w twoim Oksfordzie. Pójdę najpierw do Kolegium Jordana, ponieważ jest tam najlepszy wydział.

–Nigdy nie słyszałem o teologii eksperymentalnej – zauważył chłopiec.

–Dziedzina ta zajmuje się cząstkami elementarnymi i podstawowymi siłami – wyjaśniła. – Anbaromagnetyzmem i podobnymi sprawami. Atomami.

–Czekaj, czekaj, o jakim magnetyzmie mówisz?

–O anbaromagnetyzmie. Anbaryczne są... O, te światła – dorzuciła, wskazując w górę na dekoracyjne latarnie uliczne – są właśnie anbaryczne.

–My je nazywamy elektrycznymi.

–Elektryczny? To chyba pochodzi od *elektrum*, takiego kamienia czy też klejnotu, powstałego z żywicy drzew. Czasami jest w nim owad.

–Masz na myśli bursztyn, czyli *amber* - stwierdził i równocześnie powiedzieli:

–Anbarycz...

Każde z nich zobaczyło zaskoczoną minę rozmówcy. Will pamiętał tę chwilę jeszcze długi czas później.

–No cóż, jeśli chodzi o elektromagnetyzm – kontynuował chłopiec po chwili, patrząc w bok – wiąże się on z dziedziną, którą nazywamy fizyką. To pewnie będzie nasz odpowiednik waszej teologii eksperymentalnej. Musisz poszukać naukowców, nie teologów.

–Aha – przytaknęła ostrożnie. – Och, znajdę ich.

Był jasny, bezchmurny poranek, cichy port połyskiwał od promieni słońca. Dzieci siedziały w milczeniu, choć każde z nich pragnęło zadać drugiemu wiele pytań. Nagle usłyszały czyjś głos. Dochodził z ogrodów kasyna. Spojrzeli w tamtą stronę przestraszeni. Głos należał do dziecka, nikogo jednak wokół siebie nie dostrzegli.

–Mówiłaś, że jak długo tu jesteś? – Will spytał cicho Lyrę.

–Trzy, może cztery dni, straciłam rachubę. Ani razu nikogo nie widziałam, chociaż zaglądałam prawie wszędzie. Tu nikogo nie ma.

Myliła się, ponieważ z prowadzącej do portu ulicy wyłoniło się dwoje dzieci. Dziewczynka była w wieku Lyry, chłopiec nieco młodszy, oboje rudowłosi. W rękach nieśli koszyki. Znajdowali się w odległości mniej więcej stu metrów, gdy dostrzegli

Willa i Lyra siedzących przy kawiarnianym stoliku.

Pantalaimon zmienił się ze szczygła w mysz, wbiegł po ramieniu swej właścicielki i schował się w kieszeni jej bluzki. Zauważył bowiem, że te dzieci przypominają raczej Willa niż Lyra – żadne z nich nie miało widocznego dajmona.

Obce dzieci podeszły i usiadły przy sąsiednim stoliku.

–Jesteście z Ci'gazze? – spytała dziewczynka. Will potrząsnął głową.

–Z Sant'Elia?

–Nie – odrzekła Lyra. – Jesteśmy z innego miejsca.

Dziewczynka pokiwała głową, uznając tę odpowiedź za sensowną.

–Co się tu dzieje? – spytał Will. – Gdzie są dorośli? Oczy dziewczynki zwężyły się.

–Upiory nie odwiedziły jeszcze waszego miasta? – spytała.

–Nie – odparł Will. – Dopiero co tutaj dotarliśmy. Nic nie wiemy o upiorach. Jak się nazywa to miasto?

–Ci'gazze – powiedziała podejrzliwie dziewczynka. – Dokładnie mówiąc, Cittagazze.

–Cittagazze – powtórzyła Lyra. – Ci'gazze. Dlaczego dorośli odeszli?

–Z powodu upiorów – wyjaśniła dziewczynka znużonym, pogardliwym tonem. – Jak się nazywacie?

–Ja jestem Lyra. A to Will. A wy?

–Angelica. Mój brat ma na imię Paolo.

–Skąd idziecie?

–Ze wzgórz. Była gęsta mgła i wielka burza. Wszyscy się przeraziliśmy i uciekliśmy na wzgórze. Potem, kiedy mgła opadła, dorośli zobaczyli przez teleskopy, że miasto jest pełne upiorów, więc nie mogli wrócić. Ale my, dzieci, nie boimy się upiorów. Schodzi tu nas coraz więcej. Inni przyjdą później, my jesteśmy pierwsi.

–My i Tullio – dodał z dumą mały Paolo.

–Kim jest Tullio?

Angelica wyglądała na niezadowoloną, widocznie Paolo nie powinien był wspominać

o Tulliu; teraz jednak sekret się wydał.

–Nasz starszy brat – bąknęła. – Nie ma go z nami. Ukrywa się, ponieważ nie może...
Po prostu się ukrywa.

–Tullio zamierza zdobyć... – zaczął Paolo, lecz Angelica wymierzyła mu siarczysty policzek i chłopiec natychmiast zamknął usta, zaciskając drżące wargi.

–Co mówiłaś o tym mieście? – spytał Will. – Że jest pełne upiorów?

–Tak, Ci'gazze, Sant'Elia i wszystkie inne miasta, upiory pojawiają się tam, gdzie są ludzie. Skąd ty jesteś?

–Z Winchesteru – odparł Will.

–Nigdy nie słyszałam takiej nazwy. Nie ma tam upiorów?

–Nie. A i tu nie potrafię żadnego dostrzec.

–Jasne, że nie! – prychnęła. – Nie jesteś dorosły! Dopiero gdy dorośniemy, zobaczymy upiory.

–A ja się nie boję upiorów – zaszczebiotał mały Paolo, wysuwając do przodu brudny podbródek. – Pozabijam paskudy.

–Nikt z dorosłych w ogóle nie ma zamiaru wracać? – spytała Lyra.

–No, może za kilka dni – odrzekła Angelica. – Kiedy upiory przeniosą się w inne miejsce. Lubimy, jak przychodzą, ponieważ możemy wtedy biegać po mieście i robić, co chcemy.

–Ale czego się obawiają dorośli? Co mogą im zrobić te upiory? – spytał Will.

–No cóż, kiedy upiór złapie jakiegoś dorosłego, aż przykro patrzeć. Wyjada z niego życie... Nie chcę być dorosła... Z początku ofiara wie, co się z nią dzieje, boi się, krzyczy, płacze, unika spojrzenia upiora i udaje, że wszystko jest w porządku. A w chwilę potem jest już za późno. Nikt nie może takiemu człowiekowi pomóc. Blednie i przestaje krzyczeć. Nadal żyje, ale nie rusza się. W oczach ma tylko pustkę.

Dziewczynka odwróciła się do brata i wytarła mu nos rękawem jego koszulki.

–Ja i Paolo zamierzamy poszukać lodów. – Zmieniła temat. – Chcecie pójść z nami?

–Nie – odparł Will – mamy coś innego do roboty.

–W takim razie do widzenia – powiedziała, a Paolo dodał:

–Zabić upiory!

–Do widzenia – odrzekła Lyra.

Natychmiast gdy Angelica i jej mały brat zniknęli, z kieszeni Lyry wysunął się Pantalaimon. Sierść na jego mysim łebku była zmierzwiona, a spojrzenie – dzikie.

–Nie wiedzą o oknie, które znalazłeś – powiedział do Willa.

Will po raz pierwszy usłyszał jego głos i fakt ten przeraził go bardziej niż wszystko, co widział do tej pory. Lyra roześmiała się, widząc jego przestraszoną twarz.

–Ależ... on mówi... Dajmony umieją mówić? – spytał Will.

–Oczywiście, że tak! – odparła Lyra. – Sądziłeś, że to tylko maskotka?

Will potarł włosy i zmrużył oczy. Potem potrząsnął głową.

–Nie – odrzekł, po czym zwrócił się do Pantalaimona: – Chyba masz rację. Nie wiedzą o nim.

–Musimy zachować ostrożność, gdy będziemy przez nie przechodzić – powiedział dajmon dziewczynki.

Tylko przez moment dialog z myszą wydawał się Willowi dziwny, później wytłumaczył sobie, że to rodzaj rozmowy telefonicznej, ponieważ w rzeczywistości chłopiec mówił przecież do Lyry. Mysz była wprawdzie odrębną istotą o własnych indywidualnych cechach, ale w jakiś sposób przypominała Lyrę. Tych dwoje bez wątpienia stanowiło jedną całość. Will starał się zebrać myśli.

–Zanim wejdiesz do mojego Oksfordu – odezwał się delikatnie do dziewczynki – musisz znaleźć inne ubranie.

–Dlaczego? – zaperzyła się.

–Tak wyglądając, nie możesz wejść do mojego świata i rozmawiać z ludźmi. Nie pozwoliliby ci się do siebie zbliżyć. Musisz się do nas dopasować. Trzeba się maskować, rozumiesz? Uwierz mi, wiem, co mówię, postępuję w ten sposób od wielu lat. Lepiej więc mnie posłuchaj, w przeciwnym razie zostaniesz schwytana, a jeśli dowiedzą się, skąd pochodzisz, jeśli opowiesz im o okienku i o wszystkich innych sprawach... No cóż, będę szczery, ten świat stanowi całkiem niezłą kryjówkę... Widzisz, jestem... Po prostu muszę się ukrywać przed pewnymi osobami. Lepszej kryjówki niż to miasto nie mógłbym sobie nawet wymarzyć, nie chcę zatem, aby odkryto naszą tajemnicę. Gdy będziesz wyglądała obco i dziwnie, zdradzisz nas. Mam własne sprawy w Oksfordzie. Jeśli mnie wydasz, zabiję cię.

Lyra przełknęła ślinę. Aletheiometr nigdy nie kłamał, ten chłopiec był mordercą, a skoro zabił już przedtem, może zabić także ją. Pokiwała głową z powagą i przyznała Willowi rację.

–W porządku – rzuciła.

Pantalaimon zmienił się teraz w lemura i z niepokojem przyglądał się chłopcu ogromnymi oczyma. Will wytrzymał to spojrzenie. Dajmon ponownie przybrał postać myszy i wślizgnął się do kieszeni swej właścicielki.

–No dobrze – powiedział chłopiec. – Podczas pobytu tutaj powinniśmy udawać przed tymi dziećmi, że przybyliśmy z jakiegoś miejsca w ich świecie. Pomoże nam fakt, że nie ma tu żadnych dorosłych. Możemy swobodnie chodzić po mieście i nikt nie będzie nas o nic wypytywał. W moim świecie natomiast musisz robić to, co ci powiem. Przede wszystkim, umyj się. Brudna od razu wzbudzi zainteresowanie. Będziemy się maskować, obojętnie dokąd pójdziemy. Musimy wyglądać tak, żeby ludzie nie zwracali na nas uwagi. Zaczynaj od umycia ciała i włosów. W łazience znajdziesz szampon. Potem poszukamy innego ubrania.

–Nie wiem jak – bąknęła. – Nigdy nie myłam sobie włosów. W Jordanie robiła to gospodyni, a później nigdy tego nie potrzebowałam.

–No cóż, będziesz się musiała nauczyć – odparł. – Umyj się cała. W moim świecie ludzie są czysti.

–Hm – mruknęła Lyra i poszła na górę. W pewnej chwili obróciła głowę i przez ramię posłała Willowi wściekłe spojrzenie, napotkała jednak zimne oczy chłopca i dała za wygraną.

Will miał wielką ochotę spędzić ten słoneczny, spokojny poranek na wędrownie po mieście, jednak niepokoił się o matkę, a w dodatku ilekroć przypominał sobie, że zabił człowieka, nie mógł otrząsnąć się z szoku. Wiedział też, że czeka go zadanie. Musiał je wykonać. Starał się czymś zająć, czekając na Lyrę, posprzątał więc kuchnię, umył podłogę i wyrzucił śmieci do kosza stojącego w alejce przed kafeterią.

Potem wyjął z siatki zieloną skórzaną teczkę i popatrzył na nią tęsknym wzrokiem. Natychmiast gdy pokaże Lyrze przejście prowadzące do Oksfordu, wróci i sprawdzi, co jest w teczce. Na razie wsunął ją pod materac łóżka, w którym spał. W tym świecie papiery były bezpieczne.

Kiedy Lyra zeszła, czysta i mokra, poszli poszukać dla niej ubrania. Znaleźli dom towarowy, równie opustoszały jak wszystkie inne sklepy. Ubrania wydały się chłopcu trochę niemodne, w końcu jednak znaleźli dla Lyry kraciastą spódniczkę i zieloną bluzkę bez rękawów, z kieszenią dla Pantalaimona. Dziewczynka nie zgodziła się włożyć dżinsów, nie uwierzyła Willowi, gdy powiedział, że w jego świecie nosi je

większość dziewcząt.

–To są spodnie – oznajmiła. – A ja jestem dziewczyną. Nie wygłupiaj się.

Will wzruszył ramionami. Kraciasta spódniczka nie rzucała się w oczy, a to było najważniejsze. Zanim wyszli, chłopiec włożył do kasy na kontuarze kilka monet.

–Co robisz? – spytała Lyra.

–Płacę. Trzeba płacić za to, co się zabiera. W twoim świecie się nie płaci?

–To w tym świecie się nie płaci! Założę się, że tamte dzieciaki w ogóle nie mają pieniędzy.

–Może i tak, ja jednak płacę.

–Jeśli zaczniesz się zachowywać jak dorośli, dopadną cię upiory – oświadczyła, chociaż nie była pewna, czy może żartować w towarzystwie Willa. Może raczej powinna się obawiać tego dziwnego chłopca?

W świetle dziennym Will zauważył, że budynki w centrum miasta są bardzo stare, niektóre wręcz zrujnowane. Szyby były potrzaskane, ze ścian odpadał tynk; od dawna najwyraźniej nie łątano również dziur w nawierzchni ulic. Kiedyś to miasto z pewnością było piękne; jeszcze dziś przez rzeźbione bramy można było dostrzec ślady dawnej świetności – wypełnione zielenią przestronne dziedzińce i wspaniałe pałace, jednak schody były popękane, a na wpół oderwane framugi zwisały ze ścian. Will odniósł wrażenie, że mieszkańcy Ci'gazze zamiast zburzyć budynek i zbudować na jego miejscu nowy woleli bez końca naprawiać i odnawiać ruiny.

W pewnej chwili dzieci doszły do samotnej wieży na niewielkim placu. Była chyba najstarszym budynkiem w mieście. Wysoka na cztery piętra, wieża z blankami w jaskrawym słońcu wydawała się dziwnie martwa, a jednocześnie intrygowała; zarówno Willa, jak i Lyrę coś przyciągało w stronę na wpół otwartych drzwi, do których prowadziły szerokie stopnie. Dzieci niechętnie i bez słowa minęły wieżę i podążyły dalej.

Kiedy dotarły do rozległego bulwaru z drzewami palmowymi, Will kazał Lyrze odszukać małą narożną kafeterię, przed którą na chodniku stały pomalowane na zielono metalowe stoliki. Dziewczynka w ciągu minuty znalazła lokal. Za dnia wyglądał na mniejszy i bardziej zniszczony, lecz chłopiec rozpoznał ocynkowany bar, ekspres do kawy oraz talerz z niedojedzonym risottem, które już zaczynało śmierdzieć.

–To tutaj? – spytała.

–Nie. Okienko znajduje się pośrodku alei. Sprawdź, czy nie ma w pobliżu żadnych dzieci...

Na szczęście byli sami. Will zaprowadził Lyrę w odpowiednie miejsce pod palmami i rozejrzał się wokół.

–Było chyba gdzieś tutaj – mruknął. – Kiedy przeszedłem, zobaczyłem to duże wzgórze za białym domem, potem spojrzałem w tamtą stronę i zauważyłem kafeterię, a...

–Jak ono wygląda? Nic nie widzę.

–Z niczym go nie pomylisz. Nie przypomina niczego, co kiedykolwiek widziałem.

Will rozglądał się z uwagą. Czyżby okienko zniknęło? A może ktoś je zamknął? Nie mógł niczego dostrzec.

Aż nagle je zobaczył. Obszedł je, przyglądając się. Było równie niewidoczne wczoraj wieczorem, gdy je odkrył po oksfordzkiej stronie. Promienie słońca na trawie za otworem igrały tak samo jak w Cittagazze, chociaż równocześnie osobiwie inaczej.

–Jest tutaj – oświadczył, kiedy się upewnił.

–Ach, rzeczywiście! Widzę je!

Lyra wstrzymała oddech. Wyglądała na równie zdumioną jak Will, gdy usłyszał, że Pantalaimon mówi. Jej dajmon nie mógł usiedzieć w kieszeni, wyszedł więc, zmienił się w osę i bzycząc, latał wokół okienka, dziewczynka natomiast nerwowo nawijała na palce jeszcze nieco wilgotne włosy.

–Stań z boku – pouczył ją Will. – Jeśli podejdziesz zbyt blisko, ludzie zobaczą nagle parę nóg i będzie sensacja. Nie chcę, żeby ktoś coś zauważył.

–Co to za hałas?

–Ruch uliczny na oksfordzkiej obwodnicy. To dość ruchliwa ulica. Podejź i przyjrzyj się z boku. Pora na przechodzenie jest kiepska, wszędzie mnóstwo ludzi. Gdybyśmy jednak przedostali się w środku nocy, nie bardzo mielibyśmy dokąd pójść. A jeśli teraz przejdziemy, możemy się dość łatwo wmieszać w tłum. Idź pierwsza. Szybko przeskocz i odejź od otworu.

Lyra miała na plecach niebieski plecaczek, który teraz zdjęła i trzymała w rękach. Przykucnęła i spojrzała na drugą stronę.

–Ach! – westchnęła. – To naprawdę jest twój świat? Nie wygląda jak część

Oksfordu. Jesteś pewien, że przybyłeś z Oksfordu?

–Jasne, że tak. Kiedy przejdiesz, będziesz miała przed sobą ulicę. Skręć w lewo, idź przez jakiś czas prosto, aż zobaczysz ulicę po prawej. Zaprowadzi cię do centrum miasta. Zapamiętaj, gdzie znajduje się okienko. Nie ma innej drogi powrotnej.

–Dobrze – powiedziała. – Nie zapomnę.

Zarzuciwszy na ramię plecak, Lyra zanurkowała przez okienko i zniknęła. Will przykucnął, pragnąc zobaczyć, jak sobie poradziła.

Dziewczynka stała na trawie z Pantalaimonem – osą na ramieniu. Chyba nikt jej nie widział. W pobliżu pędziły samochody osobowe i ciężarówki; nawet gdyby jakiś kierowca zdołał na tym ruchliwym skrzyżowaniu dostrzec niezwykle zjawisko, nie miałby czasu, aby mu się przyjrzeć, natomiast ludziom stojącym po przeciwnej stronie ulicy widok zasłaniały przejeżdżające pojazdy.

Nagle rozległ się pisk hamulców, krzyk, trzask. Will starał się dojrzeć, co się stało.

Lyra leżała na trawie. Samochód zahamował tak gwałtownie, że uderzyła w jego tył ciężarówka, która pchnęła pierwszy pojazd do przodu. Dziewczynka leżała nieruchomo...

Chłopiec pospiesznie przedostał się przez okienko na drugą stronę. Na szczęście nikt nie widział, jak przechodził, ponieważ oczy wszystkich skupiły się na samochodzie z pogiętym zderzakiem, a kierowca ciężarówki wyskoczył i podbiegł do Lyry.

–Nic nie mogłam poradzić... Dziecko wbiegło mi prosto... – tłumaczyła się kobieta w średnim wieku, która prowadziła samochód. – Pan jechał zbyt blisko – dodała, zwracając się do kierowcy ciężarówki.

–Mniejsza o to – odburknął. – Jak tam mała?

Kierowca ciężarówki skierował to pytanie do Willa, który klęczał obok Lyry. Chłopiec podniósł oczy i rozejrzał się wokół siebie. Wiedział, że żadne okoliczności nie mogą go usprawiedliwić, był odpowiedzialny za ten wypadek. Lyra poruszyła głową i szybko zamrugała powiekami. Will dostrzegł oszołomionego Pantalaimona w postaci osy, który wspinał się po źdźble trawy.

–Nic ci nie jest? – spytał chłopiec. – Spróbuj poruszać rękoma i nogami.

–Głupia! – krzyknęła kobieta z samochodu. – Po prostu wbiegła pod koła. Nawet się nie rozejrzała. Co miałam zrobić?

–Żyjesz, dziecko? – spytał kierowca ciężarówki.

–Tak – mruknęła Lyra.

–Wszystko w porządku?

–Poruszaj rękoma i nogami – nalegał Will.

Poruszyła. Żadna kość nie była złamana.

–Jest cała – powiedział Will. – Zajmę się nią. Nic jej nie jest.

–Znasz ją? – spytał kierowca ciężarówki.

–To moja siostra – odrzekł Will. – Wszystko dobrze. Mieszkamy tuż za rogiem. Zabiorę ją do domu.

Lyra usiadła prosto. Ponieważ nie wyglądała na poważnie ranną, kobieta zaczęła oglądać swój samochód. Inne pojazdy objeżdżały uczestników wypadku; kierowcy samochodów – jak to ludzie – z ciekawością na nich spoglądali. Will pomógł dziewczynce się podnieść. Wiedział, że im szybciej odejdą, tym lepiej. Kobieta i kierowca ciężarówki stwierdzili, że ich spór powinny rozstrzygnąć towarzystwa ubezpieczeniowe, wymienili więc adresy. Nagle kobieta zobaczyła, że Will pomaga Lyrze oddalić się z miejsca wypadku.

–Czekajcie! – zawołała. – Będziecie świadkami. Musicie mi podać wasze nazwisko i adres.

–Nazywam się Mark Ransom – powiedział Will, odwracając się. – Moja siostra ma na imię Lisa. Mieszkamy przy Bourne Close dwadzieścia sześć.

–Jaki kod?

–Nigdy go nie pamiętam – mruknął. – Słuchajcie, państwo, chcę zabrać siostrę do domu.

–Wskazujcie do kabiny – powiedział kierowca ciężarówki. – Podrzucę was.

–Ależ nie, po co ten kłopot, naprawdę szybciej dojdziemy pieszo.

Lyra szła prawie normalnym krokiem. Wraz z Willem przeszli po trawie pod grabami i skręcili za pierwszym rogiem.

Usiedli na niskim ogrodowym murku.

–Jesteś ranna? – spytał Will.

–Uderzyłam się w nogę, a podczas upadku w głowę – odparła.

Bardziej jednak interesowało ją, jak wypadek zniósł przedmiot znajdujący się w plecaku. Włożyła rękę do środka, pomacała, po czym wyjęła ciężkie, małe zawiniątko otulone czarnym aksamitem. Rozwinęła paczuszkę. Na widok aletheiometru Willowi rozszerzyły się oczy. Małe symbole wymalowane wokół tarczy, złote wskazówki, duża igła, ciężar i niezwykle wygląd przedmiotu sprawiły, że niemal stracił oddech.

–Co to takiego? – spytał.

–Mój aletheiometr. Urządzenie, które mówi prawdę. Czytnik symboli. Mam nadzieję, że nie popękał...

Na szczęście przyrząd nie został uszkodzony. Nawet w drżących rękach dziewczynki długa igła wytrwale się kołysała. Lyra odłożyła aletheiometr i przyznała się:

–Nigdy nie widziałam tak wielu wozów i takich dużych... Nie sądziłam, że cokolwiek może się tak szybko poruszać.

–W twoim Oksfordzie nie ma samochodów i ciężarówek?

–Nie tak wiele. I całkiem inne. Nie jestem przyzwyczajona do takiego ruchu. Ale nic mi nie jest.

–Od tej pory musisz być ostrożniejsza. Jeśli wpadniesz pod autobus albo się zgubisz, ludzie dowiedzą się, że nie pochodzisz z tego świata i zaczną szukać przejścia...

Wydawał się znacznie bardziej rozgniewany, niż należało.

–W porządku, słuchaj – odezwał się w końcu. – Będiesz udawać moją siostrę. Dzięki temu mnie nie znajdą, ponieważ szukają jedynaka. Pójdę z tobą i pokażę ci, jak przechodzić przez ulicę, nie narażając życia.

–Dobrze – odparła pokornie.

–No i kwestia pieniędzy. Założę się, że ich nie masz... Cóż, skąd miałabyś mieć? Za co chciałaś kupić jedzenie i inne potrzebne rzeczy?

–Mam pieniądze – odrzekła i wytrząsnęła z portmonetki kilka złotych monet.

Will popatrzył na nie z niedowierzaniem.

–Czy to jest złoto? Złoto, prawda? Boże, gdyby ludzie je zobaczyli, dopiero zaczęliby cię wypytywać. Nie byłabyś bezpieczna. Dam ci trochę pieniędzy. Schowaj

te monety i nikomu ich nie pokazuj. Pamiętaj: jesteś moją siostrą i nazywasz się Lisa Ransom.

–Może raczej Lizzie. Udawałam już kiedyś osobę o tym imieniu. Łatwiej zapamiętam.

–W porządku. Więc Lizzie. Ja jestem Mark. Nie zapomnij.

–Dobrze – rzuciła pojednawczo.

Noga zaczynała ją boleć. Po wypadku była zaczerwieniona i spuchnięta, a teraz utworzył się na niej ciemny, duży siniak. Miała też siniec na policzku, w miejscu, gdzie uderzył ją ubiegłej nocy Will. Ogólnie rzecz biorąc, wyglądała, jak gdyby ktoś się nad nią znęcał, co chłopca bardzo martwiło. Co będzie, jeśli dziewczynką zainteresuje się jakiś policjant?

Will starał się o tym nie myśleć. Wyruszyli razem, przechodząc ulicę na światłach. Tylko na moment spojrzeli w stronę okna pod grabami, ale nie zdołali go dostrzec: było już zupełnie niewidoczne. Sznur samochodów jechał nieprzerwanie w obie strony.

Po dziesięciu minutach marszu po Banbury Road dotarli do Summertown. Will zatrzymał się przed bankiem.

–Co robisz? – spytała Lyra.

–Zamierzam podjąć trochę pieniędzy. Prawdopodobnie nie powinienem tego robić zbyt często, ale jeśli wypłacę nieco gotówki w tej chwili, pewnie zaksięgują ją dopiero przed zamknięciem banku.

Włożył kartę magnetyczną matki do bankomatu i wystukał kod. Z maszyny wypadło kilka banknotów, a następnie karta. Lyra patrzyła na całą operację z otwartymi ustami. Will wręczył jej banknot dwudziestofuntowy.

–Użyj go później – powiedział. – Kupisz coś, a wydadzą ci drobne. Na razie poszukajmy autobusu do miasta.

Podczas jazdy Lyra siedziała bardzo cicho. Obserwowała domy i miejskie ogrody, które wyglądały podobnie jak w jej świecie, a równocześnie były zupełnie inne. Czowała się tak, jakby znalazła się we śnie obcej osoby. Wysiedli w centrum obok starego, kamiennego kościoła, który dziewczynka pamiętała ze swojego Oksfordu. Budynek stał jednak naprzeciwko dużego domu towarowego; Lyra nigdy takiego nie widziała.

–Wszystko jest dziwnie pozmieniane – zauważyła. – Chociaż... Czy to nie jest Rynek Zbożowy? Ulica Szeroka. To Balliol, a tu Biblioteka Bodleya, o tam. Ale gdzie jest Jordan?

Poczuła dreszcze. Mogła to być opóźniona reakcja po wypadku albo wstrząs spowodowany widokiem obcych budynków, które zajęły miejsce Kolegium Jordana, czyli jej domu.

–Niedobrze – stwierdziła. Mówiła cicho, ponieważ Will przed chwilą nakazał jej, żeby przestała wykrzykiwać nazwy nieistniejących w jego świecie miejsc. – To jest inny Oksford.

–Cóż, wiemy o tym oboje – odparł cierpko.

Nie był przygotowany na bezradność Lyry i jej smutne spojrzenie. Nie miał przecież pojęcia, że znaczną część swego dzieciństwa spędziła, biegając po prawie identycznych ulicach, i nie wiedział, jak bardzo była dumna z przynależności do Kolegium Jordana, którego uczeni byli najzdolniejsi, skarbiec – najbogatszy, a wygląd – najokazalszy ze wszystkich. Teraz nie była już Lyra z Jordana, lecz dzieckiem zagubionym w nieznanym świecie. Nigdzie nie należała.

–No cóż – szepnęła drżącym głosem. – Skoro go tu nie ma...

Uświadomiła sobie, że jej poszukiwania po prostu potrważą trochę dłużej, i tyle.

TREPANACJA

Gdy Lyra udała się na poszukiwania uczonego, Will znalazł budkę telefoniczną i wykręcił numer biura prawnego podany w liście, który trzymał w ręku.

–Halo? Chciałbym rozmawiać z panem Perkinsem.

–Kto mówi?

–Chodzi o pana Johna Parry’ego. Jestem jego synem.

–Chwileczkę...

Po minucie odezwał się męski głos:

–Słucham. Mówi Alan Perkins. Z kim rozmawiam?

–William Parry. Chodzi o mojego ojca Johna Parry’ego. Pan przelewa co trzy miesiące pieniądze na konto bankowe mojej matki.

–Tak...

–No cóż, chciałbym się dowiedzieć, gdzie jest mój ojciec. Żyje czy umarł?

–Ile masz lat, Williamie?

–Dwanaście. Chcę poznać prawdę.

–Tak... Twoja matka... Czy wie, że do mnie dzwonisz?

Will chwilę się zastanawiał nad odpowiedzią.

–Nie – odparł wreszcie. – Mama niestety nie czuje się najlepiej. Nie może mi wyjaśnić zbyt wiele, a ja pragnąłbym poznać wszystkie fakty.

–Tak, rozumiem. Gdzie jesteś teraz? W domu?

–Nie. Jestem... w Oksfordzie.

–Sam?

–Tak.

–I mówisz, że twoja matka nie najlepiej się czuje?

–Tak.

–Jest w szpitalu albo innym tego typu miejscu?

–Można to tak ująć. Proszę pana, powie mi pan czy nie?

–No cóż, mogę ci przekazać kilka informacji, ale nie w tej chwili i raczej nie przez telefon. Za pięć minut mam spotkanie z klientem... Czy możesz przyjść do mojego biura o czternastej trzydzieści?

–Nie – odrzekł Will, ponieważ taka wizyta wydała mu się zbyt ryzykowna, w dodatku telefon prawnika mógł być na podsłuchu, a chłopca zapewne poszukiwała już policja. Myślał chwilę, po czym wyjaśnił: – Muszę złapać autobus do Nottingham. Nie chcę się spóźnić. Zresztą, interesujące mnie informacje może mi pan chyba przekazać telefonicznie, prawda? Pragnę tylko wiedzieć, czy mój ojciec żyje, a jeśli tak, gdzie go znajdę. Sądzę, że tyle może mi pan powiedzieć...

–Cała sprawa nie jest tak prosta, jak ci się zdaje. Nie wolno mi podawać żadnych prywatnych informacji na temat moich klientów, zwłaszcza jeśli nie wiem, czy dana osoba życzy sobie tego. No i muszę zobaczyć jakiś twój dowód tożsamości.

–Rozumiem, proszę więc mi tylko powiedzieć, czy mój ojciec żyje?

–No cóż... Nie jest to informacja poufna... Niestety, i tak nie potrafię ci udzielić odpowiedzi na to pytanie, ponieważ jej nie znam.

–Jak to?

–Pieniądze pochodzą z funduszu rodzinnego. Twój ojciec nakazał je wypłacać, póki osobiście nie odwoła polecenia. Od tamtego dnia nie miałem od niego żadnej wiadomości. Krótko mówiąc, pan Parry jest... No... powiedzmy, że zniknął. Nie wiem zatem, czy żyje...

–Zniknął? Czyli... zaginął?

–No cóż, to wymagałoby dokładnego sprawdzenia rozmaitych dokumentów. Może jednak przyjdiesz do mojego biura i...

–Nie mogę. Jadę do Nottingham.

–No cóż, w takim razie napisz do mnie albo poproś matkę o napisanie listu. Ile zdołam, tyle dla ciebie sprawdzę. Musisz wszakże zrozumieć, że przez telefon niewiele ci mogę pomóc.

–Tak, pewnie ma pan rację. W porządku. A może mi pan powiedzieć, w jakim regionie zaginął mój ojciec?

–Jak już mówiłem, trzeba by sprawdzić w dokumentach. Ale w swoim czasie sporo pisały o tym gazety. Wiesz, że był badaczem?

–Matka mówiła mi o tym. Tak, wiem...

–Prowadził ekspedycję i wtedy zaginął. Około dziesięciu lat temu.

–Gdzie?

–Daleko na północy. Chyba na Alasce. Możesz poszperać w bibliotece publicznej. Dlaczego nie...

W tym momencie Willowi skończyły się monety i połączenie zostało przerwane. Ciągły dźwięk zahuczał w uchu chłopca. Odłożył słuchawkę i rozejrzał się.

Nade wszystko pragnął porozmawiać z matką. Powstrzymał się, aby nie zadzwonić do pani Cooper, wiedział bowiem, że gdyby usłyszał głos matki, chciałby natychmiast do niej wrócić, a wówczas naraziłby na niebezpieczeństwo i siebie, i ją. Mógł jednak wysłać pocztówkę.

Wybrał widokówkę z fragmentem miasta i napisał: *Droga Mamo! Jestem bezpieczny i czuję się dobrze. Wkrótce się zobaczymy. Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku. Kocham Cię, Will.*

Kupił znaczek, nalepił go i zaadresował kartkę. Zanim wrzucił ją do skrzynki, trzymał przez chwilę przed oczyma.

Był już poranek. Will stał na głównej ulicy handlowej, gdzie autobusy jechały powoli wśród tłumów przechodniów. Zaczął sobie zdawać sprawę, że może zwracać na siebie uwagę; był środek tygodnia, więc dzieci w jego wieku przebywały w szkole. Zastanowił się, dokąd mógłby pójść.

Ukrycie się nie zajęło mu zbyt wiele czasu. Od lat posiadał tę umiejętność, a nawet się nią szczycił. „Znikał” ludziom z oczu w podobny sposób, jak Serafina Pekkala na statku – po prostu wtapiał się w tłum i stawał się elementem tłą.

Tak samo postąpił teraz. Świetnie znał świat, w którym mieszkał. Wszedł do sklepu papierniczego, gdzie kupił długopis i duży notes. Wiedział, że szkoły często wysyłają uczniów, by odwiedzili kilka sklepów i sporządzili spis potrzebnych zakupów; postanowił wyglądać na kogoś takiego.

Z notesem i długopisem ruszył dalej. Udawał, że robi notatki, i wzrokiem szukał biblioteki publicznej.

Tymczasem Lyra wypatrywała spokojnego miejsca, w którym mogłaby się poradzić

aletheiometru. W jej Oksfordzie w ciągu pięciu minut znalazłaby tuzin takich miejsc, to miasto było jednak niepokojąco obce; niektóre jego punkty wydawały się dziewczynce wzruszająco znajome, inne – absolutnie nieznane. Po co na przykład namalowano te białe paski na ulicy? Albo czym były tamte małe, białe, lepkie plamki na wszystkich chodnikach? (W jej świecie nikt nie słyszał o gumie do żucia). A cóż mogły oznaczać te czerwone i zielone światełka nad ulicą? Świat Willa wydawał się Lyrze znacznie trudniejszy do zrozumienia niż jakakolwiek odpowiedź aletheiometru.

Nagle dostrzegła znajome bramy Kolegium Świętego Jana. Wspinała się na nie z Rogerem pewnego wieczoru, gdy chcieli podłożyć na klombie fajerwerki. I ten szczególnie, poszczerbiony kamień na rogu ulicy Catte! Dziewczynka zauważyła na nim inicjały „SP” – w jej świecie wyrył je Simon Parslow; widziała, jak to robił. Najwyraźniej tu ktoś o tych samych inicjałach postąpił identycznie.

Może w tym świecie również istniał Simon Parslow.

Może żyła tu także inna Lyra.

Na samą tę myśl przeszedł ją dreszcz, a Pantalaimon w postaci myszy zadygotał. Otrząsnęła się, tłumacząc sobie, że otacza ją wystarczająco dużo tajemnic, nie warto zatem wyobrażać sobie dodatkowych.

W tym Oksfordzie było znacznie więcej osób niż w świecie dziewczynki (roili się na chodnikach, wchodzili i wychodzili z budynków); reprezentowali wiele ras i typów – Lyra dostrzegła kobiety ubrane jak mężczyźni, Afrykanów, a nawet grupy Tatarów podążających potulnie za przewodnikiem. Wszyscy mieli na sobie czyste ubrania i nosili małe, czarne teczki.

Początkowo dziewczynka otwierała szeroko oczy ze zdumienia, ponieważ nie mieli dajmonów i w jej świecie potraktowano by ich jak widma albo nawet gorzej. Jednak wszyscy oni (było to bardzo dziwne) wyglądali na żywych. Szli raźnie i wesoło, zachowywali się jak normalne ludzkie istoty. Lyra doszła do wniosku, że dajmony – podobnie jak u Willa – zapewne znajdują się w ich wnętrzach.

Po półgodzinnej wędrówce i obserwacji „fałszywego” Oksfordu, dziewczynka zgłodniała, kupiła więc sobie za dwudziestofuntowy banknot czekoladowy batonik. Sklepiarz popatrzył na nią dziwnie, pochodził jednak z Indii i być może nie rozumiał jej akcentu, chociaż starała się mówić bardzo wyraźnie. Później kupiła jabłko na Rynku Towarowym, który kojarzył jej się z „właściwym” Oksfordem, po czym poszła w stronę parku. Nagle znalazła się przed wielkim budynkiem, który pasowałby raczej do jej świata (choć tam go nie było). Dziewczynka usiadła na trawniku, gdzie zamierzała zjeść batonik i owoc, z przyjemnością patrząc na budynek.

Odkryła, że znajduje się w nim muzeum. Drzwi frontowe były otwarte, więc weszła.

Wewnątrz stały wypchane zwierzęta, skamieniałe szkielety i gablotki z minerałami, tak jak w Królewskim Muzeum Geologicznym, które odwiedzała z panią Coulter podczas pobytu w Londynie. Na końcu wielkiego korytarza ze szkła i żelaza znajdowało się wejście do drugiej części muzeum. Odwiedzających było bardzo niewielu, więc Lyra weszła do sali i rozejrzała się. Pamiętała, że pilnie musi zadać aletheiometrowi pytania, jednak eksponaty w pomieszczeniu bardzo ją zaciekały. Dostrzegła tu dobrze sobie znane przedmioty: w szafkach za szkłem wisiały arktyczne ubrania, niemal identyczne, jak jej futra, stały sanie, leżały rzeźbione kości morsa, harpuny do polowań na fokki oraz tysiące różnych trofeów, relikwii, obiektów magicznych, narzędzi i broni. Lyra oceniła, że eksponaty pochodzą nie tylko z Arktyki, lecz z całego świata.

Niektóre zdziwiły ją. Futra ze skóry karibu wydawały się identyczne jak futro Lyry, natomiast postronki na saniach przywiązano w sposób zupełnie niewłaściwy. A obok wisiał fotogram kilku samojedzkich myśliwych, prawie sobowtórów tych, którzy porwali dziewczynkę i sprzedali ją do Bolvangaru. Ależ tak! To byli ci sami mężczyźni! Nawet supel na tej wystrzępionej linie znajdował się dokładnie w tym samym miejscu. Lyra była tego absolutnie pewna, ponieważ spędziła na tych właśnie saniach wiele długich godzin... Czy istniało logiczne wyjaśnienie tej tajemnicy? Może światy stale przeplatały się ze sobą, a może mimo wszystko istniał tylko jeden, który śnił o innych?

Nagle zauważyła przedmiot, który przypomniał jej o aletheiometrze. Stara, szklana gablota obudowana pomalowaną na czarno drewnianą konstrukcją mieściła w sobie kilka ludzkich czaszek. W niektórych wydrążono otwory: w jednych z przodu, w innych z boku, w jeszcze innych na czubku. W leżącej pośrodku czaszce były aż dwa otwory. Osobliwy, ozdobny napis na kartoniku nazywał proces ich wiercenia trepanacją. Z zapisu wynikało, że wszystkie otwory zostały wykonane za życia tych ludzi, ponieważ uszkodzona kość gładko zrosła się wokół brzegów. Wyjątek stanowiła jedna czaszka – otwór w niej spowodował spiżowy grot, który nadal w niej tkwił; krawędzie otworu zdecydowanie różniły się od pozostałych, były bowiem ostre i poszarpane.

Lyra natychmiast sobie przypomniła, że takie dziury wykonywali w jej świecie północni Tatarzy. Uczni z Jordana twierdzili, że podobny otwór wydrążył sobie Stanislaus Grumman. Dziewczynka rozejrzała się szybko po pomieszczeniu i ponieważ nie zobaczyła nikogo w pobliżu, wyjęła aletheiometr.

Skupiła się na środkowej czaszce i spytała:

–Do kogo należała ta czaszka? I dlaczego w nich wszystkich znajdują się otwory?

Stała i koncentrowała się w przyciemnionym świetle, które sączyło się przez szklany dach i padało ukośnie obok górnych galerii. Nie zauważyła, że ktoś ją obserwuje.

Mocno zbudowany mężczyzna około sześćdziesiątki, ubrany w pięknie skrojony lniany garnitur, stał na galerii z kapeluszem typu panama w ręku i patrzył w dół ponad żelazną balustradą.

Siwe włosy miał elegancko zaczesane do tyłu nad gładkim, opalonym, ledwie pomarszczonym czołem. Jego oczy – ogromne, ciemne, ocienione długimi rzęsami – spoglądały przenikliwie. Mniej więcej co minutę język z czarnym czubkiem ukazywał się w kącikach ust, oblizując je. Śnieżna chusteczka do nosa w kieszeni na piersi intensywnie pachniała duszną wodą kolońską przywodzącą na myśl cieplarniane rośliny, których korzenie powoli zaczynały gnić.

Mężczyzna przypatrywał się Lyrze przez kilka minut. Gdy dziewczynka wędrowała po sali, chodził wzdłuż balkonu, a kiedy stała nieruchomo przy gablotce z czaszkami, obserwował ją uważnie i dokładnie – dostrzegł jej nierówne, rozczochrane włosy, siniak na policzku, nowe ubranie oraz gołe nogi.

Wreszcie wyjął z kieszonki na piersi chusteczkę do nosa i wytarł czoło, a następnie skierował się na schody.

Lyra była bardzo zaintrygowana, ponieważ dowiadywała się nowych, interesujących faktów. Okazało się, że czaszki są niewyobrażalnie stare; w gablotce napisano jedynie „Epoka brązu”, natomiast według aletheiometru, który nigdy nie kłamał, właściciel czaszki żył 33 254 lata temu, był czarnoksiężnikiem i wywiercił sobie w głowie otwór, by ułatwić bogom dostęp do swojego umysłu. Jako że aletheiometr podawał czasami dodatkowe informacje, mimo iż Lyra nie prosiła o nie, dodał, że czaszki po trepanacji otacza znacznie większa ilość Pyłu niż tę z grotem.

Dziewczynka zastanowiła się nad znaczeniem tej informacji. Otrząsnęła się z transu, w który wpadała podczas interpretowania odpowiedzi urządzenia, a wówczas uświadomiła sobie, że nie jest już sama w pomieszczeniu; sąsiedniej gablotce przypatrywał się pachnący słodko starszy mężczyzna w jasnym garniturze. Przypominał kogoś Lyrze, nie wiedziała jednak kogo.

Gdy poczuł na sobie spojrzenie dziewczynki, z uśmiechem podniósł oczy.

–Oglądasz trepanowane czaszki, prawda? – spytał – Jakież dziwne rzeczy ludzie sobie robią, nie sądzisz?

–Uhm – bąknęła obojętnie.

–Czy wiesz, że ludzie nadal drążą sobie otwory w głowach?

–Tak – odparła.

–Hipisi i im podobni... Ach, jesteś o wiele za młoda, aby pamiętać hipisów. Mawiali,

że trepanacja jest skuteczniejsza niż narkotyki.

Lyra włożyła aletheiometr do plecaka i zastanawiała się nad w miarę uprzejmym sposobem pożegnania. Ciągłe jeszcze nie zadała aletheiometrowi najważniejszego pytania, a teraz ten człowiek zajmował jej czas. Wprawdzie wydawał się dość miły i przyjemnie pachniał... Teraz zbliżył się. W pewnej chwili, gdy wskazywał gablotkę, jego ręka musnęła dłoń dziewczynki.

–To cię dziwi, prawda? Żadnego znieczulenia, żadnej dezynfekcji, prawdopodobnie wykonane kamiennymi narzędziami. Ci ludzie musieli być bardzo wytrzymali, zgodzisz się ze mną? Chyba nie widziałem cię przedtem w muzeum, a przychodzę tu dość często. Jak masz na imię?

–Lizzie – odparła zadowolona.

–Ja mam na imię Charles. Chodzisz do szkoły w Oksfordzie?

Nie była pewna, co odpowiedzieć.

–Nie – mruknęła.

–Przyjechałaś w odwiedziny? Hm, wybrałaś sobie piękne miejsce. Jest tu wiele do zwiedzania. Co cię szczególnie interesuje?

Lyra uświadomiła sobie, że od długiego czasu nie spotkała nikogo, kto by ją intrygował tak bardzo jak ten mężczyzna. Był uprzejmy, przyjazny, bardzo zadbany i elegancko ubrany, ale siedzący w kieszeni Pantalaimon ostrzegał ją, by się miała na baczności, i błagał o ostrożność, ponieważ podobnie jak jego właścicielka mały dajmon pamiętał zapach tego człowieka. Dziewczynka skupiła się, usiłując sobie go przypomnieć, i skojarzył jej się zapach łajna i gnicia. Pomyślała o pałacu Iofura Raknisona, gdzie powietrze było przesycone perfumami, lecz podłoga pełna nieczystości.

–Czym się interesuję? – powtórzyła. – Och, wszystkim po trochu. Te czaszki zaciekały mnie dopiero teraz, gdy je tu zobaczyłam. Nie przychodzi mi na myśl nikt, kto chciałby sobie zrobić coś takiego. To straszne.

–No cóż, mnie by się to też nie podobało, ale zapewniam cię, że są ludzie, którzy wykonują sobie takie otwory. Mógłbym zabrać cię na spotkanie z taką osobą – dodał, patrząc tak przyjaźnie i dobrotliwie, że dziewczynkę zaczęło kusić, by z nim pójść. Potem jednak dostrzegła jego język z czarnym czubkiem, wilgotny i szybki niczym u węża, i potrząsnęła głową.

–Niestety, spieszę się – oświadczyła. – Dziękuję panu za propozycję, ale nie mogę z niej skorzystać. Muszę iść, ponieważ umówiłam się z moim przyjacielem.

Zatrzymałam się u niego.

–Ależ tak, oczywiście – powiedział uprzejmie. – Miło mi się z tobą rozmawiało. Do widzenia, Lizzie.

–Do widzenia – odparła.

–Och... Tak na wszelki wypadek... oto moje nazwisko i adres – powiedział, wręczając jej wizytówkę. – Na wypadek, gdybyś się chciała więcej dowiedzieć o tego typu sprawach.

–Dziękuję – szepnęła słodkim głosem i włożyła kartonik do małej kieszonki z tyłu plecaka. Idąc do wyjścia, przez cały czas czuła na sobie spojrzenie mężczyzny.

Kiedy się znalazła przed muzeum, skręciła do parku (w tym miejscu w świecie Lyrzy znajdowało się pole do krykieta i innych sportów), znalazła spokojne miejsce pod drzewami i ponownie spróbowała porozmawiać z aletheiometrem. Tym razem spytała, gdzie ma szukać uczonego, który ma informacje na temat Pyłu. Otrzymała natychmiast prostą, jednoznaczną odpowiedź – urządzenie skierowało ją do pokoju w wysokim, kwadratowym budynku, który znajdował się za Lyra. Dziewczynka była pewna, że aletheiometr chce jej przekazać dodatkowe dane; przyrząd najwyraźniej coraz częściej miewał niemal ludzkie humory i pragnienia.

Teraz przekazał Lyrze wiadomość:

„Musisz się skoncentrować na chłopcu. Pomóż mu znaleźć ojca. Skup się na tym. To twoje zadanie”.

Dziewczynka zamrugła oczyma. Była naprawdę zaskoczona. Will pojawił się przecież znikąd i pomógł jej w trudnym momencie. Skąd zatem nagle pomysł, że to ona ma udzielić mu pomocy? Lyrze aż zaparło dech na tę myśl.

Okazało się, że aletheiometr jeszcze nie dokończył swego przesłania. Igła ponownie poruszyła się i dziewczynka odczytała:

„Nie okłamujuczonych”.

Owinęła aletheiometr w aksamit i włożyła do plecaka. Potem wstała, odszukała wzrokiem budynek, w którym miała znaleźć naukowca, i ruszyła w tamtą stronę. Poczowała zakłopotanie i przyływ energii.

Will znalazł bibliotekę dość łatwo. Bibliotekarz od razu uwierzył, że chłopiec musi napisać pracę z geografii, i pomógł mu wyszukać spis egzemplarzy „Timesa” z roku, w którym ojciec Willa zaginął. Chłopiec usiadł, aby przejrzeć rocznik na wyświetlaczu. I rzeczywiście, znalazł wiele wzmianek o Johnie Parrym i jednej z jego

ekspedycji archeologicznych.

Teksty z każdego miesiąca zarejestrowane były na osobnej rolce mikrofilmu. Will montował jedną po drugiej, przewijał, szukając interesujących go informacji, po czym czytał je z wielką uwagą. Pierwszy artykuł dotyczył wyjazdu w północne rejony Alaski. Wyprawę sponsorował Instytut Archeologii przy Uniwersytecie Oksfordzkim. Odkrywczy mieli za zadanie zbadać tereny, na których zamierzali znaleźć dowody istnienia wczesnych osad ludzkich. Naukowcom towarzyszył John Parry, były żołnierz Marynarki Królewskiej, zawodowy badacz.

Drugą wzmiankę zamieszczono w sześć tygodni później. Dziennikarz donosił, że ekspedycja dotarła do Północnoamerykańskiej Arktycznej Stacji Badawczej w Noatak na Alasce.

Trzecia notka pochodziła z późniejszego o dwa miesiące numeru „Timesa” i była dramatyczna. Stacja Badawcza nie odpowiadała na sygnały, rodziło się zatem podejrzenie, że John Parry i jego towarzysze zaginęli gdzieś na Dalekiej Północy.

W następnych egzemplarzach gazety Will znalazł serię krótkich artykułów, opisujących wyprawy grup, które bez skutku szukały zaginionych odkrywców, relacje z lotów poszukiwawczych wysyłanych nad Morze Beringa, wypowiedzi członków Instytutu Archeologii, wywiady z krewnymi...

W pewnej chwili serce chłopca załomotało, ponieważ w jednym z numerów dostrzegł zdjęcie swojej matki. Na rękach trzymała dziecko. Jego.

Reporter napisał standardową historyjkę o zrozczonej kobiecie czekającej na powrót męża. Rozczarowany Will nie znalazł w artykule zbyt wielu faktów. Z jednego krótkiego akapitu wyczytał, że John Parry robił karierę w Marynarce Królewskiej, lecz porzucił armię, by się zająć organizowaniem geograficznych i naukowych wypraw. To wszystko.

W indeksie nie było więcej wzmianek, toteż Will wstał od wyświetlacza mikrofilmów zawiedziony. Zastanawiał się, gdzie mógłby się udać w poszukiwaniu dodatkowych informacji, ale żadne miejsce nie przychodziło mu do głowy. Wiedział też, że jeśli zacznie za bardzo wypytywać, mogą go wysledzić jego prześladowcy...

Oddał bibliotekarzowi rolki mikrofilmów.

–Czy zna pan adres Instytutu Archeologii? – zapytał.

–Mógłbym się dowiedzieć... A z jakiej jesteś szkoły?

–Ze Świętego Piotra – odparł Will.

–To nie jest w Oksfordzie, prawda?

–Nie, w Hampshire. Moja klasa planuje wycieczkę terenową, coś w rodzaju poszukiwawczych studiów środowiskowych...

–Och, rozumiem. Czego szukasz?... Archeologia... Instytut... Jest.

Will przepisał adres i numer telefonu. Ponieważ wcześniej powiedział, że przyjechał spoza Oksfordu, poprosił bibliotekarza, aby mu wyjaśnił, jak dojść do Instytutu. Znajdował się niezbyt daleko od biblioteki. Chłopiec podziękował i wyszedł.

W budynku, u podnóża schodów, stał duży kontuar, za którym siedział portier.

–Dokąd idziesz? – spytał Lyrę.

Dziewczynka miała wrażenie, że wróciła do domu. Wiedziała, że Pantalaimon odczuwa to samo.

–Mam wiadomość dla kogoś z drugiego piętra – odrzekła.

–Dla kogo?

–Dla doktora Listera.

–Gabinet doktora Listera znajduje się na trzecim piętrze. Jeśli masz dla niego przesyłkę, możesz ją zostawić tutaj. Przekażę mu.

–Tak, ale doktor potrzebuje jej natychmiast. Właśnie po mnie posłał. W dodatku mam mu ustnie przekazać pewne informacje.

Portier bacznie się przyjrzał dziewczynce i nie dostrzegł fałszu w jej uprzejmej, nieco bezmyślnej i pokornej minie; Lyra świetnie potrafiła panować nad wyrazem twarzy. W końcu mężczyzna skinął głową i ponownie zagłębił się w lekturze gazety.

Aletheiometr nie podał Lyrze żadnego nazwiska. O istnieniu doktora Listera dziewczynka dowiedziała się z przegródki na ścianie za portierem, wiedziała bowiem, że jeśli się powoła na kogoś pracującego w tym budynku, łatwiej jej się uda wejść na górę. Z niektórymi problemami Lyra lepiej sobie radziła w świetle Willa niż on sam.

Na drugim piętrze ciągnął się długi korytarz. Pierwsze drzwi otwierały się na pustą salę wykładową, za drugimi natomiast znajdowało się mniejsze pomieszczenie, w którym przy tablicy stało dwóch pogrążonych w dyskusji naukowców. Zarówno ceglane ściany obu sal, jak i korytarza pomalowano na nijaki, szarobury kolor. Dziewczynka pomyślała, że wyglądają zbyt biednie i z pewnością nie pasowałyby do jej okazałego Oksfordu; drzwi wykonano z ciężkiego drewna, poręcze zapewne z

kosztownej polerowanej stali. Patrząc na ów wystrój, Lyra ponownie uznała ten świat za osobliwy.

Szybko znalazła drzwi, o których wspomniał aletheiometr. Napis na nich głosił: „Zespół do badań nad mroczną materią”. Poniżej ktoś dopisał pospiesznie „R.I.P;”, a inna ręka dodała ołówkiem: „Kierownik Łazarz”.

Lyra nie zwróciła na to uwagi. Zastukała, a kobiecy głos odpowiedział:

–Proszę wejść.

Pokój był mały, pełen chwiejnych stert papierów i książek. Białe plansze na ścianach były pokryte wykresami i równaniami. Na wewnętrznej stronie drzwi przypięto szkic symbolu, który wyglądał na chiński. Lyra dostrzegła wejście do drugiego pomieszczenia, w którym stała jakaś skomplikowana maszyna anbaryczna. Było cicho, więc chyba nikt jej w tej chwili nie używał. Dziewczynka była trochę zaskoczona odkryciem, że uczony, którego szukała, okazał się kobietą, lecz aletheiometr nie twierdził, że będzie to mężczyzna, a Lyra znalazła się przecież w obcym, nieznanym sobie świecie. Kobieta siedziała przy jakimś urządzeniu z małym szklanym ekranem, na którym pojawiały się wykresy i cyfry, przed ekranem stało płaskie pudełko z układem wszystkich liter alfabetu na brudnych kwadracikach w kolorze kości słoniowej. Uczona wcisnęła jeden z tych maleńkich bloczków i ekran stał się jednolicie ciemny.

–Kim jesteś? – spytała.

Lyra zamknęła za sobą drzwi, przypominając sobie, że dbały o szczegóły aletheiometr nakazał jej, by tym razem nie oszukiwała i powiedziała prawdę.

–Nazywam się Lyra Złotousta – odparła. – A pani?

Kobieta zamrugała oczyma. Miała około czterdziestu lat. Patrząc na jej krótkie czarne włosy i zaczerwienione policzki, dziewczynka uznała ją za nieco starszą od pani Coulter. Uczona miała na sobie biały rozpięty fartuch, spod którego wystawała zielona bluzka i niebieskie spodnie; podobne nosiło w tym świecie wiele osób.

Kobieta przesunęła ręką po włosach i odpowiedziała na pytanie Lyry:

–Hm, to druga niespodziewana rzecz, która zdarza mi się dzisiaj. Jestem doktor Mary Malone. Czego sobie życzysz?

–Chcę, aby mi pani opowiedziała o Pyle – odparła Lyra, rozejrzawszy się, czy są w pomieszczeniu same. – Wiem, że się pani zna na tego typu sprawach. Mogę to nawet udowodnić. Musi mi pani powiedzieć.

–Jaki pył? O czym ty mówisz?

–Może określacie go tu innym słowem. Chodzi mi o cząstki elementarne. W moim świecie Uczeni nazywają je Cząsteczkami Rusakowa, zwykli ludzie natomiast Pyłem. Niemal nie sposób ich dostrzec, ale pochodzą z przestrzeni kosmicznej i mają wpływ na ludzi. Na dzieci nie tak bardzo jak na dorosłych. Odkryłam też coś dzisiaj... Byłam w muzeum na tej ulicy i widziałam stare czaszki z otworami w głowach, takie jak sobie robią Tatarzy. Wokół nich było znacznie więcej Pyłu niż przy ostatniej, która się od nich różniła. Kiedy była epoka brązu?

Kobieta przez cały czas patrzyła na Lyrę szeroko otwartymi oczyma.

–Epoka brązu? Mój Boże, nie wiem. Chyba jakieś pięć tysięcy lat temu – odezwała się w końcu.

–Ach, w takim razie w muzeum się pomylili. Czaszka z dwoma otworami ma trzydzieści trzy tysiące lat.

W tym momencie zamilkła, ponieważ miała wrażenie, że doktor Malone zaraz zemdleje. Rumieniec całkowicie znikł z jej policzków i przyłożyła rękę do piersi, podczas gdy drugą trzymała się kurczowo poręczy krzesła. Usta uczonej otworzyły się w zdumieniu.

Dziewczynka stała w miejscu, zakłopotana, czekając, aż kobieta dojdzie do siebie.

–Kim jesteś? – zapytała w końcu uczona.

–Lyra Złotou...

–Nie, raczej skąd jesteś? Czym jesteś? Skąd wiesz takie rzeczy?

Dziewczynka westchnęła ze znużeniem. Zapomniała już, jak wścibscy potrafią być uczeni. Trudno było im mówić prawdę, ponieważ o wiele łatwiej wierzyli w kłamstwa.

–Przybywam z innego świata – zaczęła. – Jest w nim Oksford podobny do tego, chociaż równocześnie zupełnie inny. Z niego właśnie pochodzę i...

–Czekaj, czekaj. Skąd przybywasz?

–Z innego miejsca – odparła ostrożniej Lyra. – Nie stąd.

–Ach, z innego – mruknęła kobieta. – Rozumiem No... zdaje mi się, że rozumiem.

–I muszę się dowiedzieć wszystkiego o Pyle – wyjaśniła Lyra. – Przeraza on przedstawiciele Kościoła w moim świecie. Nazywają go grzechem pierwotnym... Wszelkie informacje są więc bardzo ważne. A mój ojciec... Nie – oznajmiła

zapalczywym, prawie wściekłym tonem – nie to zamierzałam powiedzieć. Wszystko pokręciłam.

Doktor Malone popatrzyła na zdesperowaną, marszczącą brwi i zaciskającą pięści Lyrę, przyjrzała się siniakom na jej policzku i nodze, po czym powiedziała:

–Ależ, drogie dziecko, uspokój się... – przerwała i potarła zaczerwienione ze zmęczenia oczy. – Dlaczego cię słucham? – dodała. – Chyba zwariowałam. Przyznam, że jest to jedyne miejsce na świecie, gdzie mogłabyś otrzymać odpowiedź na swoje pytania, ale mają rozwiązać nasz zespół... To, o czym mówisz, ten pył, wygląda mi na zjawisko, które badam od jakiegoś czasu. Zaskoczyła mnie również twoja wypowiedź na temat czaszek w muzeum, ponieważ... Och, nie, mam już dość. Jestem za bardzo zmęczona, aby z tobą rozmawiać. Wierz mi, chciałabym cię wysłuchać, teraz jednak nie jestem w stanie. Mówiłam ci, że nas rozwiązują? Został mi tydzień na przygotowanie pisma do komisji przyznającej fundusze, ale nie bardzo liczę na pozytywną odpowiedź... Ziewnęła szeroko.

–Jaka była pierwsza niespodziewana rzecz, która się dziś pani przydarzyła? – spytała Lyra.

–Och. No cóż. Miałam nadzieję, że pewna osoba poprze nasze podanie o fundusze, tymczasem nieoczekiwanie wycofała się. Choć, właściwie, powinnam była się tego spodziewać...

Znowu ziewnęła.

–Chyba zaparzę kawę – mruknęła. – Jeśli jej nie wypiję, zasnę. Napijesz się ze mną?

Napełniła wodą czajnik elektryczny. Gdy sypała rozpuszczalną kawę do dwóch kubków, Lyra spojrzała na chiński wzór na drzwiach.

–Co to jest? – spytała.

–To chiński symbol. Nazywa się I Ching. Nie znasz go? Nie ma go w twoim świecie?

Lyra popatrzyła na nią zmrużonymi oczyma, sprawdzając, czy uczona nie pyta ironicznie.

–Niektóre rzeczy w moim świecie są takie same, inne różnią się. I tyle. Zresztą, nie wiem wszystkiego o moim świecie. Może również mamy ten Ching, coś tam.

–Och, przepraszam cię – powiedziała doktor Malone. – Tak, może i macie.

–Co to jest mroczna materia? – spytała Lyra. – Tak jest napisane na drzwiach, prawda?

Doktor Malone znowu usiadła i nogą przysunęła Lyrze drugie krzesło.

–Mroczna materia – odparła – stanowi przedmiot badań mojego zespołu. Nikt nie zna jej prawdziwej istoty. We wszechświecie znajduje się sporo niedostrzegalnych dla nas cząstek. Potrafimy zobaczyć gwiazdy, galaktyki i obiekty, które świecą. Wiemy też, że musi istnieć grawitacja, aby ciała niebieskie nie unosiły się bezładnie w przestrzeni. Nikt jednak nie potrafi niczego sprawdzić, toteż istnieje wiele rozmaitych projektów badawczych. Nasz jest jednym z nich.

Lyra słuchała z uwagą, ponieważ uczona nareszcie mówiła poważnie.

–Czym, pani zdaniem, jest ta materia? – spytała.

–No cóż, sądzimy, że jest ona... – kobieta przerwała, ponieważ w tym momencie zagotowała się woda. Wstała, zrobiła kawę, potem kontynuowała: – Sądzimy, że chodzi o jakiś rodzaj cząsteczek elementarnych, lecz zupełnie innych od wszystkich, jakie do tej pory odkryto. Bardzo trudno udowodnić ich istnienie... Gdzie właściwie chodzisz do szkoły? Studiujesz fizykę?

Lyra poczuła, że Pantalaimon szczypie ją w rękę, ostrzegając przed kłamstwem. Pamiętała też, że aletheiometr kazał jej mówić prawdę, wiedziała jednak, że musi zataić przed uczoną nieco informacji. Powinna działać ostrożnie i po prostu unikać kłamstw.

–Tak – odparła. – Wiem trochę. Ale nie o mrocznej materii.

–No cóż, wśród milionów innych cząstek i hałasu wywołanego przez ich zderzenia próbujemy odkryć coś, co jest niemal niemożliwe do wykrycia. Zazwyczaj detektory umieszczano setki metrów pod ziemią, teraz jednak otoczyliśmy je polem elektromagnetycznym, które przepuszcza tylko poszukiwane przez nas cząstki. Potem wzmacniamy sygnał, a resztę pracy wykonuje komputer.

Podawała dziewczynce kubek z kawą. Nie miała mleka ani cukru, ale znalazła w szufladzie kilka imbirowych biszkoptów. Lyra łakomie wzięła ciastko.

–W ten sposób znaleźliśmy właściwą cząsteczkę – kontynuowała doktor Malone. – To znaczy sądzimy, że to właśnie ta. Wydaje się dość niezwykła... Boże, dlaczego o tym mówię? Nie powinnam. Wyników naszych badań jeszcze nie opublikowano, nie zatwierdzono... nawet nie zdążyliśmy ich spisać. Chyba dziś trochę fiksuję.

No cóż... – podjęła po chwili, po czym zaczęła ziewać. Ziewała długo; Lyra zaczęła się obawiać, że uczona nigdy nie przestanie. – Nasze cząsteczki to dziwne małe diabełki. Nazywamy je cząsteczkami cienia albo Cieniami. Wiesz, co mnie zaszokowało? Wspomniałaś o czaszkach w muzeum, prawda? Jeden z członków naszego zespołu trochę się interesuje archeologią i odkrył pewnego dnia coś, w co

nie mogliśmy uwierzyć, a równocześnie nie potrafiliśmy tego zlekceważyć, chociaż była to najbardziej zwariowana z hipotez dotyczących Cieni. Wyobrażasz sobie? Nasz kolega odkrył, że Cienie posiadają świadomość. To prawda. Są świadomymi cząsteczkami. Słyszałaś kiedyś podobny nonsens? Nic dziwnego, że nie chcą nam przyznać dalszych funduszy na badania.

Uczona przez chwilę piła kawę, potem podjęła temat, a Lyra chłonęła każde jej słowo. – Tak, Cienie wiedzą, że tu jesteśmy. Odpowiadają na nasze pytania. To jest chyba najbardziej szalone stwierdzenie: nie możesz ich zobaczyć, chyba że się ich spodziewasz! Oznacza to, że trzeba wprowadzić umysł w pewien stan. Musisz być pewna siebie, a jednocześnie odprężona. Musisz umieć... Gdzie jest ten cytat...

Sięgnęła do sterty papierów na biurku i wydobyła skrawek kartki pokrytej zielonym atramentem. Przeczytała:

–„Umieć trwać wśród niepewności, tajemnic, wątpliwości, nie sięgać w rozdrażnieniu po fakt i przyczynę...”, Trzeba wprowadzić umysł w taki stan. Słowa te pochodzą z wiersza poety Keatsa. Zapisałam je któregoś dnia z pamięci. Tak czy owak, trzeba w tym odpowiednim stanie spojrzeć na Jaskinię...

–Jaką jaskinię? – spytała Lyra.

–Och, przecież nie wiesz, o czym mówię. Chodzi o nasz komputer. Nazywamy go Jaskinią. „Cienie na ścianach Jaskini” to cytat z Platona. Nazwę wymyślił nasz archeolog. Jest bardzo wszechstronny. Pojechał do Genewy na spotkanie w sprawie pracy, więc nie będzie go przez jakiś czas... Na czym stanęłam? Ach tak, Jaskinia. Łączysz się z komputerem i już możesz rozmawiać z Cieniami. Nic trudnego. Cienie wskakują w twoje myśli...

–A co to ma wspólnego z czaszkami?

–Tak, do tego właśnie zmierzam. Oliver Payne, mój współpracownik, wykonywał pewnego dnia różne testy z pomocą Jaskini i stało się coś niesamowitego, co zresztą trudno wyjaśnić w sposób naukowy. Oliver zbadał kawałek kości słoniowej, ot, zwykły odłamek, i nie wykrył najmniejszego śladu Cieni. Komputer na przedmiot nie zareagował, natomiast zareagował na figurę szachową wyrzeźbioną z identycznej kości słonia. Podobnie pominął drzazgę z deski, ale zasygnalizował istnienie Cieni wokół drewnianej linijki. Jeszcze więcej ich było przy wyrzeźbionej z drewna statuetce... W końcu mówimy o cząsteczkach elementarnych, czyli o mikroskopijnych bryłkach. Wygląda na to, że te cząsteczki wiedziały, jaki przedmiot jest badany! To wręcz nie do uwierzenia. Każdy przedmiot wykonany przez człowieka otaczają Cienie... Hm, później Oliver, to znaczy doktor Payne, otrzymał od przyjaciela z muzeum bardzo stare czaszki. Zbadał je, pragnął bowiem sprawdzić, jak daleko w przeszłość sięga ingerencja Cieni. Okazało się, że około trzydziestu, czterdziestu

tysiący lat! Wcześniej nie było Cieni, a od tego czasu jest ich sporo. Najwyraźniej mniej więcej w tym okresie pojawiły się pierwsze, że tak powiem, „nowoczesne” istoty ludzkie... Chcę przez to powiedzieć, że nasi przodkowie, ci sprzed kilkudziesięciu tysięcy lat, niemal się od nas nie różnili...

–To Pył – przerwała jej Lyra autorytatywnym tonem. – W tym wszystkim chodzi właśnie o to.

–Tak, tylko widzisz, tego typu rewelacji nie można zamieszczać w podaniu o fundusze, jeśli chcesz, aby przyznająca je komisja potraktowała cię poważnie. Takie stwierdzenia uznałaby za absurdalne. Pył dla niej nie istnieje, nie jest rzeczywisty... a nawet gdyby istniał, nie interesowałaby się nim. W dodatku cała sprawa wydaje się dość kłopotliwa...

–Chcę zobaczyć Jaskinię – przerwała Lyra i wstała. Doktor Malone ponownie przesunęła rękoma po włosach, szybko mrugając zmęczonymi oczami.

–Właściwie, nie widzę przeszkód – mruknęła. – Jutro komputer może stąd zniknąć. Chodźmy.

Poprowadziła Lyrę do sąsiedniej sali, która była większa niż pierwszy pokój i wypełniona sprzętem elektronicznym.

–Oto aparatura. O, tam – powiedziała, wskazując na ekran, który jarzył się szarością. – Tu jest detektor, za tą instalacją. Aby dostrzec Cienie, trzeba przymocować do głowy kilka elektrod. Podobnie jak podczas badania fal mózgowych.

–Chcę spróbować – oświadczyła Lyra.

–Niczego nie dojrzysz. Jestem zresztą zbyt zmęczona, a ten eksperyment za bardzo skomplikowany.

–Proszę! Wiem, co robię!

–Może ty wiesz, ja niestety nie. Na Boga! Przecież to doświadczenie jest kosztowne i trudne. Nie możesz tu sobie przychodzić niczym do salonu gier i traktować Jaskini jak flippera... Skąd właściwie pochodzisz? Nie powinnaś być w szkole? I jak się tutaj dostałaś?

Uczona znowu przetarła oczy, jak gdyby właśnie się obudziła.

Lyra zadrżała. Pomyślała, że musi powiedzieć prawdę.

–Dostałam się tutaj dzięki temu – odparła i wyjęła aletheiometr.

–Cóż to, u diabła, jest? Kompas?

Lyra podała kobiecie urządzenie, a kiedy doktor Malone poczuła jego wagę, oczy otworzyły jej się jeszcze szerzej.

–Dobry Boże, jest ze złota. Skąd, jak pragnę...

–Wydaje mi się, że działa w podobny sposób jak pani komputer. Chciałabym to sprawdzić. Proszę – dodała z rozpaczą w głosie. – Mogę zapytać mój przyrząd o coś, o czym wie jedynie pani. Czy jeśli uzyskam poprawną odpowiedź, pozwoli mi pani sprawdzić Jaskinię?

–A cóż to, będziemy sobie teraz wróżyć? Czy do tego służy to urządzenie?

–Między innymi... Bardzo panią proszę! Tylko jedno pytanie!

Doktor Malone wzruszyła ramionami.

–No dobrze – rzuciła. – Powiedz mi... Powiedz mi, co robiłam przedtem? Zanim zaczęłam tu pracować...

Lyra skwapliwie wzięła z rąk swej rozmówczynie aletheiometr i rozmieściła wskazówki, czując, że momentalnie dostrzega właściwe obrazki. Gdy skończyła, dłuższa igła natychmiast zaczęła się poruszać wokół tarczy. Oczy dziewczynki podążały za igłą, obserwowały, porównywały, wychwytywały odpowiedzi. Nagle Lyra zamrugła, westchnęła i otrząsnęła się z chwilowego transu.

–Była pani kiedyś zakonnicą – oznajmiła. – O rany! Nigdy bym tego nie odgadła... Zakonnice powinny przecież na zawsze pozostawać w klasztorach. Jednak pani przestała wierzyć w kościelne dogmaty, więc pozwolili pani odejść. W moim świecie taka sytuacja byłaby niemożliwa.

Doktor Malone usiadła na obrotowym krześle, patrząc na dziewczynkę bez słowa.

–Zgadza się, prawda?

–Tak. Dowiedziałaś się tego od...

–Od mojego aletheiometru, który działa, jak sądzę, dzięki Pyłowi. Przebyłam długą drogę, aby się dowiedzieć więcej o Pyle. Gdy dotarłam do tego świata, urządzenie kazało mi przyjść do pani. Przypuszczam więc, że mroczna materia to tylko inne określenie Pyłu. Mogę teraz wypróbować Jaskinię?

Doktor Malone mimowolnie potrząsnęła głową, ale nie odmówiła dziewczynce.

–No dobrze – stwierdziła w końcu i rozłożyła bezradnie ręce. – Mam wrażenie, że

śnię, niech się więc dzieje, co chce.

Obróciła się na krześle, po czym wcisnęła szereg przycisków. Rozległ się warkot silnika elektrycznego i szum wentylatora komputera. Lyra wydała z siebie ciche, stłumione sapnięcie, ponieważ odgłosy te skojarzyły jej się z hałaśliwą, straszliwą, połyskującą komorą w Bolvangarze, gdzie srebrna gilotyna omal jej nie oddzieliła od Pantalaimona. Poczula, jak ukryty w kieszeni dajmon drży, i uspokoiła go delikatnym uściskiem.

Doktor Malone niczego nie zauważyła, była bowiem zbyt zajęta regulowaniem pokręteł i wystukiwaniem liter na kwadracikach w kolorze kości słoniowej. Podczas jej pracy ekran zmienił kolor i pojawiły się na nim małe literki i symbole.

–Usiądź – powiedziała uczona, wstając i podsuwając Lyrze krzesło. Potem otworzyła słoiczek i wyjaśniła: – Muszę ci nałożyć na skórę trochę żelu pod elektrody. Łatwo się zmywa. Nie ruszaj się przez chwilę.

Doktor Malone wzięła sześć przewodów z płaskimi poduszczykami na końcach, które przycisnęła do różnych miejsc na głowie dziewczynki. Lyra siedziała spokojnie i nieruchomo, ale oddychała szybko i serce biło jej mocno.

–W porządku, wszystkie się trzymają – stwierdziła doktor Malone. – W pomieszczeniu jest mnóstwo Cieni. Wszechświat jest ich pełen, wejdź do niego. Jedyne sposoby, by je zobaczyć, to oczyścić umysł i patrzeć na ekran. Zaczynaj.

Lyra spojrzała na ekran. Był ciemny i pusty. Dostrzegła w nim własne blade odbicie, nic więcej. Potem przypomniała sobie, jak się uczyła interpretować odpowiedzi aletheimetru, i zapytała w myślach: „Co uczona wie o Pyle? Jakie pytania zadaje?”.

Gdy dziewczynka poruszyła w myślach wskazówkami aletheimetru, rozmieszczając je wokół wyimaginowanej tarczy, ekran zaczął migać. Zdumiona, na chwilę przestała się koncentrować, a wówczas migotanie ustało. Lyra nie zauważyła, że doktor Malone z podniecenia aż się wyprostowała na krześle; dziewczynka zmarszczyła tylko brwi, pochyliła się i ponownie zaczęła się skupiać.

Tym razem reakcja nastąpiła natychmiast i na ekranie zapłonął strumień tańczących światła, niczym pulsujące pasma zorzy. Światła tworzyły rozmaite wzory, które istniały jedynie przez moment, po czym rozpadały się i formowały w inne kształty lub tylko zmieniały kolory; powstawały pętle, które wyginały się, rozpryskiwały, wybuchały w powodzi blasku, a potem nagle umykały w bok niczym stado ptaków zmieniające kierunek lotu na niebie. Lyra patrzyła na nie i czuła się podobnie jak tamtych dniach, gdy dopiero uczyła się interpretować odpowiedzi aletheimetru. Wydawało jej się, że znajduje się o krok od zrozumienia...

Spytała komputer: „Czy to właśnie jest Pył? Czy ta sama siła tworzy te wzory i

porusza igłą aletheiometru?” Na ekranie pojawiło się jeszcze więcej świetlistych pętli i łuków. Dziewczynka zgadła, że oznaczają one odpowiedź twierdzącą. Potem przyszła jej do głowy kolejna myśl i odwróciła się, aby zadać pytanie doktor Malone. Zobaczyła, że uczona otworzyła usta, a ręką chwyciła się za policzek.

–Co się pani stało? – spytała.

Ekran poszarzał. Doktor Malone zamrugła oczyma.

–O co chodzi? – spytała ponownie Lyra.

–Och... Stworzyłaś najpiękniejszy układ, jaki kiedykolwiek widziałam, to wszystko – przyznała się doktor Malone. – Co takiego zrobiłaś? O czym myślałaś?

–Zastanawiałam się, czy może pani wyjaśnić te odpowiedzi – powiedziała Lyra.

–Wyjaśnić? Nigdy nie widziałam jaśniejszych odpowiedzi!

–Ale co one znaczą? Czy potrafi je pani zinterpretować?

–No cóż – odparła doktor Malone. – Nie potrafię odczytać tego przekazu, jeśli o to ci chodzi. Cienie po prostu informują nas, że zauważyły przesłanie. To i tak jest przełom w naszych badaniach. Przecież reagują na naszą świadomość.

–Nie rozumiemy się – powiedziała Lyra. – Mnie chodzi o te kolory i kształty. Te, hm, Cienie mogłyby przekazywać informacje w inny sposób, w każdy, jaki przyjdzie nam do głowy. Mogą to być bardziej znajome kształty albo obrazy. Niech się pani przyjrzy.

Lyra odwróciła się do komputera i ponownie skupiła myśli, tym razem jednak wyobrażała sobie, że ekran jest tarczą aletheiometru ze wszystkimi trzydziestoma trzema symbolami rozmieszczonymi wokół krawędzi. Znała swój przyrząd tak dobrze, że mimowolnie zginała palce na udach, gdy poruszała wyobrażonymi wskazówkami, pokazując świecę („rozumienie”), alfę i omegę („język”) i mrówkę („pracowitość”). Następnie sformułowała pytanie: „Co ludzie musieliby zrobić, aby zrozumieć język Cieni?”.

Ekran zareagował po sekundzie: z kłębowiska linii i błysków ukształtowała się idealnie klarowna seria obrazów: cyrkiel, znowu alfa i omega, piorun, anioł. Każdy obrazek błyskał kilka razy, po czym pojawiły się trzy inne: wielbłąd, ogród i księżyc.

Lyra rozumiała ich znaczenie i odprężyła się, aby podjąć rozmowę z uczoną. Kiedy odwróciła się w stronę doktor Malone, zobaczyła, że bardzo blada kobieta siedzi bezwładnie na krześle i kurczowo zaciska dłonie na brzegu stołu.

– Teraz odpowiedź pojawiła się w moim języku – tłumaczyła jej Lyra – to znaczy w języku obrazków. Tym samym posługuje się aletheiometr. Myślę, że ta maszyna, komputer, mogłaby wykorzystać alfabet, trzeba tylko spróbować przekształcić obrazki w słowa. Wymagałoby to zapewne wiele czasu i skupienia, ponieważ trzeba by wyobrażać sobie masy liter... Widzi pani? To cyrkiel... A to piorun, który oznacza anbaryczną... to znaczy elektryczną energię. Anioł sugeruje informację. Jaskinia chce nam coś powiedzieć... Hm, jeśli chodzi o drugi rząd... Mamy tu Azję, czyli bardzo Daleki Wschód, choć nie sam wschodni kraniec... Nie wiem, o jaki kraj może chodzić... może o Chiny... Istnieje w tym kraju zapewne jakaś metoda rozmowy z Pyłem, to znaczy z Cieniami... Wy używacie komputera, ja obrazków, a oni... może pałeczek? Sądzę, że sugestia dotyczy tego rysunku na drzwiach, którego nie zrozumiałam właściwie. Kiedy po raz pierwszy go zobaczyłam, wydał mi się ważny, choć nie wiedziałam dlaczego. Cóż, mówiąc ogólnie, chodzi o to, że istnieje wiele sposobów rozmowy z Cieniami.

Doktor Malone aż zabrakło tchu.

– I Ching – odezwała się wreszcie. – Tak, to chińska symbolika. Jakaś forma wróżenia, tak, wróżby... I rzeczywiście Chińczycy używają pałeczek. Ten znak wisi tu tylko dla dekoracji – dodała, jak gdyby chciała zapewnić Lyre, że w to wszystko nie wierzy. – Twierdzisz, że kiedy ludzie radzą się I Ching, kontaktują się z cząsteczkami cienia? Z mroczną materią?

– Tak – przyznała Lyra. – Jak mówiłam, istnieje wiele metod. Przedtem nie zdawałam sobie sprawy z tego faktu. Sądziłam, że sposób jest tylko jeden.

– Te obrazki na ekranie... – zaczęła doktor Malone. Lyra poczuła natłok myśli i odwróciła się ponownie do ekranu. Ledwie zaczęła formułować pytanie, kiedy pojawiło się mnóstwo obrazków; następowały po sobie tak szybko, że doktor Malone niemal nie mogła za nimi nadążyć. Lyra zrozumiała jednak całe przesłanie i zwróciła się do kobiety:

– Jaskinia twierdzi, że pani jest ważna – oświadczyła uczonej. – Mówi, że ma pani do wykonania niezwykle zadanie. Nie wiem jakie, ale wierzę, że to prawda. Aby się dowiedzieć, będzie pani prawdopodobnie musiała się nauczyć rozmawiać z komputerem, używając słów.

Doktor Malone milczała. W końcu się odezwała:

– No cóż, powiedz mi jeszcze raz, skąd przybywasz.

Lyra wydeła usta. Uprzytomniła sobie nagle, że doktor Malone ledwie żywa z wyczerpania i ze zdumienia – w normalnych warunkach nigdy nie pokazałaby, czym się zajmuje, obcemu dziecku, które zjawia się znikąd. Teraz chyba zaczęła żałować

swego czynu. Dziewczynka wiedziała, że musi jej powiedzieć całą prawdę.

–Przybywam z innego świata – powtórzyła. – Naprawdę. Zdołałam się przedostać do pani świata. Byłam... musiałam uciekać, ponieważ w moim świecie ścigali mnie ludzie, którzy chcieli mnie zabić. A aletheiometr pochodzi z... z tego samego miejsca. Dał mi go Rektor Kolegium Jordana. W moim Oksfordzie istnieje takie kolegium, tutaj natomiast go nie ma. Wiem, bo szukałam. Sama się nauczyłam interpretować odpowiedzi aletheiometru. Umiem się skupić i po prostu czytam symbole. Dokładnie tak, jak pani mówiła o... wątpliwościach, tajemnicach i tak dalej. Patrząc na Jaskinię, postąpiłam w identyczny sposób i udało mi się. Mój Pył i pani Cienie są jednym i tym samym zjawiskiem. Więc...

Doktor Malone już się całkowicie otrząsnęła z odrętwienia. Lyra wzięła aletheiometr i – niczym matka chroniąca swoje dziecko – zawinęła go w aksamitny materiał, po czym włożyła z powrotem do plecaka.

–Więc – podjęła – może się pani postarać, aby ten ekran odpowiedział słowami. Wtedy mogłaby pani prowadzić dialog z Cieniami tak jak ja z aletheiometrem. Chciałabym tylko wiedzieć, dlaczego ludzie w moim świecie go nienawidzą? To znaczy Pyłu. Cieni. Mrocznej materii. Chcą go zniszczyć. Sądzą, że jest zły. Mnie się natomiast zdaje, że złe jest to, co oni robią. A widziałam, co robią. No więc, czym są te Cienie? Dobrem, złem czy czymś zupełnie innym?

Doktor Malone potarła twarz i jej policzki mocno się zarumieniły.

–To wszystko nie jest takie proste – odrzekła. – Wiesz, jak kłopotliwe jest używanie w naukowej pracowni takich określeń jak „dobro” czy „zło”? Wiesz? Zostałam naukowcem między innymi dlatego, żeby nie musieć myśleć o tego rodzaju sprawach.

–Trzeba myśleć o takich sprawach – powiedziała Lyra ostrym tonem. – Nie można badać Cieni, Pyłu, jeśli się unika takich rozgraniczeń. Proszę pamiętać, komputer wyznaczył pani zadanie. Nie może mu pani odmówić. Kiedy zamierzają rozwiązać wasz zespół?

–Komisja przyznająca fundusze ma podjąć decyzję pod koniec tygodnia... Dlaczego pytasz?

–Ma więc pani do dyspozycji dzisiejszy wieczór – odparła Lyra. – Może pani skłonić komputer, aby przekształcał moje obrazki w słowa. To powinno być bardzo łatwe. Wtedy wystarczy zaprezentować eksperyment osobom z komisji i powinni pani dać pieniądze na kontynuację badań. Dowiedziałyby się pani wszystkiego o Pyle, czyli Cieniach, i powiedziałyby mnie. Widzi pani – ciągnęła Lyra nieco wyniosłym tonem, jak księżna opowiadająca o niezadowolającej ją pokojówce – aletheiometr nie mówi

wszystkiego, co mnie interesuje, pani jednak mogłaby się tego dla mnie dowiedzieć. W przeciwnym razie będę chyba musiała spróbować z tymi Ching... pałeczkami. Chociaż obrazki są łatwiejsze. Przynajmniej ja tak uważam. Teraz niestety muszę iść – zakończyła i zdjęła z głowy elektrody.

Doktor Malone wręczyła dziewczynce papierową chusteczkę, aby wytarła żel, po czym wzięła elektrody i zwinęła przewody.

–Idziesz więc? – spytała. – Spędziłam z tobą naprawdę niezwykłą godzinę.

–Postara się pani, żeby komputer odpowiadał słowami? – spytała Lyra, zapinając plecak.

–Przypuszczam, że pożytek z tego ten sam co z podania o fundusze – mruknęła doktor Malone. – Ale posłuchaj. Może przyszlabyś tu jutro? Możesz? Mniej więcej o tej samej porze. Chcę, abyś pokazała to doświadczenie jeszcze jednej osobie.

Lyra zmrużyła oczy, zastanawiając się, czy nie wpadnie w pułapkę.

–No cóż, dobrze – odrzekła. – Ale niech pani pamięta, że potrzebuję pewnych informacji.

–Tak. Oczywiście. Przyjdiesz?

–Jasne – odpowiedziała Lyra. – Jeśli obiecuję, że przyjdę, to dotrzymuję słowa. Sądzę, że mogłabym pani pomóc.

To powiedziawszy, wyszła. Portier za kontuarem spojrzał na nią krótko, potem wrócił do czytania gazety.

–O rany! Prace wykopaliskowe w Nuniatak! – krzyknął archeolog, odpychając obrotowe krzesło. – Jesteś drugą osobą w tym miesiącu, która mnie o nie pyta.

–Kim była pierwsza? – spytał czujnie Will.

–Chyba jakiś dziennikarz, nie jestem pewny.

–Do czego potrzebował tych informacji?

–Interesował go jeden z mężczyzn, którzy zniknęli podczas tej wyprawy. Ekspedycja zaginęła w czasie zimnej wojny. Gwiezdných Wojen. Jesteś prawdopodobnie zbyt młody, aby pamiętać ten okres. Amerykanie i Rosjanie budowali w Arktyce ogromne radary... A zatem, co mogę dla ciebie zrobić?

–No cóż – odparł Will, starając się zachować spokój – próbowałem się czegoś dowiedzieć na temat tej ekspedycji. Do szkolnego referatu poświęconego ludziom

prehistorycznym. Przeczytałem o zaginionych członkach wyprawy i ta opowieść mnie zaintrygowała.

–Hm, jak widzisz, nie ciebie jednego. W swoim czasie tej sprawie towarzyszyło spore zainteresowanie. Odszukałem dla tego dziennikarza wszystkie dane. Wyprawa miała na celu jedynie badania przygotowawcze. Nie można zacząć prac wykopaliskowych, póki ktoś nie sprawdzi, czy w ogóle warto je prowadzić, i do tego celu wyznaczono tę właśnie grupę. Miała obejrzeć różne miejsca i sporządzić sprawozdania na temat ich badawczej przydatności. Wyruszyło sześciu ludzi. Czasami w takiej ekspedycji wysyła się jakichś specjalistów, na przykład, hm, geologa, aby podzielić koszty. Członkowie wyprawy wykonują swoje zadania, a specjaliści – swoje. W tamtej wyprawie uczestniczył fizyk. Sądzę, że obserwował cząsteczki w wysokich partiach atmosfery. Zorza, wiesz, światła północy. Prawdopodobnie ten fizyk dysponował balonami z nadajnikami radiowymi. Był z nimi ktoś jeszcze. Eks – żołnierz Marynarki, a równocześnie zawodowy odkrywca. Pewnego dnia wyprawili się na szczególnie dzikie obszary, gdzie aż się roilo od niedźwiedzi polarnych. Niedźwiedzie są w Arktyce strasznie niebezpieczne... Archeologowie nie ćwiczą strzelania, toteż osoba, która umie się poruszać po nieznanym terenie, rozbić namiot i, ogólnie rzecz biorąc, potrafi przeżyć w każdych warunkach, jest niezwykle użyteczna.

A potem cała grupa zaginęła – ciągnął. – Utrzymywali kontakt radiowy z lokalną stacją badawczą, ale pewnego dnia się nie zgłosili. Szalała wówczas burza śnieżna, co się często zdarza w tamtym regionie. Po jakimś czasie wysłano ekspedycję poszukiwawczą, która odnalazła ich ostatni obóz w stanie mniej więcej nienaruszonym, tyle że niedźwiedzie zjadły ich zapasy. Nie było żadnych śladów ludzi... Obawiam się, że nic więcej nie jestem ci w stanie powiedzieć.

–No cóż – powiedział Will. – Dziękuję. Hmm... a ten dziennikarz – dodał, zatrzymawszy się przy drzwiach -...mówił pan, że interesował się jednym z mężczyzn. Którym?

–Marynarzem. Mężczyzną nazwiskiem Parry.

–Jak wyglądał? To znaczy... ten dziennikarz.

–Po co chcesz to wiedzieć?

–Ponieważ... – Will zająknął się, nie potrafił bowiem wymyślić wiarygodnego wyjaśnienia. Nie powinien był pytać. – Bez powodu. Tak się po prostu zastanawiałem...

–O ile pamiętam, był to zwalisty blondyn. Miał bardzo jasne włosy.

–Dziękuję – powiedział Will i odwrócił się do wyjścia.

Mężczyzna, lekko marszcząc brwi, obserwował bez słowa, jak chłopiec opuszcza pokój. Kątem oka Will dostrzegł, że archeolog podnosi słuchawkę telefonu, więc szybko opuścił budynek.

Chłopiec przyłapał się na tym, że drży. Z opisu tak zwanego dziennikarza rozpoznał jednego z mężczyzn którzy nachodzili jego dom. Mężczyzna był wysoki i tak jasnowłosy, że wydawał się nie mieć ani brwi, ani rzęs. To nie jego Will zepchnął ze schodów... Blondyn pojawił się w drzwiach salonu, gdy chłopiec uciekał, przeskoczywszy przez ciało martwego.

I z pewnością nie był dziennikarzem.

W pobliżu znajdowało się wielkie muzeum. Will wszedł do środka. Z notesem w rękę zamierzał sprawiać wrażenie, jak gdyby wykonywał poleconą przez kogoś pracę. Usiadł w galerii obwieszanej obrazami. Drżał i czuł mdłości, ponieważ znowu ciążyła mu świadomość, że kogoś zabił. Był mordercą! Do tej pory jakoś nad sobą panował, w końcu jednak własne myśli go osaczyły. Przecież odebrał życie innemu człowiekowi!

Siedział nieruchomo przez pół godziny. Były to chyba najgorsze dwa kwadransy, jakie kiedykolwiek przeżył. Ludzie przechodzili obok, nie zwracając na niego uwagi, oglądali obrazy i rozmawiali ściszymi głosami. Dozorca galerii przez kilka minut stał w progu z rękoma założonymi z tyłu, a potem powoli się oddalił. Will nadal zmagał się ze wspomnieniami okropnego czynu, nie poruszając ani jednym mięśniem.

Stopniowo się uspokajał, tłumacząc sobie, że przecież bronił swej matki. Ci ludzie wszak ją przerażali. Biorąc pod uwagę jej stan, można nawet powiedzieć, że ją prześladowali. Miał prawo bronić swego domu! Jego ojciec na pewno by sobie tego życzył. Will zabił przypadkiem. Musiał zapobiec kradzieży zielonej skórzanej teczki. Pokonał tych mężczyzn, aby odnaleźć ojca. Czy nie miał prawa się bronić? Przypomniały mu się dziecięce gry: na przykład, gdy wyobrażał sobie, że wraz z ojcem ratują się z lawiny albo walczą z piratami. No cóż, teraz zabawa zmieniła się w rzeczywistość.

Odnajdę cię – postanowił w myślach. – Po prostu mi pomóż, a odnajdę cię, wrócimy do domu, zaopiekujemy się mamą i wszystko będzie dobrze...

Pomyślał, jakie to szczęście, że przynajmniej ma się gdzie ukryć. Ten alternatywny świat zapewniał mu bezpieczeństwo, nikt go w nim nie znajdzie. A papiery z teczki (których ciągle nie zdążył przeczytać) były również bezpieczne pod materacem w Citt'gazze.

W końcu chłopiec zauważył, że ludzie poruszają się bardziej celowo i wszyscy w

tym samym kierunku. Wychodzili, gdyż dozorca powiedział, że za dziesięć minut zamyka muzeum. Will zmusił się, by wstać, i wyszedł. Znalazł drogę na High Street, gdzie znajdowało się biuro radcy prawnego matki, i zastanowił się, czy pójść na spotkanie z mężczyzną, mimo iż wcześniej odmówił. Głos adwokata brzmiał dość przyjaźnie...

Kiedy jednak podjął decyzję, aby przejść przez ulicę i wejść do budynku, nagle stanął jak wryty.

Z samochodu wysiadał akurat wysoki mężczyzna o jasnych brwiach.

Chłopiec natychmiast, niby od niechcienia, odwrócił się w bok i spojrzał w okno sklepu jubilerskiego. W szybie dostrzegł odbicie blondyna, który rozejrzał się, poprawił węzeł krawata, po czym wszedł do biura radcy. Gdy zniknął, Will szybko odszedł, serce znowu mu łomotało. W tym świecie nie mógł się ukryć. Ruszył ku bibliotece uniwersyteckiej. Tam umówił się z Lyrą.

LISTY Z DALEKA

–Willu – odezwała się dziewczynka. Powiedziała to cicho, ale chłopiec i tak się przestraszył.

Lyra usiadła obok niego na ławce, a on nawet tego nie zauważył.

–Skąd się tu wzięłaś?

–Znalazłam moją uczoną! Nazywa się doktor Malone. Ma taką maszynę, która widzi Pył, i skłoni ją do mówienia...

–Nie zauważyłem, jak przyszedłaś.

–Nie patrzyłeś – odparła. – Chyba myślałeś o czymś innym. Dobrze, że cię znalazłam. Wiesz, łatwo jest okpić ludzi. Uważaj.

Szło ku nim dwoje policjantów, mężczyzna i kobieta. Mieli białe, letnie koszule, radia i pałki. Patrzyli podejrzliwie. Zanim dotarli do ławki, Lyra wstała, podeszła i odezwała się do nich.

–Przepraszam, czy moglibyście mi państwo powiedzieć, gdzie jest muzeum? – spytała. – Ja i mój brat mamy się tam spotkać z rodzicami, ale się zgubiliśmy.

Policjant spojrział na Willa, a ten, powstrzymując gniew, wzruszył ramionami, jak gdyby potwierdzał słowa Lyry: „zgubiliśmy się, czy to nie głupie?”. Mężczyzna uśmiechnął się, kobieta natomiast spytała:

–O które muzeum wam chodzi? Muzeum sztuki nowoczesnej?

–Tak, właśnie to – odparła Lyra i udawała, że słucha uważnie, gdy kobieta wskazywała jej drogę.

Will wstał i podziękował, po czym wraz z Lyrą odeszli. Nie oglądali się za siebie, ale policjanci i tak już się przestali nimi interesować.

–Widzisz? – szepnęła dziewczynka. – Jeśli cię szukali, zmyliłam ich. Nie interesują ich rodzeństwa. Lepiej trzymaj się od tej pory blisko mnie – dodała gderliwie, gdy skręcili za róg. – Sam nie jesteś bezpieczny.

Will nic nie odpowiedział, choć ze zdenerwowania serce waliło mu szaleńczo. Szli dalej ku kolistemu budynkowi z wielką, ciężką kopułą, który stał na placu otoczony kamiennymi kolegiálnymi budynkami w kolorze miodu. Obok znajdował się kościół, a ponad wysokim ogrodowym murem rosły drzewa o rozłożystych koronach. Popołudniowe słońce oświetlało miasto ciepłymi promieniami, a powietrze wydawało

się przesycone kolorem mocnego wina o złotej barwie. Nie było wiatru i liście nie poruszały się. Na małym placu nawet hałas uliczny był cichszy.

W końcu Lyra zauważyła smutną minę Willa i spytała:

–O co chodzi?

–Jeśli odzywasz się do ludzi, przyciągasz ich uwagę – wyjaśnił drżącym głosem. – Trzeba po prostu siedzieć cicho i spokojnie, a wtedy wcale cię nie zauważą. Postępowałem tak przez całe życie. Znam się na tym. Twój sposób jest znacznie gorszy... stajesz się widoczna. Nie powinnaś tego robić. Nie powinnaś igrać z niebezpieczeństwem. To ryzykanctwo. Jesteś niepoważna.

–Tak uważasz? – spytała, gniewnie błyskając oczyma – Sądzisz, że nie znam się na kłamstwach? Jestem najlepszą kłamczucha na świecie. Ale ciebie nie okłamuję i przysięgam, że nigdy nie będę. Jesteś w niebezpieczeństwie i gdybym nie podeszła do tych policjantów, złapaliby cię. Nie widziałeś, jak na ciebie patrzyli? Naprawdę. Nie jesteś wystarczająco ostrożny. Chcesz znać moje zdanie? Uważam, że to właśnie ty zachowujesz się niepoważnie.

–Tak? Po co, w takim razie, czekam tu na ciebie skoro mógłbym być daleko stąd? Albo ukrywać się spokojnie w tamtym mieście w innym świecie? Mam własne sprawy, ale tkwię tutaj, żeby ci pomóc. Nie mów mi, że zachowuję się głupio.

–Ależ musiałeś tu wrócić! – krzyknęła wściekła. Nikt nie miał prawa mówić do niej w taki sposób, była przecież arystokratką. Była Lyra. – Musiałeś, w przeciwnym razie nigdy byś się nie dowiedział niczego na temat swego ojca. Zrobiłeś to dla siebie, nie dla mnie.

Do tej pory kłócili się zapalczywie, lecz przytłumionymi głosami – ze względu na ciszę panującą na placu i przechodzących obok ludzi. Kiedy jednak dziewczynka wypowiedziała ostatnie słowa, Will umilkł, ze strachu oparł się o ścianę kolegium, a twarz straszliwie mu pobladła.

–Co wiesz o moim ojcu? – spytał bardzo cicho.

–Nic nie wiem – odpowiedziała Lyra równie cicho. – Wiem tylko, że go szukasz. Jedyne o to spytałam.

–Kogo spytałaś?!

–Oczywiście aletheiometr.

Minęła chwila, zanim chłopiec przypomniał sobie, o czym mówi jego towarzyszka. Nadal jednak patrzył tak gniewnie i podejrzliwie, że dziewczynka wyjęła przyrząd z

plecaka i powiedziała:

–No dobrze, pokażę ci.

Usiadła na kamiennym krawężniku otaczającym trawnik na środku placu, pochyliła głowę nad złotym przyrządem i zaczęła ustawiać wskazówki; jej palce poruszały się zbyt szybko, aby Will dostrzegł wszystkie szczegóły. Potem przerwała na chwilę i w tym czasie cienka igła zaczęła się poruszać wokół tarczy, zatrzymując się w niektórych miejscach. Układ wskazówek zmieniał się bardzo szybko. Will rozglądał się ostrożnie, na szczęście poblizu nie było nikogo, a w oddali stała jedynie grupka turystów, którzy spoglądali w górę na zaokrągloną kopułę budynku; po chodniku toczył swój wózek sprzedawca lodów, jednak jego uwagę zaprzętało coś innego niż dwoje dzieci.

Lyra zamrugała powiekami i westchnęła, jak gdyby budziła się ze snu.

–Twoja matka jest chora – odezwała się cicho. – Lecz nic jej w tej chwili nie grozi. Opiekuje się nią twoja znajoma. Wzięłeś jakieś listy i uciekłeś. W twoim domu był męczyczna, chyba złodziej. Zabiłeś go. Szukasz ojca i...

–Już dobrze, przestań – burknął Will. – Wystarczy. Nie masz prawa grzebać w moim życiu. Nigdy więcej tego nie rób. To szpiegowanie.

–Wiem, kiedy przestać pytać – obruszyła się. – Zresztą, aletheiometr czasem się zachowuje prawie jak człowiek. Widzę, że się na mnie złości albo nie chce mi czegoś powiedzieć. Wyczuwam to. Zrozum jednak, że gdy się wczoraj pojawiłeś, dla własnego bezpieczeństwa musiałam zapytać, kim jesteś. Musiałam! Wtedy urządzenie powiedziało mi... – Jeszcze bardziej zniżyła głos. – Powiedziało, że jesteś mordercą, a ja pomyślałam, że w takim razie mogę ci zaufać. Nie zadałam do tej pory innych pytań i jeśli nie chcesz, nie zrobię tego. Aletheiometr nie jest moim prywatnym fotoplastykonem. Gdybym szpiegowała ludzi, przestałby działać. Wiem o tym tak samo dobrze, jak znam mój Oksford.

–Mogłaś mnie po prostu spytać. Urządzenie nie powiedziało ci, czy mój ojciec żyje?

–Nie, ponieważ nie spytałam.

Siedzieli w milczeniu. Will ze znużeniem ukrył twarz w dłoniach. – No cóż – odezwał się w końcu. – Najwyraźniej musimy sobie nawzajem zaufać.

–Zgadza się. Ja ci ufam.

Chłopiec ponuro pokiwał głową. Był bardzo zmęczony ale w tym świecie nie mógł sobie pozwolić nawet na chwilę snu. Lyra nie była osobką zbyt spostrzegawczą, jednak coś w zachowaniu chłopca zastanowiło ją – widziała, że się boi, lecz panuje

nad strachem; przypadkowo postępował zgodnie z zaleceniami lorka Byrnisona: tak samo jak Lyra przed rybiarnią nad zamrożonym jeziorem.

–Wiedz, Willu, że nie wydam cię nikomu – dodała. – Przysięgam.

–To dobrze.

–Zdarzyło mi się to już wcześniej. Zdradziłam kogoś. Nigdy nie zrobiłam niczego gorszego niż to... Ponieważ sądziłam, że mu ratuję życie, zabrałam go w najbardziej dla niego niebezpieczne miejsce na ziemi. Do dziś nienawidzę siebie za swoją głupotę. Postaram się z całych sił zapanować nad własnymi reakcjami. Nie zapomnę się i nie zdradzę nikomu tego, co o tobie wiem.

Chłopiec nie odezwał się. Przetarł oczy i zamrugał szybko, walcząc z sennością.

–Przez pewien czas nie możemy wrócić przez okienko – zauważył. – Nie powinniśmy z niego korzystać w świetle dziennym. Nie wolno nam ryzykować. Ktoś mógłby nas zobaczyć. Teraz musimy więc jakoś przeczekać te kilka godzin...

–Jestem głodna – powiedziała Lyra. Will przez chwilę się zastanawiał.

–Już wiem! Możemy pójść do kina!

–Gdzie?

–Pokażę ci. Tam też możemy kupić jedzenie.

Kino znajdowało się blisko centrum miasta, dziesięć minut piechotą od placu, na którym siedzieli. Will zapłacił za bilety, a w środku kupił hot dogi, popcorn i colę. Wzięli jedzenie, weszli na widownię i usiedli. Film właśnie się zaczynał.

Lyra była zachwycona. Widziała wyświetlane na ścianie fotogramy, jednak nic w jej świecie nie przygotowało jej na fenomen kina. Łapczywie pochłonęła hot doga i popcorn, niemal jednym łykiem wypła colę, aż nie mogła złapać tchu. Co chwila wybuchała śmiechem na widok postaci na ekranie. Na szczęście pełna dzieci widownia zachowywała się równie hałaśliwie, toteż podniecenie Lyry nie zwracało uwagi. Will z kolei natychmiast zapadł w sen.

Obudziły go odgłosy szurania. Ludzie wstawali i wychodzili. Chłopiec zamrugał oczyma. Jego zegarek wskazywał kwadrans po ósmej. Lyra wstała, ociągając się.

–To najlepsza rzecz, jaką widziałam w życiu – oznajmiła. – Nie wiem, dlaczego nie wynaleziono kina w moim świecie. Niektóre nasze wynalazki są lepsze niż wasze, ale żaden nie dorównuje temu!

Will nawet nie pamiętał, jaki film wyświetlano. Na dworze nadal było jasno. Na ulicach panował ruch.

–Chcesz obejrzeć jeszcze jeden film?

–Tak!

Poszli do następnego kina, które znajdowało się kilkaset metrów dalej, za rogami. Lyra usiadła, kładąc stopy na siedzeniu fotela, i otoczyła rękoma kolana. Will ponownie zapadł w drzemkę. Kiedy wyszli po filmie, do północy została ponad godzina – zdaniem chłopca, pora była zupełnie odpowiednia.

Lyra znowu zgłodniała, kupili więc w budce hamburgery (kolejna nowość dla dziewczynki) i zjedli je po drodze.

–U nas zawsze się siedzi przy jedzeniu. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś szedł i jadł – trajkotała Lyra. – Twój świat bardzo się różni od naszego. Na przykład ruch uliczny. Nie lubię go. Lubię natomiast kino i hamburgery. Bardzo je lubię. I tę uczoną, doktor Malone, która nauczy mówić swój komputer. Wiem, że jej się uda. Wrócę do niej jutro i zobaczę, jak sobie radzi. Założę się, że potrafię jej pomóc. Zapewne mogłabym również skłonić ludzi z komisji, aby przyznali jej potrzebne fundusze. Wiesz, jak sobie poradził mój ojciec, Lord Asriel? Oszukał...

Dzieci szły Banbury Road i podczas drogi dziewczynka opowiadała Willowi o nocy, kiedy schowała się w szafie i obserwowała, jak Lord Asriel pokazuje Uczonym z Jordana odciętą głowę Stanislausa Grummana umieszczoną w próżniowym pojemniku. A ponieważ chłopiec przysłuchiwał się z zaciekawieniem, Lyra opowiedziała mu resztę swojej historii – od dnia, w którym uciekła z mieszkania pani Coulter, aż do tego strasznego momentu, gdy zrozumiała, że nieświadomie przywiodła Rogera na śmierć wśród lodowych klifów Svalbardu. Will nie przerywał i nie komentował, ale słuchał z uwagą i współczuciem. Wydawało mu się, że relacja dziewczynki z podróży balonem i opowieści o pancernych niedźwiedziach, czarownicach i przerażającej działalności Kościoła to inne fragmenty jego fantastycznego snu o pięknym mieście na morzu, cichym i bezpiecznym – miejscu, które zgodnie z logiką nie miało prawa istnieć.

W końcu dzieci doszły do obwodnicy i grabów. O tej porze panował tu bardzo mały ruch: samochody przejeżdżały mniej więcej co minutę, nie częściej. Okienko w powietrzu nie zniknęło. Will uśmiechnął się z ulgą, pocieszając się, że wszystko będzie dobrze.

–Ruszam pierwszy – oświadczył Lyrze. – Przejdź za mną dopiero, gdy nic nie będzie jechało.

W chwilę później chłopiec znalazł się na trawie pod palmami, po minucie

dziewczynka dołączyła do niego.

Cieszyli się, jak gdyby wrócili do domu. Noc była ciepła, w powietrzu pachniało kwiatami i morzem, wszędzie panowała przyjemna, kojąca cisza.

Lyra przeciągnęła się i ziewnęła. Will poczuł, że wielki ciężar spadł mu z ramion. Strach przez cały dzień przytłaczał go, niemal przyciskał do ziemi; teraz Will był wolny i spokojny.

Nagle dziewczynka chwyciła go za ramię. W tej samej sekundzie usłyszał głos. Na któreś z małych uliczek za kafeterią krzyczało jakieś stworzenie.

Will natychmiast ruszył w tamtą stronę. Lyra podążyła za nim. Biegli wąską, oświetloną światłem księżyca alejką, wiele razy skręcali i zawracali, aż wreszcie dotarli na plac przed kamienną wieżą, którą widzieli rano.

Stało przed nią prawie dwadzieścioro dzieci. Niektóre z nich miały w rękach kije, inne rzucały kamieniami w zwierzę, które osaczyły przy ścianie. Lyra początkowo sądziła, że dręczą inne dziecko, lecz straszliwy, przenikliwy dźwięk z pewnością nie wydobywał się z ust człowieka. Okrutne dzieci krzyczały ze strachem i nienawiścią.

Will podbiegł do grupy i pociągnął ku sobie najbliższe stojące dziecko – chłopca mniej więcej w jego wieku, ubranego w pasiastą koszulkę z krótkimi rękawami. Jego oczy pałały nienawiścią. Pozostałe dzieci dostrzegły Willa i Lyrę, odwróciły się w ich stronę. W grupie stali również z kamieniami w rękach Angelica i jej mały brat. Oczy wszystkich dzieci połyskiwały dziko w świetle księżyca.

Zapadło milczenie, przerywane jedynie przez piski i płacz. W pewnej chwili Will i Lyra zobaczyli prześladowaną istotę: burą kotkę, która kulila się przy ścianie wieży; nieszczęsne stworzenie miało rozdarte ucho i nienaturalnie wygięty ogon. Tę właśnie, podobną do Moxie kotkę Will widział w alei Sunderland i ona pokazała mu okienko do tego świata.

Gdy ją dostrzegł, natychmiast odepchnął chłopca, którego przytrzymał. Tamten upadł na ziemię, po czym zerwał się wściekły. Zamierzał rzucić się na przeciwnika, jednak powstrzymały go inne dzieci. Will klęknął przy kotce.

Wziął ją w ramiona, a ona od razu przywarła do jego piersi. Tuląc ją, wstał i śmiało patrzył na małych okrutników. Przez sekundę Lyra pomyślała, że w końcu zjawiała się dajmona jej przyjaciela.

–Za co krzywdzicie tego kota? – spytał.

Nikt mu nie odpowiedział. Dzieci stały, sapiąc z gniewu. Oddychały głośno i zaciskały w dłoniach kije lub kamienie. Wściekłość odebrała im mowę.

Dopiero po pewnym czasie głośno i wyraźnie przemówiła Angelica:

–Nie jesteście stąd! Nie jesteście z Ci’gazze! Nie wiedzieliście nic o upiorach, nie wiecie też o kocie. Nie jesteście do nas podobni!

Chłopiec w pasiastej koszulce wrywał się do walki i gdyby nie kot w ramionach Willa, zapewne rzuciłby się na obcego. Will z pewnością nie pozostałby mu dłużny, więc rozgorzałyby prawdziwa bitwa na pięści, zęby i kopniaki; wręcz wyczuwało się wzajemną nienawiść obu chłopców. Na szczęście, przeciwnik Willa obawiał się kota.

–Skąd jesteście? – spytał pogardliwie.

–To nie ma znaczenia. Jeśli boicie się kotki, zabiorę ją stąd. Może wam przynosi pecha, nam jednak na pewno nie. Teraz zejście mi z drogi.

Przez chwilę Will sądził, że dzieci przezwyciężą strach i ruszą do ataku. Już się przygotowywał, by postawić na ziemi ranne zwierzątko i walczyć, wtedy jednak rozległo się niskie, głośne warknięcie wielkiego kota. Wszyscy spojrzeli w kierunku Lyry. Dziewczynka trzymała rękę na grzbiecie ogromnego, cętkowanego lamparta; obnażone zęby stworzenia lśniły bielą. Nawet Will, który rozpoznał w kocie Pantalaimona, przeżył chwilę przerażenia. W kilka sekund później pozostali na placu tylko we troje. Dzieci rozpierzchły się na wszystkie strony.

Zanim odeszli, Lyra podniosła oczy na wieżę, ponieważ Pantalaimon zasygnalizował jej niebezpieczeństwo. Przez sekundę dziewczynka widziała na samym szczycie ludzka postać, która spoglądała w dół ponad wieńczącymi murek blankami. Osobnik nie był dzieckiem, lecz młodzieńcem o kędzierzawych włosach.

Pół godziny później Will i Lyra weszli do mieszkania nad kafeterią. Chłopiec znalazł puszkę ze skondensowanym mlekiem i nalał je do miseczki; kotka wychłęptała łąpczywie biały płyn, potem zaczęła sobie lizać rany. Pantalaimon z ciekawości także przybrał kocią postać. W pierwszej chwili ranne zwierzę zjeżyło się na jego widok, później jednak zdało sobie sprawę z faktu, że Pantalaimon nie jest prawdziwym kotem i nie stanowi dla niego zagrożenia, więc go zignorowało.

Zafascynowana Lyra obserwowała, jak Will pielęgnuje kotkę. W świecie dziewczynki zwierzęta pracowały dla ludzi (z wyjątkiem pancernych niedźwiedzi) – na przykład zadaniem kotów było oczyszczanie Kolegium Jordana z myszy; nikt nie hodował zwierząt dla przyjemności.

–Obawiam się, że kotka ma złamany ogon – zauważył Will. – Nie wiem, co zrobić. Może sam się zagoi. Nałożę jej trochę miodu na ucho. Czytałem gdzieś, że działa odkażająco...

Rana była zabrudzona, na szczęście kotce udało się dosięgnąć do niej językiem.

Zlizując miód, sama ją oczyściła.

–Jesteś pewien, że to ta sama kotka? – spytała Lyra.

–Och, tak. Ponieważ wszystkie tutejsze dzieci tak bardzo boją się kotów, przypuszczam, że nie ma w tym świecie ani jednego. Biedaczka nie potrafiła prawdopodobnie znaleźć drogi powrotnej.

–Te dzieciaki są naprawdę szalone – stwierdziła Lyra. – Zabiłyby ją. Nigdy nie widziałam takich małych okrutników.

–Ja widziałem – mruknął Will. Usta miał zacięte. Najwyraźniej nie chciał opowiadać o tej sprawie, a dziewczynka pomyślała, że lepiej nie pytać. Postanowiła, że nie zapyta o to aletheiometru.

Była bardzo zmęczona, toteż niebawem poszła do łóżka i od razu zasnęła.

Nieco później, gdy kotka skuliła się do snu, Will nalał sobie filiżankę kawy i usiadł na balkonie z zieloną skórzaną teczką. Przez okno z pokoju docierało wystarczająco dużo światła, aby czytać, a chłopiec chciał wreszcie przejrzeć papiery.

Nie było ich wiele. Tak jak się spodziewał, zawartość teczek stanowiły napisane czarnym atramentem listy w kopertach ze znaczkami poczty lotniczej. Wszystkie listy napisał człowiek, którego Will tak bardzo pragnął znaleźć. Chłopiec przebiegał po nich palcami i przyciskał je do twarzy, jak gdyby próbował poczuć zapach zaginionego ojca. Potem zaczął czytać.

Fairbanks, Alaska Środa, 19 czerwca 1985

Moje Kochanie!

Otocza mnie typowa dla tego typu wypraw mieszana skuteczności i chaosu. Niby wszystko zostało zorganizowane, gdy nagle okazało się, że nasz fizyk, geniusz i tuman w jednej osobie, nazwiskiem Nelson, nie dopełnił formalności związanych z transportem w góry swoich piekielnych balonów. Fakt ten spowodował zwłokę w podróży. Zresztą, dzięki temu udało mi się porozmawiać z pewnym starcem o nazwisku Jake Petersen, którego spotkałem już poprzednio, poszukiwaczem złota. Teraz wytropiłem go w obskurnym barze i podczas telewizyjnej transmisji meczu baseballowego spytałem ponownie o interesującą mnie Szczelinę. Stary nie chciał rozmawiać w miejscu publicznym, więc zabrał mnie do swojego mieszkania i pogadaliśmy sobie przy butelce jacka danielsa. Mówił długo. Sam wprawdzie nie widział Szczeliny, ale słyszał o niej od pewnego Eskimosa. Podobno za nią znajdują się drzwi do duchowego świata. Eskimosi wiedzą o nich od stuleci. W trakcie inicjacji kandydat na szamana musi nawet przez nie przejść i przynieść jakieś trofeum. Niektórzy śmiałkowie nigdy stamtąd nie wrócili. Stary Jake miał mapę tego

obszaru. (Na wszelki wypadek podam ci namiary - punkt leży na 69° 2' 11" długości geograficznej północnej, 157° 12' 19" szerokości geograficznej zachodniej, na krawędzi Pasma Obserwacyjnego, milę albo dwie na północ od rzeki Colville). Starzec opowiedział mi też inne arktyczne legendy, między innymi o norweskim statku, który dryfował bez załogi przez sześćdziesiąt lat. Tutejsi archeologowie stanowią przyzwoity zespół - wszyscy są chętni do pracy, łącznie z Nelsonem (i jego balonami). Żaden z nich nigdy nie słyszał o Szczelinie i wierz mi, zamierzam trzymać ich w nieświadomości. Najczulsze pozdrowienia dla was obojga

Johnny

Umiat, Alaska Sobota, 22 czerwca 1985

Moje Kochanie!

Okazało się, że Nelson, którego nazwałem geniuszem i tumanem w jednej osobie, wcale nie jest fizykiem, a w dodatku sam szuka Szczeliny i dlatego zainicjował tamten postój w Fairbanks. Uwierzysz? Sądził, że reszta zespołu zgodzi się na zwłokę jedynie z powodu problemów z transportem, odwołał więc zamówiony wcześniej pojazd. Dowiedziałem się o tym przez przypadek i zamierzałem szczegółowo wypytać mojego towarzysza podróży, co, u diabła, planuje, lecz podstuchiłem, jak opowiadał komuś przez radio o Szczelinie, tyle że nie znał jej położenia. Później postawiłem mu drinka i odegrałem prostodusznego żołnierza, starego arktycznego podróżnika obeznanego ze wszystkim. Chciałem mu dokuczyć, podjąłem więc temat ograniczeń nauki, mówiłem: „Założę się, że nie potrafi pan wyjaśnić zagadki Wielkiej Stopy” i takie tam. Obserwowałem go z uwagą, aż nagle wspomniałem o Szczelinie, o eskimoskiej legendzie i o wejściu do duchowego, niewidzialnego świata. Powiedziałem, że to miejsce podobno znajduje się gdzieś w okolicy Pasma Obserwacyjnego, ku któremu akurat się kierujemy. Mój rozmówca niby zachował kamienną twarz, wiedział jednak świetnie, o czym mówię. Udawałem, że tego nie zauważam, i zmieniłem temat. Opowiedziałem mu historię zairskiego lamparta, dzięki czemu - mam nadzieję - uznał mnie za przesądneho wojskowego durnia. Na pewno mam rację, Elaine, on także szuka Szczeliny. Pytanie brzmi: podzielić się z nim informacjami czy nie? Muszę się dowiedzieć, o co chodzi w tej całej sprawie. Najczulsze pozdrowienia dla was obojga

Johnny

Bar „Coluille”, Alaska 24 czerwca 1985

Kochanie!

Przez jakiś czas nie będę w stanie wysyłać listów. Za tym miastem ciągną się Góry Brooksa, na które moi archeologowie zamierzają się wspiąć. Jeden z nich żywi

przekonanie, że znajdzie tam dowody bardzo wczesnego osadnictwa - wcześniejszego, niż ktokolwiek się spodziewa. Spytałem, skąd się bierze jego pewność i o jaki mniej więcej okres chodzi, a on powiedział mi o pewnej rzeźbionej kości narwala, którą znalazł podczas poprzedniej wyprawy. Podczas badania przy użyciu węgla 14 odkryto, że jest bardzo, bardzo stara, wręcz nieprawdopodobnie i „niemożliwie” stara. Nie zdziwiłbym się, gdyby dotarła tutaj przez „moją” Szczelinę z jakiegoś innego świata. Fizyk Nelson stał się obecnie moim najbliższym kompanem, choć żaden z nas nie jest wobec drugiego szczery. On co rusz daje mi do zrozumienia, że wie, iż ja wiem, że on wie, ja natomiast udaję rubasznego majora Parry’ego, dzielnego, mocnego faceta, który radzi sobie w niebezpiecznych sytuacjach, lecz w głowie ma sieczkę zamiast mózgu. Sądzę, że Nelson dał się na to nabrać. Ogólnie rzecz biorąc, mam nad nim przewagę. Wierzę, że kiedyś ukończył fizykę, finansuje go jednak z pewnością Ministerstwo Obrony (znam ich finansowe szyfry), a poza tym, te jego tak zwane meteorologiczne balony służą zapewne do czegoś zupełnie innego - zajrzałem do kosza i znalazłem w nim skafander antyradiacyjny. Cóż, moja kochana... Muszę działać zgodnie z planem: doprowadzić archeologów do wyznaczonego miejsca, a później samotnie oddalić się na kilka dni, aby odnaleźć Szczelinę. Jeśli w pobliżu Pasma Obserwacyjnego spotkam wałęsającego się Nelsona, będę musiał sobie jakoś z nim poradzić.

Później.

Naprawdę miałem szczęście. Spotkałem kolegę Jake’a Petersena, Eskimosa Matta Kigalika. Jake mówił mi, gdzie mogę tamtego znaleźć, nie spodziewałem się jednak, że go zastanę. Matt powiedział mi, że Sowieci także szukają Szczeliny. Przed paroma miesiącami spotkał pewnego mężczyznę wysoko w górach. Nie ujawniając swej obecności, obserwował go przez kilka dni, ponieważ domyślał się, co tamten zamierza. Miał rację - mężczyzna wypatrywał Szczeliny, a w dodatku okazał się rosyjskim szpiegiem. Kigalik nie powiedział mi nic więcej, ale sądzę, że go zamordował. Opisał mi Szczelinę - wygląda jak otwór w powietrzu, jak okienko. Gdy przez nią patrzysz, widzisz inny świat. Nie jest jednak łatwo ją odnaleźć, ponieważ widoczny fragment innego świata niemal się nie różni od naszego: skały, mech... Miejsce to znajduje się po lewej stronie małego strumyka, w odległości mniej więcej pięćdziesięciu kroków na zachód od wysokiej skały w kształcie stojącego niedźwiedzia. Podane mi przez Jake’a współrzędne geograficzne niestety niezupełnie się zgadzają (chodzi raczej o 12” niż o 11” długości geograficznej północnej).

Życz mi szczęścia, kochana. Przywiozę Ci trofeum z duchowego świata. Zawsze będę Cię kochał. Ucałuj ode mnie małego.

Johnny

Will miał w głowie zamęt.

Jego ojciec opisał matce dokładnie to samo, co chłopiec znalazł pod grabem. On również widział okienko, nazwał je nawet identycznym słowem! Will uznał, że na pewno jest na dobrym tropie. Uświadomił sobie również, że właśnie tych informacji szukali włamywacze... Dlatego go prześladowali.

Kiedy ojciec napisał ten list, Will był mały. Kilka lat później, owego ranka w supermarkecie, chłopiec zdał sobie sprawę, że jego matce zagraża niebezpieczeństwo, toteż musi ją chronić. W następnych miesiącach zaczął podejrzewać, że owo niebezpieczeństwo jest urojone, a zatem powinien opiekować się matką jeszcze czulej. Aż nagle odkrył, że biedna kobieta ma wrogów. Istnieli naprawdę. Szukali listów, a zwłaszcza tej informacji.

Will nie rozumiał jej w pełni, czuł się jednak bardzo szczęśliwy, że łączy go z ojcem tak ważna tajemnica oraz że samodzielnie i niezależnie odkrył to samo co tamten. Gdy się spotkają, będą mogli o tym porozmawiać, a ojciec Willa będzie dumny, że syn poszedł w jego ślady. Noc była cicha, morze nieruchome. Chłopiec zebrał listy i położył się spać.

ŚWIETLISTE ISTOTY

–Grumman? – spytał czarnobrody handlarz futer. – Z Akademii Berlińskiej? Lekkomysłny facet. Spotkałem go pięć lat temu na północnym krańcu Uralu. Sądziłem, że już nie żyje.

Sam Cansino, Tekszańczyk i stary znajomy Lee Scoresby'ego, siedział w zadymionym od lamp naftowych barze hotelu „Samirski”. Wychylił właśnie kieliszek palącej wódki i podsunął przyjacielowi talerz z rybą w occie i czarnym chlebem. Lee poczęstował się, po czym kiwnięciem głowy zachęcił Sama do opowiedzenia szczegółów.

–Wpadł w pułapkę głupiego Jakowlewa – kontynuował handlarz – i rozciął sobie nogę aż do kości. Zamiast zastosować zwykłe leki, prosił, by mu znaleźć paskudztwo, którego używają niedźwiedzie, pięciornika. To chyba jakiś porost, nawet nie zwykły mech... Tak czy owak, leżał na saniach, na przemian rycząc z bólu i wykrzykując swoim ludziom instrukcje. Musieli obserwować gwiazdy, dokonywać rozmaitych pomiarów, w przeciwnym bowiem razie straszliwie krzyczał, a język miał ostry jak drut kolczasty, niech go szlak. Chudy facet twardy i silny, wszystkiego ciekaw. Wiesz, że przeszedł inicjację i został Tatarem?

–Naprawdę? – spytał Lee Scoresby, nalewając wódki do kieliszka Sama. Jego dajmona Hester przycupnęła na barze przy łokciu swego właściciela jak zwykle z na wpół zamkniętymi oczyma i uszami położonymi płasko na grzbiecie.

Lee przybył tego popołudnia, przyniósł go do Nowej Zembli wiatr, który wywołały czarownice. Po wylądowaniu aeronauta spakował sprzęt i skierował się prosto do hotelu „Samirski”, który znajdował się tuż przy przetwórni ryb. Wielu arktycznych podróżników zatrzymywało się tu, by posłuchać nowin, poszukać zatrudnienia lub zostawić dla kogoś informację. Lee Scoresby spędzał tu często kilka dni, gdy czekał na kontrakt, na pasażera albo na pomyślny wiatr, dlatego również teraz tam poszedł.

Z powodu ogromnych zmian, które zachodziły w ich świecie, ludzie Ignęli do siebie: zbierali się i rozmawiali. Każdego dnia nadchodziły kolejne nowiny – na rzece Jenisej nieoczekiwanie stopniały kry, wyschła część oceanu, obnażając osobliwie regularne, kamienne dno, trzydziestometrowa kałamarnica porwała z łodzi trzech rybaków i rozerwała ich na kawałki...

Od północy stale nadciągała mgła, gęsta, zimna i od czasu do czasu wypełniona niezwykłym światłem, w którym niewyraźnie widać było jakieś wielkie kształty i słyhać tajemnicze głosy.

Pora nie była najlepsza do pracy, więc bar w hotelu „Samirski” był pełny.

–Czy mówicie o Grummanie? – spytał siedzący obok starszy mężczyzna w stroju łowcy fok, którego dajmona w postaci leminga z powagą wyglądała z jego kieszeni. – Rzeczywiście został Tatarem. Towarzyszyłem mu, gdy przyłączył się do tamtego plemienia. Widziałem, jak drążył sobie otwór w czaszce. Używał również innego mienia, tatarskiego. Zaraz je sobie przypomnę...

–Chciałbym z tobą porozmawiać – powiedział Lee Scoresby. – Chętnie postawię ci drinka, stary. Szukam informacji o tym człowieku. Co to było za plemię?

–Jenisejscy Pachtarowie. Mieszkają u podnóża Gór Siemionowa, w pobliżu rozwidlenia Jeniseju i rzeki, która spływa z tamtejszych wzgórz. Zapomniałem jej nazwy... Przy lądowisku znajduje się skała wielkości domu.

–Tak, rzeczywiście – odezwał się Lee. – Teraz sobie przypominam. Przelatywałem nad nią. Mówisz, że Grumman wywiercił sobie otwór w czaszce? Po co?

–Był szamanem – odparł stary łowca fok. – Zdaje mi się, że plemię uznało go za szamana, jeszcze zanim przyjęło go do swego grona. Niesamowita historia z tym drążeniem otworów. Rytuał trwa dwie noce i dzień. Tatarzy używają przyrzędu przypominającego ten do rozpalania ognia.

–Ach, teraz rozumiem, dlaczego jego ludzie byli mu tak całkowicie posłuszni – wtrącił Sam Cansino. – To była najgorsza banda łotrów, jaką kiedykolwiek spotkałem, a wykonywali jego polecenia niczym zastraszone dzieciaki. Sądziłem, że obawiają się jego przekleństw. Jeśli uważali go za szamana... tak, to ma sens. Ale wiesz co? Ludzka ciekawość jest równie silna jak szczęki wilka. Ten facet nie odpuszczał. Chciał, żebym mu opowiedział ze szczegółami o tamtejszych ziemiach, o zwyczajach rosomaków i lisów. Cierpiał z powodu rany, którą spowodowała ta przeklęta pułapka Jakowlewa. Noga cała poszarpana, a on wierzył, że pięciornik obniży mu temperaturę. Obserwował, jak się tworzy blizna, robił notatki na temat każdego cholernego drobiazgu... Dziwny człowiek. Pewna czarownica chciała, żeby został jej kochankiem, ale odmówił.

–Naprawdę?! – krzyknął Lee, myśląc o pięknej Serafinie Pekkali.

–Nie powinien był tego robić – odparł łowca fok. – Gdy czarownica ofiarowuje ci swoją miłość, musisz ją przyjąć. Jeśli postąpisz inaczej i później przydarzy ci się coś złego, możesz mieć pretensje tylko do siebie. Alternatywa jest prosta: błogosławieństwo albo przekleństwo. Nie można uniknąć tego wyboru.

–Może miał ważny powód – zauważył Lee.

–Moim zdaniem postąpił głupio.

–Zawsze był uparty – powiedział Sam Cansino.

–Może pragnął pozostać wierny jakiejś kobiecie – zgadywał Lee. – Mówiono mi, że podobno wie, gdzie się znajduje pewien magiczny przedmiot, który zapewnia swemu właścicielowi ochronę. Słyszeliście coś o tym?

–Tak – potwierdził łowca fok. – Nie widziałem tej rzeczy na własne oczy, ale Grumman rzeczywiście znał miejsce, w którym się znajdowała. Pewien mężczyzna próbował go skłonić, by mu je wyjawiał, i Grumman go zabił.

–Jego dajmona – wtrącił Sam Cansino – była interesującym stworzeniem, niby – orlicą, czarną o białym łebku i piersi, w życiu nie widziałem takiego gatunku... Nie mam nawet pojęcia, jak się nazywa.

–To rybołów – zauważył przysłuchujący się rozmowie barman. – Mówicie o Stanie Grummanie? Jego dajmona była rybołowem. To taki orzeł, który żywi się rybami.

–Co się przydarzyło Grummanowi? – spytał Lee Scoresby.

–Och, wmieszał się w wojny Skraelingów na Ziemi Beringa. Słyszałem, że go zastrzelono – odparł łowca fok. – Nie żyje.

–Mnie ktoś mówił, że został ścięty – stwierdził Lee Scoresby.

–Nie, nie, obaj się mylicie – zaprzeczył barman. – Mam aktualne informacje. Rozmawiałem niedawno z pewnym Eskimosem, który był z nim na Sachalinie. Obozowali tam i spadła lawina. Grummana zasypały setki ton skał. Tamten Eskimos widział całe zdarzenie.

–Nie potrafię odgadnąć – stwierdził Lee Scoresby, nalewając wszystkim kolejkę – czym się ten człowiek zajmuje. Szukał ropy naftowej? A może był wojskowym? Albo jakimś filozofem? Mówiłeś o pomiarach, Sam. O co chodziło?

–Mierzył światło gwiazd. I Zorzę, która go niesamowicie interesowała. Chociaż chyba najbardziej ciekawiły go ruiny. Wszystko, co starożytne.

–Wiem, kto mógłby ci powiedzieć więcej – przypomniał sobie łowca fok. – W górach jest obserwatorium, które należy do Akademii Carskiej Rosji. Wiem, że Grumman często tam bywał. Może tam się czegoś dowiesz.

–A tak właściwie, po co go szukasz, Lee? – spytał Sam Cansino.

–Jest mi dłużny trochę pieniędzy – odparł Lee Scoresby.

Wyjaśnienie okazało się na tyle przekonujące, że natychmiast zamknęło ciekawskim usta. Później podjęli temat, którego nie sposób było obecnie uniknąć. Wszyscy mówili o katastrofalnych zmianach. Ich przyczyny nikt nie potrafił wyjaśnić.

–Rybacy mówią, że można się przedostać do nowego świata – powiedział łowca fok.

–Istnieje jakiś nowy świat? – spytał Lee.

–Jak tylko opadnie ta cholerna mgła, sami go zobaczycie – odparł z przekonaniem łowca fok. – Pierwszy raz go dostrzegłem, gdy płynąłem kajakiem; powietrze trochę się wyklarowało, a ja spojrzałem na północ. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Nie było horyzontu, ziemia po prostu ciągnęła się bez końca. Tylko twardy grunt, linia brzegowa, góry, porty, zielone drzewa i pola uprawne... A nad tym wszystkim niebo. Powiem wam, przyjaciele, można by na coś takiego patrzeć i pięćdziesiąt lat.

Miałem ochotę ruszyć przed siebie, nie oglądając się wstecz. Potem znowu nadciągnęła mgła...

–Nigdy nie widziałem takiej mgły – wtrącił Sam Cansino. – Wisi już chyba od miesiąca, może nawet dłużej. Jeśli jednak chodzi o Stanislausa Grummana Lee, nie uda ci się wydobyć od niego ani grosza. Ten człowiek nie żyje.

–Ach! Przypomniało mi się to tatarskie imię! – krzyknął nagle łowca fok. – Nazywali go tak podczas rytuału wiercenia otworu. Jopari.

–Jopari? Nigdy nie słyszałem takiego imienia – zauważył Lee. – Przypuszczam, że może być japońskie. Spróbuję odzyskać moje pieniądze od jego spadkobierców lub przyjaciół. A może Akademia Berlińska zechce wyrównać długi swego pracownika. Wybiorę się do tego obserwatorium i sprawdzę, czy nie dysponują jakimś przydatnym adresem.

Obserwatorium leżało na północy w pewnej odległości, toteż Lee Scoresby wynajął psi zaprzęg wraz z poganiaczem. Nie było łatwo znaleźć osobę chętną ryzykować podróż we mgle, Lee był jednakże przekonujący... A może jego pieniądze. W końcu, po długich targach zgodził się go zawieźć jakiś stary Tatar z okolic rzeki Ob.

Poganiacz nie miał kompasu, lecz sterował zaprzęgiem za pomocą rozmaitych znaków; pomagała mu także dajmona w postaci arktycznego lisa, która siedziała na przodzie sań i gorliwie węszyła. Lee, który nigdy się nie rozstawał z kompasem, zauważył ogromne zakłócenia ziemskiego pola magnetycznego.

–To się już zdarzyło wcześniej – oświadczył stary poganiacz, gdy zatrzymali się, by zaparzyć kawę.

–Co takiego? Niebo się już kiedyś otworzyło? O to chodzi?

–Tak, zdarzyło się to wiele tysięcy pokoleń temu. Mój lud przekazywał sobie opowieść o tym zdarzeniu. To było bardzo, bardzo dawno, wiele tysięcy lat temu.

–Co się wtedy stało?

–Niebo się otworzyło i duchy zaczęły krążyć między światami. Poruszały się również całe lądy. Lód stopił się, potem znowu wszystko zamarzło. Po pewnym czasie duchy zamknęły otwór. Zaplombowały go. Ale czarownice mówią, że tam, za Zorzą północną, niebo jest cienkie.

–Powiedz mi, Umaqu, co się teraz zdarzy?

–To samo, co wtedy, przed wiekami. Wszystko się powtórzy. Ale tylko po dużym zamieszaniu, wielkiej wojnie. Duchowej wojnie.

Poganiacz nie powiedział nic więcej. Wkrótce ruszyli dalej. Jechali wśród pagórków i dolin, obok starej odkrywki matowej skały, która wydawała się ciemna na tle bladej mgły. Wówczas starzec ponownie się odezwał.

–Obserwatorium tam w górze – powiedział. – Teraz pan musi iść. Ścieżka zbyt kręta dla sań. Poczekam tu na pana.

–Wrócę niedługo, Umaqu. Rozpal sobie ogień, mój przyjacielu, usiądź i odpoczywaj. Wrócę za jakieś trzy, cztery godziny.

Lee Scoresby schował Hester za pazuchą i wyruszył w drogę. Po półgodzinie trudnej wspinaczki dostrzegł ponad sobą szereg budynków – pojawiły się nagle, jak gdyby właśnie w tej chwili jakaś gigantyczna dłoń umieściła je w tym miejscu. Efekt ten spowodowało chwilowe rozrzedzenie mgły, która po minucie znowu zasnęła okolicę. Lee zobaczył wielką kopułę głównego obserwatorium, obok mniejszą, a między nimi budynki administracyjne i kwatery mieszkalne. Ze względu na częste używanie teleskopów budynki były trwale zaciemnione.

W kilka minut później rozmawiał z grupą astronomów, którzy pragnęli usłyszeć od niego nowiny dotyczące aktualnej sytuacji. Wśród zebranych było kilku filozofów przyrodników, równie zaniepokojonych z powodu mgły, jak astronomowie. Lee opowiedział o wszystkim, co widział, a gdy całkowicie wyczerpał temat, zapytał o Stanislausa Grummana. Ponieważ mieszkańcy obserwatorium od tygodni nie mieli gościa, chętnie podjęli temat.

–Grumman? Tak, opowiem panu o nim – odrzekł dyrektor. – Chociaż nazwisko na to nie wskazuje, miał angielskie pochodzenie. Pamiętam...

–Na pewno nie – zaprzeczył jego zastępca. – Był członkiem Cesarskiej Akademii Niemieckiej. Spotkałem go w Berlinie. Na pewno był Niemcem.

–Nie, nie, na pewno Anglikiem. W każdym razie świetnie władał tym językiem – oświadczył dyrektor. – Rzeczywiście jednak był członkiem Akademii Berlińskiej.

Geologiem.

–Myli się pan – wtrącił ktoś inny. – Badał ziemię, ale nie był geologiem. Odbyłem z nim kiedyś długą rozmowę. Chyba zajmował się paleoarcheologią.

Siedzieli w pięciu przy stole w pokoju, który służył im za salon, świetlicę, jadalnię, bar i pokój rekreacyjny. Dwóch było Rosjanami, jeden Polakiem, jeden Jorubą, jeden Skraelingiem. Lee Scoresby wyczuwał, że mała społeczność cieszy się zarówno z gościa, jak i z rozmowy, niezależnie od jej tematu. Ostatni przemówił Polak, teraz odezwał się Joruba:

–A cóż to takiego „paleoarcheolog”? Przecież archeologowie i tak studiują to, co stare. Po co ten dodatkowy przedrostek?

–Pole badań Grummana sięgało o wiele dalej w przeszłość, niż sądzimy. Szukał pozostałości cywilizacji żyjących jakieś dwadzieścia, trzydzieści tysięcy lat temu – wyjaśnił Polak.

–Nonsens! – krzyknął dyrektor. – Zupełny nonsens! Ten człowiek sobie z siebie zażartował. Cywilizacja trzydzieści tysięcy lat temu? Cha, cha, cha! Gdzie dowód?

–Pod lodem – odparł Polak. – W tym rzecz. Grumman twierdził, że pole magnetyczne Ziemi wielokrotnie skrajnie się zmieniało w przeszłości, przesuwała się także oś ziemską. Z tego powodu tereny o niegdyś umiarkowanym klimacie zostały skute lodem.

–W jaki sposób? – spytał Joruba.

–Och, Grumman miał pewną skomplikowaną teorię, niestety wszelkie dowody na istnienie bardzo wczesnych cywilizacji są od dawna pod lodem. Twierdził, że posiada kilka fotogramów niezwykłych formacji skalnych...

–Ha! To wszystko? – spytał dyrektor.

–Nie bronię go, mówię tylko, co słyszałem – mruknął Polak.

–Jak długo znaliście panowie Grummana? – spytał Lee Scoresby.

–Hm, niech no pomyślę – zastanowił się dyrektor. – Pierwszy raz spotkałem go jakieś siedem lat temu.

–Rok czy dwa wcześniej zdobył sobie sławę pracą na temat zmian pola magnetycznego – dodał Joruba. – Pojawił się jednak znikąd... To znaczy, nikt go nie znał jako studenta ani nie widział żadnej z jego wcześniejszych prac...

Rozmawiali przez jakiś czas, wymieniając się wspomnieniami i zastanawiając, co się stało z zaginionym naukowcem; większość zebranych podejrzewała, że Grumman nie żyje. Gdy Polak poszedł zaparzyć kawę, dajmona Lee, zajęczyca Hester, odezwała się do niego cicho:

–Wypytaj Skraelinga, Lee.

Skraeling dotąd niemal się nie odzywał. Lee sądził, że jest po prostu z natury małomówny, ale po sugestii Hester w trakcie następnej przerwy w rozmowie spojrzął niby od niechcienia na mężczyznę i zobaczył, że jego dajmona, sowa śnieżna, wytrzeszcza na niego bystre, pomarańczowe oczy. Cóż, sowy mają zwyczaj tak się gapić, ale Lee doszedł do wniosku, że Hester ma rację. Chociaż twarz mężczyzny niczego nie wyrażała, jego dajmona spoglądała wrogo i podejrzliwie.

Później Lee zauważył coś jeszcze – Skraeling nosił pierścień z wygrawerowanym symbolem Kościoła – i nagle zrozumiał powód milczenia mężczyzny. Słyszał, że do każdej grupy prowadzącej badania naukowe Magistratura posyłała swego przedstawiciela, który pełnił rolę cenzora i zapobiegał rozsiewaniu informacji o wszelkich heretyckich odkryciach.

Gdy Lee ponadto przypomniał sobie opowieści Lyry spytał:

–Powiedzcie mi panowie... Wiecie może, czy Grumman zajmował się kiedykolwiek kwestią Pyłu?

Nagle w dusznej, małej sali zapadło milczenie i uwaga wszystkich skupiła się właśnie na Skraelingu, chociaż nikt nie spojrzął na niego bezpośrednio. Lee wiedział, że Hester nie da niczego po sobie poznać (półprzymknięte oczy, uszy położone płasko na grzbiecie), i przybrał wesołą, niewinną minę, przenosząc wzrok z twarzy na twarz.

W końcu spojrzął na Skraelinga i spytał:

–Przepraszam, czy spytałem o coś zakazanego?

–Gdzie usłyszał pan o tej sprawie, panie Scoresby? – odpowiedział pytaniem Skraeling.

–Od pewnego pasażera, którego wiozłem jakiś czas temu przez morze – odparł Lee. – Nie wyjaśnił mi dokładnie natury tego zjawiska, ale gdy o nim mówił, skojarzył mi się doktor Grumman. Myślę, że Pył pasowałby do jego zainteresowań. Z tego, co zrozumiałem, fenomen ten może pochodzić z nieba, podobnie jak Zorza. Zainteresowałem się, ponieważ jako aeronauta dość dobrze znam niebiosa, a nigdy nie miałem do czynienia z czymś takim. Co to więc takiego ten Pył?

–Tak jak pan mówi, jest zjawiskiem niebiańskim – odrzekł Skraeling. – Nie ma praktycznego znaczenia.

Wkrótce po zakończeniu rozmowy Lee zdecydował się wracać. Sądził, że nie dowie się niczego więcej, a nie chciał kazać Umaqowi zbyt długo czekać. Zostawił astronomów w ich zasnutym mgłą obserwatorium i wyruszył szlakiem w dół, podążając za swoją dajmoną, która z powodu niewysokiego wzrostu lepiej niż aeronauta dostrzegała powierzchnię drogi.

Kiedy szli już około dziesięciu minut, coś przemknęło we mgle obok głowy Lee, a następnie rzuciło się na Hester. Była to sowa, dajmona Skraelinga.

Na szczęście zajęczyca przeczuła atak i w ostatniej chwili przypadła do ziemi, toteż szpony sowy przesunęły się o milimetry od ciała Hester. Dajmona Lee potrafiła zresztą walczyć: pazurki także miała ostre, a poza tym była wytrzymała i odważna. Lee wiedział, że właściciel sowy, Skraeling, musi być blisko, wyjął więc z pasa pistolet.

–Za tobą! – krzyknęła nagle Hester i Lee zdołał uskoczyć na bok. Strzała ze świstem przeleciała nad jego ramieniem.

Aeronauta natychmiast wystrzelił. Skraeling upadł, jęcząc. Kula trafiła go w nogę. Dajmona – sowa przeleciała bezszelestnie jeszcze kilka metrów, po czym bezwładnie spadła u boku swego właściciela i na wpół leżąc na śniegu, usiłowała złożyć skrzydła.

Lee odciągnął kurek pistoletu i przyłożył lufę do głowy mężczyzny.

–Ty cholerny głupcze – powiedział. – Po co to zrobiłeś? Nie widzisz, co się dzieje z niebem? Nie rozumiesz, że teraz wszyscy tkwimy po uszy w tym samym bagnie?

–Jest już za późno – oświadczył Skraeling.

–Na co za późno?

–Zbyt późno, by to powstrzymać. Wysłałem już ptaka z wiadomością. Magistratura dowie się o pańskich indagacjach. Ucieszą się, wiedząc, że Grummana...

–Co takiego?

–Że Grummana szukają również inni. Fakt ten potwierdza nasze przypuszczenia. Podejrzewaliśmy, że ludzie wiedzą o Pyle. Jesteś wrogiem Kościoła, Lee Scoresby. „Po owocach poznacie ich. Z ich pytań wywnioskujecie, że węże pożerają im serca...”

Sowa cicho pohukiwała, nierówno podnosząc i opuszczając skrzydła. W jej jaskrawopomarańczowych oczach Lee zobaczył ból. Leżącego na śniegu rannego Skraelinga otaczała czerwona plama: mimo mroku i gęstej mgły aeronauta widział, że mężczyzna umiera.

–Moja kula chyba trafiła w tętnicę – stwierdził. – Oderwę rękaw i zrobię opaskę uciskową.

–Nie! – krzyknął Skraeling chrapliwym głosem. – Cieszę się, że umieram! Zostanę męczennikiem! Nie pozbawisz mnie tego!

–Umieraj więc, jeśli chcesz. Powiedz mi tylko... Nie zdołał jednak dokończyć zdania, ponieważ nagle, po chwili drżenia dajmona – sowa zniknęła. Odeszła dusza Skraelinga. Lee oglądał kiedyś malowidło, na którym jakiegoś kościelnego świętego atakowali mordercy. W czasie gdy okładali pałką umierającego, cherubini wzniesli w niebo jego dajmonę i ofiarowali jej gałązkę palmową, symbol męczeńskiej śmierci. Twarz Skraelinga miała teraz ten sam wyraz, co oblicze świętego na obrazie: była ekstatyczna, napięta, skupiona na zapomnieniu. Lee niechętnie go zostawił. Hester mlasnęła językiem.

–Pamiętaj, że wysłał wiadomość – przypomniała. – Weź jego pierścień.

–Po co, u diabła? Nie jesteśmy złodziejami, prawda?

–Nie, ale jesteśmy odstępcami – wyjaśniła. – Nie z naszego wyboru, lecz przez złośliwość tego człowieka. Zanim Kościół się o nas dowie, może uda nam się wykorzystać jego symbol. Pierścień da nam przewagę. No, weź go i schowaj. Może się przydać.

Wywód ten był całkiem sensowny, toteż Lee zdjął pierścień z palca martwego mężczyzny, potem spojrział w mrok i zobaczył, że obok ścieżki znajduje się spadzisty uskok wiodący w skalistą przepaść; zepchnął w nią ciało Skraelinga, które spadało przez długi czas, zanim dotknęło ziemi. Zabijanie nigdy nie sprawiało mu przyjemności, nienawidził tego, a jednak miał na swoim sumieniu już czwartego trupa.

–Nie powinieneś myśleć w ten sposób – zauważyła Hester. – Ten mężczyzna nie dał nam wyboru, zresztą, gdy strzelaliśmy, nie zamierzaliśmy zabić. Niech to diabli, Lee, on chciał umrzeć. Ci ludzie to szaleńcy.

–Chyba masz rację – stwierdził i odłożył pistolet. Na końcu ścieżki znaleźli poganiacza. Psy stały w zaprzęgu, gotowe wyruszać.

–Powiedz mi, Umaqu – zagaił Lee w drodze powrotnej do stacji przetwórstwa ryb – czy słyszałeś kiedyś o mężczyźnie nazwiskiem Grumman?

–Och, jasne – odparł poganiacz. – Każdy zna doktora Grummana.

–Wiedziałaś, że miał tatarskie imię?

–Nie jest tatarskie. Chodzi panu o imię Jopari?

–Co mu się przydarzyło? Nie żyje?

–Przyznam się, że nie wiem. Ode mnie więc pan się nie dowie.

–Rozumiem. A kogo mógłbym spytać?

–Niech pan zapyta członków jego plemienia. Niech pan jedzie nad Jenisej.

–Jego plemię... Masz na myśli ludzi, którzy przeprowadzili jego inicjację? Tych, którzy zrobili mu otwór w czaszce?

–Tak. Niech pan ich zapyta. Może doktor jest martwy, a może nie. Może ani żywy, ani martwy.

–Jak można nie być ani żywym, ani martwym?

–W duchowym świecie. Może tam przebywa. I tak już powiedziałem za dużo. Więcej nie mogę.

I zamilkł. A kiedy wrócili na stację, Lee od razu ruszył do doków i znalazł statek, który mógłby go zabrać do ujścia Jeniseju.

Tymczasem czarownice prowadziły swoje poszukiwania. Łotewska królowa Ruta Skadi leciała w towarzystwie Serafiny Pekkali przez wiele dni i nocy, przez mgłę i powietrzne zawirowania, ponad regionami spustoszonymi przez powódź lub obsunięcia się gruntu. Czarownice zdawały sobie sprawę, że znajdują się w nieznanym żadnej z nich świecie, w którym wiały obce wiatry, powietrze wypełniały dziwne zapachy, a wielkie, niezwykle ptaki atakowały, widząc przybyłych, i trzeba je było odpędzać gradem strzał.

Czarownice postanowiły odpocząć w pewnym miejscu. Odkryły, że niektóre z rosnących tu bardzo osobliwych roślin są jadalne. Wokół biegały stworzenia nieco podobne do królików i o równie smacznym mięsie. Wody wszędzie było w bród. Na pierwszy rzut oka teren wyglądał zachęcająco, niestety spokój zakłócały upiorne zjawy, które unosiły się jak mgła nad łąkami, gromadząc się w pobliżu strumieni i nisko położonych akwenów wodnych. Czasami „istoty” były bardzo słabo widoczne – zaledwie w postaci efemerycznej i przesuwaly się rytmicznie w nikłym świetle – niczym przezroczyste welony przed lustrem. Czarownice nigdy nie widziały takich widm i początkowo nawet nie wierzyły w ich istnienie.

–Jak sądzisz, Serafino, czy one żyją? – spytała Ruta Skadi, gdy krążyły na skraju leśnego traktu, wysoko ponad grupą nieruchomych „istot”.

–Żywe czy martwe, mają złą wolę – odparła Serafina. – Wyczuwam to nawet z tej odległości. A ponieważ nie wiemy, jaka broń zdoła nas przed nimi obronić, lepiej się do nich nie zbliżać.

Upiory unosiły się nisko nad ziemią i wydawały się niezdolne do lotu – na szczęście dla czarownic, które jeszcze tego samego dnia zaobserwowały, jak groźni potrafią być ci nowi wrogowie.

Zdarzenie miało miejsce nad rzeką, tam gdzie piaszczysta droga prowadziła przez niski, kamienny mostek obok niewielkiego lasu. Promienie późno popołudniowego słońca padały ukośnie na łąkę, pogłębiając intensywną zieleń traw i odcień zapyłonego złota w powietrzu. Czarownice dostrzegły grupę podróżników kierujących się do mostu – niektórzy wędrowali pieszo, inni w ciągniętych przez konie wozach, dwaj konno. Nie widzieli czarownic, ponieważ nie mieli powodu patrzeć w górę, byli jednak pierwszymi ludźmi, jakich czarownice spotkały w tym świecie, i Serafina już chciała zbliżyć się do nich, by porozmawiać, kiedy usłyszała krzyk trwogi.

Wydał go z siebie człowiek jadący pierwszy na koniu; wskazywał drzewa. Gdy czarownice spojrzały w tamtym kierunku, ich oczom ukazał się strumień widm. Zjawy przesuwaly się ponad trawą, prawie bez wysiłku płynęły ku ludziom, swoim ofiarom.

Podróżnicy rozproszyli się. Serafinę zaszokowało zachowanie pierwszego jeźdźca, który bez zastanowienia zawrócił i pogalopował przed siebie, w dal, nie zatrzymując się i nie próbując pomóc towarzyszom. W dodatku drugi jeździec postąpił identycznie – uciekł galopem w innym kierunku.

–Lećmy nieco niżej, siostry, i przyjrzyjmy się – poleciała Serafina swoim towarzyszkom. – Ale nie ingerujcie, póki nie rozkażę.

Czarownice dostrzegły, że w grupie znajdują się również dzieci – niektóre z nich jechały na wozach, inne szły obok. Najwyraźniej żaden z małych podróżników nie dostrzegął upiorów, a i one nie interesowały się dziećmi; zaatakowały natomiast dorosłych. Ruta Skadi rozgniewała się na widok pewnej starej kobiety, która siedząc na wozie z dwójką małych dzieci na kolanach, próbowała się za nimi ukryć i rzucić je na pastwę zbliżających się upiorów, jak gdyby dla ratowania własnego życia składała w ofierze własnych potomków.

Na szczęście malcy uwolnili się od staruchy, zeskoczyli z wozu i dołączyli do pozostałych dzieci, które biegały bądź stały i płakały. Upiory tymczasem zajęły się dorosłymi. Starą kobietę na wozie wkrótce owinął jakiś przezroczystry migoczący

kształt, który poruszał się szybko i w niewidoczny sposób wysysał życie ze swej ofiary. Obserwowanie działań upiora dość prędko przyprawiło Rutę Skadi o mdłości.

Zafascynowana i równocześnie przerażona Serafina Pekkala przybliżyła się. Zobaczyła ojca z dzieckiem na plecach, który próbował się przepawić przez bród na rzece, niestety dopadł ich upiór. Mimo iż dziecko z krzykiem kurczowo przywarło do pleców ojca, mężczyzna przestał w pewnej chwili uciekać i stał nieruchomo po pas w wodzie: niezdolny się poruszyć, bezradny.

Co się z nim działo? Serafina zawisała nad wodą kilka metrów od niego i patrzyła w zdumieniu. Od podróżników we własnym świecie słyszała legendę o wampirach. Przypomniła ją sobie teraz, gdy obserwowała upiora karmiącego się czymś... czymś, co należało do tego człowieka: jego duszą, może jego dajmoną (natychmiast zauważyła, że w tym świecie dajmony znajdują się wewnątrz człowieka i nie mają osobnych postaci). Ramiona mężczyzny osłabły pod udami siedzącego na jego plecach dziecka. Chłopiec wpadł do wody i na próżno ciągnął ojca za rękę, sapiąc i piszcząc – mężczyzna odwrócił powoli głowę i z absolutną obojętnością spojrzał na małego synka, który tonął obok niego.

Serafina nie wytrzymała. Rzuciła się ku dziecku i wyciągnęła je z wody. W chwilę później Ruta Skadi krzyknęła:

–Uważaj, siostro! Za tobą...

Na jedną jedyną sekundę Serafina poczuła, jak do jej serca wkrada się odrażająca apatia, na szczęście zdołała podnieść rękę ku dłoni Ruty Skadi, która odciągnęła ją od niebezpieczeństwa. Wzleciały w górę. Krzyczące i tulące się do czarownicy dziecko wbijało w jej ciało ostre paznokcie. Serafina nadal widziała za sobą upiora, który wyglądał jak mgielny wir; stwór rozglądał się na wszystkie strony w poszukiwaniu swej niedosłej zdobyczy. Ruta Skadi wystrzeliła w niego strzałę; niestety, bez najmniejszego rezultatu.

Serafina, wiedząc, że dziecku nic nie grozi ze strony upiorów, położyła je na brzegu rzeki, a następnie wraz z Rutą wzbiły się w powietrze. Grupa podróżników trwała niemal w bezruchu – konie skubały trawę lub potrząsały łbami, odganiając muchy, dzieci płakały lub rozglądały się, przywierając do siebie kurczowo, a wszyscy dorośli znieruchomieli. Oczy mieli otwarte. Niektórzy stali, jednak większość siedziała. W przeraźliwej ciszy. Kiedy ostatni z upiorów zaspokoił głód i oddalił się, Serafina opadła na ziemię i stanęła przed siedzącą na trawie kobietą, która wyglądała na silną i zdrową, miała czerwone policzki i połyskujące, jasne włosy.

–Kobietto? – odezwała się czarownica. Nie otrzymała odpowiedzi. – Słyszysz mnie? Widzisz mnie?

Potrząsnęła jej ramieniem i kobieta z ogromnym wysiłkiem podniosła na nią oczy. Najwyraźniej ledwie ją zauważała. Jej spojrzenie było nieprzytomne, a kiedy Serafina uszczypnęła ją w rękę, kobieta tylko powoli spojrzała w dół, po czym znowu odwróciła wzrok.

Inne czarownice poruszały się wśród porzuconych wozów, z przerażeniem przypatrując się ofiarom upiorów. Dzieci tymczasem zgromadziły się na małym pagórku. Patrzyły na czarownice i szeptały między sobą ze strachem.

–Obserwuje nas jeździec – zauważyła któraś z czarownic.

Wskazała miejsce, gdzie droga znikła wśród wzgórz. Jeden z dwóch jeźdźców, którzy wcześniej uciekli, ściągnął teraz koniowi cugle i zawrócił go. Zastaniając oczy dłonią, obserwował pobojuwisko.

–Porozmawiamy z nim – powiedziała Serafina i uniosła się w powietrze.

Chociaż mężczyzna uciekł przed upiorami, nie był tchórzem. Gdy dostrzegł zbliżające się czarownice, zdjął z pleców strzelbę i popędził konia naprzód, na rozległy trawiasty teren, gdzie łatwiej mu było kierować zwierzęciem, strzelać i stawić czoło wrogim istotom. Serafina Pekkala powoli zbliżała się do niego, po czym wyciągnęła łuk, który następnie położyła przed sobą na ziemi.

Nie wiedziała, czy w tym świecie ludzie znają taki gest, sądziła jednak, że jest uniwersalny i jednoznaczny. Mężczyzna rzeczywiście opuścił strzelbę i czekał, patrząc to na Serafinę, to na inne czarownice, a potem w górę, na ich krążące po niebie dajmony. Takich młodych, dzikich kobiet, ubranych w pasy czarnego jedwabiu i latających na sosnowych gałęziach, najwyraźniej nie było w jego świecie, lecz patrzył im w oczy śmiało i spokojnie. Serafina, zbliżywszy się, dostrzegła na jego twarzy smutek i odwagę. Trudno jej było pogodzić obecny obraz tego człowieka z jego wcześniejszą ucieczką podczas ataku na towarzyszy.

–Kim jesteś, pani? – spytał.

–Nazywam się Serafina Pekkala. Jestem królową klanu czarownic znad Jeziora Enara, które leży w innym świecie. A jak brzmi pańskie imię?

–Joachim Lorenz. Czarownice? Pertraktujecie więc z diabłem?

–Gdyby tak było, czy byłybyśmy pańskimi wrogami? Mężczyzna zastanawiał się przez kilka sekund, położywszy strzelbę na udzie.

–Może kiedyś tak – odparł – ale czasy się zmieniają. Po co przybyłyście do naszego świata?

–Właśnie dlatego, że czasy się zmieniły. Cóż to za stworzenia napadły na pańską grupę?

–No cóż, upiory... – odrzekł, wzruszając ramionami, zdziwiony. – Nie znacie ich?

–Nigdy nie widziałyśmy ich w naszym świecie. Obserwowałyśmy pańską ucieczkę i nie wiedziałyśmy, co o tym myśleć. Teraz chyba pana rozumiemy.

–Nie można się przed nimi obronić – wyjaśnił Joachim Lorenz. – Bezpieczne są tylko dzieci. Obecnie do każdej grupy podróżników przydziela się mężczyznę i kobietę na koniach. W razie ataku upiorów jeźdźcy muszą uciekać, aby mogli się później zaopiekować dziećmi. Nadeszły naprawdę ciężkie czasy. Miasta są wręcz zatłoczone upiorami, chociaż niegdyś w żadnym z nich nie pojawiała się ich więcej niż tuzin.

Ruta Skadi rozglądała się. Zauważyła drugiego jeźdźca, amazonkę. Pędziła ku wozom. Dzieci wybiegły jej na spotkanie.

–Ale powiedzcie mi, czego szukacie? – spytał Joachim Lorenz. – Nie odpowiedziała mi pani wcześniej, a nie przybyłyście tu przecież bez powodu. Proszę mi wyjaśnić.

–Szukamy pewnego dziecka – odparła Serafina – dziewczynki z naszego świata. Nazywa się Lyra Belacqua, zwana też Złotoustą. Nie mam pojęcia, gdzie się mogła udać w tym wielkim świecie. Może pan widział jakieś dziwne dziecko?

–Nie. Ale widzieliśmy którejs nocy anioły. Kierowały się ku biegunowi.

–Anioły?

–Tak, całe oddziały leciały nad naszymi głowami, Uzbrojone i Iśniące. Od dawna nie było ich tak wielu wśród nas, chociaż w czasach mojego dziadka podobno często odwiedzały nasz świat. Tak w każdym razie twierdził mój dziad.

Mężczyzna przysłonił oczy i spojrział ku rozproszonym wozom podróżników. Kobieta zsiadła z konia i pocieszała dzieci.

Serafina podążyła za spojrzeniem mężczyzny.

–Jeśli zanocujemy z wami, trzymając straż przed upiorami, opowie nam pan więcej o swoim świecie i aniołach, które widzieliście?

–Oczywiście, że tak. Chodźcie ze mną.

Czarownice pomogły przemieścić wozy za most, z dala od drzew, spośród których przybyły upiory. Nieruchomych dorosłych nie zabierano, chociaż bolesny był widok

małych dzieci. Jedne przywierały do już niereagujących matek, inne szarpały rękawy ojca, który nic nie mówił, patrzył przed siebie, a w oczach miał pustkę. Młodsze dzieci nie potrafiły zrozumieć, dlaczego muszą opuścić rodziców. Niektóre ze starszych wcześniej straciły rodziców albo widziały kiedyś atak upiorów, toteż większość spoglądała teraz z ponurą miną lub obojętnie. Serafina podniosła małego chłopca, który wcześniej wpadł do rzeki, a teraz płakał, patrząc ponad ramieniem czarownicy na milczącą postać ojca, nadal bez ruchu stojącą w wodzie. Serafina czuła na gołej skórze łyzy malca.

Amazonka nosiła proste płócienne bryczesy i jeździła w męskim stylu. Nie odezwała się jeszcze do czarownic. Z zaciętą miną popędzała dzieci, przemawiała srogim tonem i ignorowała ich łyzy. Zachodzące słońce nasyciło powietrze złotym światłem, w którym każdy szczegół był dokładnie widoczny. Nie oślepiało ich, a twarze dzieci i jeźdźców wydawały się nieśmiertelne, silne i piękne.

Później zatrzymali się na postój wśród wielkich wzgórz oświetlonych światłem księżyca. Ognisko żarzyło się w kręgu osypanych popiołem skał, a Joachim Lorenz opowiadał Serafinie i Rucie Skadi historię swego świata.

Mówił, że w jego świecie ludzie żyli kiedyś szczęśliwie. Miasta były ogromne i piękne, żyzne pola dawały pracowitemu ludowi bujne plony. Kupieckie statki kursowały po błękitnych oceanach, rybackie kutry przywoziły sieci pełne dorszy, tuńczyków, okoni i kielbi. W lasach bawiły się dzieci; żadne nie chodziło głodne. Na dziedzińcach i placach wielkich miast ambasadorzy z Brazylii, Benina, Irlandii i Korei spacerowali w tłumie sprzedawców tytoniu, komedianów z Bergamo, bogatych kupców. Nocami kochankowie spotykali się ukradkiem pod kolumnadami oplecionymi pędami róż albo w oświetlonych lampami ogrodach. Powietrze pachniało jaśminem i tętniło muzyką wygrywaną na strunowym mandaronie.

Czarownice z szeroko otwartymi oczami słuchały tej opowieści o świecie tak podobnym do ich świata, a równocześnie jakże innym.

–Niestety wszystko zmieniło się na gorsze – ciągnął. – Stało się to nagle, około trzystu lat temu. Niektórzy przypuszczają, że należy za upadek naszego świata winić Gildię Filozofów z Torre degli Angeli, czyli Wieży Aniołów. Znajduje się ona w mieście, które właśnie opuściliśmy. Inni twierdzą, że ktoś nas w ten sposób ukarał za jakiś wielki grzech, chociaż osobiście nigdy nie słyszałem na ten temat szczegółów. Tak czy owak, nagle znikąd przybyły upiory i od tego czasu nas prześladują. Widziałyście, do czego są zdolne. Teraz wyobraźcie sobie, jak żyjemy. Jak ten świat może się pomyślnie rozwijać, skoro nie otacza nas nic trwałego? W każdej chwili upiory mogą zabrać ojca lub matkę i rozpadnie się rodzina, a gdy zabiorą kupca, upadnie jego przedsiębiorstwo i wszyscy urzędnicy i sprzedawcy stracą pracę. Czy kochankowie mogą wierzyć we wzajemne przyrzeczenia? Odkąd przybyły upiory, z naszego świata zniknęło zaufanie i wszelka prawość.

–Kim są ci filozofowie? – spytała Serafina. – I gdzie jest ta wieża, o której pan mówi?

–W mieście, które opuściliśmy. W Citt'gazze. Mieście srok. Wiecie, dlaczego tak się nazywa? Ponieważ sroki kradną, a i nam nie pozostało już nic innego. Od stu lat niczego nie tworzymy, niczego nie budujemy, potrafimy tylko kraść z innych światów. Och tak, wiemy o innych światach. Filozofowie z Torre degli Angeli dowiedzieli się o nich wszystkiego. Wymyślili zakłęcie, które pozwala przejść przez niewidoczne drzwi i znaleźć się w innym świecie. Niektórzy mawiają, że nie stworzyli zaklęcia, lecz klucz otwierający nawet te drzwi, w których nie ma zamka. Kto wie? W każdym razie w ten sam sposób wchodzą upiory. Sądzę, że filozofowie ciągle się tym zajmują. Przechodzą do innych światów, kradną z nich i przynoszą tu swoje zdobycze. Oczywiście złoto i klejnoty, ale także inne rzeczy, na przykład worki ze zbożem, ołówki oraz... idee. To teraz jedyne źródła naszego bogactwa... – zakończył z goryczą. – Gildia złodziei – dodał.

–Dlaczego upiory nie krzywdzą dzieci? – spytała Ruta Skadi.

–To największa tajemnica. W dziecięcej niewinności tkwi najwyraźniej jakaś siła, która odpycha Upiory Obojętności. Jest też coś więcej. Dzieci po prostu ich nie widzą, chociaż nie rozumiemy dlaczego. Nigdy nie rozumieliśmy. Wiele tu mamy sierot, którym upiory odebrały rodziców. Zbierają się w bandy i włóczą po kraju. Czasami wynajmują się dorosłym i szukają dla nich jedzenia i zapasów w rejonach zawładniętych przez upiory, czasem po prostu wędrują po okolicy i korzystają z wolności. Tak właśnie wygląda nasz świat. Cóż, nauczyliśmy się żyć z tą plagą. Upiory to typowe pasożyty: nie zabijają żywiciela, chociaż wysysają z niego życie. Do niedawna... aż do wielkiej burzy istniała swego rodzaju równowaga. Gdy przyszła burza, baliśmy się, że cały świat się rozpada i pęka. Najstarsi ludzie nie widzieli takiego żywiołu. A po burzy pojawiła się mgła, która wisiała przez wiele dni nad naszym światem. Nie można było w tym czasie podróżować, a kiedy opadła, odkryliśmy, że miasta są pełne upiorów. Były ich setki, a może nawet tysiące. Uciekaliśmy przed nimi na wzgórza lub na morze, widziałyście jednak same, że tak naprawdę nigdzie nie jesteśmy bezpieczni.

Teraz wasza kolej – dodał po chwili milczenia. – Opowiedzcie mi o swoim świecie. Dlaczego go opuściliście i przybyliście tutaj?

Serafina zaczęła opowiadać. Mężczyzna był uczciwym człowiekiem, toteż niczego nie musiała przed nim zatajać. Słuchał z wielką uwagą, od czasu do czasu potrząsając ze zdziwienia głową, a kiedy skończyła, stwierdził:

–Mówiłem wam o mocy naszych filozofów, o kluczu, który otwiera drzwi do innych światów. Niektórzy ludzie uważają, że filozofom zdarza się czasami zapomnieć zamknąć drzwi, nie byłbym więc zaskoczony, gdyby trafiali tu rozmaici podróżnicy z

równoległych światów. Wiemy z całą pewnością, że przybywają do nas anioły...

–Anioły? – przerwała mu Serafina. – Wspomniał pan już o tym. Nigdy o nich nie słyszałyśmy. Co to za istoty?

–Opowiedzieć wam o aniołach? – spytał Joachim Lorenz. – Dobrze. Ich nazwa brzmi *bene elim*. Tak słyszałem. Ludzie nazywają je także Stróżami. Nie mają ciała jak my, są istotami duchowymi. A może po prostu ich ciało jest znacznie delikatniejsze niż nasze, lżejsze i bardziej przezroczyste, nie wiem... W każdym razie bardzo się od nas różnią. Przynoszą wiadomości z nieba, na tym polega ich praca. Widzimy je czasami na nieboskłonie, gdy przelatują z naszego świata do innego. Połyskują wówczas jak świetliki. W bezwietrzne noce można usłyszeć szum ich skrzydeł. Mają zupełnie inne sprawy niż my, chociaż podobno w przeszłości schodziły do nas, kontaktowały się z mężczyznami i kobietami. Ludzie mówią, że wychowywały się wtedy z nami.

Kiedy pojawiła się mgła po wielkiej burzy – podjął po chwili – utknąłem na wzgórzach za miastem Sant’Elia. Wracalem do domu. Znalazłem schronienie w szałasie pasterza przy źródle obok lasku brzozowego. Całą noc słyszałem nad sobą głosy we mgle, krzyki trwogi i gniewu oraz uderzenia skrzydeł – nigdy wcześniej anioły nie były bliżej mnie. A przed świtem dotarły do moich uszu dźwięki zbrojnej potyczki, świst strzał i szczęk oręża. Chociaż byłem ogromnie ciekaw, nie odważyłem się wyjść i sprawdzić, co się dzieje. Za bardzo się bałem. Hm, jeśli chcecie znać prawdę, byłem ogromnie przerażony. Kiedy mgła opadła, odważyłem się wyrzeć z szałasu i zobaczyłem, że przy źródle leży jakaś piękna istota. Była ranna. Nagle wydało mi się, że widzę rzeczy, których nie mam prawa oglądać – rzeczy święte. Musiałem odwrócić wzrok, a gdy ponownie zerknąłem, postać już zniknęła. Wtedy znajdowałem się najbliżej anioła. Mówiłem wam też, że widzieliśmy je onegdaj wysoko na niebie wśród gwiazd. Kierowały się wówczas ku biegunowi. Wyglądały jak flota wielkich żaglowców... Coś się dzieje w niebie, lecz my tu, na dole, nie mamy pojęcia o tych działaniach. Może wybuchła wojna... Już kiedyś toczyła się wojna w niebie, och, tysiące lat temu, przed wieloma wiekami... Nie wiem, jakim rezultatem się skończyła. Może teraz doszło do następnej. Jeśli rzeczywiście wybuchła, świat zostanie zniszczony, a konsekwencje dla nas... Nie, nie, nawet nie potrafię sobie tego wyobrazić.

Chociaż – kontynuował, pochyliwszy się do przodu, aby dołożyć do ognia – może skutki wcale nie byłyby tak fatalne, jak się obawiam. Może wojna w niebie zmiotłaby zupełnie upiory z naszego świata, wrzucając je z powrotem do piekła, z którego przybywają. Ależ by to było dobrodziejstwo! Moglibyśmy zacząć wszystko od nowa, szczęśliwi i wolni od tego straszliwego przekleństwa!

W oczach patrzącego w płomienie Joachima Lorenza nie było jednak nadziei. Na jego obliczu odbijało się światło, a twarz mężczyzny pozostawała nieruchoma. Nieszczęsny człowiek miał minę pochmurną i smutną.

–A ten biegun – odezwała się Ruta Skadi. – Powiedział pan, że anioły kierowały się ku biegunowi. Po co się tam udawały? Czy tam leżą niebiosa?

–Nie potrafię ci, pani, odpowiedzieć. Jestem człowiekiem prostym i niewykształconym. Słyszałem, że na północy naszego świata zamieszkują duchy. Gdyby anioły zebrały się w grupę, sądzę, że właśnie tam by podążyły a gdyby zamierzały szturmować niebo, nie wątpię, że tam zbudowałyby swoją fortecę i stamtąd wyruszałyby do boju.

Mężczyzna podniósł oczy i czarownice podążyły za jego wzrokiem. Gwiazdy w tej krainie wyglądały tak samo jak w ich świecie: Droga Mleczna płonęła jaskrawo na kopule nieba, niezliczone punkty gwiazdowego światła pokrywały mrok, ich jasność niemal dorównywała księżycowi.

–Panie – zagaiła Serafina – czy słyszałeś kiedykolwiek o Pyle?

–Pyle? Masz zapewne na myśli pył w innym znaczeniu, niż ten, który leży na drogach. Nie, nigdy o niczym takim nie słyszałem. Ale patrzcie... oddział anielski... właśnie teraz...

Wskazał ku konstelacji Ofiukusa. I rzeczywiście, coś się w niej poruszało, jakaś mała grupa świetlistych istot. Nie unosiły się leniwie na niebie, lecz leciały szybko, niczym gęsi albo łabędzie.

Ruta Skadi wstała.

–Siostro, czas, bym się z tobą rozstała – oznajmiła Serafinie. – Polecę porozmawiać z tymi aniołami. Jeśli lecą do Lorda Asriela, będę im towarzyszyć. Jeśli nie, sama go poszukam. Dziękuję ci za wspólną podróż i życzę powodzenia.

Ucałowały się, po czym Ruta Skadi usiadła na swojej gałęzi z sosny obłocznej i uniosła się w powietrze. Jej dajmon, petrel Sergi, ruszył w ciemność wraz z nią.

–Jak wysoko polecimy? – spytał.

–Tak wysoko, jak ci świetliści w konstelacji Ofiukusa. Lecą szybko, Sergi. Musimy ich dogonić.

Ruta wraz z dajmonem śmignęli w górę, wznosząc się szybciej niż iskry ognia. Powietrze szumiało w gałązkach sosny. Czarne włosy Ruty rozwiewały się niczym warkocz komety. Czarownica nie obejrzała się ani na małe ognisko w bezmiernej ciemności, ani na śpiące dzieci ani na swoje towarzyszki czarownice. Ten etap podróży uważała za zakończony, a poza tym lecące przed nią świetliste postacie wydawały się coraz mniejsze, wiedziała więc, że jeśli choć na chwilę odwróci od nich wzrok, łatwo straci je z oczu w tym wielkim obszarze oświetlonym jedynie światłem

gwiazd.

Leciała dalej, przez cały czas wpatrując się w anioły, i stopniowo, w miarę jak się zbliżała, świetliste istoty zaczęły nabierać wyraźniejszych kształtów.

Nie płonęły, lecz raczej lśniły – jak gdyby stale i wbrew nocnemu niebu oświetlały je promienie słoneczne. Z wyglądu przypominały ludzi, tyle że posiadały skrzydła i były znacznie wyższe. Ponieważ nie miały ubrań, Ruta rozróżniła trzech mężczyzn i dwie kobiety. Skrzydła wyrastały im z łopatek, plecy i piersi mieli mocno umięśnione. Czarownica leciała w pewnej odległości za nimi, bacznie obserwując nieznanne stworzenia i oceniając ich siłę na wypadek, gdyby musiała z nimi walczyć. Nie były uzbrojone, leciały bardzo lekko i prawie bez wysiłku i Ruta Skadi obawiała się, że w razie niebezpieczeństwa zapewne nie udałoby jej się przed nimi uciec.

Przygotowała łuk, przyspieszyła i zbliżyła się do nich, wołając:

–Anioły! Zatrzymajcie się i wysłuchajcie mnie! Nazywam się Ruta Skadi i pragnę z wami porozmawiać!

Istoty odwróciły się. Ich wielkie skrzydła uderzały spokojnie, a ciała prostowały się w powietrzu. Przyjęły pozycję stojącą i trwały w niej dzięki odpowiednim ruchom. Otoczyły czarownicę – pięć ogromnych postaci jarzących się w ciemnościach, oświetlonych promieniami niewidocznego słońca.

Ruta rozejrzała się. Siedząc na gałęzi sosnowej, udawała dumną i nieulekłą, chociaż serce biło jej szybko, bo widok był niesamowity, a jej dajmon trzepotał skrzydełkami, starając się trzymać blisko ciepłego ciała swej właścicielki.

Każda anielska istota była odmienna i неповtarzalna, a jednocześnie miały ze sobą więcej wspólnego niż znani Rucie ludzie. Różniło ich od siebie specyficzne migotanie, były obdarzone inteligencją i uczuciami. Anioły nie miały na sobie żadnych szat, lecz to czarownica czuła się naga pod ich na wskroś przeszywającymi spojrzeniami.

A jednak nie spieszyła się i patrzyła na nich z wysoko podniesioną głową.

–Więc jesteście aniołami – zagaiła – Stróżami albo *bene elim*. Dokąd się udajecie?

–Lecimy na wezwanie – odparł anioł.

Ruta nie była pewna, która z istot się odezwała. Mogła to powiedzieć każda z nich albo wszystkie jednocześnie.

–Kto was wezwał? – spytała.

–Człowiek.

–Lord Asriel?

–Być może.

–Dlaczego lecicie na jego wezwanie?

–Ponieważ tak chcemy – padła odpowiedź.

–Zaprowadźcie mnie więc do niego – poleciła. Ruta Skadi liczyła sobie czterysta sześćdziesiąt lat i miała dumę i wiedzę królowej klanu czarownic. Była bez porównania mądrzejsza od każdej krótko żyjącej istoty ludzkiej, jednak wobec tych niezwykłych postaci okazała się bezradna jak dziecko. Nie wiedziała, jak wielka jest ich wiedza, miała jednak wrażenie, że sięga ona w najodleglejsze rejony wszechświata, o których Ruta nigdy nawet nie śniła. Wiedziała również, że postrzega anioły w ludzkiej postaci tylko dlatego, że nie potrafi ujrzeć ich prawdziwych kształtów. Anioły wydawały jej się bardziej architektonicznymi konstrukcjami niż organizmami, były ogromnymi strukturami obdarzonymi inteligencją i uczuciami.

Istoty najwyraźniej nie spodziewały się po niej niczego innego, przecież była w ich mniemaniu osobą bardzo młodą.

Od razu uderzyły skrzydłami i ruszyły naprzód. Ruta leciała za nimi. Unosząc się w powietrzu rozkołysanym uderzeniami ich skrzydeł, rozkoszowała się prędkością i siłą lotu.

Lecieli przez noc. Wokół migotały gwiazdy, ich blask bladł, aż wreszcie znikaly, gdy na wschodzie rozpoczynał się świt. Później pojawiła się słoneczna obręcz i cały świat nagle pojaśniał. Lecieli po błękitnym niebie, w przezroczystym powietrzu, świeżym, słodkim i wilgotnym.

W dzień anioły były mniej widoczne, chociaż równie niezwykle jak w nocy. Nadal otaczało ich – odmienne od słonecznego – światło.

Leciały niestrudzenie, a Ruta nie zostawała w tyle. Wydawało jej się, że opanowała ją jakaś dzika radość, i czuła się tak, jak gdyby zdobyła władzę nad tymi nieśmiertelnymi istotami. Przyjemność sprawiało jej własne ciało i krew, dotyk na skórze chropowatej sosnowej kory, uderzenia serca, wszystkie zmysły, głód, obecność dajmona o słodkim głosie, widok ziemi w dole i każdego żywego stworzenia: roślin i zwierząt; cieszyła ją przynależność do tego świata materii i świadomość, że kiedy umrze, jej ciało stanie się pożywieniem dla innych istot, tak jak ona żywiących się ciałami zwierząt i roślinami. Podniecała ją także myśl, że znowu zobaczy Lorda Asriela.

Nadeszła kolejna noc, a anioły nie przerywały lotu. W pewnej chwili powietrze osobiwie się zmieniło – Ruta nie wiedziała, na czym polegała ta zmiana, lecz była przekonana, że wraz z aniołami opuściła tamten świat i trafiła do następnego. Nie miała pojęcia, jak do tego doszło...

–Anioły! – zawołała, gdy poczuła zmianę. – W jaki sposób zdołałyście przeniknąć barierę między światami? Gdzie leżała granica?

–W powietrzu istnieją wrota do innych światów, które my potrafimy dostrzec, ty natomiast nie – padła odpowiedź.

Ruta Skadi rzeczywiście nie widziała tajemniczych wrót, ale nie były jej potrzebne, ponieważ czarownice potrafią latać po niebie lepiej niż ptaki. Zanim anioł skończył swą wypowiedź, Ruta skupiła wzrok na trzech poszczerbionych szczytach w dole i dokładnie zapamiętała miejsce, nad którym znajdowały się drzwi łączące dwa światy. Niezależnie od opinii anioła, była pewna, że w razie potrzeby potrafi ponownie odnaleźć przejście.

Lecieli dalej i niebawem czarownica usłyszała anielski głos:

–W tym świecie przebywa Lord Asriel. Buduje tam fortecę...

Anioły zwolniły lot i zaczęły krążyć w powietrzu niczym orły. Ruta Skadi popatrzyła na miejsce wskazane przez świetlistą istotę. Pierwsze słabutkie migotanie światła rozjaśniało niebo na wschodzie, chociaż gwiazdy równie jaskrawo jak w nocy lśniły jeszcze na tle aksamitnie czarnych niebios. Na wschodnim, z każdą chwilą jaśniejącym horyzoncie zobaczyła wielkie góry: ostre, czarne szczyty skalne, wielkie, popękane zbocza i poszczerbione grzbiety górskie; całość wyglądała dziwacznie i groźnie, niczym ruiny po katastrofie wszechświata. Na najwyższym wierzchołku Ruta dostrzegła ciemną, oświetloną pierwszymi promieniami porannego słońca, samotną budowlę – olbrzymią fortecę, której blanki wykonano z pojedynczych bazaltowych płyt wysokich jak pół wzgórza. Poniżej tej gigantycznej twierdzy w ciemnościach wczesnego świtu płonęły ognie i dymiły paleniska. Ruta Skadi z odległości wielu mil słyszała szcęk młotów i odgłosy pracy wielkich pras. Zauważyła też, że ze wszystkich stron nadlatują ku fortecy anioły oraz rozmaite maszyny: szybujące jak albatrosy statki powietrzne o stalowych skrzydłach, szklane kabiny zawieszane pod trzepoczącymi skrzydłami mechanicznych ważek, brzęczące zeppelininy przypominające ogromne trzmielce. Wszyscy kierowali się do fortecy, którą jeden człowiek budował w górach na krańcu świata.

–Zastaniemy Lorda Asriela? – spytała.

–Tak, jest tutaj – odparły anioły.

–W takim razie, lećmy się z nim spotkać. Będziecie moją strażą przyboczną.

Anielskie istoty posłusznie rozpostarły skrzydła i skierowały się wprost ku twierdzy połyskującej w słońcu złotą barwą. Przed aniołami leciała pełna zapału czarownica.

ROLLS – ROYCE

Lyra obudziła się wcześniej. Poranek był cichy i ciepły, jak gdyby w mieście nigdy nie panowała inna pogoda niż piękne, spokojne lato. Lyra wyslizgnęła się z łóżka i zeszła na dół. Słyszając dziecięce głosy nad wodą, poszła sprawdzić, co się tam dzieje.

Trzej chłopcy i dziewczynka płynęli przez oświetlony słońcem basen portowy w dwóch łódkach, kierując się ku schodkom. Ścigali się. Gdy zobaczyli Lyrę, zwolnili na moment, potem jednak ponownie zajął ich wyścig. Zwycięzcy wpłynęli na schodki z takim impetem, że jeden z nich – chłopiec – wpadł do wody, po czym spróbował się wspiąć na drugą łódkę i przewrócił ją. Potem cała czwórka, stojąc w wodzie, pryskała się beztrąsko, jak gdyby nocne strachy poszły w zapomnienie. Lyra pomyślała, że dzieci są młodsze niż większość spotkanych przy wieży, i przyłączyła się do ich zabawy w wodzie; Pantalaimon przybrał postać małej srebrnej rybki i pływał obok swej pani. Dziewczynce rozmowy z innymi dziećmi nigdy nie sprawiały trudności, toteż wkrótce cała czwórka zasiadła wokół niej na ciepłych kamieniach częściowo zanurzonych w płytkiej wodzie. Ubrania suszyły się w słońcu. Biedny Pantalaimon musiał znowu wpełznąć do kieszeni swej właścicielki – był teraz żabą siedzącą w wilgotnej bawełnie.

–Co zamierzacie zrobić z tamtym kotem?

–Naprawdę nie lękacie się złych mocy?

–Skąd jesteście?

–Twój przyjaciel nie boi się upiórów?

–Will niczego się nie boi – odparła Lyra. – Ani ja. Dlaczego przestraszyliście się kota?

–Naprawdę nic nie wiecie o kotach? – spytał starszy chłopiec z niedowierzaniem. – Przecież koty mają w sobie diabła! Trzeba zabić każdego napotkanego. Jeśli cię któryś ugryzie, wprowadzi w twoje ciało diabła. A co zrobiłaś z tym dużym lampartem?

Lyra uprzytomniła sobie, że jej młodziutki rozmówca ma na myśli Pantalaimona w postaci wielkiego kota, i z niewinną minką potrząsnęła głową.

–Musiało ci się przyśnić – oświadczyła. – W świetle księżyca wiele rzeczy wygląda inaczej. Tam, skąd pochodzimy ja i Will, nie ma upiórów, nie wiemy więc o nich zbyt wiele.

–Jesteś bezpieczna, póki nie zdołasz ich dostrzec – wyjaśnił chłopiec. – Jeśli je

zobaczysz, wtedy mogą cię zabrać. Tak powiedział mój tata, a później go dopadły. Pewnego razu po prostu nie udało mu się przed nimi uciec.

–Czy one są teraz tutaj, wokół nas?

–Tak – odrzekła dziewczynka. Wyciągnęła rękę i zacisnęła dłoń, mrużąc: – Schwyciłam właśnie jednego z nich!

–Nie są w stanie nas skrzywdzić – zauważył jeden z chłopców – więc i my nie możemy im nic zrobić!

–Zawsze w waszym świecie były upiory? – spytała Lyra.

–Tak – odparł jeden chłopiec, drugi mu jednak zaprzeczył.

–Nie, ale przybyły dawno temu. Setki lat temu.

–Przybyły z powodu Gildii – powiedział trzeci.

–Czego? – spytała Lyra.

–Nie! – krzyknęła dziewczynka z grupy. – Babcia mi mówiła, że ludzie byli źli i Bóg wysłał upiory, aby nas ukarały.

–Twoja babcia nic nie wie – wtrącił chłopiec. – Ona ma brodę. To koza, cha, cha, cha!

–Czym jest Gildia? – nalegała Lyra.

–Znasz Torre degli Angeli? – spytał inny chłopiec. – To kamienna wieża należąca do Gildii. W wieży jest pewne sekretne miejsce. Do Gildii należą mężczyźni, którzy znają się na wszystkim: na filozofii, alchemii, po prostu na wszystkim. To oni pozwolili wejść upiorom.

–Nieprawda – powiedział trzeci chłopiec. – Upiory pochodzą z gwiazd.

–Wcale nie! Było tak, jak mówię! Pewien przedstawiciel Gildii setki lat temu rozciął metal. Ołów. Zamierzał przemienić go w złoto. Więc ciął go i ciął na coraz mniejsze części, aż otrzymał możliwie najmniejszy kawałeczek. Nie istniało nic mniejszego od niego, był tak mały, że nawet ten filozof nie mógł go zobaczyć. Jednak przeciął również i ten kawałek, a w jego wnętrzu znajdowały się upiory tak ze sobą splecione, że zajmowały tę maleńką przestrzeń. W momencie gdy przeciął... Uff! Wszystkie upiory wy dostały się na zewnątrz i od tej chwili są wśród nas. Tak mówił mój tata.

–Czy w wieży są teraz jacyś mężczyźni z Gildii? – spytała Lyra.

–Nie, nie! Uciekli, tak jak wszyscy inni – odparła dziewczynka.

–W wieży nie ma nikogo, tam straszy – oznajmił chłopiec. – Dlatego wyszedł z niej kot. Nie zamierzamy do niej wchodzić. Ani my, ani żadne inne dzieciaki. To straszne miejsce.

–Ludzie z Gildii nie boją się tam wchodzić – zaprzeczył inny.

–Mają szczególną moc czy coś w tym rodzaju. Byli zachłanni i żyli kosztem biednych ludzi – wtrąciła dziewczynka. – Biedni ludzie ciężko pracowali, a mężczyźni z Gildii po prostu ich wykorzystywali.

–Ale teraz nie ma nikogo w wieży? – spytała Lyra. – Żadnych dorosłych?

–W naszym mieście w ogóle nie ma dorosłych!

–Och, nie ośmieliliby się tu przebywać!

A przecież Lyra widziała młodego mężczyznę na wieży. Była o tym przekonana! Zresztą, dzieci mówiły znanym jej tonem wprawnych kłamców, nie wiedziały jednak, z kim mają do czynienia. Ich rozmówczyni świetnie się znała na kłamstwach i potrafiła je rozpoznać.

Nagle przypomniała sobie, że mały Paolo wspomniał o starszym bracie, Tulliu, który przybył wraz z nimi do miasta. Angelica uciszyła wówczas Paola... Może ten młody mężczyzna, którego widziała Lyra, to właśnie ich brat?

Dzieci zajęły się zawracaniem łodzi, a następnie popłynęły z powrotem na plażę, natomiast Lyra wróciła do budynku, aby zaparzyć kawę i sprawdzić, czy Will już się obudził. Okazało się, że chłopiec ciągle jeszcze śpi ze zwiniętym u stóp kotem, a ponieważ dziewczynka jak najprędzej chciała się spotkać ze swoją uczoną, napisała do niego kartkę i położyła ją na podłodze przy łóżku. Później wzięła plecak i wyszła, by poszukać okienka.

Wybrana przez nią ulica poprowadziła ją przez mały plac, do którego doszli z Willem poprzedniej nocy. Teraz plac był pusty i światło słoneczne ujawniło pokryty kurzem fronton starej wieży oraz wytarte rzeźbienia obok drzwi: przedstawiały podobne ludzkim postaciom ze złożonymi skrzydłami; rysy twarzy zatarły rzeźbom wiatry i deszcze, ale ich postawa wyrażała moc, współczucie i intelektualną potęgę.

–Anioły – odezwał się Pantalaimon, który jako świerszcz siedział na ramieniu swej pani.

–Może to upiory – zastanowiła się Lyra.

–Nie! Dzieci użyły słowa *angeli* - upierał się jej dajmon – Załóżę się, że to anioły.

–Wejdziemy?

Podnieśli oczy na wielkie dębowe wrota z czarnymi, ozdobnymi zawiasami. Pół tuzina stopni, które prowadziły do wejścia, było mocno zniszczonych, a drzwi uchylone. Nic z wyjątkiem własnego strachu nie powstrzymało Lyry przed wślizgnięciem się do wieży.

Dziewczynka weszła na palcach po schodach i zajrzała do środka. Dostrzegła jedynie fragment ciemnego, wykładanego kamiennymi płytami korytarza, lecz Pantalaimon drżał z niepokoju na jej ramieniu, podobnie jak wtedy, gdy zamieniali czaszki w krypcie Kolegium Jordana. Na szczęście Lyra zmądrzała od tamtego czasu. Domyśliła się, że w wieży panoszy się zło, zbiegła więc szybko po schodkach, przebiegła plac i skierowała się w stronę jaskrawo rozjaśnionego słonecznym światłem bulwaru z palmami. Gdy tylko się upewniła, że nikt jej nie obserwuje, podeszła do okienka i przeszła do Oksfordu Willa.

W czterdzieści minut później po raz kolejny stała w budynku wydziału fizyki i kłóciła się z portierem. Tym razem jednak miała w ręku kartę atutową.

–Niech pan po prostu zapyta doktor Malone – stwierdziła słodko. – Niech pan tylko ją spyta, nic więcej. Ona panu powie.

Portier odwrócił się do telefonu i Lyra obserwowała z litościwą miną, jak mężczyzna przyciska guziki i mówi w słuchawkę. Myślała ze smutkiem o biednym tutejszym portierze, któremu nawet nie przydzielono odpowiedniego pomieszczenia – takiego, jak w jej prawdziwym kolegium Oksfordzkim – miał przed sobą tylko duży drewniany kontuar, jak gdyby pracował w sklepie.

–W porządku – oświadczył portier, odwracając się. – Mówi, że masz wejść. Tylko nigdzie nie zbaczaj po drodze.

–Dobrze – odparła poważnie, niczym uprzejma panienska, która zawsze postępuje zgodnie z poleceniami dorosłych.

Na szczycie schodów czekała ją jednakże niespodzianka, ponieważ nagle otworzyły się drzwi z narysowaną sylwetką kobiety na tabliczce i wysunęła się głowa i ręka doktor Malone. Uczona bez słowa kiwała na Lyrę ręką zapraszając ją do środka.

Dziewczynka weszła, zaintrygowana. Nie było to laboratorium, ale toaleta, a doktor Malone wydawała się bardzo poruszona.

–Lyro – odezwała się – w laboratorium są jacyś ludzie... chyba policjanci... Wiedzą, że byłeś u mnie wczoraj... Nie wiem, czego szukają, ale nie podobają mi się... Co się

dzieje?

–Skąd się dowiedzieli, że przyszedłam się z panią zobaczyć?

–Nie wiem! Nie znali twojego nazwiska, ale od razu wiedziałam, o kim mówią...

–Och! No dobrze, mogę ich okłamać. To łatwe.

–Ale o co w tym wszystkim chodzi?

Jakiś kobiecy głos spytał z korytarza przed toaletą:

–Doktor Malone? Widziała pani dziewczynkę?

–Tak – odparła doktor Malone. – Właśnie jej pokazywałam, gdzie jest toaleta...

Lyra pomyślała, że uczona nie ma powodu do niepokoju, najwyraźniej jednak nie była przyzwyczajona do niebezpieczeństw.

Kobieta w korytarzu była młoda i bardzo elegancko ubrana. Naprawdę próbowała się uśmiechnąć na widok dziewczynki, ale jej oczy patrzyły srogo i podejrzliwie.

–Witaj – odezwała się. – Jesteś Lyra, prawda?

–Tak. A pani jak się nazywa?

–Jestem sierżant Clifford. Wejdz.

Dziewczynka pomyślała, że ta młoda kobieta ma tupet skoro traktuje laboratorium jak swój własny pokój, lecz nic nie powiedziała, tylko skinęła potulnie głową. Po raz pierwszy poczuła ukłucie żalu. Zdała sobie sprawę że nie powinna tu być; pamiętała, co altheiometr kazał jej zrobić – miała pomóc Willowi, a nie przychodzić tutaj. Niezdecydowana stała w progu.

W pomieszczeniu siedział wysoki barczysty mężczyzna o białych brwiach. Dziewczynka świetnie wiedziała, jak wyglądają uczeni, i tych dwoje z pewnością nimi nie było.

–Wejdz, Lyro – ponagliła ją sierżant Clifford. – Wszystko w porządku. To jest inspektor Walters.

–Witaj, Lyro – odezwał się mężczyzna. – Wiele o tobie słyszałem od doktor Malone. Chciałbym zadać ci kilka pytań, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

–Na jaki temat? – spytała.

–Och, to nic trudnego – odparł, uśmiechając się. – Wejdz i usiądź.

Pchnął ku niej krzesło. Dziewczynka usiadła ostrożnie. Usłyszała, jak zamykają się drzwi. Doktor Malone stała obok. Pantalaimon, który pod postacią świerszcza tkwił w kieszeni na piersi Lyry, był bardzo poruszony – czuła to. Miała nadzieję, że nikt nie zauważy jej drżącego dajmona. Poleciała mu w myślach, aby się nie ruszał.

–Skąd pochodzisz, Lyro? – spytał inspektor Walters.

Gdyby wymieniła Oksford, łatwo mogliby sprawdzić jej słowa. Nie mogła jednak powiedzieć, że przybyła z innego świata. Uznała tych ludzi za niebezpiecznych, choćby dlatego, że od razu chcieli się wszystkiego dowiedzieć. Przyszła jej do głowy jedyna nazwa, jaką знаła w tym świecie: miejsce, z którego pochodził Will.

–Z Winchesteru – odrzekła.

–Biłaś się z kimś, prawda, Lyro? – spytał inspektor. – Skąd masz te siniaki? Jeden na policzku, drugi na nodze... Czy ktoś cię uderzył?

–Nie – mruknęła.

–Chodzisz do szkoły?

–Tak. Czasami – dodała.

–Nie powinnaś być dziś w szkole?

Nic nie odpowiedziała. Czuła się coraz bardziej nieswojo. Popatrzyła na doktor Malone i dostrzegła na jej twarzy napięcie i smutek.

–Przyszłam tu tylko zobaczyć się z doktor Malone – bąknęła dziewczynka.

–Zatrzymałaś się w Oksfordzie, Lyro? Gdzie nocujesz?

–U pewnych ludzi – odrzekła. – To moi przyjaciele.

–Jaki jest ich adres?

–Nie potrafię powiedzieć, gdzie mieszkają. To znaczy... łatwo tam trafię, ale nie pamiętam nazwy ulicy.

–Kim są ci ludzie?

–To przyjaciele mojego ojca.

–Och, rozumiem. W jaki sposób trafiłaś do doktor Malone?

–Mój ojciec jest fizykiem i ją zna.

Pomyślała, że na razie jakoś sobie radzi, i zaczęła się uspokajać. Dzięki temu potrafiła kłamać płynniej.

–Doktor Malone pokazała ci, nad czym pracuje, prawda?

–Tak. Maszyna z ekranem... Tak, pokazała.

–Interesujesz się takimi sprawami? Nauką i badaniami?

–Tak. Zwłaszcza fizyką.

–Zamierzasz zostać naukowcem, kiedy dorośniesz?

Lyra zareagowała na to pytanie obojętnym spojrzeniem. Mężczyzna nie zmieszał się, wymienił spojrzenie z młodą kobietą, po czym znowu popatrzył jasnymi oczyma na dziewczynkę.

–Byłaś zaskoczona tym, co ci pokazała doktor Malone...

–No cóż, w pewnym sensie, ale wiedziałam, czego się spodziewać.

–Dzięki ojcu?

–Tak, ponieważ mój ojciec zajmuje się podobnymi rzeczami.

–Hm, powiedzmy. Rozumiesz to zjawisko?

–W pewnym sensie.

–Twój ojciec bada zatem mroczną materię?

–Tak.

–Czy doszedł do takich wniosków, jak doktor Malone?

–Nie w ten sam sposób. Może pewne badania wyszły mu lepiej, ale nie ma takiej maszyny ze słowami na ekranie.

–Will także zatrzymał się u twoich przyjaciół?

–Tak, on...

Lyra umilkła. Od razu wiedziała, że popełniła straszliwy błąd.

Zerwała się, by uciec. Mężczyzna i kobieta natychmiast ruszyli, by utrudnić jej

wyście z pokoju, wcześniej jednak natknęli się na doktor Malone. Sierżant potknęła się i upadła, blokując drogę inspektorowi. Dzięki temu Lyra zdołała wybiec z pomieszczenia i zatrzasnąć za sobą drzwi. Pędem pobiegła do schodów.

Z jakichś drzwi wyszło niespodziewanie dwóch mężczyzn w białych kitlach i dziewczynka wpadła na nich. Pantalaimon zmienił się w kruka, zaczął krakać i trzepotać skrzydłami; jego widok tak bardzo przestraszył obu naukowców, że upadli do tyłu, a Lyra uwolniła się i pobiegła schodami w dół i do głównego korytarza. Portier właśnie odkładał słuchawkę i ruszył ku niej, krzycząc:

–Hej, ty! Zatrzymaj się!

Na szczęście nadal stał za kontuarem oddzielającym go od pozostałej części korytarza, a podnoszona kłapa przez którą mógł wyjść, znajdowała się przy drugim końcu blatu, toteż dziewczynka wpadła w obrotowe drzwi na długo przed portierem.

Dostrzegła kątem oka, że otwierają się drzwi windy i wybiega z niej jasnowłosa mężczyzna. Był szybki...

Drzwi Lyry nie obracały się! Pantalaimon zakrakał, że on i jego pani pchają w niewłaściwą stronę.

Krzyknęła ze strachu, popchnęła drzwi i wreszcie wpadła do kolejnego pomieszczenia. Cisnęła plecak w drugie drzwi z grubego szkła. Otworzyły się i dziewczynka znalazła się na zewnątrz, w ostatniej chwili unikając sięgającej za nią ręki portiera. Przy okazji starzec zatarasował przejście jasnowłosemu mężczyźnie.

Lyra przebiegła na drugą stronę ulicy, lekceważąc samochody, ich hamulce i pisk opon, wpadła w wyłom między wysokimi budynkami, a potem popędziła kolejną ulicą, po której w obu kierunkach jeździły rozmaite pojazdy. Dziewczynka biegła pędem, uchylając się przed rowerami. Jasnowłosa mężczyzna przez cały czas niemal deptał jej po piętach... Przerzątał ją.

Przeskoczyła płot i trafiła do jakiegoś ogrodu. Przedarła się przez krzaki... Pantalaimon leciał szybko nad jej głową, krzykiem wskazując jej drogę. W pewnym momencie dziewczynka przycupnęła za komórką z węglem. Do jej uszu dotarł odgłos kroków blondyna, który przebiegał tuż obok; pędził tak szybko, że nawet nie usłyszała jego sapania.

–Wróć teraz... wróć na ulicę – powiedział Pantalaimon.

Lyra wypełzła z kryjówki i ruszyła po miękkiej trawie, przez bramę opuściła ogród i znalazła się z powrotem na Banbury Road. Znowu uciekała przed pojazdami, słysząc za sobą pisk opon. Później pobiegła w górę wzdłuż ogrodów Norham, cichą uliczką obsadzoną drzewami wzdłuż której stały wysokie, wiktoriańskie kamienice.

Zatrzymała się, by złapać oddech. Przed jednym z ogrodów dostrzegła niski murek, a za nim wysoki żywopłot. Usiadła, ukrywając się za ligustrem.

–Pomogła nam! – odezwał się Pantalaimon. – Doktor Malone zagroziła im drogę. Jest po naszej stronie, nie z nimi.

–Och, Pan – jęknęła Lyra – nie powinnam nic mówić o Willu... Trzeba było zachować większą ostrożność...

–W ogóle nie powinnaś tu przychodzić – rzekł surowym tonem jej dajmon.

–Wiem. To także...

Dziewczynka nie miała jednak czasu, by się tłumaczyć z niemądrego postępku, ponieważ Pantalaimon zatrzepotał przy jej ramieniu, a potem szepnął:

–Wyjrzyj... – Natychmiast ponownie przybrał postać świerszcza i wskoczył do kieszeni swej właścicielki.

Lyra wstała, gotowa do ucieczki, a wtedy zobaczyła ogromny, granatowy samochód, który sunął cicho po chodniku tuż obok niej. Już miała pobiec, gdy nagle otworzyło się tylne okno samochodu i pojawiła się w nim znajoma twarz.

–Lizzie – odezwał się starzec spotkany w muzeum. – Jak miło cię znowu zobaczyć. Może cię gdzieś podwieźć?

Otworzył drzwiczki i odsunął się, aby zrobić jej miejsce obok. Pantalaimon lekko uszczypnął Lyrę w pierś przez cienką bawełnę, ale dziewczynka wsiadła bez zastanowienia, ściskając kurczowo plecak. Mężczyzna pochylił się i zatrzasnął drzwiczki.

–Chyba się gdzieś spieszyłaś – stwierdził. – Dokąd chcesz jechać?

–Do Summertown – odparła. – Proszę!

Kierowca miał czapkę z daszkiem. W samochodzie wszystko było gładkie, miękkie i duże. Od starca bił mocny zapach wody kolońskiej. Pojazd zjechał z chodnika i ruszył niemal bezszelestnie.

–Więc, co u ciebie słysząc, Lizzie? – spytał sta rzec. – Dowiedziałaś się czegoś więcej o tych czaszkach?

–Tak – odparła, wyciągając szyję, by spojrzeć przez tylne okno. Nie dostrzegła jasnowłosego mężczyzny. Najwyraźniej udało jej się uciec! Nigdy jej już nie znajdzie. Była bezpieczna w wielkim samochodzie, z tym bogatym człowiekiem. Uśmiechnęła

się z triumfem.

–Ja także trochę popytałem – ciągnął starzec. – Pewien mój przyjaciel antropolog twierdzi, że w zbiorach muzeum znajduje się sporo tego typu eksponatów. Niektóre z nich są naprawdę bardzo stare. Neandertalskie wiesz...

–Tak, słyszałam o tym – mruknęła Lyra, nie mając pojęcia, o czym mówi mężczyzna.

–A jak tam twój przyjaciel?

–Jaki przyjaciel? – spytała Lyra. Z niepokojem zastanawiała się, czy powiedziała mu o Willu.

–Przyjaciel, u którego się zatrzymałaś.

–Ach, tak. To przyjaciółka. Czuje się dobrze, dziękuję.

–Co robi? Jest archeologiem?

–Nie, hmm... fizykiem. Bada mroczną materię – odrzekła Lyra, ciągle jeszcze nie w pełni nad sobą panując. W tym świecie wymyślanie kłamstw okazało się trudniejsze, niż sądziła. Męczyła ją pewna myśl – czuła, że skądś zna tego starego człowieka, i to od dawna, nie mogła sobie jednak skojarzyć, gdzie go wcześniej spotkała.

–Mroczną materię? – spytał. – Jakież to fascynujące! Czytałem coś o tym w „Timesie” dziś rano. Wszechświat jest pełen jakiejś tajemniczej substancji, której natury nikt nie zna! A twoja przyjaciółka jest na tropie, prawda?

–Tak. Wiele o niej wie.

–Co chciałabyś robić, jak dorośniesz, Lizzie? Zamierzasz również zająć się fizyką?

–Może – odrzekła. – To zależy.

Szofer zakasłał cicho i zwolnił.

–Ach, jesteśmy w Summertown – zauważył starzec. – Gdzie cię wysadzić?

–No... o tam, przy tych sklepach... Stamtąd pójde piechotą – odpowiedziała Lyra. – Dziękuję panu.

–Skręć w South Paradę i stań po prawej, Allanie – poleciał bogacz.

–Dobrze, proszę pana – odparł szofer.

W minutę później samochód zatrzymał się przy bibliotece publicznej. Starzec

przytrzymał otwarte drzwiczki od swojej strony, toteż Lyra, chcąc wysiąść, musiała go ominąć. Przesuwała się niezdarnie nad jego kolanami, gdyż nie miała ochoty dotykać mężczyzny, mimo iż wydawał jej się bardzo miły.

–Nie zapomnij plecaka – dodał, wręczając jej tobolek.

–Och, dziękuję – powiedziała.

–Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy, Lizzie – powiedział na koniec. – Kłaniaj się ode mnie swojej przyjaciółce.

–Do widzenia – mruknęła.

Szła po chodniku, póki samochód nie skręcił za rogiem i dopiero kiedy zniknął, ruszyła ku grabom. Miała dziwne przeczucie co do jasnowłosego mężczyzny i chciała zapytać o niego aletheiometr.

Will po raz drugi czytał listy od ojca. Siedział na tarasie, słyszał odległe krzyki dzieci pływających w basenie portowym, wpatrywał się w wyraźne litery na lichym papierze i próbował sobie wyobrazić autora listów. Wielokrotnie odczytywał też wszystkie wzmianki dotyczące dziecka, czyli jego samego.

W pewnej chwili usłyszał kroki biegnącej Lyry. Włożył listy do kieszeni i wstał, a dziewczynka prawie natychmiast pojawiła się przed nim. Miała błędne spojrzenie, a Pantalaimon w postaci żbika co chwila wydawał z siebie dzikie warknięcia. Dziewczynka była zbyt oszołomiona, aby ukrywać swój gniew. Ona, która rzadko płakała, teraz szlochała z wściekłości, pierś podnosiła się jej gwałtownie i opadała. Podbiegła do przyjaciela chwyciła go kurczowo za ramiona i krzyczała:

–Zabij go! Zabij! Chcę, żeby nie żył! Żałuję, że nie ma tu lorka... Och, Willu, tak źle postąpiłam, strasznie mi przykro...

–Co... Co się stało?

–Ten stary dziad... to zwyczajny złodziej... Ukradł go, Willu! Ukradł mój aletheiometr! Ten śmierdzący staruch w drogim ubraniu. Ten dziad z samochodem i służącym... Och, zrobiłam dziś rano tyle głupstw... Ach, Willu...

W tym momencie Lyra wybuchnęła płaczem. Will pomyślał, że jeśli ludzkie serce naprawdę może pęknąć z rozpacz, jego przyjaciółka jest teraz o krok od śmierci. Dziewczynka padła na ziemię i lamentowała, jej ciało drżało, a dajmon zmienił się w wilka i wył z żalu.

Nawet dzieci nad wodą usłyszały łkanie Lyry, stanęły nieruchomo i przysłoniły oczy, aby zobaczyć, kto tak szlocha. Will usiadł obok dziewczynki i potrząsał jej ramieniem.

–Przestań! Przestań płakać! – krzyknął. – Opowiedz mi wszystko od początku. Jaki starzec? Co się stało?

–Będziesz się bardzo gniewał... bo obiecałam, że cię nie wydam, obiecałam ci, a potem... – Lyra nadal łkała, a Pantalaimon przybrał postać młodego, niezdarnego pieska z oklapłymi uszami – machał ogonem i zachowywał się w taki sposób, jak gdyby coś zbroił.

Chłopiec zrozumiał, że dziewczynka rzeczywiście zrobiła coś, czego za bardzo się wstydziła, aby o tym powiedzieć, postanowił więc odezwać się do Pantalaimona.

–Co się stało?! – spytał. – Po prostu mi powiedz.

–Lyra poszła do uczonej, a tam czekali na nią jacyś ludzie, mężczyzna, i kobieta... Przechytrzyli nas... Zadawali wiele pytań, a potem nagle zapytali o ciebie i zanim zdaliśmy się powstrzymać, przyznaliśmy, że cię znamy. Uciekliśmy...

Dziewczynka ukryła twarz w dłoniach, czołem dotykała chodnika. Jej dajmon ze zdenerwowania szaleńczo zmieniał postacie: z psa stał się ptakiem, potem kotem, wreszcie śnieżnobiałym gronostajem.

–Jak wyglądał ten mężczyzna? – spytał Will.

–Duży – odparła Lyra przytłumionym głosem. – Wydawał się taki silny i miał strasznie jasne oczy...

–Widział, jak przechodziłaś przez okienko?

–Nie, ale...

–Nie wie więc, gdzie jesteśmy!

–Ale aletheiometr! – krzyknęła dziewczynka i gwałtownie usiadła; jej twarz wyrażała rozpacz, niczym grecka maska.

–No! – zachęcił Will. – Opowiedz mi o tym.

Wśród szlochów Lyra opowiedziała mu, co jej się przydarzyło – że starzec zapewne widział poprzedniego dnia, jak korzystała z aletheiometru w muzeum, że zatrzymał samochód, gdy uciekała przed blondynem, a ona wsiadła, że samochód stanął po lewej stronie drogi, więc musiała precyzyjnie przycisnąć się nad kolanami mężczyzny, aby wysiąść, że staruch wyjął aletheiometr z plecaka prawdopodobnie wtedy, gdy jej go podawał...

Chłopiec widział, że dziewczynka jest smutna, nie rozumiał jednak, dlaczego czuła

się winna. Lyra wyjaśniła mu.

–Widzisz, Willu, postąpiłam bardzo źle. Aletheiometr powiedział mi, żebym przestała się interesować Pyłem i pomogła tobie w poszukiwaniu ojca. A ja... mogłabym ci pomóc, mogłabym zabrać cię do ojca, gdybym miała aletheiometr. Nie posłuchałam mojego urządzenia, postąpiłam samowolnie i zrobiłam to, na co miałam ochotę, a nie to, co powinnam...

Will widział wcześniej, jak Lyra używała swojego przyrządu, i zrozumiał, że dowiedziałaby się, gdzie przebywa jego ojciec. Odwrócił się. Dziewczynka chwyciła go za rękę, ale chłopiec wyszarpnął się i poszedł nad brzeg morza. Dzieci znowu bawiły się w basenie portowym. Lyra podbiegła do przyjaciela i powiedziała:

–Willu, tak mi przykro...

–Co mi po tym? Nie dbam o to, czy jest ci przykro. Zrobiłaś tak, jak chciałaś.

–Ale, Willu, musimy sobie nawzajem pomagać, ty i ja, ponieważ nie mamy nikogo innego!

–Nie wiem, jak moglibyśmy sobie pomóc.

–Ani ja, chociaż...

Dziewczynka przerwała w pół zdania i w jej oczach coś zamigotało. Odwróciła się, podbiegła do porzuconego na chodniku plecaka i zaczęła go gorączkowo przeszukiwać.

**–Wiem, kim on jest! I gdzie mieszka! Popatrz! – krzyknęła, trzymając biały kartonik.
– Dał mi ja w muzeum! Możemy pójść i odebrać aletheiometr!**

Will wziął od niej wizytówkę i przeczytał:

Sir Charles Latrom

Komandor Orderu Imperium Brytyjskiego

Limefield House

Old Headington

Oksford

–Ma tytuł „sira” – zauważył. – ...Czyli prawie księcia. To oznacza, że ludzie uwierzą temu mężczyźnie, a nie nam. Zresztą, co mam według ciebie zrobić? Pójść na policję? Przecież policja mnie ściga! A jeśli do wczoraj mnie nie szukali, zaczną od dzisiaj. Idź ty, a natychmiast cię wypytają, kim jesteś. Dowiedzą się, że znasz mnie... Nie, to się nie uda.

–Możemy go ukraść. Pójdziemy do jego domu i ukradniemy aletheiometr. Wiem, gdzie się znajduje Headington, w moim Oksfordzie także jest... To niedaleko. Bez trudu dotrzemy tam w godzinę.

–Jesteś głupia.

–Ilorek Byrnison poszedłby prosto do tego złodzieja i oderwałby mu głowę! Żałuję, że go tu nie ma. On...

Lyra umilkła, Will popatrzył bowiem na nią takim wzrokiem, że aż się przestraszyła. Podobnie spojrział na nią kiedyś pancerny niedźwiedź i wówczas też poczuła strach.

–Nigdy w życiu nie słyszałem czegoś równie niemądrego – oświadczył chłopiec. – Sądzisz, że uda ci się wejść do domu takiego człowieka i ukraść swój przyrząd? Powinnaś się zastanowić. Skup się i użyj swojego mózgu. Taki bogacz założył na pewno mnóstwo antywłamaniowych alarmów, rozmaitych dzwonek, które zareagują na naszą obecność, specjalne zamki, podczerwień. Włączą się automatycznie...

–Nigdy nie słyszałam o takich rzeczach – bąknęła Lyra. – Nie ma ich w moim świecie. Skąd mogłam o nich wiedzieć, Willu?

–No dobrze, odpowiedz mi na takie pytania: facet może ukryć twój aletheiometr gdziekolwiek w swoim wielkim domu, prawda? Jak go odnajdziesz? Przeszukasz każdą szafkę, szufladę i wszystkie kryjówki? Ludzie, którzy włamali się do mojego domu, spędzili godziny na szukaniu teczek i nie znaleźli jej, a założę się, że staruch mieszka w znacznie większym domu niż ja. Zresztą, prawdopodobnie ma sejf. Nawet jeśli uda nam się wejść do jego domu, z pewnością nie znajdziemy twojego przyrządu

przed przybyciem policji.

Dziewczynka zwiesiła głowę. Will miał rację.

–Co w takim razie zrobimy? – spytała. Chłopiec nie odpowiedział, ale Lyra już wiedziała, że będą działać razem. Stanowili zespół, a Will – chciał czy nie – był w pewnym sensie zależny od dziewczynki. Przez chwilę chodził od brzegu morza do tarasu i z powrotem. Zaciskał ręce, zastanawiając się nad odpowiedzią, niestety niczego nie wymyślił. Potrząsnął gniewnie głową.

–No cóż... trzeba pójść do niego – powiedział w końcu. – Po prostu pójść i spotkać się z tym człowiekiem. Nie możemy raczej poprosić o pomoc twojej uczonej. Nawet jeśli tamci ludzie nie byli z policji, uwierzy szybciej im niż nam. A jeśli pójdziemy się spotkać z tym starym przynajmniej obejrzymy sobie jego dom i sprawdzimy jak są rozmieszczone pokoje. Tak. Od tego zaczniemy.

Nie mówiąc nic więcej, chłopiec wszedł do pokoju w którym spał, i schował listy pod poduszkę. Jeśli zostanie schwytany, nikt nigdy ich nie znajdzie.

Lyra czekała na tarasie z Pantalaimonem; dajmon w postaci wróbla siedział na jej ramieniu. Dziewczynka miała obecnie znacznie weselszą minę.

–Odzyskamy go, na pewno odzyskamy – oświadczyła. – Czuję, że tak się stanie.

Will nie odpowiedział. Ruszyli w kierunku alei z okienkiem.

Dojście do Headington zabrało dzieciom około półtorej godziny. Lyra prowadziła dalszą trasą, chcieli bowiem ominąć centrum miasta. Will nic nie mówił, tylko bacznie rozglądał się na boki. Dziewczynka czuła, że czeka ją trudne zadanie, nawet trudniejsze niż w Arktyce, w drodze do Bolvangaru, ponieważ teraz była zdana jedynie na siebie, wtedy natomiast towarzyszyli jej Cyganie i lorek Byrnison. Zagrożenia wydawały się wówczas naturalne i dostrzegalne. Inaczej tu, w tym mieście (które było jednocześnie jej i nie jej Oksfordem), gdzie niebezpieczeństwo czaiło się w ukryciu i niełatwo było je rozpoznać. Niby nikt nie zamierzał jej zabić ani oddzielić od Pantalaimona, jednak ukradziono jej jedyne przewodniki. Bez aletheiometru Lyra była... tylko małą, zagubioną dziewczynką, Limefield House otynkowano w kolorze ciepłego miodu. Połowę ściany frontowej porastała winorośl. Dom stał w wielkim, zadbanym ogrodzie; po jednej jego stronie rósł zagajnik, po drugiej ciągnęła się żuźlowa alejka prowadząca do drzwi wejściowych. Rolls – royce stał zaparkowany po lewej stronie przed podwójnym garażem. Wszystko, co widział wokół siebie Will, świadczyło o bogactwie i władzy. Właściciel tego domu z pewnością należał do elity. Will bezwiednie zacisnął zęby, po czym nagle przypomniał sobie pewną sytuację. Był wówczas małym dzieckiem. Matka zabrała go do wielkiego domu bardzo przypominającego ten... Włożyli najlepsze rzeczy, matka nakazała

chłopcu, aby zachowywał się przyzwoicie... Potem... jacyś starzy ludzie – mężczyzna i kobieta – doprowadzili matkę Willa do płaczu, więc opuścili dom, a ona ciągle płakała...

Lyra zauważyła, że jej towarzysz oddycha szybko i zaciska pięści, jednak taktownie nie zapytała o powód jego zachowania; to nie była jej sprawa. Wkrótce zresztą Will się uspokoił i głęboko odetchnął.

–No cóż – stwierdził – spróbujmy.

Ruszył w górę alejką. Lyra podążyła tuż za nim. Oboje czuli się niepewnie.

Przy drzwiach wisiał staroświecki sznurek od dzwonka, jak te w świecie Lyry, i Will nie wiedział, jak go użyć, póki dziewczynka mu nie pokazała. Kiedy pociągnęli za sznurek, usłyszeli brzęczenie dzwonka w domu.

Drzwi otworzył ten sam służący, który prowadził samochód, tyle że teraz nie miał na głowie czapki. Popatrzył najpierw na Willa, potem na Lyrę; widać było, że ją rozpoznał.

–Chcemy się zobaczyć z sir Charlesem Latromem – odezwał się chłopiec.

Mówiąc to, minę miał zaciętą, tak jak ubiegłej nocy, gdy przeciwstawił się dzieciom przy wieży, które rzucały kamieniami w kotkę. Służący skinął głową.

–Poczekajcie tutaj – powiedział. – Powiem sir Charlesowi.

Zamknął drzwi. Były dębowe, wyposażone w dwa wielkie zamki oraz rygle u góry i na dole; Will i tak uważał że żaden rozsądny włamywacz nie próbowałby wejść do tego domu frontowymi drzwiami. Na przedniej ścianie znajdował się także brzęczyk alarmu antywłamaniowego, a na każdym rogu ogromny reflektor. O tej drodze należało zapomnieć.

Rozległy się głośnie kroki. Ktoś podszedł do drzwi i po chwili je otworzył. Will podniósł oczy na twarz mężczyzny, który posiadał tak dużo, że chciał mieć jeszcze więcej. Starzec miał niepokojąco gładką twarz, był opanowany i nie wyglądał na zmieszanego czy zawstydzonego.

Chłopiec wyczuwał, że stojąca obok niego dziewczynka niecierpliwi się, a jej gniew rośnie, odezwał się więc szybko:

–Proszę mi wybaczyć, ale Lyra sądzi, że kiedy podwoził ją pan swoim samochodem, zostawiła w nim coś przez przypadek.

–Lyra? Nie znam żadnej Lyry. Cóż za niezwykle imię. Znam za to panienkę imieniem

Lizzie. A kim ty jesteś?

Przeklinając własne roztargnienie, Will odparł:

–Jestem jej bratem, Markiem.

–Rozumiem. Witaj, Lizzie, czy też Lyro. No, proszę, wejdźcie.

Odsunął się na bok. Ani chłopiec, ani dziewczynka nie spodziewali się takiego obrotu sprawy, toteż weszli do środka niepewnym krokiem. Hol nie był dobrze oświetlony, pachniał pszczelim woskiem i kwiatami. Wszystkie powierzchnie były wypolerowane i czyste, a na półkach mahoniowej szafki przy ścianie stały rzędy figurek z kruchej porcelany. Will dostrzegł służącego, który najwyraźniej czekał na jakieś polecenie.

–Wejdźcie do mojego gabinetu – powiedział sir Charles i przytrzymał przed dziećmi otwarte drzwi. Mówił tonem uprzejmym, a nawet przyjaznym, lecz coś w jego zachowaniu kazało chłopcu zachować ostrożność. Gabinet okazał się przestronny, stały tu skórzane fotele oraz mnóstwo półek z książkami, na ścianach wisiało wiele obrazów i trofeów łowieckich. W powietrzu unosił się dym z cygar. Trzy czy cztery oszklone szafki zawierały stare przyrządy naukowe – mosiężne mikroskopy, teleskopy w pokrowcach z zielonej skóry, sekstansy, kompasy. Dzieci zrozumiały, dlaczego bogacz zapragnął posiadać aletheiometr.

–Usiądźcie – polecił sir Charles i wskazał skórzaną sofę. Sam usiadł na krześle za biurkiem i dodał: – No więc? Co macie mi do powiedzenia?

–Pan ukradł... – zaczęła dziewczynka zapalczywie, ale Will popatrzył na nią srogo, więc zamilkła.

–Lyra sądzi, że zostawiła coś w pańskim samochodzie – powiedział. – Przyszliśmy to odebrać.

–Masz na myśli ten przedmiot? – spytał starzec i wyjął z szuflady w biurku aksamitne zawiniątko. Lyra wstała. Starzec zignorował ją i rozwinął materiał, odsłaniając piękne złote urządzenie.

–Tak! – wykrzyknęła Lyra i sięgnęła po aletheiometr. Mężczyzna przysunął go do siebie. Zresztą, biurko było szerokie i dziewczynka nie zdołała dosięgnąć przyrządu. Zanim zdążyła zrobić jakiś ruch, starzec odwrócił się i postawił aletheiometr w oszklonej szafce, po czym zamknął ją na klucz, który następnie schował do kieszonki w kamizelce.

–Nie jest twój, Lizzie – oznajmił. – Czy też Lyro, jeśli tak brzmi twoje imię.

–Jest mój! To mój aletheiometr!

Mężczyzna potrząsnął głową ze smutkiem, jak gdyby ganił dziewczynkę i źle ją traktował, lecz czynił to dla jej dobra.

–Sądzę, że istnieje poważna wątpliwość co do tej kwestii – oświadczył.

–Ależ ten przedmiot należy do niej! – krzyknął Will. – Naprawdę! Pokazywała mi go! Wiem, że do niej należy!

–Widzisz, zdaje mi się, że musicie to udowodnić – stwierdził. – Ja nie muszę, ponieważ jestem u siebie w domu. Każdy przyzna, że to urządzenie jest moje. Tak jak wszystkie pozostałe przedmioty w mojej kolekcji Przyznam, Lyro, że zaskakuje mnie twoja nieuczciwość...

–Jestem uczciwa! – zawołała dziewczynka.

–Ależ nie. Przedstawiłaś mi się jako Lizzie, teraz dowiaduję się, że twoje imię jest inne. Szczerze mówiąc, nie uda ci się nikogo przekonać, że taka cenna rzecz należy do ciebie. Zaproponuję ci coś... zadzwońmy na policję.

Mężczyzna odwrócił głowę, aby przywołać służącego.

–Nie rób tego! – krzyknął Will, ponieważ zanim sir Charles zdołał się odezwać, Lyra obiegła biurko. W jej ramionach nagle pojawił się Pantalaimon w postaci warczącego żbika, który obnażał kły i prychał na starca. Mężczyzna zamrugał na widok dajmona i w ostatniej chwili się cofnął.

–Nawet pan nie wie, co ukradł! – krzyknęła Lyra. – Widział pan, jak go używałam, więc chciał go mieć! Ale pan... pan jest gorszy niż moja matka, która przynajmniej wie, jaki ten przyrząd jest ważny... Pan po prostu zamierza włożyć go do gabloty i do niczego nie używać! Powinien pan umrzeć! Mogę... Sprawię, że ktoś pana zabije. Nie jest pan wart, by zostać przy życiu. Jest pan...

Lyra nie była w stanie dalej mówić. Z całych sił splunęła więc mężczyźnie prosto w twarz.

Will siedział nieruchomo. Rozglądał się wokół i starał się zapamiętać położenie wszystkich mebli i przedmiotów.

Sir Charles spokojnie rozłożył jedwabną chusteczkę i wytarł twarz.

–Czy ty w ogóle nad sobą nie panujesz? – spytał. – Usiądź, ty plugawy dzieciuchu.

Dziewczynka poczuła, że z oczu płyną jej łzy, a całe ciało drży. Rzuciła się na sofę.

Pantalaimon stanął na dach swej pani z wyprostowanym kocim ogonem; płonące oczy utkwiał w starcu.

Will siedział, milczący i zakłopotany. Sir Charles mógł ich wyrzucić już dawno temu i chłopiec zastanawiał się, dlaczego tak nie postąpił.

Nagle zobaczył coś tak dziwnego, że uznał, iż zwodzi go wyobraźnia – z rękawa Inianej marynarki sir Charlesa, obok śnieżnobiałego mankietu koszuli wysunął się szmaragdowy łeb węża. Czarny język gada śmigał raz w jedną stronę, raz w drugą, a jego czarne oczy w złotych obwódkach spoglądały to na Lyrę, to na Willa. Dziewczynka była zbyt rozzłoszczona, aby dostrzec węża, chłopiec natomiast widział go jedynie przez chwilę, bo stworzenie szybko zniknęło z powrotem w rękawie starca. Will otworzył szeroko oczy; był wstrząśnięty.

Sir Charles podszedł do szerokiego parapetu i usiadł, wygładzając fałdę na spodniach.

–Lepiej mnie posłuchaj, zamiast zachowywać się gwałtownie i bezmyślnie – stwierdził. – Naprawdę nie masz wyboru. Urządzenie jest w moim posiadaniu i nic na to nie poradzisz. Chcę je mieć, ponieważ jestem kolekcjonerem. Możesz pluć, tupać i wykrzykiwać wszelkie możliwe przekleństwa, jednak do czasu, aż przekonasz kogoś, by cię wysłuchał, będę miał sporo dokumentów, które zaświadczą, że kupiłem tę rzecz. Mogę to zrobić w bardzo łatwy sposób, a wtedy już nigdy go nie odzyskasz.

Dzieci milczały, czekając na dalsze słowa starca.

–Jednakże – kontynuował po chwili – istnieje coś, czego pragnę jeszcze bardziej. Nie mogę tego zdobyć sam, więc chętnie zawrę z wami układ. Ukradniecie dla mnie pewien przedmiot, a ja wam oddam... Jak go nazwałaś, panienko?

–Aletheiometr – odrzekła Lyra ochryłym głosem.

–Aletheiometr. Jakie to interesujące. *Aletheia*, prawda... Te emblematy... tak, teraz rozumiem.

–Czego pan chce? – spytał Will. – I gdzie to jest?

–Przedmiot znajduje się w miejscu, w które ja nie mogę się udać, wy natomiast tak. Jestem absolutnie przekonany, że znajdziecie wejście do sąsiedniego świata. Zapewne leży niedaleko Summertown, w pobliżu miejsca, w którym wysadziłem Lizzie... czy też Lyrę, dziś rano. Za przejściem rozciąga się inny świat, ten, w którym nie ma dorosłych. Zgadza się? Hm, wyobraźcie sobie, że człowiek, który wyciął to okienko, posiada pewien nóż. Mężczyzna ten ukrywa się teraz w tamtym świecie i jest bardzo przerażony. Ma ku temu powody. Sądzę, że przebywa w starej, kamiennej wieży. Wokół jej drzwi wyrzeźbiono anioły. Torre degli Angeli... Musicie się tam

dostać. Zresztą, nie obchodzi mnie, jak tego dokonacie, po prostu chcę otrzymać nóż. Przynieście mi go, a oddam wam aletheiometr. Będzie mi się może trochę smutno z nim rozstać, lecz zawsze dotrzymuję słowa. Jestem człowiekiem honorowym. To właśnie musicie zrobić: przynieść mi nóż.

WIEŻA ANIOŁÓW

–Kim jest człowiek, który ma nóż? – spytał Will. Siedzieli w rolls – roysie i jechali przez Oksford. Sir Charles zajmował przednie siedzenie – na wpół odwrócony w stronę dzieci – a Will i Lyra siedzieli z tyłu; w ręce dziewczynki tkwił już nieco spokojniejszy Pantalaimon w postaci myszy.

–Ten człowiek nie ma większego prawa do tego noża niż ja do aletheiometru – odparł sir Charles. – Na nieszczęście dla nas wszystkich, aletheiometr jest w moim posiadaniu, a nóż w jego.

–A skąd pan wie o innym świecie?

–Wiem wiele rzeczy, o których nie macie pojęcia. Czego się spodziewaliście? Jestem sporo od was starszy i znacznie lepiej poinformowany. Istnieje kilka przejść między tym światem a tamtym. Osoby, które znają ich położenie, łatwo potrafią przechodzić w tę i z powrotem. W Cittagazze działa Gildia uczonych, tak zwanych uczonych, którzy przybywali tu w ten sposób od wielu lat.

–Pan wcale nie jest z tego świata! – krzyknęła nagle Lyra. – Jest pan stamtąd, prawda?

I znowu coś sobie przypomniała. Była niemal pewna że widziała tego mężczyznę przed swoim przybyciem do świata Willa.

–Nie – odparł.

–Skoro mamy odebrać tamtemu mężczyźnie nóż wtrącił chłopiec – musimy wiedzieć o nim trochę więcej Na pewno go nam tak po prostu nie odda, prawda?

–Oczywiście, że nie. Zwłaszcza, że tylko ten nóż trzyma z dala upiory. To z pewnością nie jest łatwe zadanie.

–Upiory boją się noża?

–Bardzo.

–Dlaczego atakują tylko dorosłych?

–Nie musisz teraz tego wiedzieć. To nie jest twoja sprawa. Lyro – dodał sir Charles, obracając się do dziewczynki – opowiedz mi o swoim nadzwyczajnym przyjacielu.

Miał na myśli Pantalaimona. Gdy tylko wypowiedział te słowa, Will uprzytomnił sobie, że wąż, którego widział w rękawie mężczyzny, także jest dajmoną, co oznaczało, że starzec pochodził ze świata Lyry. Pytał o Pantalaimona, aby ich zmylić,

nie zdawał więc sobie sprawy z tego, co dostrzegł chłopiec.

Lyra podniosła Pantalaimona i przytuliła do piersi, a wtedy mysz zmieniła się w czarnego szczura, który machał ogonem i łytał na sir Charlesa czerwonymi oczyma.

–Nie powinien pan na niego patrzeć – odparła. – To mój dajmon. Sądzi pan, że mieszkańcy tego świata nie mają dajmonów? Macie je w sobie. Pański byłby żukiem gnojarem.

–Skoro egipscy faraonowie cieszyli się, że uosabia ich skarabeusz, ja też jestem zadowolony z takiego porównania. Hm, jak rozumiem, jesteś z jeszcze innego świata, panienko. Jakież to interesujące! Czy właśnie stamtąd pochodzi aletheiometr, a może ukradłaś go podczas podróży?

–Dostałam go – odrzekła rozjuszona Lyra. – Dał mi go Rektor Kolegium Jordana w moim Oksfordzie. Zgodnie z wszelkimi zasadami przedmiot należy do mnie. A pan nawet by nie wiedział, co z nim zrobić, głupi, obrzydliwy starcze! Nie zinterpretowałby pan jego odpowiedzi, nawet gdyby pan nad nimi ślęczał przez sto lat! On jest dla pana tylko zabawką, a ja go naprawdę potrzebuję podobnie jak Will. Odzyskamy go, bez dwóch zdań.

–Zobaczymy – mruknął sir Charles. – Tu wysiadałaś poprzednim razem. Może teraz zrobicie to samo?

–Nie – burknął Will, ponieważ dostrzegł na ulicy samochód policyjny. – Z powodu upiorów i tak pan nie może wejść do Ci'gazze, nie ma więc znaczenia, czy pozna pan położenie okienka. Proszę nas zawieźć do obwodnicy.

–Jak sobie życzysz – powiedział cierpko sir Charles i rolls – royce ruszył dalej. – Kiedy... dostaniecie nóż, zadzwońcie do mnie. Allan po was przyjedzie i przywiezie was.

Jechali dalej, milcząc, wreszcie szofer zatrzymał samochód. Gdy dzieci wysiadły, sir Charles opuścił okno i odezwał się do Willa:

–Tak przy okazji... Jeśli nie uda wam się zdobyć noża, lepiej tu nie wracajcie. Jeśli przyjdziecie bez niego do mojego domu, zadzwonię na policję. Sądzę, że przyjadą natychmiast, kiedy podam im twoje prawdziwe nazwisko. William Parry, prawda? W dzisiejszej gazecie zamieszczono bardzo dobre zdjęcie.

Samochód odjechał. Will stał oniemiały. Lyra potrząsnęła jego ramieniem.

–Wszystko w porządku – stwierdziła. – On nikomu nie powie. Gdyby to zrobił, już by było po tobie. Chodź.

Dziesięć minut później stali na placu przed Wieżą Aniołów. Will opowiedział Lyrze o wężu – dajmonie i dziewczynka znieruchomiała na środku ulicy; znowu dręczyło ją mgliste wspomnienie. Kim był ten starzec? Gdzie go widziała? Niedobrze... pamięć ją zawodziła.

–Nie chciałam mówić przy starym – odezwała się cicho Lyra – ale zeszłej nocy widziałam na wieży jakiegoś mężczyznę. Patrzył w dół, gdy dzieci tak straszliwie hałasowały...

–Jak wyglądał?

–Młody, z kręconymi włosami. Wcale nie był stary. Widziałam go jednak tylko przez chwilę, stał na samej górze, przy blankach. Sądziłam, że to może być... Pamiętasz Angelice i Paola? Chłopiec zdradził się przed nami, że mają starszego brata, który przyszedł z nimi do miasta. Wtedy ona kazała Paolowi zamilknąć, jak gdyby wyjawiał jakiś sekret, pamiętasz? Więc pomyślałam, że to może być ten brat. Może również szuka noża. Przypuszczam, że wszystkie tutejsze dzieci o nim wiedzą. To jest moim zdaniem prawdziwy powód, dla którego wróciły do miasta.

–Hmm... – mruknął Will, podnosząc oczy. – Może i tak.

Lyra przypomniała sobie poranną rozmowę z dziećmi. Mówiły, że żadne z nich nie wchodzi do wieży, ponieważ tam straszy. Pamiętała własny niepokój, gdy wraz z Pantalaimonem zaglądali do wieży przez otwarte drzwi. Może dzieci bały się wejść i potrzebowały do tego kogoś starszego? Dajmon dziewczynki w postaci ćmy trzepotał teraz nad jej głową w świetle słonecznym i szeptał coś z trwogą.

–Cicho – odpowiedziała mu również szeptem – nie mamy wyboru, Pan. Przez własną głupotę straciliśmy aletheiometr. Musimy go odzyskać, a to jest jedyny sposób.

Will szedł wzdłuż prawej ściany wieży. Za rogiem ciągnęła się wąska, brukowana aleja i chłopiec ruszył nią, patrząc w górę i oceniając wiekowy budynek. Lyra podążyła za nim. Will zatrzymał się pod oknem na wysokości drugiego piętra i powiedział do Pantalaimona:

–Możesz tam polecieć i zajrzeć do środka?

Dajmon natychmiast przybrał postać wróbla i ruszył w górę. Z trudem oddalał się od swojej pani; gdy znalazł się na parapecie i usiadł na sekundę czy dwie, Lyra straciła oddech i cicho krzyknęła. Pantalaimon wrócił, a wtedy westchnęła i głęboko zaczerpnęła powietrza, niczym człowiek uratowany przed utonięciem. Zakłopotany Will zmarszczył brwi.

–To nie jest takie proste – wyjaśniła. – Kiedy dajmon się oddala, odczuwasz ból...

–Przykro mi. Widziałeś coś? – spytał.

–Schody – odparł Pantalaimon. – Schody i ciemne pomieszczenia. Na ścianie wisiały miecze, włócznie i tarcze, jak w muzeum. I widziałem mężczyznę, który... tańczył.

–Tańczył?

–Poruszał się dziwnym krokiem... i wymachiwał ręką. Może walczył z czymś niewidocznym... Widziałem go tylko przez uchylone drzwi... Niezbyt wyraźnie.

–Walczył z upiorem – domyśliła się Lyra.

Dzieci nie mogły się dowiedzieć niczego więcej, poszły więc dalej. Za wieżą stała wysoka, kamienna ściana zwieńczona warstwami potłuczonego szkła. Pantalaimon jeszcze raz poleciał w górę i spojrział na drugą stronę – znajdował się tam tylko ogródek z fontanną, wokół której rozmieszczono równiutkie grządki obsiane ziołami.

Przy lewej ścianie wieży ciągnęła się alejka prowadząca na plac. Okna były małe i głęboko osadzone, niczym oczy pod zmarszczonymi brwiami.

–Musimy zatem wejść od frontu – podsumował Poszukiwania Will.

Pokonał schodki i mocno pchnął drzwi. Promienie słoneczne rozświetliły wnętrze, zgrzytnęły ciężkie zawiasy. Chłopiec zrobił kilka kroków i, nie widząc nikogo, wszedł dalej. Lyra szła tuż za nim. Podłogę wykonano z kamieni brukowych, wygładzonych w ciągu stuleci. Poczuli chłód. Will spojrział na schody wiodące w dół i zauważył że prowadzą do obszernego, niskiego pomieszczenia z ogromnym, zimnym paleniskiem; gipsowe ściany wokół pieca poczerniały od sadzy. W sali nie było nikogo, toteż chłopiec wrócił do głównego korytarza. Stała tam Lyra z palcem na ustach. Patrzyła w górę.

–Słyszę go – wyszeptała. – Wydaje mi się, że mówi do siebie.

Will wyęczał słuch i również usłyszał zawodzące mamrotanie przerywane od czasu do czasu chrapliwym śmiechem lub krótkimi, gniewnymi okrzykami. Chłopiec odniósł wrażenie, że słucha szaleńca.

Wydał policzki i ruszył po schodach w górę. Były dębowe; pociemniałe, wysokie i szerokie stopnie, równie wydeptane jak kamienie w korytarzu, lecz na szczęście na tyle masywne, że dziecięce kroki nie spowodowały skrzywienia. Im wyżej Will i Lyra się wspinali, wokół nich robiło się coraz mroczniej, ponieważ światło dochodziło jedynie z małych, głęboko osadzonych okienek na półpiętrach. Dzieci dotarły na pierwsze piętro, zatrzymały się i nadśluchiwały, po czym wspięły się na następne; tu męski głos mieszał się z głośnymi, rytmicznymi krokami. Odgłosy dochodziły z pomieszczenia po przeciwnej stronie podestu; drzwi do sali były uchylone.

Will podszedł do nich na palcach i pchnął je jeszcze o kilka centymetrów, aby zobaczyć, co się dzieje w środku.

Pokój był duży, z sufitu zwisały gęste pajęczyny, a ściany pokrywały rzędy półek, na których stały książki w bardzo złym stanie – ich okładki spleśniały, łuszczyły się lub spuchły od wilgoci. Liczne tomy spadły z półek i leżały otwarte na podłodze albo na wielkich, pokrytych kurzem stołach, jeszcze inne nieporządnie ułożono w stosy.

W pokoju jakiś młody mężczyzna... tańczył. Pantalaimon miał rację: rzeczywiście tak to wyglądało. Osobnik był odwrócony plecami do drzwi i powłócząc nogami przesuwając się to w jedną, to w drugą stronę, przez cały czas machał przed sobą prawą ręką, jak gdyby oczyszczał drogę z niewidocznych przeszkód. W ręce trzymał zwykły nóż. Ostrze – około dwudziestu centymetrów długości – wydawało się zaśnieżone; osobnik wysuwał nóż do przodu, ciął na boki, dźgał nim przed sobą, w górę i w dół – jakby walczył z niewidzialnym wrogiem.

Nagle mężczyzna zrobił ruch, jak gdyby zamierzał się odwrócić, i Will się cofnął. Położył palec na ustach i skinął na Lyrę, po czym poprowadził ją na schody i w górę, na następne piętro.

–Co ten człowiek robi? – spytała szeptem dziewczynka.

Chłopiec postarał się jak najlepiej opisać zachowanie mężczyzny.

–To chyba wariat – oceniła Lyra. – Jest szczupły i ma kręcone włosy?

–Tak. Rude, tak jak Angelica. Z pewnością oszalał. Nie wiem... wydaje mi się, że ta sprawa jest bardziej skomplikowana, niż twierdził sir Charles. Zobaczmy następne pomieszczenia, zanim przemówimy do tego człowieka.

Dziewczynka przyznała Willowi rację, więc ruszyli po schodach na najwyższe piętro. Tu, na górze, było znacznie jaśniej, ponieważ pomalowana na biało klatka schodowa prowadziła aż na dach czy też raczej do przypominającej małą oranżerię nadbudówkę z drewna i szkła. Nawet na schodach dzieci czuły, jak bardzo nagrzane jest to pomieszczenie.

Gdy zatrzymali się na chwilę na schodach, z góry usłyszeli czyjś jęk.

Oboje aż podskoczyli, byli bowiem przekonani, że poza ich trojgiem w Wieży Aniołów nie ma nikogo więcej. Pantalaimon tak bardzo się przestraszył, że od razu zmienił się z kota w ptaka i pofrunął na pierś swojej pani. Will i Lyra chwycili się za ręce.

–Chodźmy zobaczyć – szepnął Will. – Pójdę pierwszy.

–Ja powinnam iść pierwsza – odparła równie cicho. – Jesteśmy tu przecież z mojej winy.

–Skoro tak, tym bardziej musisz robić to, co ci powiem.

Dziewczynka wykrzywiła usta, ale nie sprzeciwiła się.

Chłopiec wszedł po schodach do słonecznego pomieszczenia. Światło w małej szklanej nadbudówce wręcz oślepiało i było tu gorąco jak w cieplarni, toteż Will nie widział zbyt dokładnie i oddychał z trudem. Dostrzegł drzwi, wymacał na nich gałkę, przekręcił ją i szybko wyszedł, osłaniając ręką oczy przed słońcem.

Znalazł się na ołowianym dachu, otoczonym niskim murem. Szklana nadbudówka stała na szczycie dachu, który opadał lekko w stronę kamiennego muru zwieńczonego blankami. Co kilka metrów rozmieszczono przy murze kwadratowe otwory odprowadzające deszczówkę.

Na dachu, w pełnym słońcu leżał siwowłosy starzec. Twarz miał posiniaczoną i poranioną, a jedno oko zamknięte. Gdy dzieci podeszły bliżej, zobaczyły, że ręce mężczyzny są związane na plecach.

Usłyszał, jak Will i Lyra nadchodzą, znowu jęknął i próbował się odwrócić, tak jakby spodziewał się kolejnego uderzenia.

–Spokojnie, proszę pana – odezwał się cicho chłopiec. – Nie zamierzamy pana skrzywdzić. Czy zrobił to mężczyzna z nożem?

–Uhm – potwierdził chrząknięciem starzec.

–Rozwiążemy sznur. Nie związał go zbyt ciasno...

Węzeł był luźny, toteż więzy opadły natychmiast, gdy Will pociągnął za koniec sznura. Dzieci pomogły staremu człowiekowi wstać, po czym zaprowadziły go w cień pod murem.

–Kim pan jest? – spytał chłopiec. – Nie sądziliśmy, że przebywa tu aż dwóch mężczyzn. Myśleliśmy, że nie ma nikogo poza tamtym.

–Nazywam się Giacomo Paradisi – wymamrotał starzec; miał powybijane zęby. – Jestem strażnikiem noża. Jedynym. Tamten młodzieniec ukradł mi go. Zawsze znajdują się głupcy, którzy zaryzykują życie dla tego noża. A tamten to wyjątkowo niebezpieczny osobnik. Zamierza mnie zabić...

–Nie uda mu się – przerwała Lyra. – Co robi strażnik noża? Jaką ma moc?

–Pilnowałem zaczarowanego noża w imieniu Gildii. Dokąd poszedł tamten?

–Jest na dole – odparł Will. – Wchodząc, mijaliśmy go. Nie widział nas. Machał nożem na wszystkie strony...

–Próbował wyciąć okienko. Nigdy mu się to nie uda. Kiedy on...

–Uwaga! – krzyknęła Lyra.

Will odwrócił się. Młody mężczyzna wspinał się schodami do szklanej nadbudówki. Nie dostrzegł ich jeszcze, ale na dachu nie było żadnej kryjówki, a kiedy wstawali, dostrzegł ruch i skoczył ku nim.

Pantalaimon natychmiast zmienił się w niedźwiedzia i stanął na tylnych łapach. Tylko Lyra wiedziała, że jej dajmon nie może dotknąć innego człowieka. Rudzielec z nożem zamrugnął oczyma i patrzył na nich przez sekundę. Will zauważył, że ich przeciwnik nie pojmuje tego, co widzi. Z pewnością był szalony. Kręcone rude włosy miał splecione, podbródek zaśliniony i tak przewracał oczyma, że widać mu było białka.

Ale trzymał nóż, a oni nie mieli żadnej broni.

Will zrobił krok w tył i skulił się, gotów do skoku, walki lub ucieczki.

Młody mężczyzna skoczył do przodu i zamachał nożem w stronę Willa, w lewo i w prawo; zbliżał się coraz bardziej, więc chłopiec musiał się cofać, aż znalazł się w narożniku wieży.

Lyra z liną w ręku starała się zająć młodzieńca od tyłu. Will zniechęca rzucił się na niego, podobnie jak przed kilkoma dniami na włamywacza w swoim domu, i z podobnym skutkiem: przeciwnik upadł do tyłu, przewracając dziewczynkę. Wszystko działo się zbyt szybko, by Will zdążył poczuć strach. Dostrzegł jednak, że nóż wyleciał z ręki rudzielca i wbił się w ołowianą powierzchnię dachu, kilka metrów od chłopca; ostrze wsunęło się aż po rękojeść niemal bez oporu, niczym w masło, i natychmiast znieruchomiło.

Napastnik obrócił się, aby po niego sięgnąć, lecz Will skoczył mu na plecy i pociągnął za włosy. Nauczył się tak walczyć w szkole, gdzie miał wiele okazji do bitki odkąd dzieci zauważyły, że jego matka różni się od innych. Chłopiec nauczył się też, że celem szkolnej walki nie jest gromadzenie punktów za styl, ale pokonanie wroga, czyli zadanie mu poważniejszych ran. Will wiedział, że naprawdę trzeba chcieć kogoś zranić, większość osób bowiem w ostatnim momencie się wycofuje. O siebie się nie martwił.

Sytuacja nie była zatem dla chłopca zupełnie nowa, chociaż nigdy wcześniej nie

walczył z prawie dorosłym mężczyzną z nożem. Zdawał sobie sprawę, że powinien odebrać tamtemu ostre narzędzie.

Trzymał palcami gęste, wilgotne włosy przeciwnika i ze wszystkich sił szarpał w tył. Mężczyzna sapał i potrząsał głową, lecz Will ciągnął jeszcze mocniej, aż w końcu tamten zawył z bólu i gniewu. Szarpnął się w górę, a potem rzucił do tyłu, swoim ciałem przyciskając chłopca do kamiennego muru. Will stracił oddech i mimowolnie rozluźnił palce zaciśnięte na włosach rudzielca, który po sekundzie się oswobodził.

Will opadł na kolana i szybko oddychał. Nie mógł jednak pozostać w takiej pozycji. Zaczął się podnosić, a potem próbował wstać... Niestety, jego stopa trafiła w jeden z otworów odprowadzających deszczówkę i przez jedną straszliwą sekundę bał się, że to już koniec. Palce rozpaczliwie dotykały ciepłego dachu. Lewa noga znajdowała się w otworze, lecz reszta ciała była bezpieczna. Chłopiec szybko wciągnął stopę z powrotem na dach i z trudem stanął na nogi. Rudowłosy mężczyzna chwycił już nóż, ale jeszcze nie zdążył go wyrwać z ołowianej powierzchni dachu, Lyra bowiem wskoczyła mu na plecy i drapała, kopała, gryzła niczym wściekła kocica. Nie zdołała natomiast chwycić się jego włosów i mężczyzna zrzucił ją z pleców. A kiedy wstał, miał już w dłoni nóż.

Dziewczynka upadła na bok. Przy niej stał Pantalaimon w postaci żbika; futro miał nastroszone, zęby – obnażone. Napastnik znajdował się naprzeciwko Willa, po raz pierwszy chłopiec zobaczył go tak wyraźnie. Bez wątpienia rudzielec był bratem Angeliki oraz człowiekiem niebezpiecznym. Patrzył na Willa, miał w ręku nóż.

Chłopiec nie stał bezradnie. Schwycił upuszczony przez Lyrę sznur i owinął go sobie wokół lewej dłoni jako osłonę przed nożem. Ustawił się tyłem do słońca, aby napastnik musiał zmrużyć oczy. Promienie słońca odbijały się od wielu powierzchni szklanej nadbudówki i chłopiec zauważył, że światło na chwilę niemal oślepiło rudzielca.

Trzymając lewą rękę wysoko, Will skoczył od lewej strony, jak najdalej od noża, i kopnął przeciwnika w kolano. Ponieważ dobrze wycelował, jego stopa trafiła w odpowiednie miejsce. Mężczyzna upadł z krzykiem i skrzywił się z bólu.

Chłopiec rzucił się ku niemu. Kopał rudzielca, spychając go ku szklanej nadbudówce. Gdyby udało się go zepchnąć ze szczytu schodów...

Mężczyzna upadł i jego prawa ręka z nożem uderzyła w dach tuż obok stopy Willa. Chłopiec natychmiast mocno na nią nadepnął, a później owinął sznur ściślej wokół dłoni i po raz drugi mocniej nadepnął na rękę rudzielca. Mężczyzna krzyknął i wypuścił nóż. Will od razu kopnął go w kierunku Lyry, czubkiem buta dotykając rękoności; nóż przeleciał nad powierzchnią dachu i zatrzymał się obok otworu odprowadzającego deszczówkę. Sznur zawisł luźno na ręce Willa, a obok niego

pojawiła się krew; kapiała na buty chłopca. Mężczyzna podnosił się...

–Uważaj! – krzyknęła Lyra, ale Will był gotów. W momencie gdy napastnik usiłował wstać, chłopiec rzucił się na niego, z całej siły uderzając w brzuch. Rudzielec upadł do tyłu na szklaną ściankę, która natychmiast się roztrzaskała, a drewniana rama pękła. Mężczyzna na wprost zawisł nad schodami między szczątkami konstrukcji; złapał się futryny, lecz drzwi nie miały już oparcia w postaci ścianek, toteż spadł w dół wśród kawałków szkła.

Will odwrócił się, podbiegł i podniósł nóż. Walka była skończona. Młody mężczyzna, ranny, wdrapał się ponownie na schody, ale gdy zobaczył nad sobą Willa z nożem w ręku, łypnął tylko z wściekłością, po czym odwrócił się i uciekł.

–Ach! – jęknął chłopiec, siadając.

Czuł, że coś jest nie w porządku. Splątany sznur był przesiąknięty krwią, a kiedy chłopiec odwinął go...

–Twoje palce! – wysapała Lyra. – Och, Will... Wraz ze sznurem odpadły dwa palce: mały i serdeczny. Chłopcu szumiało w głowie. Krew gwałtownie tryskała z kikutów, dzinsy i buty Willa były zakrwawione. Położył się na plecach i zamknął na chwilę oczy. Nieco zaskoczył go fakt, że ból nie jest szczególnie dotkliwy.

Nigdy dotąd nie czuł się taki słaby. Wydawało mu się, że nawet zasnął na chwilę. Lyra usiłowała zatamować krwawienie. Will usiadł prosto, aby przyjrzeć się ręce, i natychmiast poczuł mdłości. Gdzieś w pobliżu był starzec, ale chłopiec go nie widział. Usłyszał, że dziewczynka coś mówi.

–Gdybyśmy tylko mieli trochę pięciornika – stwierdziła. – Używają go niedźwiedzie... Mogłabym lepiej opatrzyć ranę. Willu, mogłabym... Słuchaj, muszę mocno obwiązać ci rękę liną, aby zatrzymać krwawienie. Nie da się zawiązać wokół miejsca, gdzie znajdowały się palce... Nie ruszaj się...

Chłopiec pozwolił się opatrzyć i rozejrzał się, szukając palców. Leżały obok, przypominały krwawy znak zapytania. Roześmiał się.

–Willu! – krzyknęła dziewczynka. – Przestań... A teraz chodź. Pan Paradisi ma jakieś lekarstwo, chyba balsam. Nie wiem, co to jest... Musisz zejść na dół. Tamten chłopak zniknął... Widzieliśmy, jak wybiegał przez drzwi. Pokonałeś go. Chodź, Willu... chodź...

Ciągle do niego mówiąc, Lyra sprowadziła chłopca po schodach. Idąc po potłuczonym szkłe i kawałkach drewna dotarli do małego, chłodnego pomieszczenia na półpiętrze. Ściany pokoiku pokrywały rzędy półek zastawionych butelkami, słoikami, garnkami, tłuczkami, moździerzami i wagami aptekarskimi. Pod brudnym

oknem znajdował się kamienny zlew, nad którym starzec przelewał jakiś płyn z wielkiej butli do mniejszej.

–Usiądź i wypij to – powiedział, napełniwszy mały kieliszek ciemnym płynem.

Will usiadł i wziął go z rąk starca. Poczuł ogień w gardle. Lyra przytrzymała kieliszek, aby nie spadł. Chłopiec łapczywie łapał powietrze.

–Wypij wszystko – rozkazał starzec.

–Co to jest?

–Śliwowica. Wypij.

Will sączył płyn ostrożniej. Ręka zaczynała boleć coraz bardziej.

–Potrafi go pan wyleczyć? – spytała Lyra z rozpaczą w głosie.

–Och, tak, mamy tu lekarstwa na każde schorzenie. Otwórz, dziewczynko, tę szufladę pod blatem i przynieś bandaż.

Will dostrzegł nóż – leżał na stole na środku pokoju – zanim jednak zdołał go wziąć, starzec przykuśtykał ku niemu z miską wody.

–Wypij jeszcze – polecił.

Will mocno trzymał kieliszek. Zamknął oczy, gdy mężczyzna obmywał mu dłoń. Bolało straszliwie. Potem poczuł, że starzec wyciera mu nadgarstek szorstkim ręcznikiem i delikatnie osusza ranę. Na moment poczuł przyjemny chłód, po czym ból wrócił.

–To jest kosztowna maść – oświadczył starzec – Bardzo trudno ją uzyskać, ale jest dobra na rany.

Tubka była zakurzona i pocięta, a zawierała zwykły odkażający krem, jaki Will mógł kupić w każdej aptece w swoim świecie. Jednak stary człowiek obchodził się z maścią tak nabożnie, jak gdyby zrobiono ją z mirry. Will odwrócił wzrok.

Gdy mężczyzna opatrywał Willowi ranę, Lyra poczuła że Pantalaimon kiwa na nią skrzydłem. Podeszła do okna i wyjrzała. Jej dajmon pod postacią pustułki usadowił się w otwartym oknie i bystrymi oczyma dostrzegł jakiś ruch pod wieżą. Lyra spojrzała na wskazane miejsce i zobaczyła znajome postacie – Angelica biegła ku swemu starszemu bratu, Tulliowi, który, opierając się plecami o ścianę, stał po drugiej stronie wąskiej uliczki i machał w powietrzu rękoma, jak gdyby bronił się przed stadem atakujących go nietoperzy. Potem odwrócił się i zaczął dotykać

palcami kamieni w murze; wyglądało to tak, jak gdyby każdemu przyglądał się z uwagą, liczył je, dotykiem wyczuwał krawędzie; kulił ramiona, unikając czegoś niewidocznego, i potrząsał głową.

Angelica była zrozpaczona, podobnie jak mały Paolo. Podbiegli do brata, chwycili go za ramiona i próbowali przegonić jego niewidzialnych prześladowców.

Czując mdłości, Lyra uświadomiła sobie, że mężczyznę zaatakowały upiory. Angelica wiedziała o tym, chociaż nie była w stanie ich dostrzec, a mały Paolo płakał i bil rękoma powietrze, starając się odpędzić niewidzialnych napastników od brata. Niestety, nic nie pomogło; Tullio był skazany. Gestykulował coraz wolniej, a po pewnym czasie popadł w całkowity bezruch. Angelica przylgnęła do niego kurczowo, drżąc, i potrząsała jego ramieniem. Ale nic już nie mogło zbudzić młodego mężczyzny. Paolo wykrzykiwał imię brata, jak gdyby wierząc, że w ten sposób go ocuci.

Potem Angelica w jakiś sposób wyczuła, że ktoś ją obserwuje, i spojrzała w górę. Na moment oczy dwóch dziewczynek spotkały się. Lyra mimowolnie odsunęła się jak gdyby Angelica ją uderzyła, ponieważ nienawiść w oczach siostry Tullia była tak ogromna, że niemal dotykalna. Paolo podążył za wzrokiem siostry, zobaczył Lyrę i krzyknął:

–Zabijemy cię! To przez ciebie one zabrały Tullia! Zabijemy cię!

Rodzeństwo odwróciło się i pobiegło przed siebie, zostawiając nieruchomego brata, a Lyra – przestraszona – cofnęła się w głąb pomieszczenia, a następnie zamknęła okno. Will i starzec niczego nie słyszeli. Giacomo Paradisi kładł maść na rany Willa. Lyra usiłowała wyrzucić z pamięci to, co przed chwilą widziała, i skupić się na chłopcu.

–Aby zatrzymać krwawienie – odezwała się – trzeba zawiązać mu jakąś opaskę na ramieniu. W przeciwnym razie krew nie przestanie płynąć.

–Tak, tak, wiem – mruknął starzec, lecz jakimś dziwnym, smutnym tonem.

Podczas opatrunku Will nie patrzył na swoją rękę i łyżkami pił śliwovicę. Uspokoił się i zapatrzył w dal, mimo iż ból nie osłabł.

–Teraz musisz wziąć nóż – oświadczył Giacomo Paradisi. – Jest twój.

–Nie chcę go – odpowiedział chłopiec. – Nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

–Nie masz wyboru – wyjaśnił starzec. – Jesteś teraz jego strażnikiem.

–Przecież pan nim jest – wtrąciła Lyra.

–Mój czas dobiegł końca – stwierdził. – Nóż wie, kiedy przejść z jednej ręki do drugiej, a ja rozumiem jego sygnały. Nie wierzycie mi? Spójrzcie! Podniósł lewą rękę.

Dokładnie tak jak Will, nie miał małego i serdecznego palca.

–Tak. – Pokiwał głową. – Ja również walczyłem i straciłem te dwa palce. To piętno noża. Na początku także nie wiedziałem, co robić...

Lyra usiadła, otwierając szeroko oczy. Will zdrową ręką przytrzymał się zakurzonego blatu stołu. Najwyraźniej szukał odpowiednich słów.

–Ale ja... My... Przyszliśmy tu tylko dlatego, że pewien mężczyzna... On coś ukradł Lyrze i chciał w zamian ten nóż. Powiedział, że jeśli go przyniesiemy, wtedy nam...

–Znam tego człowieka. To kłamca i oszust. Nic wam nie da, wierzcie mi. Chce noża, a gdy go zdobędzie, oszuka was. On nigdy nie zostanie strażnikiem. Ty nim jesteś.

Z wielką niechęcią Will spojrział na tajemniczy przedmiot, po czym przysunął go ku sobie. Nóż wyglądał zwyczajnie. Był metalowy, a jego dwudziestocentymetrowe ostrze wydawało się zaśnieżone z obu stron. Za ostrzem znajdował się jelec z tego samego metalu i rękojeść z drewna różanego. Kiedy chłopiec przypatrzył się jej dokładniej, dostrzegł, że jest inkrustowana złotem, tworzącym wzory, które rozpoznał dopiero, gdy odwrócił nóż – po jednej stronie znajdował się anioł ze złożonymi, po drugiej anioł z podniesionymi skrzydłami. Wzory były nieco wypukłe, dzięki czemu rękojeść lepiej leżała w dłoni. Will trzymał przez chwilę nóż w ręku, a wtedy poczuł, że jest lekki, mocny i świetnie wyważony. Ostrze jedynie wyglądało na pokryte patyną, w rzeczywistości bowiem na powierzchni metalu igrały intensywne kolory – sine purpury, morskie błękity, ziemiste brązy, chmurne szarości, głębokie zielenie, jakie mają liście starych drzew, oraz barwa cienia padającego przy wejściu do grobowca podczas zmierzchu zapadającego na cmentarzu; ogólnie rzecz biorąc, kolor ostrza zaczarowanego noża można by nazwać „cienistym”.

Krawędzie nieco się od siebie różniły. Jedna była błyszcząca, jasnostalowa, o barwie cienia, niezwykle ostra.

Will aż zmrużył oczy, patrząc na nią, tak wydała się groźna. Druga krawędź również była ostra, ale miała srebrna barwę.

–Widziałam ten kolor wcześniej! – zauważyła nagle Lyra, patrząc na nóż ponad ramieniem chłopca. – Takiego ostrza używali ci, co chcieli odciąć ode mnie Pantalaimona... Jest naprawdę identyczne!

–Ta krawędź – powiedział Giacomo Paradisi, kładąc pod stal łyżeczkę – przecina każdy materiał na świecie. Zobaczcie.

Starzec przysunął srebrną łyżeczkę do ostrza. Will, który trzymał nóż, poczuł zaledwie niewielki opór, a w następnej sekundzie trzonek łyżeczki upadł na stół, odcięty równo i szybko.

–Drugie ostrze – podjął siwowłosy mężczyzna – jest jeszcze bardziej niezwykle, można nim bowiem wyciąć przejście z tego świata do zupełnie innego. Spróbuj, chłopcze. Zrób to, co ci powiem. Jesteś strażnikiem noża i musisz się o wszystkim dowiedzieć. Nikt poza mną nie może cię niczego nauczyć, a mnie nie pozostało zbyt wiele czasu. Wstań i słuchaj.

Will odsunął krzesło do tyłu i wstał, swobodnie trzymając nóż.

–Nie chcę... – zaczął, ale Giacomo Paradisi potrząsnął głową. Chłopiec był wprawdzie oszołomiony i słaby, lecz nastawiony buntowniczo.

–Milcz! Chcesz czy... nie chcesz... nie masz wyboru! Wysłuchaj mnie, ponieważ naprawdę zostało mi niewiele czasu. Wyciągnij nóż przed siebie... o tak. Przecinać powietrze musi nie tylko ten nóż, lecz także twoja myśl. Musisz myśleć o tym, co robisz. Postaraj się, wyobraź sobie, że twój umysł znajduje się na samym końcu noża. Skoncentruj się, chłopcze. Skup się. Nie myśl o ranie. Rana się zagoi. Pomyśl o końcu noża. Tam właśnie jesteś. Teraz bardzo powoli poczuj to. Pamiętaj, że szukasz szczeliny tak małej, że niemożliwej do zauważenia ale koniec noża znajdzie ją, jeśli tylko się skupisz. Skoncentruj się, a wyczujesz maleńką szczelinę, najmniejszy otwór na świecie...

Will próbował wykonywać polecenia starca, ale w głowie mu szumiało, a lewa ręka straszliwie rwała. Ponownie przypomniał sobie dwa palce leżące na dachu, a potem pomyślał o matce, swojej biednej matce... Co by na to powiedziała? Jak by go pocieszyła? W jaki sposób on zdoła kiedykolwiek ją pocieszyć? Willowi zrobiło się strasznie smutno, odłożył nóż na stół, skulił się nad zranioną ręką, ścisnął ją i krzyknął. Czuł, że sytuacja go przerosła. Nie potrafił tyle znieść. Z jego piersi wydobył się szloch, łzy popłynęły z oczu. Płakał z tęsknoty za matką... Biedna, przerażona, nieszczęśliwa, droga, kochana... Opuścił ją, odszedł...

Był zrozpaczony. W pewnej chwili poczuł coś niezwykle dziwnego, więc otarł oczy grzbietem prawej dłoni i dostrzegł na kolanie głowę Pantalaimona. Dajmon, w postaci psa rasy wilczarz, wpatrywał się w chłopca mokrymi, smutnymi oczyma, potem przez jakiś czas delikatnie lizał zranioną dłoń Willa, wreszcie ponownie położył mu łeb na kolanie.

Chłopiec nie miał pojęcia, że w świecie Lyry istnieje tabu uniemożliwiające człowiekowi dotknięcie dajmona innej osoby. Nie dotknął wprawdzie wcześniej Pantalaimona, z dala od niego trzymała go jednak raczej grzeczność niż cokolwiek innego. Jeśli chodzi o Lyrę, prawie nie mogła oddychać z emocji. Jej dajmon zbliżył

się do chłopca z własnej inicjatywy. Teraz zmienił się w małą ćmę i wrócił na ramię swej właścicielki. Stary człowiek obserwował go z zainteresowaniem, ale bez zdziwienia. Zapewne widywał już wcześniej dajmony, skoro podróżował między światami.

Gest Pantalaimona pomógł Willowi, który głośno przełknął ślinę i wstał, wycierając łzy.

–W porządku – oświadczył. – Spróbujmy jeszcze raz. Proszę mi mówić, co mam robić.

Tym razem naprawdę się skupił na poleceniu Giacomina Paradisiego; zaciskał zęby, drżał z wysiłku i pocił się. Dziewczynka miała ochotę im przerwać, ponieważ знаła się na tego typu eksperymentach. Tak samo postępowała doktor Malone, podobnie – poeta Keats, kimkolwiek był; wszyscy wiedzieli, że takiej koncentracji nie można osiągnąć poprzez zwyczajny wysiłek umysłowy. Lyra zatrzymała jednak swoje uwagi dla siebie. Miała nadzieję, że Willowi się uda.

–Poczekaj – powiedział starzec do chłopca. – Odpręż się. Nie naciskaj. Masz w ręku lekki nóż, a nie ciężki miecz. Trzymasz go zbyt mocno. Rozluźnij palce. Skłoń umysł do wędrówki po twoim ramieniu w dół, do nadgarstka, stamtąd do rękodości, a po niej wzdłuż ostrza... Nie ma pośpiechu, postępuj łagodnie, niczego nie wymuszaj. Po prostu idź. Tak. Teraz do samego koniuszka, do najostrzejszego miejsca. Staniecie się jednością. Zrób to. Idź tam i poczuj ten koniuszek, a potem wróć.

Chłopiec spróbował jeszcze raz. Lyra widziała, jak jej przyjaciel wyęcza siły i zaciska zęby. Nagle Will – spokojny, rozluźniony – zaczął panować nad nożem. Will, a może jego dajmona. Jak bardzo musi mu brakować dajmony! Jak bardzo czuje się samotny... Nic dziwnego, że płakał. Lyra doszła do wniosku, że Pantalaimon zachował się mądrze, próbując pocieszyć chłopca, chociaż w pierwszej chwili postępek ukochanego dajmona wydał się dziewczynce niezwykły. Teraz wyciągnęła przed siebie ręce i zwierzątko w postaci gronostaja wskoczyło na jej kolana.

Oboje obserwowali, jak ciało Willa stopniowo przestaje drżeć. Chłopiec nadal pozostawał bardzo skupiony, lecz jego koncentracja wydawała się teraz bardziej naturalna; nóż także wyglądał inaczej. Może nieco zmieniły się odcienie ciemnych kolorów ostrza, a może po prostu leżał o wiele swobodniej w ręku nowego właściciela. Will delikatnie poruszał nożem, wykonując zdecydowane i celowe ruchy. Najwyraźniej wyczuwał kierunek, pewniej prowadził nóż, potem przekręcał go i znowu wyczuwał, gdzie powinno kierować się srebrne ostrze. Po chwili Lyra odniosła wrażenie, że jej przyjaciel natrafił na jakąś małą przeszkodę w powietrzu.

–Co to jest? Czy tego właśnie szukamy? – spytał chrapliwym głosem.

–Tak. Nie naciskaj. Odpocznij.

Dziewczyńce wydało się, że widzi duszę Willa, która przesuwa się z powrotem po ostrzu, dłoni, ręce i ramieniu, aż do serca. Chłopiec cofnął się, opuścił rękę i gwałtownie zamrugał.

–Coś tam wyczułem – wyjaśnił Giacomowi Paradisiemu. – Najpierw nóż tylko ślizgał się w powietrzu, później jednak napotkałem opór...

–To dobrze. Powtórz teraz wszystkie czynności. Gdy wyczujesz tę samą przeszkodę, wsuń nóż głębiej i przesun w bok. Zrób nacięcie. Nie wahaj się. Nie bądź zaskoczony. A zwłaszcza... nie upuść noża.

Will musiał przykucnąć, aby kilkakrotnie nabrać głęboko powietrza i wsunąć lewą dłoń pod prawe ramię. Gdy po paru sekundach wstał, ostrze trzymał już przed sobą. Skoncentrował się na swoim zadaniu.

Tym razem poszło mu łatwiej. W sekundę wymacał przeszkodę, ponieważ wiedział, czego i gdzie powinien szukać. Przecięcie w odpowiednim miejscu wymagało precyzji; podobne problemy miewali chirurdzy, którzy ostrym skalpelem musieli trafić między dwa ścięgna. Nic dziwnego, że chłopiec dotknął wybranego punktu, wycofał się, ponownie dotknął i dopiero gdy był pewny swego wyboru, wykonał polecenie starca i rozciął powietrze srebrnym ostrzem.

Dobrze, że Giacomo Paradisi kazał Willowi zapanować nad emocjami. Chłopiec ostrożnie położył nóż na stole i dopiero wówczas pozwolił sobie na wyrażenie zdziwienia. Lyra, która szybko wstała, by spojrzeć, zupełnie oniemiała, ponieważ w samym środku małego, zakurzonego pomieszczenia pojawiło się nagle okienko identyczne jak tamto pod grabami – otwór w powietrzu, przez który widać było inny świat.

A ponieważ we troje przebywali na wieży, w tamtym świecie także znaleźli się wysoko w powietrzu, ponad północnym Oksfordem, a ściślej rzecz ujmując, za miastem, nad cmentarzem. W dość bliskiej odległości dostrzegli graby, w pobliżu znajdowały się też domy, inne drzewa, ulice, a dalej wieże i iglice miasta.

Nauczone doświadczeniem dzieci wiedziały, że nie mają do czynienia jedynie z jakąś optyczną sztuczką. Zresztą, nie tylko wzrok zaświadczał o istnieniu przejścia do Oksfordu Willa – dziewczynka i chłopiec czuli, że przez okienko napływa powietrze nasycone spalinami, które nie istniały w świecie Cittagazze. Pantalaimon zmienił się w jaskółkę i przeleciał na drugą stronę, rozkoszując się otwartą przestrzenią. Po chwili upolował owada i spokojnie wrócił na ramię swojej pani.

Giacomo Paradisi obserwował ich z zaciekawionym, smutnym uśmiechem.

–Tyle o otwieraniu – powiedział w końcu. – Teraz musisz się nauczyć zamykać.

Lyra cofnęła się, aby ustąpić miejsca Willowi i staremu człowiekowi, który podszedł i stanął obok chłopca.

–Do tego potrzebujesz palców – oświadczył. – Na szczęście jedna ręka wystarczy. Spróbuj wyczuć krawędzie okienka. Musisz niemal umieścić własną duszę na czubkach palców. Dotykaj bardzo delikatnie, aż wyczujesz krawędzie. Potem połącz je ze sobą. To wszystko. Spróbuj.

Will drżał. Nie potrafił ponownie się skoncentrować. Nie mógł się skupić i fakt ten bardzo go deprymował.

Lyra dostrzegła, co się dzieje z przyjacielem, wstała więc, wzięła go pod prawe ramię i powiedziała:

–Słuchaj, Willu, usiądź. Powiem ci, jak się trzeba skoncentrować. No, usiądź na chwilę. Sądzę, że rozprasza cię ciągły ból ręki. Ogranicza cię. Musisz o nim zapomnieć.

Starzec podniósł obie ręce, chcąc coś powiedzieć, potem jednak zmienił zamiar, wzruszył ramionami i usiadł. Will również usiadł i spojrział na Lyrę.

–Co robię źle? – zapytał.

Jego ubranie było poplamione krwią, trząsał się w oczach miał obłąd i ledwie nad sobą panował – zaciskał szczęki, szurał nogami, szybko oddychał.

–Przeszkadza ci rana – wyjaśniła dziewczynka. – Niczego nie robisz źle. Masz dobre zamiary, lecz ręka nie pozwala ci się skupić na zadaniu. Nie znam łatwego sposobu ucieczki od bólu, ale... może spróbujesz się od niego odgradzić...

–Co chcesz przez to powiedzieć?

–Hm, usiłujesz się skoncentrować na dwóch sprawach jednocześnie. Chcesz zignorować ból i zamknąć okienko w powietrzu. Pamiętam, że podczas pierwszych prób z aletheiometrem też byłam zdenerwowana. Nie wiem, może już przywykłam do tego uczucia, ale na początku bałam się przez cały czas... Musisz się po prostu odprężyć, wyciszyć umysł i powiedzieć sobie: Wiem, że to boli. Nie walcz z bólem, tylko postaraj się od niego odgradzić.

Chłopiec zamknął na chwilę oczy. Oddychał teraz nieco spokojniej.

–W porządku – stwierdził. – Spróbuję.

Od tej chwili Willowi szło znacznie lepiej. Odszukał krawędzie okienka i tak, jak mu kazał Giacomo Paradisi, połączył brzegi. Zadanie okazało się niezwykle proste. Chłopiec poczuł krótkie, przyjemne ożywienie i okienko zniknęło. Wejście do sąsiedniego świata zostało zamknięte.

Stary człowiek wręczył Willowi usztywnioną skórzaną pochewkę wyposażoną w klamerki utrzymujące nóż w jednej pozycji, ponieważ przy najlżejszym przesunięciu w bok ostrze bez trudu przecinało nawet najgrubszą skórę. Chłopiec wsunął nóż do pochwy i zapiął ją na tyle dokładnie, na ile mógł tego dokonać ranną, niezdarną ręką.

–To powinno odbywać się uroczyście – oświadczył Giacomo Paradisi. – Gdybyśmy mieli kilka dni albo tygodni, mógłbym zacząć od opowiedzenia wam o zaczarowanym nożu i o Gildii z Torre degli Angeli. Przedstawiłbym wam całą smutną historię naszego zepsutego i zaniedbanego świata. Za pojawienie się upiorów ponosimy odpowiedzialność my, i tylko my. Przybyły tu, ponieważ nasi przodkowie: alchemicy, filozofowie, ogólnie mówiąc: ludzie nauki, usiłowali poznać najgłębszą naturę rzeczy. Zainteresowały ich wiązania, które spajają najmniejsze cząsteczki materii. Rozumiecie, co mam na myśli, gdy używam słowa „wiązania”? Coś, co łączy ze sobą cząsteczki... Hm... No cóż, Cittagazze było kiedyś miastem kupieckim, siedzibą handlarzy i bankierów. Naszym uczonym zaczęło się w pewnym momencie wydawać, że wiedzą wszystko o wiązaniach. Sądzili, że mają one wartość obiegową, że można je kupić, sprzedać, wymienić, przerobić... Niestety, pomylili się. Gdy rozluźnili wiązania, wpuścili do naszego świata upiory.

–Skąd one pochodzą? – spytał Will. – I dlaczego pod grabami okienko było otwarte... To, którym tu weszliśmy. Czy istnieją inne takie przejścia w tym świecie?

–Nie wiemy, skąd pochodzą upiory. Zapewne z któregoś ze światów. A może z mroku przestrzeni? Któż to może wiedzieć? Wtargnęły tu i niszczą nasz świat. A czy są inne okienka? Tak, kilka, ponieważ czasami strażnik noża bywał nieuważny, zapominał zamknąć okno, nie miał na to czasu albo niedostatecznie szczerze połączył krawędzie. A tamto, przez które przeszliście, pod grabami... Sam je zostawiłem w chwili niewybaczalnej głupoty. Pragnąłem skusić człowieka, którego się obawiałem, by wszedł do tego świata. Gdyby dotarł do miasta, zaatakowałyby go upiory. Niestety, mój przeciwnik okazał się zbyt sprytny i nie dał się wciągnąć w pułapkę. Ale z całych sił pragnie mieć nóż. Błagam was, nigdy nie pozwólcie, by stał się jego właścicielem.

Dzieci wymieniły spojrzenia.

–Hmm... – mruknął starzec, rozkładając ręce. – Wręczyłem ci nóż, chłopcze, i pokazałem, jak go używać. Na koniec mogę ci jeszcze przekazać kilka zasad Gildii, które obowiązywały, zanim wszystko wokół podupadło. Po pierwsze, zawsze zamknij otwarte okno. Po drugie nie pozwól nikomu innemu używać noża. Jest tylko twój. Po

trzecie, nigdy go nie używaj w niegodziwym celu. Po czwarte, trzymaj w tajemnicy, że go masz. Jeśli istnieją inne zasady, zapomniałem je, a jeśli tak się stało, nie miały pewnie znaczenia. Liczy się to, że otrzymałeś nóż. Jesteś jego strażnikiem. Strażnik powinien być człowiekiem dorosłym, ale cóż, nasz świat się rozpada, a strażnika noża łatwo rozpoznać po jego lewej ręce. Nie znam nawet twojego imienia. Teraz idź. Wkrótce umrę, ponieważ wiem, gdzie się znajdują pewne trujące zioła. Nie zamierzam czekać, aż przyjdą po mnie upiory. Nie obroniłbym się przed nimi bez noża. Idź już i żegnaj.

–Ależ, panie Paradisi... – zaczęła Lyra, starzec jednak tylko potrząsnął głową, po czym powiedział:

–Nie ma już czasu na rozmowy. Przyszliście tutaj z jakiegoś powodu. Może sami go nie znacie, ale znają go anioły, które was tu przyprowadziły. Idźcie, dzieci. Jesteś odważna, panienko, a twój przyjaciel mądry. No i macie nóż. Idźcie zatem.

–Nie otruje się pan, prawda? – spytała strapiona Lyra.

–Chodź – ponaglił ją Will.

–A o co chodziło z tymi aniołami? – nalegała. Chłopiec szarpnął ją za ramię.

–Chodź – powtórzył. – Musimy iść. Dziękuję, panie Paradisi. Wyciągnął do starca zdrową poplamioną krwią rękę i mężczyzna uścisnął ją delikatnie. Uścisnął także dłoń Lyrze i skinął głową Pantalaimonowi – gronostajowi, który pokłonił mu się z szacunkiem.

Will z nożem unieruchomionym w skórzanej pochewce poprowadził Lyrę w dół po szerokich, ciemnych schodach. Dzieci wyszły z wieży. Plac był rozgrzany od słońca. Wokół panowała beżmierna cisza. Lyra rozejrzała się bardzo ostrożnie, na szczęście ulica była pusta. Postanowiła nie denerwować Willa opowieścią o tym, co widziała przed kilkoma minutami; chłopiec miał dość własnych zmartwień. Ominęli ulicę, na której wciąż stał, nieruchomy jak śmierć, Tullio.

–Szkoda... – odezwała się Lyra, obejrzawszy się w stronę placu. – Czuję się strasznie, gdy myślę o tym starym człowieku... miał wybite zęby i ledwie widział na jedno oko... A teraz połknie jakąś truciznę i umrze, a ja żałuję...

W oczach dziewczynki zakręciły się łzy.

–Cii... – powiedział Will. – Nie będzie cierpieć, po prostu zaśnie. Lepsza taka śmierć niż spotkanie z upiorami. Tak powiedział.

–Och, Willu, co my teraz zrobimy?! – wybuchnęła. – Co zrobimy? Jesteś poważnie ranny, a ten biedny starzec... Nienawidzę tego miejsca, naprawdę go nienawidzę,

spaliłabym je doszczętnie! Ale co teraz zrobimy?

–No cóż – odrzekł – czeka nas zadanie. Trzeba odzyskać aletheiometr, więc będziemy musieli go ukraść. To jest w tej chwili naszym celem.

KRADZIEŻ

Najpierw wrócili do kafeterii, aby się umyć, odpocząć i przebrać. Wiedzieli, że Will nie może się nigdzie pokazać w pokrwawionym ubraniu, bez skrupułów wybrali więc sobie nowe stroje i buty w którymś z otwartych sklepów, a Lyra, która bardzo chciała pomóc przyjacielowi, zaniósła wszystkie rzeczy (ostrożnie rozglądając się, czy nie obserwuje jej żadne dziecko) do kafeterii.

Potem dziewczynka zagrzała gar wody, który Will zaniósł do łazienki. Rozebrał się tam i umył od stóp do głów. Czuł tępy i bezlitosny ból, na szczęście rany były czyste, co zresztą chłopca nie zdziwiło, ponieważ wiedział, co potrafi nóż; niestety, kikuty palców mocno krwawiły. Kiedy na nie spojrzął, znów poczuł mdłości i serce zabiło mu szybciej, powodując jeszcze intensywniejsze krwawienie. Will usiadł na krawędzi wanny, zamknął oczy i kilkakrotnie głęboko odetchnął.

Niebawem trochę się uspokoił i zabrał do mycia. Jak mógł najlepiej, osuszył ciało coraz bardziej zakrwawionymi ręcznikami, a potem włożył nowe ubranie, starając się go nie zabrudzić.

–Musisz zrobić mi nowy opatrunek – powiedział do Lyry. – Ściśnij tak mocno, jak potrafisz, byle tylko rany przestały krwawić.

Dziewczynka oderwała pas bandaża i mocno obwiązała nim rękę chłopca. Will zacisnął zęby, ale nie udało mu się powstrzymać łez. Otarł je bez słowa. Lyra również się nie odezwała.

Gdy skończyła, chłopiec podziękował jej, po czym dodał:

–Słuchaj. Chcę, żebyś włożyła do swojego plecaka coś mojego, na wypadek, gdybyśmy nie mogli tutaj wrócić. To tylko listy. Jeśli masz ochotę, możesz je przeczytać...

Otworzył zieloną skórzaną teczkę, wyjął z niej listy i wręczył dziewczynce.

–Nie przeczytam ich, chyba że...

–Możesz przeczytać. Gdybym miał coś przeciwko temu, powiedziałbym ci.

Lyra wzięła listy, a Will położył się na łóżku, odsunął na bok kota i zasnął.

Późno w nocy dzieci skradały się w alejce, która biegła obok ocienionych drzewami zarośli w ogrodzie sir Charlesa. Po stronie Cittagazze znajdował się w tym miejscu porośnięty bujną trawą park otaczający elegancką willę, która połyskiwała bielą w świetle księżyca. Sporo czasu zabrało Willowi i Lyrze dotarcie do domu sir Charlesa,

gdyż poruszali się głównie po Cittagazze – często się zatrzymywali, wycinali okienko w powietrzu, sprawdzali swoje położenie w świetle Willa, po czym natychmiast zamykali otwór i próbowali w innym miejscu.

Niedaleko za nimi podążała bura kotka. Od chwili uratowania przespłała wiele godzin, a kiedy się obudziła, nie chciała się rozstać ze swoimi wybawicielami, jak gdyby sądziła, że będzie z nimi bezpieczna. Will nie był tego pewien, ale i bez kotki miał wystarczająco wiele problemów, toteż nie zwracał na nią uwagi. W miarę upływu czasu używał noża z coraz większą wprawą i coraz lepiej nad nim panował; niestety, rany nie przestawały sprawiać bólu – czuł intensywne rwanie – a bandaż, który Lyra zawiązała mu tuż po przebudzeniu przemókł zupełnie.

Will wyciął w powietrzu okienko w dość bliskiej odległości od połyskującej białą willi, dzieci przeszły i znalazły się w cichym zaułku w Headington. Zastanawiały się w jaki sposób dostać się stamtąd do gabinetu, w którym sir Charles schował aletheiometr. Zdawały sobie sprawę z tego, że obliczenia muszą być precyzyjne, w ogrodzie jarzyły się bowiem dwa reflektory, oświetlając front domu, chociaż nie sam gabinet. Na tę część domu padało jedynie światło księżycy; okna gabinetu były ciemne.

Alejka biegła wśród drzew, łącząc się z drugą, nieoświetloną. Włamywacz mógłby się z niej bez trudu dostać w zarośla i do ogrodu, gdyby nie otaczający całą posiadłość sir Charlesa solidny, trzymetrowy, żelazny płot zakończony ostrymi kolcami. Na szczęście, dla zaczarowanego noża ogrodzenie nie stanowiło przeszkody.

–Przytrzymaj pręty, gdy będę przecinał – szepnął Will. – Postaraj się, żeby żaden nie upadł na ziemię.

Lyra zrobiła tak, jak jej polecił. Chłopiec wyciął cztery pręty, tworząc otwór, przez który mogli przejść. Lyra odłożyła ostatni pręt na trawę, potem weszła za Willem do ogrodu. Ruszyli naprzód wśród krzewów.

Gdy stanęli na równo przyciętym trawniku w pobliżu bocznej ściany domu sir Charlesa i dostrzegli przed sobą obrośnięte pnączami okno gabinetu starca, Will powiedział cicho:

–Teraz wytnę okienko do Ci'gazze, wejdę, lecz zostawię je otwarte. Przejdę kilka metrów, tam wytnę kolejny otwór, wejdę do gabinetu, wezmę aletheiometr z szafki, zamknę tamto okno i wrócę do tego. Zostań na miejscu i obserwuj. Natychmiast, gdy mnie usłyszysz, wejdź do Ci'gazze, a ja zamknę to przejście. Wszystko rozumiałaś?

–Tak – szepnęła. – Ja i Pan będziemy cię wypatrywać.

Jej dajmon był teraz brązową sówką, niemal niewidoczną w pstrokatych cieniach pod drzewami. Wielkim, jasnym oczom ptaka nie umykał żaden ruch.

Will cofnął się i wyjął nóż. Szukał w powietrzu bardzo delikatnymi ruchami, aż po mniej więcej minucie znalazł odpowiedni do przecięcia punkt. Szybko wyciął okienko do oświetlonego księżycem parku w Ci'gazze, a potem cofnął się, aby zapamiętać kierunek i obliczyć kroki, które musi przejść w tamtym świecie, aby się dostać do gabinetu starca.

Potem bez słowa przeszedł przez otwór i zniknął.

Lyra przykucnęła w pobliżu okienka, Pantalaimon usiadł na gałęzi nad głową swej pani i rozglądał się w milczeniu. Dziewczynka słyszała ruch uliczny z Headington, ciche kroki kogoś, kto szedł ulicą na końcu alejki, a nawet bzyczenie owadów fruujących wśród gałązek, liści i traw.

Upłynęła minuta, potem kolejna. Lyra zastanawiała się, gdzie jest Will. Usiłowała coś dojrzeć przez okno gabinetu, ale widziała jedynie ciemny, przedzielony listewkami i obrośnięty pnączem kwadrat. Przypomniała sobie, jak sir Charles usiadł na wewnętrznym parapecie tamtego ranka, skrzyżował nogi i wygładził kanty spodni. Zastanawiała się, w którym miejscu (patrzac od okna), stała szafka? Czy Willowi uda się wejść do środka, nie niepokojąc nikogo w domu? Dziewczynka słyszała bicie własnego serca.

Nagle Pantalaimon wydał z siebie cichy odgłos i w tym samym momencie do uszu Lyry dotarł inny dźwięk – pochodził z przodu domu, od lewej strony. Dziewczynka dostrzegła jedynie przesuwające się wśród drzew światła reflektorów i usłyszała chrzęst opon na żwirze; nie słyszała natomiast silnika samochodu.

Rozejrzała się za Pantalaimonem. Latał jak mógł najdalej od niej. W pewnym momencie zawrócił w ciemnościach, przyleciał do swojej właścicielki i opadł jej na ramię.

–Sir Charles wraca – wyszeptał. – Nie jest sam.

Dajmon ponownie uniósł się w powietrze i tym razem Lyra podążyła w jego kierunku; z największą ostrożnością stąpała na palcach po miękkiej ziemi, kulila się za krzakami, w końcu poruszała się na czworakach. Dotarła do wawrzynu i spojrzała między liśćmi na dom.

Rolls – royce zatrzymał się na podjeździe. Szofer stanął przy samochodzie od strony pasażera i otworzył drzwi. Sir Charles czekał obok auta; uśmiechał się, później podał ramię wysiadającej kobiecie... Kiedy stanęła obok niego, Lyra natychmiast poczuła ukłucie w sercu. Od chwili ucieczki z Bolvangaru nie czuła tak wielkiego strachu, gościem sir Charlesa była bowiem jej matka, pani Coulter!

Will tymczasem szedł ostrożnie po zalanej księżycową poświatą trawie w Cittagazze. Liczył kroki i wyraźnie widząc w wyobraźni miejsce, które w jego świecie

zajmował gabinet, próbował ustalić jego odległość od najbliższej budowli w Cittagazze – otynkowanej na biało willi z kolumnami w zadbanym ogrodzie z posągami i fontanną. Chłopiec wiedział, że w tym oblanym księżycowym światłem parku on sam stanowi łatwy cel.

Kiedy stwierdził, że prawdopodobnie dotarł do właściwego punktu, zatrzymał się, wyjął nóż i skrupulatnie zabrał się do wyszukiwania otworu. Nie wszędzie znajdowały się te maleńkie niewidoczne szczeliny, w przeciwnym razie każde przypadkowe cięcie noża otwierałoby okienko. Chłopiec znalazł właściwy punkt w powietrzu, wyciął mały, nie większy od własnej dłoni otwór, i zajrzał przez niego. Przywitała go całkowita ciemność i nie miał pojęcia, co się znajduje za oknem. Zamknął je, odwrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i wyciął następnę. Tym razem dostrzegł przed sobą materiał – ciężki zielony aksamit; Will uznał, że jest to zasłona w gabinecie. Zastanowił się, gdzie mogą stać szafki. Musiał zamknąć także to okienko, odwrócił się i spróbował ponownie. Czas mijał.

Za trzecim razem miał więcej szczęścia – w przyćmionym świetle, padającym przez otwarte drzwi z korytarza, zobaczył cały gabinet. Biurko, sofę i... szafkę! Chłopiec dostrzegał połyskujący mosiężny mikroskop. W pokoju nie było nikogo, zresztą w całym domu panowała cisza. Nie mogło być lepiej.

Will starannie ocenił odległość, zamknął okienko, zrobił do przodu cztery kroki i znowu wyciągnął przed siebie nóż. Jeśli się nie mylił, powinien się znaleźć tuż na wprost gablotki – wystarczy przeciąć szklaną szybkę, wyjąć aletheiometr i zamknąć za sobą okienko.

Wyciął otwór na odpowiedniej wysokości. Szklane drzwiczki szafki znajdowały się przed nim zaledwie w odległości dłoni. Przybliżył twarz do gablotki i uważnie, od góry do dołu przejrzał wszystkie półki.

Aletheiometru nie było!

W pierwszej chwili Will pomyślał, że wybrał złą szafkę. W pomieszczeniu były cztery (policzył je tamtego ranka i pamiętał, gdzie stoją): wykonane z ciemnego drewna, wysokie gabloty o szklanych ściankach bocznych i przednich, z półkami pokrytymi aksamitem. Służyły do ekspozycji cennych przedmiotów z porcelany, kości słoniowej lub złota. Czyżby stanął przed niewłaściwą szafką? Nie, ponieważ na najwyższej półce rozpoznał wielkie urządzenie z mosiężnymi kółkami, które zapamiętał z poprzedniej wizyty. A na środkowej półce, tam gdzie sir Charles położył aletheiometr, pozostało puste miejsce. Szafka była więc właściwa, ale przyrząd Lyry zniknął.

Will zrobił krok w tył i głęboko zaczerpnął powietrza.

Postanowił choćby pobieżnie przeszukać gabinet, wiedział jednak, że przypadkowe

wycinanie okienek w różnych miejscach zajęłoby mu całą noc. Dobrze się więc rozejrzył, zamknął otwór przed szafką, po czym otworzył następny – na środku pomieszczenia, skąd z uwagą popatrzył wokół siebie i wreszcie wybrał odpowiednie miejsce. Zamknął okienko i wyciął większe za sofą; nie było widoczne i mógł przez nie dość łatwo wyjść, gdyby musiał w pośpiechu ratować się ucieczką.

Czuł silny, rwący ból, a bandaż znowu się rozwiązał. Will owinął dłoń najlepiej, jak potrafił, i wsunął koniec bandaża pod zwoje, potem przeszedł przez okienko i stanął na podłodze gabinetu. Przycupnął na moment za skórzaną sofą z nożem w prawej ręce i wsłuchał się z uwagą w odgłosy domu sir Charlesa.

Ponieważ niczego nie usłyszał, powoli wstał i rozejrzył się po pokoju. Drzwi do korytarza były na wpół otwarte i wpadające przez nie światło zupełnie chłopcu wystarczało. Wszystkie szafki, półki z książkami i obrazy znajdowały się w tych samych miejscach, w których były rano.

Will chodził po tłumiącym kroki dywanie i zaglądał po kolei do pozostałych szafek. Na żadnej z półek nie znalazł poszukiwanego przedmiotu. Nie było go też na biurku wśród starannie ułożonych w stosiki książek i gazet, nie było na kominku wśród wizytówek i zaproszeń na przyjęcia, nie było na wewnętrznym parapecie ani na ośmiokątnym stoliku za drzwiami.

Chłopiec wrócił do biurka z zamiarem przetrząśnięcia szuflad, choć powoli tracił nadzieję, że znajdzie aletheiometr. Kiedy odsunął pierwszą szufladę, usłyszał cichy chrzęst opon na żwirowym podjeździe. Odgłos był tak słaby, że w Willu zrodziło się podejrzenie, że może się przesłyszał, niemniej jednak znieruchomiał i wyteżył słuch. Zapanowała cisza.

Nagle chłopiec uświadomił sobie, że otwierają się frontowe drzwi. Natychmiast ruszył za sofę i kucnął obok wyciętego okienka, które wychodziło na zalaną księżycowym światłem trawę w Cittagazze. Już miał przejść, gdy usłyszał tamtym świecie lekkie kroki na trawniku, zajrzał i zobaczył zbliżającą się Lyrę. Zdażył jeszcze zamachać do niej i położyć palec na ustach. Dziewczynka zwolniła, gdy dotarło do niej, że jej przyjaciel wie o powrocie sir Charlesa.

–Nie mam go – wyszeptał chłopiec, kiedy Lyra podeszła. – Nigdzie go nie znalazłem. Starzec prawdopodobnie nosi go przy sobie. Zamierzam poczekać, może odłoży na miejsce. Zostań tu.

–Nie! Jest gorzej! – krzyknęła, naprawdę przerażona. – Jest z nim ona... pani Coulter... moja matka... nie wiem, jak się tu dostała, ale jeśli mnie zobaczy, zabije! Willu, jestem zgubiona... Wiem już, kim jest ten stary! Pamiętam, gdzie go wcześniej widziałam! Willu, on się nazywa Lord Boreal! Spotkałam go na przyjęciu koktajlowym u pani Coulter, z którego uciekłam! Pewnie od początku wiedział, kim jestem...

–Cicho. Odejdź, jeśli zamierzasz tak hałasować.

Dziewczynka opanowała się, z truciem przełknęła ślinę i potrząsnęła głową.

–Przepraszam. Chcę z tobą zostać – szepnęła. – Chcę słyszeć, o czym będą mówić.

–Więc bądź cicho...

Will słyszał już głosy w korytarzu. On w swoim świecie, ona w Cittagazze – byli od siebie na wyciągnięcie ręki. Lyra, widząc poluzowany bandaż Willa, dotknęła jego ramienia i pokazała gestem, że poprawi mu opatrunek. Chłopiec kiwnął głową i wyciągnął rękę w kierunku dziewczynki; kucnął za sofą i zadarłszy głowę, wytężył słuch. W pomieszczeniu zapaliło się światło i chłopiec usłyszał, jak sir Charles mówi do służącego, odprawia go, potem wchodzi do gabinetu i zamyka za sobą drzwi.

–Mogę ci zaproponować kieliszek tokaju? – spytał.

–Jak to miło z twojej strony, Carlo – odparł kobiecy głos, niski i słodki. – Nie piłam tokaju od wielu lat.

–Usiądź w fotelu przy kominku.

Rozległ się cichy chlupot nalewanego wina, brzęk karafki o krawędź kieliszka, podziękowanie, a później sir Charles usiadł na sofie, kilka centymetrów od Willa.

–Twoje zdrowie, Mariso – powiedział, pociągając łyk. – Teraz, jak przypuszczam, powiesz mi, czego sobie życzysz.

–Chcę wiedzieć, skąd masz aletheiometr.

–Dlaczego?

–Ponieważ miała go Lyra, a ja muszę ją znaleźć.

–Doprawdy nie mam pojęcia, po co miałabyś jej szukać. To wstrętny dzieciak.

–Pamiętaj, że jest moją córką.

–W takim razie wydaje mi się jeszcze wstrętniejsza, ponieważ najwyraźniej świadomie się przeciwko tobie zbuntowała. Niewiele osób potrafi się oprzeć twojemu wielkiemu czarowi.

–Gdzie ona jest?

–Powiem ci, obiecuję. Najpierw jednak musisz odpowiedzieć na moje pytanie.

–Jeśli zdołam – odparła innym tonem, w którym Will wyczuł coś w rodzaju ostrzeżenia. Dotąd głos kobiety był upajający: kojący, słodki, śpiewny i młody. Chłopiec miał wielką ochotę zobaczyć, jak wygląda matka Lyry, gdyż dziewczynka nigdy mu jej nie opisała. Will sądził, że twarz osoby o takim głosie musi być naprawdę nadzwyczajna. – Co chcesz wiedzieć?

–Co robi Asriel?

Zapadło milczenie, jak gdyby kobieta zastanawiała się, co odpowiedzieć. Will spojrział przez okienko na Lyrę i zobaczył jej twarz, oświetloną księżycem, z szeroko otwartymi ze strachu oczyma; dziewczynka zagryzała wargę, aby zachować milczenie, i tak jak chłopiec wyteęzała słuch.

W końcu pani Coulter odezwała się:

–No dobrze, powiem ci. Gromadzi wojsko w celu zakończenia wojny, która wybuchła w niebie przed kilkoma tysiącami.

–Ależ to średniowieczne! Jego siły wyglądają wszakże na bardzo nowoczesne. A co Asriel robi z biegunem magnetycznym?

–Odkrył sposób otwierania przejść między naszym światem a innymi za pomocą wybuchów. Jego eksperyment spowodował ogromne zakłócenia ziemskiego pola magnetycznego, co z pewnością dało się odczuć także w tym świecie... Ale... Skąd o tym wiesz? Carlo, ty również powinienes mi odpowiedzieć na kilka pytań. Jaki jest ten świat? I w jaki sposób udało ci się mnie do niego przenieść?

–To jeden z milionów światów. Istnieją między nimi przejścia, choć niełatwo je znaleźć. Znam ich mniej więcej tuzin, jednak obecnie prowadzą one w inne miejsca niż kiedyś, być może właśnie za sprawą działań Asriela. Okazuje się, że teraz można się na przykład przedostać bezpośrednio z tego świata do naszego, podobnie jak do wielu innych. Wcześniej trafiłbym do pewnego świata, który pełnił funkcję czegoś w rodzaju skrzyżowania. Prowadziły do niego wszystkie wejścia. Możesz więc sobie wyobrazić, jak zaskoczył mnie dziś twój widok i jak bardzo się ucieszyłem, że mogę wrócić wraz z tobą do domu, nie ryzykując wizyty w Cittagazze.

–Cittagazze? A cóż to takiego?

–Skrzyżowanie, o którym ci wspomniałem. Znajduje się tam coś, co mnie bardzo interesuje, moja droga Mariso. Niestety ten świat jest dla nas zbyt niebezpieczny i w tej chwili nie możemy się tam udać.

–Dlaczego niebezpieczny?

–Jest niebezpieczny tylko dla dorosłych. Dzieci mogą w nim przebywać.

–Co takiego?! Koniecznie musisz mi o tym opowiedzieć, Carlo! – kobieta podniosła głos. Mówiła teraz w sposób zapalczywy i niecierpliwy. – Najbardziej ze wszystkiego zajmuje mnie przecież różnica między dziećmi a dorosłymi! W tym rozróżnieniu zawiera się cała tajemnica Pyłu! Właśnie dlatego muszę znaleźć Lyrę. Na określenie tego zjawiska istnieje jakaś nazwa. Znają ją czarownice i prawie ją wydobyłam od jednej z nich, niestety... zbyt szybko umarła. Muszę odnaleźć tę małą. Ona na pewno zna odpowiedź, którą muszę poznać!

–Bądź spokojna, dziewczynka przyjdzie tutaj. Z powodu tego przyrzędu. A kiedy wręczy mi przedmiot, którego od niej zażądałem, przestanie mnie interesować. Będzie twoja. Hm, opowiedz mi o swoim interesującym ochroniarzu, Mariso. Nigdy nie widziałem takich żołnierzy. Kim są?

–Ludźmi podobnymi do innych... Tyle że... zostali poddani procesowi rozdzielania. Nie mają dajmonów, więc nie znają strachu, nie mają też wyobraźni ani wolnej woli i walczą do ostatniej kropli krwi.

–Nie mają dajmonów... Bardzo, bardzo ciekawe. Zastanawiam się, czy poświęciłabyś jednego z nich. Chciałbym go poddać małemu eksperymentowi... sprawdzić, czy zainteresują się nim upiory. Gdyby okazało się, że ci żołnierze są bezpieczni, mogliby udać się do Cittagazze.

–Upiory? Co to takiego?

–Wyjaśnię ci później, moja droga. W każdym razie, głównie z ich powodu dorośli nie mogą wejść do sąsiedniego świata. Pył, dzieci, upiory, dajmony, rozdzielanie. Tak, to mogłoby się udać. Może jeszcze trochę wina?

–Chcę wiedzieć wszystko! – wykrzyknęła pani Coulter, podczas gdy sir Charles napełniał kieliszki. – I zmuszę cię, żebyś mi powiedział. A co właściwie robisz w tym świecie? Czy właśnie tu przebywałeś, gdy sądziliśmy, że jesteś w Brazylii albo w Indiach?

–Znalazłem drogę tutaj dawno temu. Tajemnica wydawała mi się zbyt wielka, aby ją komuś zdradzić, nawet tobie, Mariso. Jak widzisz, urządziłem się tu bardzo wygodnie. Będąc członkiem Rady Stanu w naszym świecie, bez problemów odgadłem, do kogo należy władza w tym. Najpierw zająłem się szpiegostwem, chociaż nigdy nie podzieliłem się z moimi szefami wszystkimi informacjami. Przez wiele lat tutejsze służby bezpieczeństwa zajęte były sprawami kraju, który nazywali Związkiem Radzieckim, a który my znamy jako Rosję. I chociaż zagrożenie ze wschodu minęło, nie zniknął system podsłuchów i maszyn specjalnie skonstruowanych do tej szczególnej działalności. Pozostaję nadal w kontakcie z osobami, które kierowały grupami szpiegów.

Od nich dowiedziałem się ostatnio – ciągnął po chwili – o wielkich zakłóceniach w ziemskim polu magnetycznym. Tutejsze służby bezpieczeństwa są szczerze nimi zaniepokojone. Rządy państw, które zajmują się badaniami z dziedziny fizyki, czyli dziedziny, którą my nazywamy teologią eksperymentalną, natychmiast zwróciły się do swoich naukowców z prośbą, aby sprawdzili, co się dzieje. Tutejsi naukowcy wiedzą, że coś jest nie w porządku, i podejrzewają, że zmiany mają związek z istnieniem innych światów. Jest kilka hipotez. Niektórzy badacze zajmują się kwestią Pyłu... Tak, tak! To zjawisko nie umknęło ich uwagi. Nawet w tym mieście pewien zespół pracuje nad tą sprawą. Ach, i jeszcze jedno – chodzi o mężczyznę, który zniknął dziesięć czy dwanaście lat temu na północy. Służby bezpieczeństwa sądzą, że posiadał pewne dane, które bardzo by się im przydały. Podobno ten człowiek znał rozmieszczenie przejść między światami. Przybyłaś dziś przez jedno z nich... Sami wiedzą tylko o jednym jedynym przejściu... Zapewne rozumiesz, że nie zdradziłem im swoich informacji. Odkąd zaczęły się zakłócenia pola magnetycznego, szaleńczo szukają tego mężczyzny. Domyślasz się zapewne, Mariso, że z zaciekawieniem czekam na wynik ich poszukiwań, gdyż chętnie poszerzę moją wiedzę.

Will siedział nieruchomo niczym zamrożony. Serce łomotało mu bardzo mocno i chłopiec obawiał się, że dorośli to usłyszą. Sir Charles mówił przecież o jego ojcu! A zatem jego prześladowcy byli ze służby bezpieczeństwa i dlatego szukali listów, w których ojciec pisał o przejściu między światami.

Przez cały czas Will czuł, że w pokoju poza sir Charlesem i kobietą znajduje się ktoś jeszcze. Na podłodze blisko sofy, obok nóg małego ośmiokątnego stolika widać było cień istoty lub części jej ciała. Cień nie należał do żadnego z dorosłych, ponieważ ciągle się poruszał, mimo iż mężczyzna i kobieta pozostawali nieruchomi. Stworzenie prawdopodobnie węszyło, co strasznie denerwowało Willa. Pokój oświetlała jedynie lampa stojąca obok kominka, dzięki czemu cień był wyraźny i pełny, istota jednakże ani razu nie zatrzymała się w bezruchu na wystarczająco długi czas, aby Will ustalił, kim bądź czym jest.

Nagle jedna po drugiej zdarzyły się dwie niespodziewane rzeczy. Najpierw sir Charles wspomniął o aletheiometrze.

–Na przykład bardzo mnie interesuje ten przyrząd – odezwał się, kontynuując myśl.
– Przypuszczam, że powiesz mi, jak działa.

Postawił aletheiometr Lyry na ośmiokątnym stoliku przy końcu sofy. Will świetnie widział przyrząd; prawie mógł go dotknąć.

W tym samym momencie stworzenie nagle znieruchomiało. Siedziało zapewne na oparciu fotela pani Coulter, dlatego jego cień tańczył na ścianie. Gdy przestało się poruszać, Will uprzytomnił sobie, że jest ono zapewne dajmonem kobiety. Była to mała, która wciąż odwracała łeb, jakby czegoś szukała. Chłopiec usłyszał, że na

widok mały Lyra zaczyna oddychać szybciej. Odwrócił się i szepnął: – Wróć do drugiego okienka i przejdź do ogrodu starca. Znajdź kilka kamieni i rzuć nimi w okno gabinetu, żeby odwrócić na moment ich uwagę. W tym czasie sięgnę po aletheiometr. Potem biegnij do tamtego okienka i zaczekaj na mnie.

Dziewczynka skinęła głową, odwróciła się i cicho pobiegła po trawie. Will przysłuchiwał się rozmowie.

–Rektor Kolegium Jordana to głupi stary osioł – mówiła kobieta. – Nie mam najmniejszego pojęcia, po co dał jej ten przyrząd. Trzeba poświęcić wiele lat na intensywne studia, aby mieć z niego jakikolwiek pożytek. Jesteś mi winien pewne informacje na ten temat, Carlo. Jak go zdobyłeś? I gdzie jest mała?

–Zobaczyłem dziewczynkę, jak korzystała z tego przedmiotu w miejskim muzeum. Oczywiście ją rozpoznałem, mimo że widziałem Lyrę tylko raz i tak dawno temu na przyjęciu koktajlowym u ciebie. Uświadomiłem sobie, że skoro się tu dostała, znalazła zapewne jedno z przejść. Przyszło mi do głowy, że mógłbym wykorzystać ten przyrząd dla własnych celów. A zatem, gdy spotkałem twoją córkę po raz drugi, ukradłem go.

–Jesteś bardzo szczery.

–Nie muszę udawać. Oboje jesteśmy dorośli.

–Ale gdzie jest teraz moja córka? Co zrobiła, gdy stwierdziła, że zginął jej aletheiometr?

–Przyszła się ze mną zobaczyć. Uważam, że jest bardzo odważna.

–O tak, odwagi z pewnością jej nie brakuje. A co zamierzasz zrobić z przyrządem? Jaki jest twój cel?

–Powiedziałem dziewczynce, że może go odzyskać, jeśli dostarczy mi coś, czego nie potrafię zdobyć sam.

–A cóż to takiego?

–Nie wiem, czy ty...

W tym momencie kamień uderzył w okno gabinetu.

Rozległ się głośny brzęk rozbitego szkła. Mała w jednej chwili zeskoczyła z oparcia krzesła, podczas gdy zaskoczeni dorośli trwali w bezruchu. Wtedy Will usłyszał kolejny brzęk, a po nim jeszcze jeden. Nagle poczuł, że sofa się lekko poruszyła. Sir Charles wstał.

Chłopiec skoczył do przodu, chwycił aletheiometr z małego stolika, wepchnął go do kieszeni i wyskoczył przez okienko wycięte w powietrzu. Gdy znalazł się na trawie w Cittagazze, natychmiast wymacał niewidzialne krawędzie i zaczął je zaciskać. Równocześnie uspokajał się, oddychając powoli. Zdawał sobie sprawę, że zaledwie o włos uniknął straszliwego niebezpieczeństwa.

W pewnej chwili do jego uszu dotarł przeraźliwy pisk. Nie wydawał się ani ludzki, ani zwierzęcy, ale chłopiec wiedział, że to głos małpy. Zamknął już większą część okna i została tylko niewielka szparka na wysokości piersi. Nagle odskoczył w tył przestraszony, ponieważ w otworze pojawiła się mała futrzasta złota łapa z czarnymi pazurami, a potem pysk: przerażający, koszmarny pysk. Małpa obnażyła zęby, obrzuciła Willa piorunującym spojrzeniem, tak wrogim i nienawistnym, że chłopiec poczuł się prawie jak ukłuty włócznią.

Jeszcze sekunda i małpiszon znalazłby się obok Willa. Chłopiec bał się go. Ciągle trzymał w ręku nóż, więc natychmiast go podniósł i ciął w lewo i prawo, w pysk małpy, a raczej w miejsce, w którym znalazłby się pysk, gdyby małpa nie wycofała się na czas. Ta chwila wystarczyła. Chłopiec złapał krawędzie okienka i zamknął je.

Świat Willa zniknął. Chłopiec był sam w oświetlonym księżycem ogrodzie w Cittagazze. Oddychał szybko, drżał i czuł okropny strach.

Musiał jednak jeszcze uratować Lyrę. Pobiegł do drugiego okienka w zaroślach i wrócił przez nie do swojego świata. Ciemne liście wawrzynów i ostrokrzewu zasłaniały mu widok, ale chłopiec wsunął dłonie między gałązki i odsunął je na boki. W świetle księżyca wyraźnie dostrzegł ścianę willi i wybite okno gabinetu.

Przy narożniku domu zobaczył małpę pędzącą po trawie z kocią szybkością, a potem sir Charlesa i kobietę, którzy podążali tuż za złotym dajmonem. Starzec trzymał w ręku pistolet. Kobieta była bardzo piękna (chłopiec patrzył na nią, zauroczony) – w świetle księżyca doskonale wyglądały jej delikatne rysy, olśniewające, ciemne, rozszerzone gniewem oczy, smukłe ciało, lekkie i pełne gracji. Nagle matka Lyry strzeliła palcami i małpa natychmiast się zatrzymała, po czym skoczyła w jej ramiona, a wtedy Will uprzytomnił sobie, że kobieta o pięknej twarzy i złośliwa małpa stanowią jedność.

Ale gdzie jest dziewczynka?

Dorośli przez chwilę rozglądali się wokół, po czym kobieta postawiła na ziemi małpę, która zaczęła się miotać na wszystkie strony po trawie, jak gdyby węszyła albo szukała śladów. Panowała absolutna cisza. Chłopiec pomyślał, że jeśli Lyra jest już w zaroślach, zdradzi ją każdy ruch.

Sir Charles manipulował przy pistolecie. W pewnej chwili rozległ się cichy dźwięk i

chłopiec odgadł, że starzec odbezpieczył broń. Sir Charles zajrzał w zarośla – Will odniósł wrażenie, że stary patrzy wprost na niego – później wycofał się.

Nagle dorośli spojrzeli na lewo, ponieważ mała coś usłyszała. Po chwili skoczyła do przodu, w miejsce gdzie zapewne znajdowała się Lyra. Will przeraził się. Na szczęście z krzaków wypadła tylko bura kotka i, prychnąwszy, rzuciła się do ucieczki.

Małpison zatrzymał się w pół skoku, a następnie ze zdziwienia zrobił obrót w powietrzu. Chłopiec był równie zaskoczony jak wszyscy pozostali. Mała opadła na cztery łapy i zaatakowała kotkę, która wygięła grzbiet, podniosła wysoko ogon i stanęła bokiem; syczała, prychnęła, prowokowała. Dajmon pani Coulter skoczył na nią. Kotka zjeżyła się i zaczęła machać łapami, drapiąc ostrymi pazurami. Podczas gdy walczyła z małpisonem, do Willa przedarła się Lyra i wraz z Pantalaimonem zaczęła przechodzić przez okienko. Kotka pisnęła z bólu, lecz mała również zaskrzeczała, ponieważ kocie pazury rozorały jej pysk; wtedy złoty dajmon odwrócił się i skoczył w ramiona swej właścicielki, a kotka czmychnęła w krzaki i zniknęła.

Dzieci przeszły na stronę Cittagazze, a Will jeszcze raz wymacał w powietrzu niemal nieuchwytnie krawędzie i łączył je szybko, zamykając okienko niemal na całej długości, gdy nagle przez mały otwór usłyszał odgłos kroków wśród gałęzi i pęknięcie gałązek...

Pozostała już tylko dziura rozmiaru ręki Willa, a w chwilę później okienko zostało zamknięte i zapadła zupełna cisza. Chłopiec opadł na kolana i dotykając zroszonej trawy, szukał aletheiometru.

–Proszę – powiedział w końcu do Lyry, podnosząc przedmiot.

Dziewczynka wzięła urządzenie w roztrzęsione dłonie, a Will wsunął nóż z powrotem do pochewki. Potem położył się, drżąc na całym ciele, i zamknął oczy przed intensywnie srebrnym światłem księżyca. Poczował, jak Lyra rozwiązuje mu bandaż, a później ponownie zawiązuje delikatnymi, łagodnymi ruchami.

–Och, Willu – usłyszał jej głos – dziękuję ci za to, co dla mnie zrobiłeś, dziękuję ci za wszystko...

–Mam nadzieję, że kotce nic się nie stało – mruknął. – Przypomina mi moją Moxie... Bura pewnie wróci teraz do domu. Jest przecież we własnym świecie. Wszystko będzie dobrze.

–Wiesz, co myślę? Przez chwilę mi się zdawało, że ona jest twoją dajmoną. W każdym razie, postąpiła tak, jak postąpiłby dobry opiekun. Najpierw my ją uratowaliśmy, potem ona ocaliła nas. Chodź, Willu, nie leż na trawie, jest mokra. Musisz pójść ze mną i położyć się do łóżka, bo się przeziębisz. Pójdziemy do tego dużego domu. Tam powinny być łóżka, jedzenie i pościel. Zrobię ci nowy opatrunek,

**zaparzę kawę, zrobię omlet... cokolwiek zechcesz. Położymy się spać...
Odzyskaliśmy aletheiometr i jesteśmy bezpieczni. Zobaczysz, wszystko się ułoży.
Obiecuję, że od tej pory będę się zajmować już tylko jedną sprawą. Odszukamy
twojego ojca...**

**Lyra pomogła chłopcu wstać i razem ruszyli powoli przez ogród ku wielkiemu
domowi, który połyskiwał bielą w księżycowej poświacie.**

SZAMAN

Lee Scoresby wylądował u ujścia rzeki Jenisej. W porcie panował chaos. Rybacy usiłowali sprzedać niewielkie ilości złowionych przez siebie ryb do fabryk konserw, a właściciele statków złościли się z powodu wyższych opłat portowych. Władze podniosły je, by zgromadzić pieniądze na fundusz powodziowy oraz pomoc przybywającym do miasta myśliwym i traperom, bezrobotnym z powodu zatopionych lasów i ucieczek zwierząt.

Lee szybko zrozumiał, że trudno mu się będzie dostać dalej w głąb lądu. Dawniej drogę stanowił wykarczowany pas zamarznętej ziemi, a w obecnych, dziwnych czasach, gdy zmarzlina topniała, szlak zmienił się w spienione bajoro.

Aeronauta złożył balon i resztę sprzętu w przechowalni. Za kilka złotych monet z kurczącej się rezerwy wynajął łódź z silnikiem gazowym, zakupił kilka zbiorników z paliwem i zapasy jedzenia, po czym popłynął w górę wezbranej rzeki.

Początkowo posuwał się powoli, prąd był bowiem silny, a poza tym w wodzie pływały rozmaite rzeczy: pnie drzew, gałęzie krzewów, utopione zwierzęta, a czasem nawet ludzkie zwłoki. Lee musiał sterować ostrożnie, silnik działał na najwyższych obrotach.

Aeronauta kierował się do wioski zamieszkaanej przez plemię Grummana. Przed laty leciał nad tą krainą, pamiętał ją dobrze i łatwo znajdował właściwy kurs wśród pędzących potoków, mimo iż ich brzegi zniknęły zalane mlecznobrązowymi falami wody. Wysoka temperatura zbudziła owady i ruchliwe chmury maleńkich stworzeń otaczały każde drzewo i krzew. Dla ochrony przed insektami Lee posmarował twarz i ręce maścią z liści bielunia i nieprzerwanie palił cygara o gryzącym zapachu.

Hester siedziała na dziobie, długie uszy położyła płasko na chudym grzbiecie, oczy miała przymknięte. Milczała; Lee był przyzwyczajony do jej milczenia, a ona do jego małomówności. Rzadko odzywali się bez potrzeby.

Rankiem trzeciego dnia aeronauta skierował małą łódź w górę jednego z dopływów głównego strumienia. Spływał z niskich wzgórz, które o tej porze roku leżały zwykle głęboko pod śniegiem, teraz jednak w wielu miejscach prześwitywała brązowa ziemia. Rzeczka płynęła między niskimi sosnami i świerkami, a pokonawszy kilka kilometrów, podróżnicy dotarli do ogromnej zaokrąglonej skały wysokości sporego budynku. Przy niej Lee zacumował i wyciągnął łódź na brzeg.

–Kiedyś był tu pomost wylądunkowy – zagadnął swoją dajmonę. – Przypominasz sobie starego łowcę fok w Nowej Zembli, który nam o nim opowiadał? Teraz pewnie znajduje się ze dwa metry pod wodą.

–Mam nadzieję, że tutejsi ludzie okazali się rozsądni i zbudowali osadę wysoko na wzgórzach – odparła Hester, wyskakując na brzeg.

Niecałe pół godziny później Lee położył plecak obok drewnianej chaty wioskowego wodza i odwrócił się, aby pozdrowić zgromadzony tłumek. Użył ogólnie znanego na północy gestu wyrażającego przyjaźń i położył karabin na ziemi, przy stopach.

Stary syberyjski Tatar, którego oczy niemal zniknęły wśród setek otaczających je zmarszczek, odłożył łuk. Jego dajmona w postaci rosomaka kiwnęła łbem w stronę zajęzycy, która w odpowiedzi zastrzygła uszami.

Wódz przemówił, a Lee mu odpowiedział. Zanim zaczęli się nawzajem rozumieć, wypróbowali z pół tuzina języków.

–Uszanowania dla ciebie i twojego plemienia – zagaił Lee. – Mam trochę tytoniu. Nie jest zbyt cenny, lecz byłbym zaszczycony, gdybyś go ode mnie przyjął.

Wódz skinął głową, wyrażając zgodę. Jedna z jego żon przyjęła zawiniątko, które Lee wyjął z plecaka.

–Szukam mężczyzny nazwiskiem Grumman – ciągnął aeronauta. – Słyszałem, że przyjęliście go do waszego plemienia. Może przybrał inne imię, ale jest Europejczykiem.

–Ach, czekaliśmy na ciebie – odparł wódz.

Pozostali mieszkańcy osady, którzy stali na błotnistym, parującym, oświetlonym słabymi promieniami słońca i otoczonym chatami placyku, nie mogli zrozumieć słów, ale widzieli zadowolenie wodza. Zadowolenie i ulgę, dopowiedziała w myślach dajmona Lee.

Wódz kilka razy pokiwał głową.

–Oczekiwaliśmy cię – powtórzył. – Musisz zabrać doktora Grummana do innego świata.

Aeronauta zmarszczył brwi, ale odparł tylko:

–Jak sobie życzysz, wodzu. Czy doktor jest tutaj?

–Pójdź za mną – polecił starzec. Mieszkańcy wioski z szacunkiem odsunęli się na boki.

Lee wiedział, jak bardzo Hester nie lubi błota, które musiałyby przebiec susami, wziął ją więc w ramiona, po czym założył plecak i ruszył za wodzem leśną ścieżką.

Kierowali się ku chacie, która stała na polanie wśród modrzewi w odległości dziesięciu strzałów z łuku. Wódz zatrzymał się przed pokrytą skórą chatą o drewnianym zrębie. Chatę ozdabiały szable dzika, rogi łosia i renifera, które nie były jedynie trofeami łowieckimi, ponieważ zwisały z nich wieńce suszonych kwiatów i splecione sosnowe gałązki; ozdoby prawdopodobnie służyły jakiemuś rytuałowi.

–Podczas rozmowy musisz okazać szacunek – wódz cicho pouczył aeronautę. – To szaman, choć o chorym sercu.

Nagle Lee poczuł na plecach dreszcz, a Hester zeszywniała w jego ramionach, uświadomili sobie bowiem, że od dłuższego czasu ktoś ich obserwuje. Spomiędzy suszonych kwiatów i sosnowych gałązek wypatrywały jaskrawożółte oczy. Należały do dajmony, która dostrzegłszy, że Lee ją zauważył, odwróciła łeb, po czym delikatnie wzięła sosnową gałązkę w potężny dziób i machnęła nim, jak gdyby rozsuwając kotarę.

Wódz wykrzyknął w stronę chaty imię, które wymienił stary łowca fok: Jopari!

W chwilę później drzwi się otworzyły i w progu stanął mężczyzna w średnim wieku z pierwszymi oznakami siwizny na głowie. Ubrany był w skóry i futra i wyglądał na człowieka zagniewanego. Oczy mu płonęły, szczękę wysunął do przodu, a siedząca na jego zaciśniętej pięści dajmona w postaci rybołowa obrzucała wszystkich piorunującymi spojrzeniami.

Wódz skłonił się trzykrotnie i odszedł. Lee został sam z uczonym szamanem.

–Doktorze Grumman – odezwał się bez lęku – nazywam się Lee Scoresby. Pochodzę z Teksasu, z zawodu jestem aeronautą. Jeśli pozwoli mi pan usiąść i zechce ze mną porozmawiać, opowiem panu, co mnie tu sprowadza. Mam rację, prawda? Jest pan doktorem Grummanem z Akademii Berlińskiej?

–Tak – odparł szaman. – Pan natomiast, jak sam wspomniał, pochodzi z Teksasu. Wiatry wywiały pana daleko od pańskiej ojczyzny, panie Scoresby.

–Cóż, przyzna pan, że w naszym świecie wieją obecnie zupełnie niezwykle wiatry.

–W istocie. Słońce przyjemnie przygrzewa. Mam w chacie ławkę. Jeśli pomoże mi ją pan wynieść, usiądziemy sobie w tym miłym ciepłe i porozmawiamy. Zaparzyłem właśnie kawę. Ma pan ochotę?

–Z największą przyjemnością – odparł Lee, po czym wszedł do środka i sam wyniósł przed chatę drewnianą ławkę.

Tymczasem Grumman podszedł do pieca i nalał gorącego napoju do dwóch cynowych kubków. Lee pomyślał że dyrektor obserwatorium miał rację, doktor

bowiem rzeczywiście mówił raczej z brytyjskim niż niemieckim akcentem.

Kiedy usiedli we czworo w pełnym słońcu – Lee, obok niego niewzruszona Hester z przymkniętymi oczyma, Grumman oraz dajmona – rybołów – aeronauta odezwał się. Najpierw opowiedział o swoim spotkaniu w Trollesundzie z Johnem Faa, królem Cyganów, o zwerbowaniu niedźwiedzia lorka Byrnisona, o podróży do Bolvangaru, uratowaniu Lyry i innych dzieci. Potem podzielił się informacjami, które uzyskał od dziewczynki i od czarownicy, Serafiny Pekkali, podczas lotu balonem ku Svalbardowi.

–Widzi pan, doktorze Grumman, gdy Lyra opowiadała mi o tym, jak Lord Asriel pokazywał zakonserwowaną w lodzie odciętą głowę, przerażając jej widokiem oksfordzkich Uczonych, pomyślałem sobie, że nikt z zebranych zapewne nie przyjrzał się dokładnie tej głowie. Przyszło mi wówczas na myśl, że może pan nadal żyje. A wiem na pewno, sir, że ma pan informacje na temat pewnej interesującej mnie sprawy. Wszędzie, na całym arktycznym wybrzeżu nasłuchiwałem się wiele o panu. Wiem, że wydrążył pan sobie w czaszce otwór, że badał pan dno oceanu, a także Zorzę, wiem, że zaczął pan działalność dość niespodziewanie, około dziesięciu, dwunastu lat temu. Wszystkie te fakty są ogromnie interesujące, przyciągnęło mnie jednak do pana, doktorze Grumman, coś więcej niż zwykła ciekawość. Niepokoję się o los dziewczynki. Zarówno ja, jak i czarownice uważamy, że ma ona do spełnienia wielkie zadanie. A zatem... Jeśli posiada pan jakieś informacje na temat Lyry albo zachodzących aktualnie w naszym świecie wydarzeń, chciałbym, żeby mi pan je przekazał. Jestem przekonany, że wie pan wiele o tych sprawach i stąd moja tu obecność.

Mam też pytanie – dodał po chwili. – O ile się nie przesłyszałem, sir, wódz tej wioski stwierdził, że moim celem jest zabranie pana do innego świata. Źle zrozumiałem, czy rzeczywiście tak powiedział? I jeszcze jedno. Cóż to za słowo, którym ten stary Tatar zwrócił się do pana? Czy to coś w rodzaju plemiennego imienia? A może jakiś magiczny tytuł?

Grumman uśmiechnął się nieznacznie i odrzekł:

–Słowo, którego użył, to moje prawdziwe imię i nazwisko – John Parry. Tak, rzeczywiście, przybył pan, by zabrać mnie do innego świata. Wiem też, co przywiodło pana do mnie. Właśnie ten maleńki przedmiocik.

Mężczyzna wysunął w stronę Lee otwartą dłoń. W jej zagłębieniu leżała rzecz, którą aeronauta natychmiast rozpoznał, choć nie miał pojęcia, w jaki sposób Grumman wszedł w jej posiadanie. Był to typowy dla Indian Nawaho srebrny pierścień z turkusem, który należał do matki Lee. Aeronauta świetnie znał jego ciężar, szlif kamienia, każde wygięcie zrobione przez rzemieślnika; pamiętał także miejsce, gdzie kamień był wyszczerbiony, choć wygładziło go długie używanie. Lee świetnie wiedział

o tych wszystkich szczegółach, ponieważ mnóstwo razy dotykał pierścienia przed wieloma laty, gdy jeszcze był chłopcem i mieszkał w swoim rodzimym, porośniętym bylicą kraju.

Aeronauta wstał. Hester drżąc, również się wyprostowała i postawiła uszy. Lee nie zauważył, że rybołów przesunął się i znajdował teraz między nim a doktorem Grummanem. Zamierzał zapewne stanąć w obronie swego właściciela, Lee jednak wcale nie miał zamiaru zaatakować mężczyzny. Czuł się zagubiony, bezradny jak dziecko i przemówił drżącym głosem:

–Skąd pan go ma?

–Niech pan weźmie ten pierścionek – odparł Grumman (czy też Parry). – Wypełnił już swoje zadanie i przywiódł pana do mnie. Teraz już go nie potrzebuję.

–Ale jak pan... – zaczął Lee, podnosząc z dłoni Grummana drogi sercu przedmiot. – Nie pojmuję, jak pan go zdobył... Skąd pan go ma? Nie widziałem go od czterdziestu lat.

–Jestem szamanem. Potrafię dokonać wielu rzeczy, których pan nawet nie zrozumie. Proszę usiąść, Scoresby. Niech się pan uspokoi. Powiem, czego od pana chcę.

Lee znowu usiadł z pierścieniem w ręku. Bez końca dotykał go palcami.

–No cóż – odezwał się – jestem wstrząśnięty, sir. Ale chyba mogę już wysłuchać, co ma mi pan do powiedzenia.

–Bardzo dobrze – oświadczył Grumman. – Zatem zacznę. Jak już panu mówiłem, nazywam się Parry i nie urodziłem się w tym świecie. Lord Asriel bynajmniej nie jest pierwszą osobą, która podróżuje między światami, chociaż on pierwszy otworzył drogę w sposób tak spektakularny. W moim rodzinnym świecie byłem żołnierzem i odkrywcą. Dziesięć lat temu towarzyszyłem ekspedycji do pewnego miejsca, które znajduje się mniej więcej na obszarze waszej Ziemi Beringa. Moi towarzysze mieli swoje cele, lecz ja szukałem Szczeliny. Zgodnie ze starymi legendami miała ona stanowić pęknięcie w strukturze świata, otwór na granicy między naszym wszechświatem a innym. Pewnego dnia zaginęło kilku uczestników wyprawy. Wraz z dwoma innymi poszliśmy ich szukać i przypadkowo przeszliśmy przez tę Szczelinę, nawet jej nie widząc, i znaleźliśmy się w alternatywnym świecie. Początkowo nie zdawaliśmy sobie sprawy, że opuściliśmy nasz własny. Dopiero gdy dotarliśmy do miasta, wiedzieliśmy na pewno. Nie sposób było się pomylić. A potem... Mimo intensywnych poszukiwań, nie zdołaliśmy odnaleźć drogi powrotnej, przeszliśmy bowiem przez Szczelinę podczas zamieci. Wiele czasu spędził pan w Arktyce, więc pan wie, co to oznacza.

Nie mieliśmy zatem wyboru – podjął po chwili – i musieliśmy pozostać w tym nowym świecie. Wkrótce odkryliśmy, że nie jest w nim bezpiecznie. Zaatakowały nas wampiryczne, widmowe stworzenia zwane upiorami. Moi dwaj towarzysze w niedługim czasie zmarli jako ofiary tych morderczych, nieubłaganych zjaw. Uświadomiłem sobie, że zostałem sam w paskudnym miejscu, i rozpaczliwie szukałem wyjścia. Nie potrafiłem odnaleźć drzwi do mojego świata, lecz wszędzie wokół dostrzegałem sporo przejść do innych światów. W końcu trafiłem tutaj i natychmiast odkryłem coś niesamowitego. Wie pan, Scoresby, że poszczególne światy wielce się od siebie różnią i dopiero w waszym spotkałem po raz pierwszy swoją dajmonę? Tak, tak, zanim tu dotarłem, nie znałem Sayan Kótór. Tutejsi ludzie nie potrafią sobie wyobrazić, że w innych światach dajmony są jedynie głosem w ludzkim umyśle i niczym więcej. Mnie natomiast ogromnie zaskoczył fakt, że część mojej natury jest kobieca, piękna i ma postać ptaka. Tak czy owak, wraz z Sayan Kótór wędrowaliśmy po północnych ziemiach. Sporo się nauczyłem od ludzi Arktyki, mam w wiosce na dole wspaniałych przyjaciół. Okazało się też, że wiem o wielu sprawach, które dla was pozostają tajemnicą, że potrafię wypełnić luki w waszej wiedzy.

Przybrałem więc nazwisko Grumman i udałem się do Berlina – ciągnął. – Nikomu nie powiedziałem o swoim pochodzeniu. To był mój sekret. Przedstawiłem swoje tezy Akademii i obroniłem je podczas dyskusji. Na pewne tematy miałem lepsze informacje niż wielu akademików, toteż łatwo uzyskałem status członka Akademii. Od tej pory zacząłem pracować pod zmienionym nazwiskiem. Właściwie byłem zadowolony, chociaż tęskniłem za swoim światem. Jest pan żonaty, Scoresby? Nie? No cóż ja miałem żonę. Z całego serca kochałem ją oraz synka, który był mały, kiedy wyruszyłem, by nigdy nie powrócić. Straszliwie za nimi tęskniłem. Jednak mógłbym szukać przez tysiąc lat i nigdy nie znaleźć drogi powrotnej. Rozłączono nas na zawsze. Na szczęście, absorbowała mnie praca. Odkryłem nowe formy wiedzy – wtajemniczono mnie w kult czaszek, zostałem szamanem. Dokonałem pewnych użytecznych odkryć, między innymi odkryłem metodę produkcji maści z pięciornika, która zachowuje wszystkie właściwości świeżej rośliny. Teraz dużo wiem o tym świecie, panie Scoresby, wiem na przykład sporo o Pyle. Z pańskiej miny wnoszę, że słyszał pan o tym zjawisku, które śmiertelnie przeraża waszych teologów, mnie natomiast przerażają oni sami. Wiem, co i w jakim celu robi Lord Asriel, i dlatego wezwałem pana tutaj. Widzi pan, zamierzam mu pomóc, ponieważ wyznaczył sobie najwspanialsze zadanie w całej ludzkiej historii... w ciągu trzydziestu pięciu tysięcy lat naszej historii. Sam nie potrafię działać zbyt wiele. Mam chore serce i nikt w tym świecie nie jest w stanie mnie uleczyć. Może wysiłek, jaki zamierzam podjąć, będzie moim ostatnim. Wiem jednak coś, czego nie wie Lord Asriel, a powinien, jeśli jego próba ma się powieść.

Widzi pan, zaintrygował mnie tamten świat, w którym upiory karmiły się ludzką świadomością. Chciałem wiedzieć, jaka jest natura tych stworzeń i skąd się wzięły.

Jako szaman potrafię rozwiązywać pewne zagadki na odległość. Wiele czasu spędziłem w transie, badając nawiedzony świat. Dowiedziałem się między innymi, że tamtejsi filozofowie ściągnęli na wszystkich nieszczęście, stworzyli bowiem setki lat temu pewne narzędzie – zaczarowany nóż. Niestety, moc ostrza znacznie przekroczyła ich najśmielsze oczekiwania, a używając go, otworzyli drogę do swego świata upiorom. Znam możliwości tego narzędzia, wiem, gdzie się znajduje i jak rozpoznać osobę, którą nóż wybierze sobie na swego właściciela i strażnika. Wiem też, jak nóż może pomóc sprawie Lorda Asriela. Mam nadzieję, że Lord potrafi podołać wyznaczonemu zadaniu. Zatem... wezwałem pana tutaj, aby mnie pan zabrał na północ, do świata, w który przedostał się Lord Asriel. Tam znajdziemy strażnika zaczarowanego noża. Świat ten jest jednak niebezpieczny. Zapewniam pana, że ani w moim, ani w pańskim nie ma niczego bardziej przerażającego niż upiory. Będziemy musieli działać ostrożnie i wykazać się męstwem. Nie zamierzam wracać, a panu – jeśli chce pan zobaczyć ponownie swoją ojczyznę – będzie potrzebna ogromna odwaga, wielki kunszt i niezwykle szczęście. Takie jest pańskie zadanie, Scoresby. Z tego powodu pan mnie szukał.

Szaman zamilkł. Twarz miał bladą, pokrytą kropelkami potu.

–Do diabła, to najbardziej szalony pomysł, o jakim w życiu słyszałem! – wykrzyknął Lee.

Wstał, podniecony, i przeszedł kilka kroków w jedną stronę, potem kilka w drugą. Hester obserwowała go z ławki. Grumman przymknął oczy, ale siedząca na jego kolanie dajmona nie spuszczała oka z Lee.

–Chce pan pieniędzy? – spytał szaman po kilku chwilach. – Mogę dać panu złoto. Nietrudno je zdobyć.

–Niech to szlag, nie przybyłem tu po złoto! – odparł zapalczywie Lee. – Przeszedłem, ponieważ... aby sprawdzić, czy pan rzeczywiście żyje. Przyznam, że zaspokoilem swoją ciekawość...

–Cieszę się.

–Ta sprawa nie jest wcale taka prosta – dodał Lee, po czym opowiedział Grummanowi o radzie czarownic nad Jeziorem Enara i o podjętych na niej uchwałach. – Widzi pan – zakończył – ta mała dziewczynka, Lyra... Właśnie z jej powodu postanowiłem współdziałać z czarownicami. Mówi pan, że sprowadził mnie tutaj za pomocą pierścienia Nawaho. Może to prawda, a może nie, wiem jedynie, że przybyłem tu, ponieważ sądziłem, że w ten sposób pomagam Lyrze. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego dziecka. Gdybym miał córkę, pragnąłbym, by była choć w połowie tak energiczna, odważna i dobra. Słyszałem, że pan wie o pewnej cennej rzeczy, która zapewnia ochronę każdemu, kto weźmie ją do ręki. Dotąd nie miałem

pojęcia, cóż to może być za przedmiot, jednak z pańskich słów wnoszę, że chodzi o ten zaczarowany nóż. On więc będzie stanowił moją cenę za zabranie pana do innego świata, doktorze Grumman – nie złoto, lecz właśnie ten nóż. Nie chcę go dla siebie, ale dla Lyry. Musi mi pan przysiąc, że dziewczynka otrzyma ten przedmiot, a wówczas zabiorę pana wszędzie, dokąd tylko pan zechce. Szaman wysłuchał z uwagą słów Lee, po czym odpowiedział:

–Dobrze, panie Scoresby, przysięgam. Czy moje słowo panu wystarczy?

–Na co pan przysięga?

–Na wszystko, na co pan sobie życzy.

Lee zastanowił się, potem powiedział:

–Proszę przysiąc na powód, dla którego odrzucił pan miłość czarownicy. Sądzę, że chodziło o coś najważniejszego w pana życiu.

Oczy Grummana rozszerzyły się, po czym mężczyzna odparł:

–Dobrze się pan domyśla, Scoresby. Z przyjemnością na to przysięgnę. Daję panu moje słowo, że postaram się, by Lyra Belacqua otrzymała nóż, który zapewni jej ochronę. Ostrzegam pana jednak, że strażnik noża ma zapewne do wypełnienia własne zadanie, które może wciągnąć dziewczynkę w jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Lee z powagą pokiwał głową.

–Może i tak – stwierdził. – Lecz jeśli istnieje choć najmniejsza szansa na zapewnienie ochrony Lyrze, nie zamierzam jej przepuścić.

–Ma pan moje słowo. Teraz proszę mnie zabrać do świata upiorów.

–A wiatr? Nie jest pan chyba tak bardzo chory, by nie zauważyć, jaką mamy pogodę?

–Problem wiatru proszę pozostawić mnie.

Lee skinął głową. Znowu usiadł na ławce i przebiegł palcami po turkusowym pierścieniu. Tymczasem Grumman włożył do torby ze skóry renifera kilka potrzebnych przedmiotów. Parę chwil później dwaj mężczyźni podążyli leśnym traktem do wioski.

Wódz wygłosił krótkie przemówienie. Wielu mieszkańców osady podchodziło do Grummana, dotykali jego dłoni, szeptali kilka słów i w zamian otrzymywali coś w

rodzaju błogosławieństwa. Lee obserwował w tym czasie niebo. Na południu było bezchmurne i pachnący świeżością wietrzyk ledwo podnosił gałązki i poruszał wierzchołkami sosen. Na północy mgła ciągle wisiała nad wzburzoną rzeką, lecz po raz pierwszy od wielu dni zaczynała się rozpraszać.

Łódź czekała przy skale w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się pomost wyładunkowy. Lee wrzucił do środka torbę Grummana i włączył mały silnik. Szaman usiadł na dziobie. Ruszyli. Łódź pędziła z prądem, śmigając pod drzewami. Posuwali się tak szybko, że Lee obawiał się o los Hester kulającej się tuż przy burcie. Na szczęście, dajmona była zahartowanym podróżnikiem. Lee uświadomił to sobie w pewnej chwili i sam nie wiedział, dlaczego jeszcze przed chwilą tak strasznie się denerwował.

Gdy dotarli do portu przy ujściu rzeki, okazało się, że wszystkie hotele, pensjonaty i prywatne kwatery zarekwirowali żołnierze, i to w dodatku nie byle jacy, lecz z oddziałów Carskiej Straży Rosji, najkarniejszej i najlepiej wyposażonej armii na świecie, sojuszników tutejszej Magistratury.

Lee zamierzał ostatnią noc przed wyprawą poświęcić na odpoczynek, zwłaszcza że Grumman wyglądał na zmęczonego, niestety nie było szansy na znalezienie wolnego pokoju.

–Co się dzieje? – spytał przewoźnika, gdy zwracał wynajętą łódź.

–Nie wiemy. Ten regiment przybył wczoraj i zarekwirował każdą kwaterę, jedzenie i wszystkie łodzie w mieście. Tę łódź też by wzięli, gdyby pan z niej nie korzystał.

–Wiesz, dokąd jadą?

–Na północ – odparł przewoźnik. – Ludzie mówią, że wybuchnie tam najokrutniejsza wojna w ludzkiej historii.

–Na północ? Do tego nowego świata?

–Podobno. Nadciąga jeszcze więcej żołnierzy, to jest tylko ich przednia straż. Za tydzień nie zostanie nam ani jeden bochen chleba, ani jedna beczułka spirytusu. Oddał mi pan przysługę, biorąc łódź, teraz cena wynajęcia się podwoiła...

Nawet gdyby udało im się znaleźć pokój, nie było sensu teraz odpoczywać. Niepokojąc się o balon, Lee od razu pobiegł do przechowalni. Grumman dotrzymywał mu kroku. Wyglądał na chorego, ale okazał się człowiekiem wytrzymałym.

Magazynier, zajęty wydawaniem rekwirującemu sierżantowi Straży jakichś części zapasowych, podniósł na chwilę oczy znad notesu.

–Balon... hmm... Niestety, wczoraj go zarekwirovano – oświadczył. – Widzi pan, co tu się dzieje. Nie miałem wyboru.

Hester zastrzygła uszami i Lee natychmiast zrozumiał, co miała na myśli.

–Czy pan już go im dostarczył? – spytał Lee.

–Zamierzają go zabrać dziś po południu.

–Wiec go nie zabiorą – powiedział Lee – ponieważ mam pełnomocnictwo, które daje mi pierwszeństwo nad Strażą.

Pokazał magazynierowi pierścień, który w Nowej Zembli zdjął z palca martwego Skraelinga. Stojący obok niego przed ladą sierżant spojrzął i oddał honory na widok znaku Kościoła. Mimo starań Rosjanin nie potrafił ukryć zaskoczenia.

–Chciałbym odebrać balon – oznajmił niespeszony Lee. – Proszę posłać kilka osób, aby go napełniły. Najlepiej natychmiast. Chodzi nie tylko o gaz, ale także o jedzenie, wodę i balast.

Magazynier popatrzył na sierżanta (który tylko wzruszył ramionami), po czym pospiesznie odszedł, aby poszukać balonu. Lee i Grumman wrócili na nabrzeże, gdzie stały zbiorniki z gazem. Zamierzali doglądać napełniania.

–Skąd pan ma ten pierścień? – spytał cicho Grumman.

–Zdjąłem z palca pewnego zabitego. Używanie go jest zapewne ryzykowne, lecz nie przyszedł mi do głowy inny sposób wydostania balonu. Sądzi pan, że sierżant coś podejrzewa?

–Oczywiście, że tak. Ale to człowiek zdyscyplinowany, więc nie będzie podawać w wątpliwość znaków Kościoła. Zresztą, nawet jeśli komuś doniesie, zanim zdążą zareagować, będziemy daleko stąd. No cóż, obiecałem panu wiatr, Scoresby. Mam nadzieję, że jest pan zadowolony.

Niebo było teraz niebieskie, słońce świeciło jasno. Na północy nadal wisiała mgła, jej brzegi wyglądały jak górskie pasma nad morzem, lecz wiatr odpychał je coraz dalej. Lee niecierpliwie czekał, by ponownie unieść się w powietrze. Napełniany balon rósł za magazynem, a aeronauta sprawdził w tym czasie kosz i ze szczególną dbałością spakował cały sprzęt. Kto wie, jakie turbulencje napotkają w innym świecie. Dokładnie przymocował też do ramy całą aparaturę, nawet kompas, mimo iż igła w ostatnich dniach wykonywała zupełnie przypadkowe ruchy. Na koniec Lee zawiesił wokół kosza dziesięć balastowych worków z piaskiem.

Gdy napełniono czaszę, zaczęła się kołysać na silnym wietrze. Grube liny naprężyły

się. Lee zapłacił magazynierowi resztkami złota i pomógł Grummanowi wsiąść do kosza. Potem odwrócił się do stojących przy linach mężczyzn i polecił im, by odczepili balon.

Zanim jednak zdolali to zrobić, ktoś krzyknął. W alei przy bocznej ścianie magazynu rozległ się odgłos szybkich kroków i usłyszeli rozkaz:

–Stać!

Ludzie przy linach znieruchomieli, niektórzy spojrzeli w stronę magazynu, inni na aeronautę, ten jednak krzyknął ostrym tonem:

–Odczepiać! Uwolnić balon!

Dwóch mężczyzn posłuchało go. Balon przechylił się, ponieważ pozostali dwaj w bezruchu obserwowali wybiegających zza budynku żołnierzy. Końcówki lin były zaczepione wokół pachołków. Balon przechylił się tak mocno, że jego pasażerowie niemal poczuli mdłości. Lee i Grumman chwycili za pierścień zawieszenia; również dajmona szamana mocno wbiła się w niego szponami.

–Puśćcie liny, cholerni głupcy! – krzyczał Lee. – Odlatujemy!

Czasza balonu była dobrze napełniona gazem. Dwaj mężczyźni starali się ze wszystkich sił utrzymać liny, ale im się nie udało. Pierwszy z nich poluzował uchwyt i końcówka liny odwinęła się z pachołka. Drugi, czując, że balon się unosi, zamiast puścić linę, uczepił się jej. Lee wiedział, czym to grozi, gdyż nieraz miał do czynienia z taką sytuacją. Dajmona biednego mężczyzny, mocno zbudowana suka rasy husky, została na ziemi, wyjąc ze strachu i bólu, natomiast balon wraz z mężczyzną uczepionym liny ruszył w górę, ku niebu, odlatywał. Mężczyzna puścił wreszcie linę i na wpół żywy wpadł do wody.

Żołnierze podnieśli strzelby i wycelowali. Kule poczęły świstać obok kosza. Jedna z nich trafiła w pierścień zawieszenia, iskry oparzyły aeronautę ręce. Na szczęście, pociski nie wyrządziły większych szkód. Do czasu drugiej salwy balon znalazł się już poza zasięgiem strzału i szybko wznosił się w błękitne niebo, mknąc ponad morzem. Lee czuł, że na ten widok serce mu się raduje. Powiedział kiedyś Serafinie Pekkali, że nie przywiązuje wagi do latania, że oznacza ono dla niego tylko pracę, ale tak nie było. Cóż mogło być piękniejszego od szybowania z pomyślnym wiatrem ku nowemu, nieznanemu światu?

Lee puścił pierścień zawieszenia i zauważył, że Hester kuli się w narożniku kosza. Zajęczyca miała przymknięte oczy. W dole, daleko pod nimi żołnierze nadal strzelali; na próżno. Miasto szybko zniknęło z pola widzenia. Pod balonem w świetle słonecznym błyszczało szerokie ujście rzeki.

–No cóż, doktorze Grumman – odezwał się aeronauta. – Nie wiem jak pan, ale ja lepiej się czuję w powietrzu niż na ziemi. Dobrze, że ten biedny człowiek w końcu puścił linę. Gdyby dłużej ją trzymał, nie byłoby dla niego nadziei.

–Dziękuję panu, Scoresby – powiedział szaman. – Poradził pan sobie bardzo dobrze. Cieszę się, że lecimy. Ponieważ jest zimno, byłbym zobowiązany, gdyby zechciał mi pan podać futra do przykrycia.

BELWEDER

W pięknym białym, dużym domu otoczonym parkiem Will spał niespokojnie, śniły mu się zarówno koszmary, jak i przyjemne rzeczy, toteż jednocześnie chciał się obudzić i spać dalej. Kiedy otworzył oczy, poczuł taką słabość, że ledwie mógł się ruszyć, a gdy wreszcie usiadł prosto, zauważył, że bandaż zwisa luźno, a pościel jest szkarłatna od krwi.

Chłopiec zmusił się do wstania z łóżka. Przez wielki, pusty, zakurzony i wypełniony światłem słonecznym dom zszedł do kuchni. Dzieciom zabrakło odwagi, by położyć się w okazałych, szerokich łóżach stojących we wspaniałych pokojach, wybrały więc do spania pokoje dla służby, na poddaszu. Z tego powodu chłopiec miał teraz przed sobą długi, męczący spacer w dół, do kuchni.

–Willu – odezwała się na jego widok Lyra głosem pełnym troski, potem odwróciła się od kuchenki i pomogła chłopcu dojść do krzesła.

Willowi kręciło się w głowie. Podejrzewał, że stracił wiele krwi, zresztą wszędzie wokół miał tego jawne dowody. Z ran ciągle sączyła się krew.

–Właśnie parzę kawę – odezwała się dziewczynka. – Wypijesz, czy najpierw zrobić opatrunek? Przyrządę ci, co zechcesz. W lodówce znalazłam jajka, ale nigdzie nie ma fasolki.

–Fasolki nie jada się w tego typu domach. Najpierw przynieś bandaż. Jest w kranie gorąca woda? Chcę się umyć. Okropnie się czuję, pokryty czymś takim...

Lyra odkręciła gorącą wodę, a chłopiec obnażył się aż do slipek. Był zbyt słaby i oszołomiony, aby odczuwać skrępowanie, jednak Lyra spieszyła się i wyszła. Will obmył się najdokładniej, jak mógł, i wytarł ręcznikami, które zdjął ze sznura przy piecu.

Dziewczynka wróciła z czystymi ubraniami: koszulą, płóciennymi spodniami i paskiem. Will ubrał się. Lyra podarła czysty ręcznik na pasy i ściśle obandażowała chłopcu rękę. Bardzo się o niego martwiła, gdyż nie tylko rany nadal krwawiły, ale cała dłoń była spuchnięta i czerwona. Dzieci nie rozmawiały na ten temat.

Lyra zaparzyła kawę i przypiekła kilka kromek czerstwego chleba; śniadanie zanieśli do dużego, pięknego pokoju, z którego rozciągał się widok na miasto. Kiedy Will najadł się i napił, poczuł się trochę silniejszy.

–Może spytasz aletheiometr, co mamy robić dalej – zasugerował. – Pytałaś go już o coś?

–Nie – odparła. – Od tej chwili zamierzam postępować według twoich zaleceń. Zeszłej nocy myślałam, by coś sprawdzić, ale w końcu zrezygnowałam. Nie będę o nic pytać, chyba że mnie poprosisz.

–No cóż, lepiej zadaj kilka pytań – stwierdził. – W tym świecie robi się równie niebezpiecznie, jak w moim. Na początek brat Angeliki. A jeśli...

Chłopiec przerwał, ponieważ Lyra zaczęła coś mówić, umilkła jednak w tej samej chwili, co Will. Przez moment trwała cisza, potem dziewczynka skupiła się i kontynuowała:

–Willu, wczoraj zdarzyło się coś, o czym ci nie powiedziałam. Powinnam była, ale działo się tak wiele. Przykro mi...

Opowiedziała przyjacielowi o tym, co widziała przez okno z wieży, gdy Giacomo Paradisi opatrywał mu ranę – o Tulliu osaczonym przez upiory, o Angelice, która dostrzegła ją w oknie i obrzuciła nienawistnym spojrzeniem, o groźbie Paola.

–A pamiętasz – ciągnęła Lyra – naszą pierwszą rozmowę z dziewczynką? Jej bratu coś się wtedy wymknęło. Mówił, że oni wszyscy coś robią. Powiedział: „Tullio zamierza zdobyć...”, a wtedy siostra nie pozwoliła mu dokończyć i uderzyła go, pamiętasz? Założę się, że Paolo chciał powiedzieć, że Tullio szuka noża i że wszystkie dzieci przyszły do miasta w tym celu. Wiedziały, że jeśli zdobędą nóż, nie będą się musiały niczego obawiać, mogą nawet dorosnąć bez lęku przed upiorami.

–Jak wyglądał ten atak? – spytał Will dziwnym głosem. Ku zaskoczeniu Lyry siedział wyprostowany, był skupiony i wpatrywał się w nią natarczywie i z zaciekawieniem.

–No... – Dziewczynka próbowała sobie dokładnie przypomnieć. – Zaczął liczyć kamienie w murze, dotykał ich... Nie dotarł daleko, a w końcu chyba stracił zainteresowanie i przerwał liczenie. Po prostu znieruchomiał – wyjaśniła, a widząc minę chłopca dodała: – Dlaczego pytasz?

–Ponieważ... Sądzę, że one mogą przychodzić z mojego świata, te upiory. Skoro skłaniają ludzi do takiego zachowania, nie byłbym wcale zaskoczony, gdyby dotarły tu z mojego świata... Może weszły, kiedy ludzie Gildii otworzyli pierwsze okienko...

–Ale przecież w twoim świecie nie ma upiorów! Nigdy o nich nie słyszałeś, prawda?

–Może nazywamy je inaczej.

Lyra nie była pewna, co chłopiec ma na myśli, ale nie chciała go męczyć pytaniami. Policzki Willa były zarumienione, oczy mu płonęły.

–W każdym razie – podjęła, odwracając się – Angelica widziała mnie w oknie i teraz

wie, że mamy nóż. Rozpowie o tym wszystkim dzieciom. Poza tym, ona uważa, że upiory zaatakowały jej brata z naszej winy, przykro mi, Willu. Powinnam była powiedzieć ci o tym wcześniej. Działo się jednak tak wiele...

–No cóż – odrzekł chłopiec – to właściwie niczego nie zmienia. Tullio torturował przecież tamtego starca, a gdyby wiedział, jak użyć noża, zabiłby nas oboje. Musieliśmy z nim walczyć.

–Po prostu mam wyrzuty sumienia, Willu. To był jej brat. Założę się, że na ich miejscu też chcielibyśmy zdobyć ten nóż.

–Tak – przyznał – nie można jednak zmienić tego, co się już stało. Nóż był nam potrzebny, aby odzyskać aletheiometr, a gdybyśmy mogli zdobyć go bez walki, nie walczylibyśmy.

–Tak, to prawda.

Tak jak lorek Byrnison Will był prawdziwym wojownikiem i Lyra się z nim zgadzała. Wiedziała, że unikanie walki to strategia, nie tchórzostwo. Chłopiec uspokajał się, a chorobliwe rumieńce na policzkach zbladły. Patrzył w dal i rozmyślał.

–Prawdopodobnie w chwili obecnej najważniejsze jest poznanie zamiarów sir Charlesa i pani Coulter – odezwał się w końcu. – Może staruch miał rację, że upiory nie zainteresowałyby się tymi pozbawionymi dajmonów żołnierzami. Wiesz, o czym myślę? Zastanawiam się, czym się żywią te upiory. Może właśnie ludzkimi dajmonami.

–Ależ dzieci również posiadają dajmony, a upiory nie atakują dzieci. Chodzi więc chyba o coś innego.

–W takim razie, musi istnieć różnica między dziecięcymi dajmonami i dajmonami dorosłych – zauważył Will. – Jest jakaś różnica, prawda? Mówiłaś, że dajmony dorosłych nie mogą zmieniać postaci. W tym musi tkwić rozwiązanie. Żołnierze pani Coulter w ogóle nie mają dajmonów, może więc są trochę jak dzieci...

–Tak! – potwierdziła Lyra. – Może. Zresztą, moja matka i tak nie obawia się upiorów. Ona nie boi się niczego. Jest też bardzo sprytna, bezwzględna i okrutna, dzięki czemu potrafi narzucać wszystkim swoją wolę. Założę się, że potrafi nimi dyrygować, tak jak ludźmi. Wszyscy jej słuchają. Lord Boreal jest człowiekiem silnym i bystrym, ale ona potrafi go do wszystkiego namówić. Och, Willu, gdy się zastanawiam nad zamiarami mojej matki, znowu zaczyna mnie ogarniać przerażenie... Tak jak mówiłeś, trzeba zapytać o to aletheiometr. Jakie to szczęście, że go odzyskaliśmy.

Dziewczynka rozwinęła aksamitny tobolek i z czułością przesunęła palcami po złotym przyrządzie.

–Zapytam o twojego ojca – oświadczyła – o to, jak mamy go znaleźć. Widzisz, ustawiam wskazówki...

–Nie. Najpierw spytaj o moją matkę. Chcę wiedzieć, czy jest zdrowa.

Lyra skinęła głową i ustawiła wskazówki, potem położyła aletheiometr na kolanach, odgarnęła włosy za uszy, spojrzała na przyrząd i skoncentrowała się. Will obserwował, jak cieniutka igła huśta się wokół tarczy, przyspieszając, zatrzymując się przy jakimś obrazku, a następnie ponownie zmieniając położenie. W pewnej chwili pędziła niczym polująca jaskółka. Lyra wpatrywała się w nią błękitnymi, płonącymi oczyma.

Nagle zamrugła i spojrzała na chłopca.

–Twoja matka nadal jest bezpieczna – stwierdziła. – Znajoma, która się nią opiekuje, to nadzwyczaj miła osoba. Nikt nie wie, gdzie przebywa twoja matka, a ta kobieta z pewnością jej nie wyda.

Will dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo się martwił o matkę. Przekazana przez Lyrę dobra nowina wyraźnie go uspokoiła. Niestety, gdy napięcie minęło, poczuł silniejszy ból w zranionej ręce.

–Dziękuję – rzekł. – Dobrze, teraz spytaj o mojego ojca.

Zanim jednak dziewczynka zdążyła sformułować pytanie, oboje usłyszeli krzyk z zewnątrz.

Wyjrzeli natychmiast. Na skraju parku od strony miasta rósł rząd drzew, panowało tam jakieś zamieszanie, Pantalaimon przybrał od razu postać rysia, podszedł do otwartych drzwi i spojrzał w dół.

–To dzieci – oznajmił.

Will i Lyra wstali. Zza drzew jedno po drugim wychodziły dzieci. Było ich czterdzieścioro czy pięćdziesięcioro. Wiele z nich niosło w rękach kije. Przewodził im chłopiec w pasiastej koszulce z krótkimi rękawami, który trzymał w dłoni pistolet.

–Widzę Angelikę – wyszeptała Lyra.

Rudowłosa dziewczynka szła obok chłopca w pasiastej koszulce. Szarpała go za ramię i popędzała. Tuż za tą parą kroczył mały Paolo, piszcząc z podniecenia. Inne dzieci także krzyczały i wymachiwały w powietrzu piąstkami. Dwoje z nich taszczyło ciężkie karabiny. Will widział już w życiu rozwścieczone dzieci, ale nigdy nie miał ich tak wielu przeciwko sobie; zresztą, w jego mieście dzieci nie nosiły broni.

Dzieci krzyczały i Will zdołał w hałasie wyłowić głos Angeliki.

–Zabiliście mojego brata i ukradliście nóż! – krzyczała. – Jesteście mordercami! Kazaliście upiorom zaatakować Tullia! Zabiliście go, a teraz my zabijemy was! Nie zdołacie nam się wymknąć! Zabijemy was tak samo, jak wy zabiliście jego!

–Willu, może wytniesz okienko! – zawołała Lyra, chwytając chłopca kurczowo za zdrową rękę. – Łatwo możemy stąd odejść...

–No dobrze, a dokąd trafimy? Do Oksfordu, kilka metrów od domu sir Charlesa, w biały dzień. Albo znajdziemy się na głównej ulicy i wpadniemy pod autobus. Nie mogę po prostu wyciąć otworu byle gdzie i sądzić, że zapewnię nam w ten sposób bezpieczeństwo. Najpierw musiałbym zajrzeć i sprawdzić, co znajduje się po drugiej stronie, a to potrwałoby zbyt długo. Za domem znajduje się zagajnik, a może nawet las. Jeśli zdołamy dotrzeć do drzew, będziemy bezpieczniejsi.

Lyra spojrzała przez okno z wściekłością.

–Powinam była wczoraj ją zabić! – rzuciła. – Ma równie paskudny charakter jak jej brat. Chciałabym...

–Przestań gadać i chodź – mruknął Will. Sprawdził, czy nóż jest mocno przywiązany do paska, a Lyra wzięła plecaczek, do którego włożyła aletheiometr i listy od ojca chłopca. Przebiegli przez wielki, pusty hol, korytarzyk, kuchnię i przez brukowany dziedziniec wydostali się na zewnątrz. Furtka w murze prowadziła do kuchennego ogródka, gdzie znajdowały się grządki z warzywami i ziołami.

Las zaczynał się kilkaset metrów dalej, w górze, za pochyłą, porośniętą trawą skarpą. Biegące po niej dzieci byłyby z dołu zbyt dobrze widoczne. Na pagórku po lewej stronie, bliżej niż drzewa, stał mały budynek: miał zaokrąglone ściany, przypominał konstrukcją świątynię; jego parter otaczały kolumny, a piętro było otwarte niczym balkon, z którego rozciągał się widok na miasto.

–Biegnijmy – powiedział Will, chociaż czuł się tak słaby, że wolałby się położyć.

Zaczęli się wspinać po skarpie. Pantalaimon leciał nad nimi, trzymając straż. Niestety, wzniesienie porastały kępy nierównej, wysokiej po kostki trawy i Willowi po przebiegnięciu kilku kroków zaczęło się kręcić w głowie, więc zwolnił. Lyra obejrzała się. Dzieci nie dostrzegły ich jeszcze. Stały przed domem. Dziewczynka pomyślała, że jeśli napastnicy zaczną przeszukiwać kolejne pomieszczenia, ona i Will zyskają trochę czasu...

Nagle Pantalaimon cmoknął ostrzegawczo. W otwartym oknie na drugim piętrze domu stał jakiś chłopiec, który wskazywał na uciekinierów. Usłyszeli krzyk.

–Chodź, Willu – szepnęła Lyra.

Pociągnęła przyjaciela za zdrowe ramię, pomagając mu iść. Will próbował przyspieszyć, ale nie miał siły biec.

–Cóż, nie dotrzemy do drzew – stwierdził. – Są za daleko. Spróbujmy zatem wejść do tamtej świątyni. Zaryglujemy drzwi i może wystarczy nam czasu, aby wyciąć okienko i sprawdzić, dokąd prowadzi...

Pantalaimon ruszył do przodu, lecz Lyra – niemal bez tchu – zawołała, by się zatrzymał. Will niemal dostrzegał, co łączy dziewczynkę i jej dajmona. Pantalaimon ciągnął, Lyra się opierała. Chłopiec przedzierał się z trudem przez gęstą trawę i dziewczynka często zawracała, by mu pomóc. Tak dotarli do kamiennego chodnika otaczającego świątynię.

Drzwi pod małym portykiem nie były zamknięte na klucz, więc wbiegli do środka i znaleźli się w prawie pustym, okrągłym pomieszczeniu; jedynie przy ścianie, w niszach, stały posągi boginek. W samym środku sali znajdowały się kręte schody z kutego żelaza, które prowadziły na piętro. Ponieważ dzieci nie znalazły klucza do drzwi wejściowych, wspięły się po schodach. Z piętra rozciągał się wspaniały widok; nie było tu okien ani ścian, jedynie dach, a pod nim otwarte łuki, gdzie można było głęboko zaczerpnąć powietrza i obserwować całe miasto. Pod każdym łukiem wznosił się wysoki do pasa, szeroki murek. Za murkiem lekko opadał w dół okap pokryty dwułukową dachówką, zakończony rynną.

Las rozciągał się pozornie blisko. Z przeciwległego łuku widać było willę, a za nią park i czerwonobrazowe dachy miasta wraz ze wznoszącą się po lewej stronie wieżą. Nad jej szarymi blankami kołowały padlinożerne kruki i Will poczuł mdłości, gdy uprzytomnił sobie, czyje ciało je tam przyciągnęło.

Nie mieli czasu się rozglądać, ponieważ przede wszystkim musieli się uporać z dziećmi, które wbiegały po wzniesieniu ku świątyni, krzycząc z wściekłości i podniecenia. Prowadzący grupę chłopiec zatrzymał się nagle, podniósł pistolet i kilka razy wystrzelił w stronę budowli. Potem wrzeszczące dzieci znowu ruszyły w górę.

–Złodzieje!

–Mordercy!

–Zabijemy was!

–Ukradliście nasz nóż!

–Nie jesteście stąd!

–Umrzecie!

Will nie zwracał na nic uwagi. Wyjął nóż, szybko wyciął małe okienko i zajrzał przez nie. Lyra także spojrzała i wycofała się rozczarowana. Znajdowali się w powietrzu, mniej więcej sto pięćdziesiąt metrów nad główną, ruchliwą drogą.

–No cóż, to oczywiste – mruknął rozgoryczony Will – weszliśmy na zbocze... Hm, wygląda na to, że ugrzęźliśmy tu na dobre. Będziemy musieli odeprzeć napastników.

Minęło kilka sekund i pierwsze dzieci wbiegły do świątyni. Ich krzyki odbijały się od ścian pustego pomieszczenia, przez co wydawały się jeszcze dziksze. Nagle rozległ się głośny wystrzał, potem kolejny. Krzyżący uciszyli się, a w chwilę później schody zaczęły się trząść pod stopami pierwszych wbiegających dzieci.

Lyra przycupnęła przy ścianie jak sparaliżowana. Na szczęście Will nadal miał w ręku nóż, więc rzucił się ku schodom i odciął górny stopień, jak gdyby nie wykonano go z żelaza, ale z papieru. Pozbawione górnego zabezpieczenia schody zaczęły się chwiać pod ciężarem dzieci, potem zakołysały się mocno i z głośnym łomotem runęły w dół. Rozległy się przeraźliwe wrzaski i zapanowało ogromne zamieszanie. Broń znowu wypaliła, lecz tym razem prawdopodobnie przez przypadek, ponieważ któreś z dzieci zostało ranne i krzyknęło z bólu.

Will spojrzął w dół i dostrzegł kłębowisko ciał, pokrytych kawałkami tynku, kurzem i krwią. Niemal nie było widać poszczególnych osób, lecz jedną wielką ludzką masę, która falowała i gniewnie drgała, odgrażała się, krzyczała i pluła. Na szczęście, dzieci nie były w stanie dotrzeć na piętro.

Wtedy rozległo się wołanie i wszystkie spojrzały w stronę wejścia, a te, które mogły się ruszyć, zaczęły wychodzić, pozostawiając towarzyszy pod metalowymi schodami, oszołomionych, usiłujących się podnieść z obsypanej gruzem podłogi.

Will prędko zdał sobie sprawę z powodu ich ucieczki, na okapie pod łukami bowiem rozległo się szuranie. Chłopiec podbiegł do muru, i dostrzegł, że po dachówkowym okapie wspina się pierwsza osoba. Pojawiła się głowa, potem para rąk, a w chwilę później na okap wdrapało się kilkoro dzieci.

Wspinaczka po dachówkach była trudna. Dzieci gramoliły się powoli, ich dziki wzrok ani na moment nie opuszczał twarzy Willa. Lyra stanęła obok przyjaciela, a Pantalaimon położył łapy na parapecie i zaczął warczeć niczym lampart, toteż pierwsi napastnicy zawahali się. Było ich jednak coraz więcej.

–Zabić, zabić, zabić! – krzyczał ktoś, a po chwili przyłączyli się do niego inni.

Krzyczeli coraz głośniejsze. Stojący już na okapie zaczęli tupać i rytmicznie uderzać w dachówki. Na razie widok groźnego dajmona skutecznie ich odstraszał i żaden z

małych napastników nie odważył się zbliżyć do Willa i Lyry. Nagle jedna z dachówek pękła i stojący na niej chłopiec spadł; jego sąsiad natychmiast chwycił ułamany fragment i cisnął nim w Lyrę.

Dziewczynka zrobiła unik i kawał wypalanej gliny uderzył w kolumnę obok niej, odłupując tynk. Will zauważył poręcz wokół otworu w podłodze, pod którym znajdowały się schody, odciął dwa kawałki, każdy długości miecza, i jeden z nich wręczył przyjaciółce. Lyra z całych sił zamachnęła się i uderzyła pierwszego chłopca w bok głowy. Przeciwnik spadł, lecz za nim pojawił się następny. Była to Angelica, rudowłosa dziewczyna o bladej twarzy, z szaleństwem w oczach, która pewnie zdążyłaby się wdrapać na parapet, gdyby Lyra nie dźgnęła jej boleśnie kawałkiem poręczy. Ruda głowa zniknęła.

Will również walczył. Nóż schował do pochewki przy pasie, a uderzał i kłutł metalowym drągiem. Mimo iż wiele dzieci spadało, stale pojawiały się nowe; coraz więcej ich wspinało się na okap.

Nagle przed Willem pojawił się napastnik w pasiastej koszulce, który na szczęście zgubił gdzieś pistolet lub zabrakło mu naboju. Chłopcy spojrzeli sobie w oczy; obaj wiedzieli, że pojedynek będzie nieunikniony.

–No... chodź! – krzyknął zapalczywie Will, zachęcając przeciwnika do bitwy. – No, dalej...

Nie minęła sekunda i rozgorzała walka.

W chwilę później zdarzyło się coś bardzo dziwnego – z nieba nadleciał wielki biały gąsior z szeroko rozłożonymi skrzydłami i zaczął tak głośno krzyczeć, że mimo hałasu usłyszały go nawet dzieci na okapie. Wszystkie odwracały się, by go zobaczyć.

–Kaiso! – krzyknęła uradowana Lyra, ponieważ natychmiast rozpoznała dajmona Serafina Pekkali.

Śnieżny gąsior znowu zawołał – jego krzyk wypełnił niebo – a potem zakołował blisko chłopca w pasiastej koszulce. Ten przestraszył się, cofnął, poślizgnął i zaczął się zsuwać po okapie. Pozostałe dzieci piszczały z trwogi, ponieważ coś jeszcze pojawiło się na niebie. Gdy Lyra dostrzegła małe, czarne postacie na tle błękitu, zaczęła wiwatować i krzyczeć radośnie.

–Serafino Pekkala! Tutaj! Pomóż nam! Tu jesteśmy! W świątyni...

Słysząc szum, kiedy czarownice posłały w gromadę tuzin strzał, a w chwilę później kolejny i jeszcze jeden. Strzały odbijały się od okapu z łoskotem przywodzącym na myśl uderzenia młota. Zdziwione i oszołomione dzieci na okapie w

jednej chwili opuściła agresja, a jej miejsce zajął strach. Z pewnością się zastanawiały, kim są te ubrane na czarno kobiety atakujące je z powietrza. Skąd się wzięły? Czy są duchami? Może to jakiś nowy rodzaj upiórów?

Dzieci z piskiem i wrzaskiem zeskakiwały z dachu; niektóre z nich spadały niezdarnie i odchodziły kulejąc, inne turlały się po zboczu w dół i starały się jak najprędzej uciec. Już nie atakowały... ot, przerażone, zawstydzone dzieci. I tak, w minutę po pojawieniu się śnieżnego gąsiora ostatni z napastników opuścił świątynię i jedynym słyszalnym dźwiękiem był szum powietrza w gałęziach z sosny obłocznej.

Will patrzył w górę zdumiony. Był zbyt zaskoczony, by mówić, Lyra natomiast skakała wesoło i krzyczała z radości:

–Serafino Pekkala! Jak nas znalazłaś? Dziękuję ci, dziękuję! Wiesz, że zamierzali nas zabić? Czemu nie łądujecie?

Serafina i jej towarzyszki potrząsały jedynie głowami pozostały wysoko w górze. Śnieżny dajmon zakołował i uderzając wielkimi skrzydłami, usiadł hałaśliwie na dachówkowym okapie pod parapetem.

–Pozdrawiam cię, Lyro – powiedział. – Serafina Pekkala i czarownice nie mogą obniżyć lotu, ponieważ tu aż się roi od upiórów – sto albo i więcej otoczyło budynek, a kilkadziesiąt unosi się nad trawą. Nie widzisz ich?

–Nie! W ogóle ich nie dostrzegamy!

–Już straciliśmy jedną czarownicę. Nie możemy ryzykować. Potraficie się wydostać z tego budynku?

–Tak, jeśli zsuniemy się po okapie tak jak tamte dzieci. Ale powiedz, jak nas znaleźliście? I gdzie...

–Nie pora teraz na rozmowy. Sporo przeszkód przed nami. Postarajcie się zejść, a następnie skierujcie ku drzewom.

Dzieci przeszły przez parapet i zsunęły się po popękanych dachówkach w stronę rynny na deszczówkę. Przy budynku rosła trawa. Lyra skoczyła pierwsza, Will za nią, przewracając się i próbując chronić rękę, która mocno krwawiła i straszliwie bolała. Bandaż znowu się poluzował i zwisał z dłoni, a kiedy chłopiec próbował go zwinąć, śnieżny gąsior wylądował na trawie u jego boku.

–Lyro, kto to jest? – spytał Kaisa.

–To Will. Idzie z nami...

–Dlaczego upiory was unikają? – spytał Willa dajmon czarownicy.

Do tego czasu Will przyzwyczał się już do niezwykłej sytuacji.

–Nie wiem – odparł. – Nie potrafimy ich dojrzeć. Nie, czekaj! – Wstał, gdyż przyszła mu do głowy jakaś myśl. – Gdzie są teraz? – spytał. – Gdzie jest najbliższy?

–Dziesięć kroków od ciebie w dół zbocza – stwierdził dajmon. – Najwyraźniej nie chcą podejść bliżej.

Will wyjął nóż i popatrzył we wskazanym kierunku, a wówczas usłyszał syk zaskoczonego dajmona.

Chłopiec nie zdążył zrobić tego, co sobie zamierzył, ponieważ w tym samym momencie wylądowała na trawie obok niego czarownica siedząca na gałęzi. Willa zdumiał nie tyle jej lot, ile niezwykły wdzięk, srogie, chłodne, a równocześnie delikatne spojrzenie oraz blade, nagie ramiona. Istota wydawała się młoda i jednocześnie bardzo dojrzała.

–Masz na imię Will? – zapytała.

–Tak, ale...

–Dlaczego upiory się ciebie boją?

–Z powodu noża. Gdzie jest najbliższy? Powiedz mi! Zamierzam go zabić!

Zanim czarownica zdołała odpowiedzieć, przybiegła Lyra.

–Serafino Pekkala! – krzyknęła, rzuciła jej się na szyję i uściskała tak mocno, że czarownica roześmiała się głośno i pocałowała ją w czubek głowy. – Och, Serafino, skąd się tu wzięłaś? Byliśmy... Tamte dzieciaki... to tylko dzieci, ale chciały nas zabić... Widziałaś je? Myśleliśmy, że nas zabiją i... och, tak się cieszę, że cię widzę! Myślałam, że już cię nigdy nie zobaczę!

Serafina Pekkala spojrzała ponad głową Lyry w miejsce, gdzie najwidoczniej gromadziły się upiory, potem popatrzyła na Willa.

–Teraz słuchaj – odezwała się. – W lesie, niedaleko stąd, jest jaskinia. Prosto po zboczu w górę, a następnie wzdłuż pasma po lewej. Mogłybyśmy przenieść Lyrę, ty jednak jesteś zbyt ciężki, więc będziecie musieli pójść na piechotę. Upiory zostaną tutaj. Nas nie widzą, gdy jesteśmy w powietrzu, a ciebie się boją. Tam się spotkamy, to tylko półgodzinny spacer.

Po tych słowach czarownica ponownie uniosła się w powietrze. Chłopiec przystłonił

oczy, aby przyjrzeć się jej i innym jakby postrzępionym, a jednocześnie eleganckim postaciom, które zakołowały w powietrzu i poleciały w górę ponad drzewami.

–Och, Willu, jesteście już bezpieczni! Teraz, gdy Serafina Pekkala jest tutaj, wszystko będzie dobrze! – powiedziała Lyra. – Nigdy się nie spodziewałam, że ją jeszcze spotkam. Przybyła w najbardziej odpowiedniej chwili, prawda? Dokładnie tak jak przedtem, w Bolvangarze...

Szczebiocząc wesoło, jak gdyby już zapomniała o walce, dziewczynka poprowadziła Willa drogą po zboczu w stronę lasu. Chłopiec podążał za nią w milczeniu. Czuł w ręce paskudne rwanie i pulsowanie, które powodowały dalszy upływ krwi. Trzymał dłoń w gorze przy piersi i starał się o niej nie myśleć.

Wędrówka nie zabrała im pół godziny, lecz godzinę i trzy kwadransy, Will musiał się bowiem wielokrotnie zatrzymać, aby odpocząć. Kiedy dotarli do jaskini dostrzegli rozpalony ogień, piekącego się królika i Serafinę Pekkale, która mieszała coś w małym żelaznym rondelku.

–Pozwól, że obejrzę twoją ranę. – To było pierwsze zdanie, które powiedziała do Willa. Otepiący z bólu chłopiec wyciągnął rękę w jej stronę.

Pantalaimon (w postaci kota) obserwował ciekawie, ale Will odwrócił wzrok; nie lubił widoku swojej okaleczonej dłoni.

Czarownice rozmawiały ze sobą cicho, po czym Serafina Pekkala spytała:

–Jaka broń spowodowała tę ranę?

Will sięgnął po nóż i podał go jej w milczeniu. Towarzyszki Serafiny popatrzyły na ostrze ze zdumieniem i podejrzliwością; nigdy przedtem takiego nie widziały.

–Do wyleczenia jej nie wystarczą zioła, potrzebne będą czary – oświadczyła królowa klanu czarownic. – No dobrze, przygotujemy zaklęcie. Będzie gotowe, kiedy wzejdzie księżyc. Tymczasem idź się przespać.

Podła mu mały rogowy kubek, zawierający gorący napój leczniczy, którego gorycz złagodzą miodem. Niebawem chłopiec położył się i głęboko zasnął. Czarownica przykryła go liśćmi i odwróciła się do dziewczynki, która ogryzała króliczą kość.

–No, Lyro – zachęciła ją – powiedz mi, kim jest ten chłopiec, co wiesz o tym świecie i o nożu.

Lyra głęboko zaczerpnęła powietrza i rozpoczęła opowieść.

JĘZYK MONITORA

–Opowiedz mi tę historię jeszcze raz – powiedział doktor Oliver Payne, siedząc w małym laboratorium z oknem wychodzącym na park. – Nie przesłyszałem się? Rzeczywiście mówisz nonsensy. Dziecko z innego świata?

–Tak mi się przedstawiła. Wiem, że w pierwszej chwili brzmi to jak nonsens, ale wysłuchaj mnie, Oliverze, dobrze? – poprosiła doktor Mary Malone. – Ta mała wiedziała o istnieniu Cieni. Nazywała je... Pyłem, lecz chodziło o to samo, o nasze cząsteczki cienia. I mówię ci, kiedy założyła łączące ją z Jaskinią elektrody, zobaczyłam absolutnie nadzwyczajny pokaz na ekranie: obrazki, symbole... Miała ze sobą jakiś przyrząd ze złota, coś w rodzaju kompasu z różnymi symbolami wokół tarczy. Twierdziła, że potrafi go pytać i interpretować jego odpowiedzi w ten sam sposób, wiele wiedziała o sprawach związanych ze stanem umysłu, znała się na tym...

Był poranek. Oczy uczonej przyjaciółki Lyry, doktor Malone, były czerwone z braku snu, ale jej współpracownik, który właśnie wrócił z Genewy, niecierpliwił się, pragnąc usłyszeć więcej informacji, do których podchodził równocześnie sceptycznie i z zainteresowaniem.

–Widzisz, Oliverze, dziewczynka zdołała się z nimi skomunikować. Cienie posiadają świadomość i potrafią odpowiadać. A pamiętasz twoje czaszki? Lyra powiełała mi, że niektóre z muzeum Pitta – Riversa... są znacznie starsze, niż głosi napis. Otaczały je Cienie... Dowiedziała się tego ze swojego kompasu...

–Czekaj, czekaj. Rozłóżmy to na czynniki pierwsze. Co mówisz? Twierdzisz, że dziewczynka potwierdza znane nam informacje czy też, że dodaje nowe fakty?

–Jedno i drugie. Zresztą, sama nie wiem... Przypuszczam jednak, że coś się musiało zdarzyć około trzydziestu, czterdziestu tysięcy lat temu. Przedtem wszędzie wokół znajdowały się cząsteczki cienia, już od czasu Wielkiego Wybuchu, nie istniał jednak fizyczny sposób wzmocnienia ich działań na naszym, czyli antropologicznym poziomie, na poziomie ludzkich istot. No i nagle coś się zdarzyło, nie potrafię sobie wyobrazić co, ale doszło do jakiejś ewolucji. Pamiętasz czaszki? Wokół najstarszych nie było Cieni, a wokół późniejszych pojawiło się ich mnóstwo. Dziewczynka twierdziła, że poddała badaniu czaszki w muzeum, podobno sprawdziła je swoim kompasem. W każdym razie, jej wyniki były takie same. Sądzę, że przed mniej więcej trzydziestoma tysiącami lat ludzki mózg stał się idealnym podmiotem procesu amplifikacji. Po prostu nagle zyskaliśmy świadomość.

Doktor Payne przechylił plastikowy kubek i wysączył resztkę kawy.

–Dlaczego doszło do tego akurat wtedy? – spytał. – Dlaczego akurat trzydzieści

pięć tysięcy lat temu?

–Och, któż to może wiedzieć? Nie jesteśmy paleontologami. Nie wiem, Oliverze, wyrażam jedynie swoje przypuszczenia. Nie uważasz, że to możliwe?

–A ten policjant? Opowiedz mi o nim.

Doktor Malone przetarła oczy.

–Nazywał się Walters – odparła. – Mówił, że jest z Wydziału Specjalnego. Pomyślałam, że zajmuje się polityką...

–Tak. Terroryzm, działalność wywrotowa, wywiad... Tego typu sprawy. Kontynuuj. Czego chciał? Po co do ciebie przyszedł?

–Z powodu Lyry. Twierdził, że szuka chłopca w jej wieku, nie wyjaśnił dlaczego... Tego chłopca widziano w towarzystwie dziewczynki, która mnie odwiedziła. Ale to nie wszystko, Oliverze, ten człowiek wiele wiedział o naszych badaniach, pytał nawet...

Zadzwonił telefon. Doktor Malone umilkła, wzruszając ramionami, Payne odebrał. Rozmawiał krótko, gdy odłożył słuchawkę, powiedział:

–Mamy gościa.

–Kto to taki?

–Nazwisko nic mi nie mówi. Sir jakiś tam. Słuchaj, Mary, odchodzę stąd, zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

–Zaproponowali ci pracę?

–Tak. Muszę ją przyjąć. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

–No cóż, w takim razie, to koniec.

Doktor Payne rozłożył bezradnie ręce i kontynuował:

–Szczerze mówiąc... Wielu rzeczy, o których mówimy, nie rozumiem. Dzieci z innego świata i te Cienie... Ta sprawa jest zbyt szalona. Nie mogę dać się w nią wciągnąć. Muszę się zajmować swoją karierą, Mary.

–Co z czaszkami, które badałeś? Co z Cieniami otaczającymi statuetkę z kości słoniowej?

Mężczyzna potrząsnął głową i odwrócił się plecami. Zanim zdołał odpowiedzieć, rozległo się stukanie do drzwi. Otworzył je prawie z ulgą.

–Dzień dobry państwu – odezwał się przybyły. Doktor Payne? Doktor Malone? Nazywam się sir Charles Latrom. Dziękuję, że zgodziliście się przyjąć mnie bez uprzedzenia.

–Proszę wejść – powiedziała doktor Malone, zmęczona, lecz zaintrygowana. – Co możemy dla pana zrobić?

–Och, to raczej ja pragnę coś zrobić dla was – odparł. – Przypuszczam, że czekacie państwo na rozpatrzenie waszego podania o fundusze.

–Skąd pan wie? – spytał doktor Payne.

–Pracowałem kiedyś dla rządu, dokładnie mówiąc, zajmowałem się polityką i nauką. Ciągle mam w resorcie wielu przyjaciół i słyszałem od nich... Mogę usiąść?

–Och, tak, proszę – powiedziała doktor Malone. Wsunęła krzesło i starzec usiadł. Zachowywał się, jak gdyby prowadził zebranie.

–Dziękuję. Słyszałem od przyjaciela, którego nazwisko pominę... Rządowa Sekcja Wiedzy Tajemnej przyznaje fundusze na kompletnie absurdalne badania. Wiem, że rozważano wasze zgłoszenie. Mnie osobiście uzyskane od przyjaciela informacje zaintrygowały tak bardzo, że natychmiast poprosiłem o możliwość przejrzenia niektórych wyników waszej pracy. Niby nie działał już na tym polu, ciągle jednak jeszcze pełnię funkcję kogoś w rodzaju nieoficjalnego doradcy, dzięki czemu udało mi się zdobyć wasze materiały. To, co przeczytałem, szczerze mnie zainteresowało.

–Sądzi pan, że otrzymamy pieniądze? – spytała doktor Malone, pochylając się do przodu, gotowa uwierzyć starcowi.

–Niestety nie. Powiem otwarcie. Komisja nie zamierza przyznać wam dotacji.

Doktor Malone opuściła ramiona. Payne obserwował starego człowieka z ciekawością.

–Po co zatem pan do nas przyszedł? – spytał. – Hm, widzi pan, oficjalna decyzja nie została jeszcze podjęta. Sprawa nie wygląda obiecująco. Jestem wobec was szczery. Komisja sądzi, że nie może w przyszłości sponsorować tego typu eksperymentów. Chociaż... gdyby ktoś się za wami wstawił, może zmieniliby zdanie.

–Rzecznik? Ma pan na myśli siebie? Nie sądzę, żeby to się udało – stwierdziła doktor Malone, prostując się na krześle. – Sądziłam, że komisja przychodzi, sprawdza, jak się posuwają badania...

–W teorii rzeczywiście tak to wygląda – przerwał sir Charles – warto jednak wiedzieć, jak w praktyce działają takie komisje. I kto potrafi wpłynąć na ich

działalność. Na przykład ja. Wierzcie mi, że niezwykle mnie zainteresowała wasza praca, którą uważam za bardzo cenną i wartą kontynuacji. Pozwolicie państwo, żebym pełnił rolę waszego nieoficjalnego przedstawiciela?

Doktor Malone poczuła się jak tonący marynarz, któremu rzucono koło ratunkowe.

–No... No cóż, tak! Chętnie, oczywiście! Dziękuję panu... To znaczy, naprawdę pan sądzi, że to coś zmieni? Nie sugeruję przez to, że... Po prostu nie wiem, co powiedzieć. Tak, oczywiście!

–Czego pan żąda w zamian? – spytał trzeźwo doktor Payne.

Mary Malone spojrzała zaskoczona na swego towarzysza. Czy Oliver nie powiedział przed chwilą, że przyjął pracę w Genewie? W każdym razie, najwyraźniej lepiej rozumiał cel sir Charlesa niż ona, skoro zadał odpowiednie pytanie.

–Cieszę się, że podzielacie państwo mój punkt widzenia – rzekł starzec. – Macie zupełną rację. Byłbym szczególnie zadowolony, gdyby wasze badania obrały pewien... hmm... kierunek. Jeślibyście się państwo zgodzili, mógłbym załatwić wam pieniądze także z innego źródła.

–Zaraz, zaraz – wtrąciła doktor Malone. – Proszę chwileczkę zaczekać. Kierunek tych badań to dla nas kwestia podstawowa. Chętnie podyskutuję o wynikach, ale nie o kierunku działań. Na pewno pan to rozumie...

Sir Charles rozłożył z żalem ręce i wstał. Zaniepokojony Oliver Payne również się podniósł.

–Nie, nie, bardzo pana proszę, sir – powiedział – jestem pewien, że moja współpracowniczka wysłucha pana. Na litość boską, Mary, nic się nie stanie, jeśli usłyszysz propozycję. A ona może wszystko zmienić.

–Sądziłam, że jedziesz do Genewy – powiedziała doktor Malone.

–Do Genewy? – spytał sir Charles. – Doskonałe miejsce. Wiele możliwości. No i mnóstwo pieniędzy. Nie będę pana zatrzymywał.

–Nie, nie, nic jeszcze nie jest ustalone – odparł pospiesznie doktor Payne. – Sporo trzeba przedyskutować. To jest tylko projekt. Proszę usiąść. Może napije się pan kawy?

–Dziękuję, bardzo chętnie – odrzekł sir Charles i ponownie usiadł z miną zadowolonego kota.

Doktor Malone po raz pierwszy przyjrzała mu się dokładnie. Mężczyzna miał około

siedemdziesiątki, był bogaty, gustownie ubrany, przyzwyczajony do najlepszych produktów i usług, pewny siebie, przywykły spotykać się i rozmawiać z ważnymi osobistościami. Oliver miał rację – ten człowiek czegoś od nich chciał. Nie wesprze ich, jeśli go nie zadowolą.

Skrzyżowała ramiona i czekała.

Doktor Payne wręczył mężczyźnie kubek, mówiąc:

–Przykro mi, jest tu u nas dość prymitywnie...

–Nic nie szkodzi. Czy mam kontynuować?

–Tak, proszę – odparł doktor Payne.

–No cóż, rozumiem, że dokonaliście fascynujących odkryć w dziedzinie świadomości. Wiem, że jeszcze niczego nie opublikowaliście i że przed wami długa droga... przynajmniej z pozoru... Jednak wiele się mówi o temacie waszych badań. Osobiście jestem nimi szczególnie zainteresowany. Byłbym bardzo zadowolony, gdybyście skoncentrowali się na przykład na manipulacjach świadomością. Po drugie, ciekawi mnie hipoteza istnienia wielu światów. Everet, pamiętacie, około roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego... Sądzę, że jesteście na tropie czegoś, co może znacząco rozwinąć tę teorię. A taka linia poszukiwań może przyciągnąć fundusze nawet z Ministerstwa Obrony, które, jak może wiecie nadal dysponuje znacznymi pieniędzmi i nie trzeba pisać żadnych podań, a później długo czekać na decyzję.

Oczywiście nie ujawnię moich informatorów – kontynuował, podnosząc rękę, gdy doktor Malone wysunęła głowę do przodu i próbowała się odezwać. – Wspomniałem o Rządowej Sekcji Wiedzy Tajemnej, to nie jest żadna ważna instytucja, co nie znaczy, że trzeba ją ignorować. Z pełnym zaufaniem oczekiwałbym od was postępów w badaniu istnienia innych światów. Uważam, że jesteście najodpowiedniejszymi ludźmi do tej pracy. I po trzecie, interesuje mnie pewna osoba. Ściśle rzecz biorąc, dziecko.

Umilkł i sączył kawę. Mary Malone nie odezwała się, zbladła jednak i poczuła, że robi jej się słabo.

–Z różnych powodów – ciągnął sir Charles – mam kontakty ze służbami wywiadowczymi. Szukają tego dziecka, a dokładnie mówiąc, dziewczynki, która ma niezwykle przyrząd, stary instrument naukowy, z pewnością kradziony. Urządzenie to powinno, rzecz jasna, trafić w bezpieczniejsze miejsce. Chodzi też o pewnego chłopca, dwunastolatka, mniej więcej rówieśnika dziewczynki, poszukiwanego w związku z morderstwem. Istnieją sprzeczne teorie na temat, czy dziecko w tym wieku jest zdolne zabić, niestety ten chłopiec dokonał takiego czynu. Tych dwoje widziano

razem. Hm, doktor Malone, może spotkała pani któreś z dzieci i zamierzała właśnie opowiedzieć o nich policji... Moim zdaniem lepiej pani zrobi, jeśli przekaże pani te informacje mnie. Zapewniam panią, że nasze władze załatwią tę sprawę jak należy: szybko, skutecznie i bez rozgłosu. Wiem, że inspektor Walters złożył pani wczoraj wizytę, i wiem, że zjawiała się tu dziewczynka... Jak pani widzi, dysponuję pewnymi wiadomościami. Jeśli spotka się pani znowu z tą małą, na pewno się o tym dowiem, nawet jeśli mnie pani nie powiadomi. Jest pani bardzo mądrą osobą, proszę się więc dobrze zastanowić i wszystko sobie przypomnieć, zwłaszcza... co robiła i co mówiła dziewczynka, gdy była u pani. To sprawa bezpieczeństwa narodowego. Chyba mnie pani rozumie? No cóż, to tyle – zakończył. – Oto moja wizytówka. Nie mam zbyt wiele czasu. Jak państwo świetnie wiecie, komisja przyznająca fundusze zbiera się jutro. Pod tym numerem możecie się ze mną skontaktować o każdej porze dnia i nocy.

Starzec podał wizytówkę Oliverowi Payne'owi, a widząc, że doktor Malone nadal siedzi z założonymi rękami, położył drugi kartonik na ławie. Payne otworzył drzwi i przytrzymał. Sir Charles włożył na głowę panamę, poklepał ją delikatnie, skłonił się obojgu i wyszedł. Doktor Payne zamknął drzwi i powiedział:

–Mary, oszalałaś? Dlaczego tak się zachowałaś?

–Słucham? Nie zamierzasz się chyba pakować w pułapkę tego starego pryka, co?

–Nie można odrzucać takich propozycji! Chcesz kontynuować ten projekt czy nie?

–To nie była propozycja – odburknęła gniewnie – lecz ultimatum. Zróbcie, jak każę, albo was zlikwidujemy. Oliverze, na litość boską, wszystkie te nie całkiem subtelne pogroźki i aluzje co do bezpieczeństwa narodowego i innych kwestii... Nie widzisz, dokąd to prowadzi?

–Zdaje mi się, że rozumiem wszystko lepiej niż ty. Jeśli odmówisz, wcale nie zlikwidują naszego laboratorium, ale po prostu je przejmą. Skoro są tak bardzo zainteresowani, zechcą kontynuować badania. Tyle, że na swoich warunkach i basta.

–Ale ich warunki są... To znaczy, mój Boże, tu chodzi o Ministerstwo Obrony... Oni szukają nowych sposobów zabijania ludzi. Słyszałeś, co mówił o świadomości? Ten człowiek chce nią manipulować. Nie zamierzam dać się w coś takiego wplątać, Oliverze. Nigdy.

–I tak zrobią, co chcą, za to ty stracisz posadę. Jeśli zostaniesz, choć częściowo zachowasz wpływ na kierunek badań. Chcesz zaprzepaścić tyle pracy?

–A jakie to ma dla ciebie znaczenie? – spytała. – Sądziłam, że w Genewie wszystko ustalone.

Mężczyzna przeczesał rękoma włosy i odrzekł:

–No cóż, nie do końca. Niczego nie podpisałem. Zresztą, tam zajmowałbym się zupełnie czymś innym, no i przykro byłoby mi stąd wyjeżdżać, teraz, gdy naprawdę coś odkryliśmy...

–Co ty sugerujesz?

–Nic nie...

–Sugerujesz, że jesteś skłonny dać się przekupić?

–No cóż... – Payne chodził po laboratorium, rozkładał ręce, wzruszał ramionami, potrząsał głową. – Jeśli nie skontaktujesz się z tym człowiekiem, ja to zrobię – wydukał wreszcie.

Milczała. W końcu odezwała się:

–Och, rozumiem.

–Mary, muszę myśleć o...

–Tak, tak, oczywiście.

–To nie znaczy, że...

–Nie, nie.

–Nie rozumiesz...

–Ależ rozumiem. To bardzo proste. Obiecasz, że zrobisz, jak każe, dostaniesz fundusze, ja odejdę, ty obejmiesz funkcję dyrektora. Nietrudno to pojąć. Otrzymasz większy budżet, wiele dobrych, nowych urządzeń, dodatkowe pół tuzina doktorantów. Dobry pomysł. Zrób to Oliverze. Czeka cię kariera. Ja jednak odchodzę. Ta cała sprawa śmierdzi.

–Ty nie...

Mina doktor Malone sprawiła, że mężczyzna zamilkł. Kobieta zdjęła biały fartuch i powiesiła go na drzwiach, następnie zebrała kilka papierów, włożyła je do torby i bez słowa wyszła. Kiedy tylko Payne został sam, wziął wizytówkę sir Charlesa i podniósł słuchawkę.

W kilka godzin później, a dokładnie tuż przed północą, Mary Malone zaparkowała samochód przed budynkiem uczelni i weszła bocznym wejściem. W chwili gdy skręciła na schody, z korytarza wyszedł jakiś człowiek; wystraszył ją tak bardzo, że prawie upuściła teczkę. Mężczyzna miał na sobie mundur.

–Dokąd pani idzie? – spytał.

Stał jej na drodze, wysoki i silny; jego oczy ledwie było widać spod daszka czapki.

–Idę do mojego laboratorium. Pracuję tutaj. A kim pan jest? – spytała, trochę rozzłoszczona, a trochę przerażona.

–Jestem z ochrony. Ma pani jakiś dowód tożsamości?

–Jakiej ochrony? Opuściłam ten budynek o piętnastej i był tu tylko portier na dyżurze, jak zwykle. To pan powinien się wylegitymować mnie. Kto pana wynajął? I dlaczego?

–Oto moja legitymacja – odparł mężczyzna, pokazując jej kartę zbyt szybko, aby mogła cokolwiek odczytać. – Proszę o pani dowód!

Doktor Malone zauważyła, że mężczyzna ma w futerale na biodrze przenośny telefon. Czy miał również broń? Nie, na pewno nie, po prostu ogarniała ją panika. Nie odpowiedział wprawdzie na jej pytania, lecz wiedziała, że jeśli będzie nalegać, wzbudzi jego podejrzliwość, a musiała przecież natychmiast dotrzeć do laboratorium. To było w tej chwili najważniejsze. Pomyślała, że musi uśpić jego czujność. Poszperała w torbie i znalazła portfel.

–Czy to wystarczy? – spytała, pokazując mu kartę, której używała, aby otworzyć barierkę na parkingu.

Spojrzał szybko na kartonik.

–Co pani tu robi o tej porze? – spytał.

–Prowadzę pewien eksperyment i co jakiś czas muszę sprawdzać działania komputera.

Mężczyzna jawnie szukał powodu, aby nie pozwolić jej wejść, a może chciał tylko sprawdzić, jak wielką posiada nad nią władzę. W końcu jednak skinął głową i odsunął się. Mary Malone przeszła obok niego z uśmiechem, ale na jego twarzy pozostała obojętna mina.

Wchodząc do swojego laboratorium, ciągle jeszcze drżała. W budynku nigdy nie było żadnych dodatkowych zabezpieczeń poza zamkiem w drzwiach i starszym portierem na dyżurze i doktor Malone domyślała się, co spowodowało zmiany. Wiedziała, że ma bardzo mało czasu – musiała natychmiast wypełnić swoje zadanie, ponieważ kiedy przedstawiciele „ochrony” uświadomią sobie, jaki jest cel uczonej, już nigdy więcej nie pozwolą jej wejść do budynku.

Zamknęła za sobą drzwi i opuściła żaluzje w oknach. Włączyła detektor, potem wyjęła z kieszeni dyskietkę i wsunęła ją do komputera, który kierował Jaskinią. Po chwili zaczęła manipulować liczbami na ekranie, kierując się po części logiką, po części domysłami, a także używając programu, nad którym pracowała w domu przez wszystkie ostatnie wieczory. Zadanie, które sobie postawiła, było równie skomplikowane, jak stworzenie całości z niepełnych fragmentów.

Odgarnęła włosy z oczu i założyła elektrody na głowę, poćwiczyła palce i zaczęła pisać na klawiaturze. Czuła, że postępuje jedynie na wpół świadomie.

Witaj. Nie jestem pewna, co robię.

Może to szaleństwo.

Słowa umieściły się same po lewej stronie ekranu, co niezwykle zaskoczyło doktor Malone. Nie używała żadnego edytora tekstu, wykorzystywała jedynie system operacyjny, toteż formatowanie nie było jej dziełem. Nagle poczuła, jak podnoszą jej się włoski na karku i odniosła wrażenie, że ogarnia świadomością cały budynek – ciemne korytarze, wyłączone maszyny, samoczynnie działające rozmaite przyrządy, komputery monitorujące testy i nagrywające rezultaty, automatyczną klimatyzację, program regulacji wilgotności i temperatury, wszystkie kanaliki, rurki i przewody będące czujnymi arteriami oraz nerwami uczelni... Były one, w gruncie rzeczy... prawie świadome.

Spróbowała znowu.

Próbuję wyrazić słowami

stan umysłu, ale...

Zanim skończyła zdanie, kursor przeskoczył na prawą stronę ekranu i napisał:

Zadaj pytanie.

Tekst ten powstał w ułamku sekundy.

Mary Malone wydało się, że wkracza w jakąś nieistniejącą przestrzeń. Całe ciało drżało z szoku i zdziwienia. Uspokajała się przez kilka minut. Potem ponownie zaczęła pisać. Zadawała pytania, lecz niemal zanim skończyła je wystukiwać, po prawej stronie monitora pojawiały się odpowiedzi.

Jesteście Cieniami?

Tym samym, co Pył Lyry?

Mroczną materią?

Mroczna materia jest świadoma?

To, co powiedziałam Oliverowi

dziś rano o ludzkiej ewolucji, jest...

Tak.

Tak.

Tak.

Z pewnością tak.

Poprawne. Musisz jednak zadać więcej pytań.

Przerwała, głęboko zaczerpnęła powietrza, odepchnęła krzesło i znowu poćwiczyła palce. Słyszała, jak szybko bije jej serce. To, co się działo, było absolutnie niemożliwe – tak krzyczała cała jej istota – wykształcenie umysł, zdrowy rozsądek. Coś było nie tak. To się nie miało prawa dziać. Śniesz, kobieto, mówiła sobie. A jednak słowa znajdowały się na ekranie – jej pytania i odpowiedzi jakiegoś innego świadomego umysłu.

Skupiła się i zadawała kolejne pytania. Odpowiedzi pojawiały się niemal natychmiast.

Umysł, który odpowiada na te pytania, nie należy do człowieka, prawda?

Nas? Jest was więcej?

Ale czym jesteście?

Nie, ale ludzie zawsze nas znali.

Niezliczone biliony.

Aniołami.

W głowie Mary Malone szumiało. Została wychowana na katoliczkę, mało tego – tak jak odkryła Lyra – uczona była kiedyś zakonnica. Niewiele zostało z jej wiary, lecz sporo wiedziała o aniołach. Święty Augustyn powiedział: „Anioł to nazwa ich profesji, nie natury. Jeśli chcesz nazwać ich naturę, nazwij ją duchem. To, z czego są, to duch; ich zajęciem jest bycie aniołem”. Oszołomiona, drżąc, znowu zaczęła pisać:

Anioły to stworzenia z materii

Cieni? z Pyłu?

A materia Cieni to coś, co nazywamy duszą?

Jesteśmy skomplikowanymi strukturami. Tak.

To, czym jesteśmy, to duch; nasze działanie to materia. Materia i duch stanowią jedność.

Doktor Malone zadygotała. Najwyraźniej anioły słuchały jej myśli.

Czy ingerowaliście w ludzką ewolucję?

Dlaczego?

Tak.

Zemsta.

Zemsta na... och tak! Zbuntowane anioły! Po wojnie w niebie...Szatan i ogród Edenu. Znajdź chłopca i dziewczynkę. Nie trać więcej czasu.

Ale to nie jest prawda, zgadza się? Czy wy w ten sposób...

Ale po co?

Musisz zagrać węża.

Kobieta zdjęła ręce z klawiatury i przetarła oczy. Kiedy spojrzała ponownie, słowa nadal widniały na ekranie.

Gdzie...

Idź drogą zwaną aleją Sunderland i znajdź namiot. Oszukaj wartownika i przejdź.

Weź zapasy na długą podróż.

Będziesz chroniona i upiory cię nie tkną.

Ale ja...

Zanim wyruszysz, zniszcz ten sprzęt.

Nie rozumiem... dlaczego ja? I co to za podróż? I...

Od urodzenia przygotowywałaś do tego zadania. Twoja praca tutaj jest zakończona. W tym świecie musisz zrobić jeszcze tylko jedno – uniemożliwić wrogom przejęcie kontroli.

Zniszcz sprzęt. Zrób to teraz i natychmiast ruszaj w drogę.

Mary Malone odsunęła krzesło i wstała, drżąc na całym ciele. Przycisnęła palce do skroni i odkryła, że ciągle ma na głowie elektrody. Bezwiednie je zdjęła. Może powinna wątpić w to, co się stało, i w to, co nadal widziała na ekranie, jednak w ciągu ostatnich trzydziestu minut pozbyła się wątpliwości i całkowicie we wszystko uwierzyła. Zdarzenia po prostu nią wstrząsnęły.

Wyłączyła detektor i wzmacniacz. Potem ominęła kody bezpieczeństwa i sformatowała twardy dysk komputera, wymazując w ten sposób wszystkie dane. Następnie usunęła między detektorem a wzmacniaczem interfejs w postaci specjalnie przystosowanej karty; jako że nie miała pod ręką niczego ciężkiego, położyła ją na ławce i zgniotła obcasem. Później rozłączyła przewody elektryczne łączące osłonę elektromagnetyczną i detektor, odszukała plan instalacji w szufladzie szafki z dyskietkami i spaliła go w popielniczce. Cóż jeszcze mogła zrobić? Nie wiedziała o tym programie tak wiele jak Oliver Payne, sądziła jednak, że skutecznie unieruchomiła sprzęt.

Przełożyła niektóre papiery z szuflady do teczki, potem zdjęła plakat z heksagramami I Ching, złożyła go i schowała do kieszeni. Wreszcie wyłączyła światło i wyszła.

Przedstawiciel „ochrony” stał na dole schodów i rozmawiał przez przenośny telefon. Kiedy zeszła, odłożył go i w milczeniu eskortował ją do bocznego wyjścia, a później obserwował przez szklane drzwi, aż odjechała.

Półtorej godziny później Mary Malone zatrzymała samochód w pobliżu alei Sunderland, którą wcześniej odnalazła na planie Oksfordu (nie знаła bowiem tej części miasta). Od chwili wyjścia z uczelni ledwie panowała nad własnym podnieceniem, kiedy jednak wysiadła z samochodu w ciemnościach i otoczył ją nocny chłód i cisza, zawahała się i poczuła wyraźny niepokój. Przypuśćmy, że śniła? Jeśli wszystko, co się zdarzyło, było jedynie czymś wymyślnym żartem?

Uznała, że jest za późno, aby się o to martwić. Za bardzo się już zaangażowała. Spaliła za sobą wszystkie mosty. Wzięła z mieszkania plecak, który często zabierała na wypady pod namiot do Szkocji i w Alpy, i pomyślała, że przynajmniej wie, jak przez jakiś czas przeżyć w terenie, więc w najgorszym wypadku może uciec na wzgórze...

Śmieszne!

Mary Malone założyła plecak, zamknęła samochód i skierowała się na Banbury Road. Przeszła dwieście czy trzysta metrów do skrzyżowania, z którego w lewą stronę biegła aleja Sunderland. Kobieta czuła się tak głupio jak chyba nigdy w życiu.

Skręciła za róg i zobaczyła te dziwne drzewa, które w ciemnościach wyglądały jak stojące dzieci. Przypomniała sobie opowieść Lyry. Graby widział wcześniej Will. A zatem... przynajmniej część tej całej historii była prawdą. Pod drzewami na trawie po drugiej stronie ulicy stał mały, kwadratowy namiot z czerwono-białego nylonu. Tego typu namioty stawiają elektrycy podczas pracy, aby ochronić przed deszczem przewody. Obok stała zaparkowana biała półciężarówka bez oznaczeń i z zaciemnionymi szybami. Mary Malone przestała się wahać. Poszła prosto ku namiotowi. Kiedy znalazła się tuż przed nim, otworzyły się tylne drzwi ciężarówki i z pojazdu wysiadł policja. W jasnym świetle lampy świecącej nad gęstwiną zielonych liści zauważyła, że był bez hełmu i wyglądał bardzo młodo.

–Mógłbym spytać, dokąd pani idzie?

–Do namiotu.

–Obawiam się, że nie mogę na to pozwolić. Polecono mi, by nikogo do niego nie dopuszczać.

–To dobrze – powiedziała – cieszę się, że tak dobrze pan pilnuje tego miejsca. Tyle, że ja reprezentuję Wydział Nauk Fizycznych i sir Charles Latrom poprosił mnie o dokonanie przedwstępnych pomiarów. Muszę mu zdać raport, dopiero później zaczną się właściwe badania. Koniecznie powinnam wykonać to zadanie teraz, kiedy w pobliżu nie ma ludzi. Jestem pewna, że pan to rozumie.

–No cóż, tak – mruknął. – A ma pani jakieś dokumenty?

–Och, jasne – odparła, zdjęła plecak i odszukała portfel. Wraz z innymi papierami, które znalazła w szufladzie, wzięła nieważną już kartę biblioteczną doktora Payne'a. Piętnaście minut pracy przy kuchennym stole i fotografię Olivera zastąpiło paszportowe zdjęcie Mary. Policjant wziął laminowaną kartę i obejrzał ją z uwagą.

–Doktor Olive Payne – przeczytał. – Zna pani może doktor Mary Malone?

–Oczywiście. To koleżanka z pracy.

–Wie pani, gdzie jest teraz?

–W domu, w łóżku, jeśli ma trochę rozumu. Dlaczego pan pyta?

–No cóż, zdaje się, że ograniczono jej uprawnienia. Otrzymałem polecenie, żeby pod żadnym pozorem nie dopuszczać jej w pobliże namiotu, a nawet aresztować, jeśli

będzie stawiała opór. Sama pani rozumie, że widząc kobietę, naturalnie pomyślałem, że to może być ona... Przepraszam, doktor Payne.

–Tak, rozumiem pana – stwierdziła Mary Malone.

Policjant jeszcze raz obejrzał kartę.

–Chyba wszystko w porządku – oświadczył i oddał kartonik. Był zdenerwowany i miał ochotę porozmawiać: – Wie pani, co się znajduje pod tym namiotem?

–No cóż, niezupełnie – odrzekła. – Właśnie dlatego tu jestem.

–Hm. Tak, słusznie. Proszę tam wejść, doktor Payne.

Mężczyzna cofnął się. Mary Malone rozsznurowała wejście do namiotu. Miała nadzieję, że policjant nie widzi, jak bardzo drżą jej ręce. Przyciskając plecak kurczowo do piersi, wykonała polecenie komputera, które brzmiało: „Oszukaj strażnika”. Tak, zrobiła to! Nie miała jednakże pojęcia, co znajdzie w namiocie. Była przygotowana na jakieś wykopaliska archeologiczne, martwe ciało, meteoryt, ale z pewnością nawet jej się nie śniło, że zobaczy w powietrzu kwadratowe okienko, a za nim spokojne, uśpione miasto nad morzem. Niemniej jednak, bez zastanowienia przeszła do obcego świata.

AESAHAETTR

Tuż po wzejściu księżyca czarownice rozpoczęły czary, które miały uleczyć ranę Willa.

Obudziły chłopca i poprosiły, by położył nóż na ziemi, w miejscu, gdzie padało nań światło gwiazd. Lyra usiadła w pobliżu i mieszała w rondelku nad ogniem zaparzone zioła. W tym czasie czarownice klaskały w ręce, tupały i krzyczały do rytmu, a Serafina przykucnęła nad nożem i zaczęła śpiewać wysokim zawodzącym głosem:

Mały nożu! Z trzewi Matki Ziemi żelazo wyrwali i ogniem trawili, w twoich narodzinach nie było ni chwili, by magiczna ruda nie spłynęła łzami.

Cierpień ogrom nie da się spamiętać: kuli ją i hartowali, to w lód wkładali, to w tygiel żarem czyniący zaklęcia, po czym znowu w kuźni ją rozgrzali, aż wreszcie twe ostrze krwią zakwitło kropli.

Rany żywym ogniem palone, znów wodą zalali i para, niby duszek, w nicość się rozprysła, a woda, ach, woda, o litość prosiła.

Dopiero gdyś cień jeden rozciął w trzydzieści tysięcy odcieni, gotowyś, uznali i odtąd zwali cię zaczarowanym.

I jakież są, mały nożu, twoje wielkie czyny?

Wrota krwi rozwarte, smutek w sercach kwili!

Nożu mały, nożyku, matki twej wołanie z tajemnych czeluści, sekretnego łona żelazowym zewem prosi o słuchanie, więc odpowiedz na nie!

Serafina Pekkala wraz z innymi czarownicami przytupnęła i zaklaskała w dłonie. Z wszystkich gardeł rozległo się dzikie zawrozczenie, które rozdarło powietrze niczym ptasie szpony. Will, siedzący pośrodku, poczuł dreszcz.

Wtedy królowa czarownic odwróciła się do chłopca i wzięła jego zranioną rękę w obie dłonie. Gdy tym razem zaśpiewała, Will niemal się cofnął, tak przeraźliwy był jej wysoki głos, tak błyszczące oczy. Pozostał jednak w bezruchu i pozwolił czarom trwać.

Krwi! Niech me pragnienia będą ci rozkazem, miast w rwącą rzekę, rozplyń się jeziorem, gdy tchnienie powietrza owionie cię tylko, zawróć swe prądy i zbuduj skorupę, powodzi groźbę powstrzymując murem. Krwi, twym niebem - czaszka, słońcem zaś - oko patrzące, tchnienie w płucach - wiatrem szalejącym, twój kosmos, bacz na to, to ciało... żyjące!

Chłopcu wydało się, że czuje, jak wszystkie atomy jego ciała odpowiadają na rozkaz królowej czarownicy, i skupił się na nim całym sobą, ponaglaając uchodzącą krew, by zastosowała się do polecenia.

Serafina puściła jego rękę i odwróciła się w stronę wiszącego nad ogniem żelaznego rondelka, znad którego unosiła się para o cierpkim aromacie. Will słyszał, jak plyn gwałtownie bulgocze.

Czarownica podjęła nową pieśń.

Kora dębu, sieć pajęcza, z ziemi mech i słonochwasty... krzepko chwyć, ściśle zwiąż, trzymaj chwilę, potem klucz, rygluj drzwi, zawrzyj bramę, powstrzymaj krew i powódź zmóż!

Teraz Serafina chwyciła swój nóż i rozcięła młodą olchę na całej długości. Z drzewa popłynęła biała ciecz, która zalśniła w świetle księżyca. Czarownica wlała parujący plyn w szczelinę i złączyła dwie części drzewa, ściskając je od korzenia aż po wierzchołek. Młode drzewko znowu stanowiło jedną całość.

Will usłyszał, jak Lyra głośno łapie powietrze, odwrócił się w jej stronę i zobaczył inną czarownicę, która mocno trzymała w rękach wrywającego się zająca. Zwierzę wilo się z szaleństwem w oczach. Wierzgało wściekle łapami, ale czarownica była bezlitosna. W jednej ręce trzymała przednie łapy, drugą chwyciła za tylne i rozciągnęła oszalałego zająca brzuchem do góry.

Królowa przesunęła nóż po brzuchu zwierzątka. Will poczuł, jak wzbierają w nim mdłości, a Lyra powstrzymywała Pantalaimona, który ze współczucia przybrał postać królika i wrywał się z ramion swej pani. Zając leżał nieruchomo, oczy niemal wyszły mu z orbit, pierś wznosiła się, połyskiwały wnętrzości.

Serafina nabrała nieco gorącego wywaru i wlała w otwarty brzuch zwierzęcia, po czym zacisnęła brzegi rany palcami, wygładzając mokre futro, aż rana całkowicie zniknęła.

Czarownica, która trzymała zwierzę, poluzowała uchwyt i delikatnie postawiła zająca na ziemi. Stworzonko otrząsnęło się, odwróciło, polizało bok, poruszało uszami i skubnęło źdźbło trawy, jak gdyby nic się nie stało. Nagle chyba uświadomiło sobie obecność ludzi i niczym strzała śmignęło przed siebie, całe i zdrowe. Po kilku skokach zniknęło w ciemnościach.

Uspokajając dajmona, Lyra spojrzała na Willa. Chłopiec wiedział, co oznacza ucieczka zająca – lekarstwo było gotowe. Wyciągnął rękę, a kiedy Serafina posmarowała parującą miksturą krwawiące kikuty, Will odwrócił wzrok i odetchnął kilka razy, ale nie cofnął dłoni.

Gdy otwarte rany chłopca dokładnie nasiąknęły płynem, czarownica przycisnęła do nich trochę papki z ziół i szczelnie je obwiązała pasem jedwabiu.

Na tym zakończono czary.

Przez resztę nocy Will spał głęboko. Było zimno, ale czarownice przykryły go liśćmi, a Lyra skuliła się tuż za plecami chłopca. Rano Serafina opatrzyła ranę ponownie, a Will spróbował wyczytać z wyrazu jej twarzy, czy ręka się goi, oblicze królowej pozostało jednak spokojne i niewzruszone.

Po śniadaniu Serafina oświadczyła, że skoro wraz ze swoimi czarownicami przyleciała do tego świata, aby odnaleźć Lyrę i zapewnić jej ochronę, z chęcią pomogą dziewczynce wypełnić jej zadanie, czyli zaprowadzić Willa do ojca.

Wyruszyli więc. Wszędzie panował spokój. Lyra poradziła się aletheiometru i dowiedziała, że powinni podróżować w kierunku odległych, rozciągających się za wielką zatoką gór, które wcześniej pozostawały niewidoczne; ponieważ dzieci nigdy do tej pory nie znajdowały się tak wysoko ponad miastem, nie wiedziały, że linia brzegowa jest tak kręta. Teraz, gdy drzewa się przerzedziły, Will i Lyra wspięli się na zbocze; dostrzegali bezkresne, błękitne morze oraz wysokie góry. Za nimi znajdował się ich cel, oboje mieli jednak wrażenie, że czeka ich długa droga.

Mało ze sobą rozmawiali. Lyra obserwowała życie przedstawicieli leśnej fauny – od dzięciołów, poprzez wiewiórki aż po małe, zielone węże ziemne z diamentowymi kropeczkami na grzbietach – chłopca natomiast bardzo męczyła wędrówka. Lyra i Pantalaimon wymieniali uwagi.

–Moglibyśmy spojrzeć na aletheiometr – zaproponował Pantalaimon, gdy zatrzymali się na ścieżce i starali się podejść do pasącego się młodego jelenia, tak aby ich nie spostrzegł. – Nigdy nie obiecywaliśmy, że w ogóle nie będziemy z niego korzystać. Pomyśl, ilu rzeczy moglibyśmy się dowiedzieć. Zrobilibyśmy to dla Willa, nie dla siebie.

–Nie bądź głupi – odparła dziewczynka. – Skoro nas nie poprosił, zrobilibyśmy to właśnie dla siebie. Jesteś po prostu wścibski, Pan.

–To coś nowego. Zwykle to ciebie można było określić tym epitetem, a ja stale cię musiałem ostrzegać, że nie wolno robić pewnych rzeczy. Tak jak w Sali Seniorów w Jordanie. Nigdy nie chciałem tam wchodzić.

–Sądysz, Pan, że gdybyśmy tam nie weszli, to wszystko by się nie zdarzyło?

–Tak. Rektor otruły Lorda Asriela i na tym skończyłaby się cała sprawa.

–Pewnie masz rację... Co myślisz o ojcu Willa? Kim jest i dlaczego wydaje się taki

ważny?

–Sama widzisz! Moglibyśmy w mig się tego dowiedzieć!

Lyra popatrzyła tęsknym wzrokiem w dal.

–Kiedyś może bym tak postąpiła – stwierdziła – ale chyba się zmieniam, Pan.

–Wcale nie.

–Ty pewnie jeszcze nie... Och, Pantalaimonie, kiedy ja się zmienię, ty przestaniesz się przekształcać. Kim wtedy będziesz?

–Pchłą, mam nadzieję.

–Och, pytam serio. Nie masz żadnych przeczuć?

–Nie. Nie chcę wiedzieć.

–Dąsas się, ponieważ nie zamierzam postąpić tak, jak sobie życzysz.

Dajmon przybrał postać świni. Chrząkał, kwiczał i prychał, aż dziewczynka roześmiała się, a wtedy zmienił się w wiewiórkę i skoczył między gałęzie.

–A twoim zdaniem kim jest ojciec Willa? – spytał Pantalaimon. – Sądzisz, że już go kiedyś spotkaliśmy?

–To możliwe. Ale na pewno jest kimś znaczącym, prawie równie ważnym jak Lord Asriel. Tak przynajmniej przypuszczam. Wiemy w każdym razie, że jego działalność jest istotna.

–Wcale tego nie wiemy – zauważył Pantalaimon. – Podejrzewamy, że tak jest, ale nie możemy mieć pewności. Zdecydowaliśmy się szukać Pyłu tylko dlatego, że Roger umarł.

–Mylisz się! To, co robi ojciec Willa, jest ważne! – obruszyła się Lyra. Nawet tupnęła nogą. – Podobnie uważają czarownice. Przebyły tak długą drogę, aby nas odszukać, opiekować się mną i mi pomóc! Trzeba pomóc Willowi w odnalezieniu ojca! Sprawa jest naprawdę poważna. Wiem, że się ze mną zgadzasz, gdyby było inaczej, nie polizałbyś chłopcu rany. Dlaczego właściwie to zrobiłeś? Nawet mnie nie spytałeś o pozwolenie. Nie wierzyłam własnym oczom.

–Polizałem Willowi rękę, ponieważ nie miał dajmony, a bardzo jej potrzebował. Gdybyś rzeczywiście tak świetnie rozumiała różne sprawy, jak ci się zdaje, wiedziałabyś o tym.

–Cóż, właściwie znalazłam odpowiedź – mruknęła. Zamilkli, ponieważ doszli do chłopca, który siedział na skale przy ścieżce. Pantalaimon zmienił się w mucholówkę, a kiedy latał wśród gałęzi, dziewczynka spytała:

–Willu, jak sądzisz, co teraz zrobią tamte dzieci?

–Na pewno za nami nie podążą. Za bardzo się wystraszyły. Może wrócą do miasta i będą się dalej próżniaczyć.

–Tak, pewnie tak... Chociaż... strasznie chcieli zdobyć zaczarowany nóż. Mogą pójść za nami, by go nam odebrać.

–Pal ich lichu. Na razie chyba nie musimy się nimi przejmować. Początkowo nie chciałem przyjąć tego noża. Skoro jednak jest w stanie zabijać upiory...

–Od pierwszej chwili nie ufałam Angelice – oświadczyła Lyra z przekonaniem.

–Ależ ufałaś – odparł.

–Tak. No może rzeczywiście... Jednak w końcu znenawidziłam to miasto.

–A ja na samym początku uważałem je za raj. Nie potrafiłem sobie wyobrazić wspanialszego miejsca. A ono przez cały czas było pełne upiorów, chociaż żadnego nie widzieliśmy...

–Nigdy już nie zaufam dzieciom – oświadczyła Lyra. – W Bolvangarze sądziłam, że dzieci nie bywają tak złe jak niektórzy dorośli. Że nie są okrutne. Teraz już nie jestem tego taka pewna. Naprawdę! Nigdy nie widziałam dzieci postępujących w tak nieludzki sposób.

–Ja widziałem – szepnął Will.

–Kiedy? W twoim świecie?

–Tak – odrzekł z zażenowaniem. Siedząc nieruchomo, Lyra czekała, co jej powie przyjaciel i wkrótce Will podjął temat: – Moja matka miała wówczas jeden ze swoich stanów lękowych. Mieszkaliśmy sami, ojca już z nami nie było. Co jakiś czas miewała dziwne urojenia... Ulegała też osobliwym przymusom i wykonywała czynności, które nie miały sensu, tak mi się wydawało. Chcę powiedzieć, że coś kazało jej je wykonywać, w przeciwnym razie stawała się okropnie niespokojna i wszystkiego się bała. Pomagałem jej w tych działaniach. Na przykład wraz z nią dotykałem kolejnych ławek w parku albo liczyłem liście na krzewie. Tego typu sprawy... Po jakimś czasie uspokajała się. Obawiałem się, że ktoś się dowie o jej chorobie, a wówczas ją gdzieś zabiorą, więc opiekowałem się nią i ukrywałem jej zachowanie przed ludźmi. Nigdy nikomu o nim nie powiedziałem. Pewnego razu matka straciła kontrolę nad sobą

podczas mojej nieobecności. Nie mogłem jej pomóc, ponieważ byłem w szkole. No i przyszła po mnie... bardzo skąpo odziana, choć wcale nie zdawała sobie z tego sprawy. Niektórzy chłopcy z mojej szkoły zobaczyli ją i zaczęli...

Na twarzy Willa pojawił się gniew. Aby się uspokoić, zaczął chodzić w tę i z powrotem. Starał się nie patrzeć na Lyrę, ponieważ wstydził się łez.

–Dręczyli ją tak samo jak tamte dzieci kota... – ciągnął drżącym głosem. – Uważali, że jest szalona, i chcieli ją zranić, może nawet zabić. Nie zaskoczyłoby mnie to... Moja matka była po prostu inna i za to jej nienawidzili. Odnalazłem ją i zabrałem do domu. A następnego dnia w szkole biłem się z chłopakiem, który przewodził grupie napastników. Biłem się z nim, złamałem mu rękę i chyba wybiłem kilka zębów. Nie jestem pewny. Zamierzałem też walczyć z pozostałymi, ale już miałem kłopoty i uświadomiłem sobie, że lepiej się wycofać, zanim doniosą... to znaczy nauczycielom i władzom. Gdyby zamierzali poinformować mamę o mojej bijatyce, zauważyliby jej dziwne zachowanie i zabraliby ją. Więc po prostu udawałem, że jest mi przykro, i obiecałem nauczycielom, że już nigdy nie będę się z nikim bił. Zostałem ukarany, ale nic nikomu nie powiedziałem. Widzisz, dzięki temu mama nadal była bezpieczna. Nikt nie miał o niczym pojęcia z wyjątkiem tych chłopaków, którzy zdawali sobie sprawę, co im zrobię, jeśli komuś wygadają. Wiedzieli, że następnym razem ich pozabijam. Nie zranię, ale zabiję! Po pewnym czasie mama znowu poczuła się lepiej. No i nikt się nie dowiedział, nigdy.

Tak czy owak – podjął po chwili – od tamtej pory nie ufałem dzieciom bardziej niż dorosłym. Młodych ludzi niezwykle łatwo namówić do zła. Zachowanie tych z Ci'gazze wcale mnie nie zdziwiło, ale bardzo się ucieszyłem, kiedy przybyły czarownice!

Chłopiec znowu usiadł odwrócony plecami do Lyry i otarł ręką łzy, aby ich nie zauważyła. Dziewczynka udawała, że tego nie widzi.

–Willu – odezwała się – to, co mówiłeś o matce... i Tullio, zanim dopadły go upiory... Widzę związek. A kiedy powiedziałeś wczoraj, że upiory mogą pochodzić z twojego świata...

–Tak. Nie wiem, co się stało z matką, ale ona nie jest wariatką. Tamte dzieciaki pewnie tak sądziły, dlatego śmiały się z niej i próbowały ją zranić. Myliły się jednak. Moja matka nie jest szalona, po prostu boi się pewnych rzeczy, których ja nie dostrzegam. No i coś ją zmuszało do czynności, które wyglądały dziwnie dla kogoś, kto nie widział, co ją przeraża. Dla niej liczenie wszystkich liści na drzewach miało jakieś znaczenie, podobnie jak dla Tullia dotykanie kamieni w murze. Może w ten sposób oboje próbowali pozbyć się upiorów. Odwracali się do nich plecami, ponieważ ich trwożyły, i na przykład usiłowali ze wszystkich sił skupić się na liściach krzewu albo na kamieniach. Wmawiali sobie, że jeżeli uznają tę czynność za

prawdźwie istotną, będą bezpieczni. Nie wiem, jak jest naprawdę, ale tak to wygląda. Moja mama bała się ludzi, którzy przychodzili i chcieli nas okraść, lecz obawiała się też innych rzeczy. Może więc mój świat również zamieszkują upiory, tylko nie możemy ich zobaczyć i nie mamy dla nich nazwy, one jednak istnieją i ciągle próbują zaatakować mamę. Dlatego właśnie ucieszyła mnie informacja aletheiometru, że ona jest bezpieczna.

Chłopiec oddychał szybko. Prawą ręką trzymał rękojeść noża ukrytego w pochwie. Lyra nic nie mówiła, a Pantalaimon trwał w niemal zupełnym bezruchu.

–Kiedy się dowiedziałeś, że musisz odszukać swego ojca? – spytała po chwili.

–Dawno temu – odparł. – Bawiłem się w taką grę. Udawałem, że ojciec jest więźniem i pomagam mu uciec. Spędzałem na tych zabawach wiele czasu, kilka dni. Albo wyobrażałem sobie, że tato przebywa na bezludnej wyspie, żeglowałem tam i przywoziłem go do domu. A gdy w moich marzeniach wracał, świetnie sobie radził z wszystkimi naszymi problemami, zwłaszcza z chorobą mojej matki, a ona od razu czuła się lepiej. Opiekował się również mną, więc chętnie szedłem do szkoły, znajdowałem tam przyjaciół, a przede wszystkim miałem rodzinę – mamę i tatę. Stale sobie powtarzałem, że kiedy podrosnę, wyprawię się na poszukiwania. A mama często mi mówiła, że będę nosił płaszcz mojego ojca. Chciała mnie chyba w ten sposób pocieszyć. Nie wiedziałem wprawdzie, co oznaczają jej słowa, lecz czułem się kimś ważnym.

–Nie miałeś przyjaciół?

–Jak mogłem ich mieć? – spytał, wręcz zakłopotany. – Przyjaciele... przychodzą do twojego domu, znają twoich rodziców i... Nawet jeśli jakiś chłopiec zaprosił mnie do siebie, mogłem przyjąć zaproszenie, ale nie mogłem się zrewanżować. Nigdy więc właściwie nie miałem przyjaciół. Chciałem... Miałem kotkę – dodał. – Mam nadzieję, że nic jej się nie stało. I że ktoś się nią opiekuje...

–A co z mężczyzną, którego zabiłeś? – spytała Lyra. Serce biło jej mocno. – Kim był?

–Nie wiem. Nie obchodzi mnie, czy go zabiłem. Zasłużył sobie na śmierć. Było ich dwóch. Ciągle przychodzili do mojego domu i niepokoiili mamę, aż znowu zaczęła się bać, i to bardziej niż kiedykolwiek. Chcieli, aby im opowiadała o moim ojcu. Nie zamierzali dać jej spokoju. Nie jestem pewien, czy byli z policji. Początkowo sądziłem, że należą do jakiegoś gangu, który sądzi, że mój ojciec obrabował bank i ukrył pieniądze. Później okazało się, że nie chcą pieniędzy, szukali papierów. Listów od mojego ojca. No i któregoś dnia włamali się do domu. Wtedy uznałem, że bezpieczniej będzie umieścić gdzieś mamę. Rozumiesz chyba, że nie mogłem pójść na policję i poprosić o pomoc, ponieważ zabraliby ją. Nie wiedziałem, co zrobić, ale

przypomniałem sobie pewną starą damę, która uczyła mnie gry na pianinie. Była jedyną osobą, do której mogłem się zwrócić z prośbą. Poszedłem z mamą do jej domu i spytałem, czy może u niej zostać przez jakiś czas. Myślę, że będzie się nią czule opiekowała.

Potem wróciłem do domu – ciągnął – aby poszukać tych papierów, ponieważ domyślałem się, gdzie mama je schowała. Znalazłem je, ale znowu przyszli ci mężczyźni, znowu się włamali. Była noc albo wczesny ranek. Ukrywałem się na szczycie schodów, a moja kotka Moxie wyszła z sypialni. Nie widziałem ani jej, ani mężczyzny, gdy nagle wpadłem na niego, a on potknął się o kotkę i spadł ze schodów... na sam dół... Wtedy uciekłem. To wszystko. Nie zamierzałem go zabić i nie ma dla mnie znaczenia, czy rzeczywiście nie żyje. Opuściłem dom i pojechałem do Oksfordu, a później znalazłem okienko, zresztą dzięki burej kotce. Zobaczyłem ją i zatrzymałem się, chcąc jej się przyjrzeć. Ona pierwsza znalazła przejście. Gdybym jej nie zauważył... Albo gdyby Moxie nie wyszła nagle z sypialni, wtedy...

–Tak – wtrąciła Lyra – miałeś szczęście. Ja i Pantalaimon rozmyślaliśmy niedawno, co by się stało, gdybym nie ukryła się w szafie w Sali Seniorów Kolegium Jordana i gdybym nie zobaczyła, jak Rektor sypie truciznę do wina mojego ojca. Może to wszystko by się nie zdarzyło...

Siedzieli w milczeniu na porośniętej mchem skale, oświetleni promieniami słonecznymi, które przedarły się przez korony starych sosen. Oboje zastanawiali się, ile zmian musiało zajść, aby każde z nich znalazło się w tym świecie i w tym miejscu. Jedno nic nieznaczące zdarzenie tak wiele zmieniało. Może w innym świecie jakiś inny Will nie dostrzegł okienka w alei Sunderland; strudzony i zagubiony powędrował dalej, ku Midlands, gdzie go schwytano. Może w innym świecie inny Pantalaimon wyperswadował innej Lyrze, aby opuściła Salę Seniorów, inny Lord Asriel został otruty, a inny Roger żył i nadal bawił się z tamtą Lyra na dachach i w alejkach innego starego Oksfordu.

Niebawem Will poczuł się na tyle silny, by kontynuować marsz, ruszyli więc ścieżką. Otaczał ich wielki, cichy las.

Szli przez cały dzień. Odpoczywali, wędrowali, znowu odpoczywali, aż drzewa zaczęły się przerzedzać, a ziemia stała się bardziej skalista. Lyra poprosiła o radę aletheiometr i urządzenie poleciło, by szli dalej tą samą drogą, ponieważ kierunek jest właściwy. W południe dotarli do wioski, której nie nawiedziły upiory. Kozy pasły się na stoku, drzewka cytrynowe rzucały cienie na kamienistą ziemię, dzieci bawiły się w strumieniu, a na widok dziewczynki w podartym ubraniu, bladego chłopca o płomiennym spojrzeniu, w poplamionej krwią koszuli, i towarzyszącego im eleganckiego charta z krzykiem pobiegły po matki.

Dorośli zachowywali się z rezerwą, ale chętnie sprzedali chleb, ser i owoce za jedną

ze złotych monet Lyry. Czarownice trzymały się na uboczu, chociaż Will i Lyra wiedzieli, że w razie niebezpieczeństwa pojawią się natychmiast. Po kolejnych kilku minutach targowania się jakaś stara kobieta sprzedała dzieciom dwa bukłaki z koźlej skóry i czystą, Inianą koszulę. Will z ulgą zrzucił z siebie poplamione ubranie. Umył się w lodowatym strumieniu, a później położył na ziemi, by wyschnąć w gorącym słońcu.

Ruszyli dalej odświeżeni. Kraina stawała się coraz dziksza. Aby odpocząć, dzieci musiały szukać cienia wśród skał, ponieważ drzew było niewiele. Podłoże ścieżki stało się tak gorące, że parzyli sobie stopy przez podeszwy butów. Promienie słoneczne świeciły im w oczy Wspinali się coraz wolniej. Kiedy słońce dotknęło górskich szczytów, a dzieci dostrzegły przed sobą rozległą dolinę, zdecydowały się zatrzymać.

Will i Lyra niezdarnie zsunęli się po zboczu, kilkakrotnie tracąc równowagę. Później musieli się przedrzeć przez gąszcz karłowatych rododendronów, których liście połyskiwały ciemną barwą; w baldachogronach karmazynowych kwiatów słychać było głośnie brzęczenie pszczoł. Wreszcie, już w porze wieczornej, dotarli na łąkę leżącą nad strumieniem. Rosła tu trawa wysoka do kolan, gęsta od słoneczników, goryczek i srebrników.

Chłopiec chciwie napił się wody ze strumienia, a potem położył. Był bardzo zmęczony, mimo to nie mógł zasnąć. Kręcił głową, czuł niepokój i wszystko go dziwiło. Chora ręka pulsowała i niestety ponownie zaczęła krwawić.

Serafina obejrzała ją, po czym nałożyła na ranę więcej ziół i bardzo mocno związała pas jedwabiu; tym razem na jej obliczu pojawiło się zatroskanie. Will nie chciał jej wypytywać, ale rosło w nim przekonanie, że czary nie zadziałały i że czarownica wie o tym i niepokoi się.

Gdy zapadła ciemność, chłopiec usłyszał, że Lyra podchodzi do niego i kładzie się obok. Wkrótce usłyszał również ciche mruczenie. Dajmon dziewczynki w postaci kota drzemał na boku nie dalej niż metr od chłopca.

–Pantalaimonie? – wyszeptał Will. Dajmon otworzył oczy. Lyra nie poruszyła się.

–Tak? – odszepnął Pantalaimon.

–Sądzisz, że umrę?

–Czarownice nie pozwolą na to. Ani Lyra.

–Ale czary nie zadziałały. Ciągłe uchodzi ze mnie krew. Chyba już mi jej wiele nie zostało. A ręka znowu nie przestaje boleć. Jestem przerażony...

–Lyra wcale tak nie myśli.

–Naprawdę?

–Uważa cię za najodważniejszego wojownika, jakiego spotkała od chwili rozstania z lorkiem Byrnisonem.

–Chyba w takim razie nie powinienem okazywać strachu – oświadczył chłopiec. Mniej więcej minutę milczał, po czym stwierdził: – Sądzę, że Lyra jest ode mnie odważniejsza. I jest najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałem.

–Ona również uważa cię za swego najlepszego przyjaciela – powiedział dajmon bardzo cicho.

Niemal w chwilę później Will zasnął. Lyra nie poruszała się, lecz oczy miała szeroko otwarte; jej serce głośno łomotało.

Kiedy Will się ocknął, było całkowicie ciemno. Ręka bolała go jeszcze bardziej. Usiadł ostrożnie i zobaczył, że w pobliżu płonie ognisko. Lyra nabiła kilka kromek chleba na rozgałęziony kij i próbowała je przypiec nad ogniem. Na rożnie piekła się też para ptaków. Chłopiec podszedł do dziewczynki i usiadł obok niej, a wówczas nadleciała Serafina Pekkala.

–Willu – odezwała się – przeżuj te liście, zanim zjesz coś innego.

Podawała mu garść miękkich liści. Były nieco gorzkie, w smaku przypominały szalwię. Chłopiec żuł je w milczeniu i zmusił się do przełknięcia. Ich cierpkość rozbudziła go i rozgrzała, toteż poczuł się lepiej.

Dzieci zjadły upieczone ptaki, przyprawiając je cytrynowym sokiem. Na deser inna czarownica przyniosła im trochę czarnych jagód, które znalazła pod osypiskiem, potem wszystkie czarownice zebrały się wokół ognia. Mówiły szybko. Okazało się, że kilka z nich udało się w nocy na przespiegi i jedna dostrzegła nad morzem balon. Lyra natychmiast podniosła głowę.

–Balon pana Scoresby’ego? – spytała. – Było w nim dwóch mężczyzn, lecz leciał zbyt daleko ode mnie, więc nie wiem, kim są. Nadciągała burza.

Lyra klasnęła w ręce.

–Willu, jeśli przybędzie pan Scoresby – krzyknęła wesoło – zamiast maszerować, będziemy mogli lecieć! Mam nadzieję, że to on! Nie zdążyłam się z nim pożegnać a zachował się wobec mnie tak uprzejmie... Naprawdę chciałabym go znowu zobaczyć...

Czarownica Juta Kamainen wraz z dajmonem w postaci rudzika o czerwonej piersi i jasnych oczach, siedzącym na ramieniu, słuchała, ponieważ wspomnienie o Lee Scoresbym przypomniało jej o osobie, którą aeronauta zamierzał odszukać. Kochała kiedyś Stanisłausa Grummana, mężczyzna jednak odrzucił jej miłość. Serafina Pekkala zabrała ją ze sobą na tę wyprawę jedynie po to, aby Juta nie zabiła Grummana w ich własnym świecie.

Królowa zauważyła zainteresowanie poddanej, jednak zanim zdążyła zareagować, coś się zdarzyło i zebrani podnieśli głowy. Will i Lyra usłyszeli dobiegający z północy bardzo cichy ptasi krzyk. Tyle, że nie należał do żadnego ptaka, lecz (czarownice wiedziały o tym od razu) do dajmona. Serafina Pekkala wstała i bacznie spojrzała w niebo.

–Pewnie przybywa Ruta Skadi – oznajmiła. Panowało milczenie, wszystkie głowy zwróciły się w kierunku północnym, wszyscy wyłożyli słuch.

Po chwili rozległ się kolejny krzyk, już bliższy, po nim trzeci, a wtedy czarownice chwyciły gałęzie i uniosły się w powietrze. Na ziemi zostały tylko dwie, które z gotowymi do strzału łukami zamierzały chronić Willa i Lyrę.

Gdzieś w ciemności nad nimi odbywała się walka. A zaledwie kilka sekund później usłyszeli szum lecących postaci, świst strzał, zgrzytanie, krzyki bólu, gniewu i rozkazy.

Wtem tak nagle, że nie mieli nawet czasu odskoczyć, z nieba nadleciało jakieś zwierzę i spadło u ich stóp.

Stworzenie miało twardą skórę i splątane futro; Lyra doszła do wniosku, że może to być kliwuch.

Zwierzę potłukło się podczas upadku, a z boku sterczała mu strzała, ale nadal żyło i niezdarnie, lecz z jawnie złymi zamiarami rzuciło się ku dziewczynce. Czarownice nie mogły strzelać, ponieważ trafiłyby Lyrę, na szczęście Will dopadł napastnika jako pierwszy i ciął nożem na odlew. Łeb stworzenia odpadł i potoczył się w dal, a ono samo padło martwe.

Wszystkie oczy zwróciły się w górę, ponieważ walka toczyła się teraz niżej i w świetle ognia widać było pędzące i wirujące pasma czarnego jedwabiu, blade ramiona, zielone igły sosen i szarobrazowe stwory. Will nie potrafił pojąć, w jaki sposób czarownicom udaje się nie spaść z gałęzi podczas gwałtownych manewrów, zwłaszcza, że równocześnie celowały i strzelały.

Kolejny kliwuch spadł do strumienia, za nim jeszcze jeden na sąsiednie skały; oba były martwe. Reszta z piskiem uciekła w ciemność, na północ.

W kilka chwil później na ziemi wylądowała Serafina Pekkala wraz ze swoimi czarownicami oraz jeszcze jedną, piękną czarownicą o dzikim spojrzeniu i policzkach zarumienionych z gniewu i podniecenia.

Czarownica zobaczyła bezgłowego kliwucha i splunęła.

–Nie pochodzą z naszego świata – zauważyła – ani z tego. Wstrętne paskudztwo. Są ich tysiące. Rozmnażają się niczym króliki... A któż to? Czyżby to była Lyra? Tak? Kim jest zatem ten chłopiec?

Dziewczynka popatrzyła z pozoru obojętnie, chociaż czuła, że serce bije jej coraz szybciej, ponieważ nie potrafiła ustać spokojnie obok tak olśniewającej istoty jak Ruta Skadi.

Potem czarownica zwróciła się do Willa, który poczuł drżenie na całym ciele, lecz tak jak Lyra zapanował nad sobą i nie dał po sobie niczego poznać. Ciągle trzymał w ręku nóż, a Ruta domyśliła się, czego nim dokonał przed chwilą, i uśmiechnęła się. Chłopiec wsunął ostrze w ziemię, aby obetrzeć je z krwi odrażającego stworzenia a potem oplukał nóż w strumieniu.

–Serafino Pekkala, jakże wiele się dowiedziałam – odezwała się królowa lotewskich czarownic. – Wszystko, co stare, zmienia się, umiera bądź pustoszeje. Jestem głodna...

Jadła zachłannie jak zwierzę; odrywała kawałki pieczonego ptaka i wpychała do ust garście chleba, popijając mięso wielkimi łykami wody ze strumienia. W tym czasie czarownice wyniosły ciało kliwucha, dorzuciły do ognia i rozstawiły strażę.

Oprócz wartowniczek wszystkie usiadły blisko Ruty Skadi, aby posłuchać jej historii. Czarownica posiliła się i opowiedziała im, jak spotkała się z aniołami, a potem wraz z nimi poleciała do fortecy Lorda Asriela.

–Siostry, to jest największa twierdza, jaką możecie sobie wyobrazić: bazaltowe wały obronne, wznoszące się aż pod niebiosa, szerokie drogi, prowadzące we wszystkie strony, ładunki prochu armatniego, góry jedzenia, zbroje. Nie wiem, jak Asriel zdołał to wszystko wybudować. Chyba przygotowywał tę twierdzę od tysiącleci, zaczął na długo przed naszym narodzeniem, siostry, mimo iż wygląda na tak młodego... Jak to możliwe? Nie wiem. Nie potrafię tego pojąć. Mam wrażenie, że Lord Asriel umie rozkazać czasowi, aby – zależnie od jego woli – biegł szybko lub wolno.

A do jego fortecy – podjęła po chwili piękna czarownica – przybywają rozmaici wojownicy ze wszystkich światów. Mężczyźni i kobiety, tak, a także walczące duchy i zbrojne stworzenia, jakich nigdy wcześniej nie widziałam, jaszczurki i małpy, ogromne ptaki z wypełnionymi trucizną ostrogami, dziwaczne stworzenia o nieznanym mi nazwach. Czy wiedziałyście, siostry, że w innych światach też żyją

czarownice? Rozmawiałam z mieszkankami świata niby podobnego do naszego, choć równocześnie zasadniczo odmiennego. Te czarownice żyją nie dłużej niż ludzie. Są wśród nich i mężczyźni, niektórzy latają tak jak my...

Czarownice z klanu Serafiny Pekkali słuchały opowieści Ruty ze zgrozą, lękiem i niedowierzaniem. Ale ich królowa wierzyła i chciała poznać szczegóły.

— Czy widziałaś Lorda Asriela, Ruto Skadi? Trafiłaś do niego?

—Tak, choć nie było to proste, ponieważ jest bardzo zajęty, kierując tym wszystkim. Stałam się jednak niewidzialna i dotarłam do jego komnaty sypialnej, kiedy przygotowywał się do snu.

Czarownice wiedziały, co było dalej, natomiast Will i Lyra nie mieli o tym pojęcia. W każdym razie, Ruta Skadi nie musiała tego opowiadać.

—A potem go spytałam, po co gromadzi taką armię i czy to prawda, że rzucił wyzwanie Wszechmocnemu, a on się roześmiał. „Ach, więc mówią już o tym na Syberii?”, zapytał. Potwierdziłam i dodałam, że również na Svalbardzie i w ogóle na całej północy, naszej północy. Opowiedziałam mu też o pakcie czarownic, o tym, że opuściłam swój świat, aby go odszukać i wszystkiego się dowiedzieć.

Zaprosił nas, siostry, żebyśmy się do niego przyłączyły – ciągnęła. – Żebyśmy zasilły szeregi jego armii. Żałowałam całym sercem, że nie mogę za nas wszystkie poręczyć. Byłabym szczęśliwa, walcząc po jego stronie wraz z moim klanem. Lord Asriel przekonał mnie, że bunt wobec Boga ludzi jest rzeczą słuszną i prawą, zwłaszcza gdy się weźmie pod uwagę, co Jego przedstawiciele robią w Jego imieniu... Pomyślałam o dzieciach z Bolvangaru i o innych straszliwych okaleczeniach, które widziałam w naszym świecie na południu. Asriel opowiedział mi o kolejnych strasznych okrucieństwach dokonywanych w imieniu Wszechmocnego, mówił na przykład, że w niektórych światach łapią czarownice i palą je żywcem. Tak, tak, siostry, czarownice takie jak my...

Otworzył mi oczy – podjęła po chwili. – Opowiedział o sprawach, o których nie miałam pojęcia, o okrutnych i odrażających czynach popełnianych z Jego imieniem na ustach. Celem Jego ludzi jest niszczenie radości i pełni życia. Och, siostry, zapragnęłam ruszyć wraz z całym moim klanem na tę wojnę. Wiedziałam jednak że najpierw muszę się naradzić z wami, a później wrócić do naszego świata i odbyć naradę z lewą Kasku, Reiną Miti i innymi królowymi klanów czarownic.

Opuściłam więc komnatę Lorda Asriela, odnalazłam moją gałąź z sosny obłocznej i odleciałam. Jednak nie uleciałam daleko, gdyż zerwał się ostry wiatr, który zniósł mnie wysoko w góry i musiałam się schronić na szczycie klifu. Ponieważ wiedziałam, jakie paskudne stworzenia zamieszkują klify, ponownie stałam się niewidzialna i w

ciemnościach usłyszałam głosy. Odniosłam wrażenie, że przypadkowo trafiłam w pobliże gniazda najstarszego kliwucha na ziemi. Był ślepy, toteż inne przynosiły mu jedzenie, czyli śmierdzącą padlinę. Prosiły go też o radę.

„Dziadku – pytały – jak daleko sięga twoja pamięć?”.

„Oj, daleko, daleko wstecz. Na długo, zanim nastali ludzie”, odpowiedział. Jego głos był cichy i drżący.

„Czy to prawda, dziadku, że wkrótce odbędzie się największa w historii bitwa?”.

„Tak, dzieci – odparł – Nawet większa niż ostatnia. Dla nas oznacza ona wspaniały okres dobrobytu. Mnóstwo jedzenia dla wszystkich kliwuchów na świecie”.

„A kto zwycięży, dziadku? Czy Lord Asriel zdoła pokonać Wszechmocnego?”.

„Armia Lorda Asriela liczy miliony istot – odrzekł stary kliwuch. – Zebrał ją ze wszystkich światów. Jego armia jest większa niż ta, która walczyła z Wszechmocnym poprzednio. Jest bardziej karna i ma świetnych dowódców. Siły Wszechmocnego liczą wprawdzie sto razy więcej wojowników, ale sam Bóg jest już bardzo stary, znacznie starszy ode mnie, a Jego oddziały pełne są istot przerażonych bądź zbyt pewnych siebie. Bitwa będzie zacięta. Lord Asriel powinien zwyciężyć, ponieważ jest człowiekiem zapalczym i śmiałym i wierzy, że walczy w słusznej sprawie. Tyle że, moje dzieci... on nie ma aesahaettra. A bez niego zostanie pokonany, on i jego armia. My, w każdym razie, będziemy ucztować całe lata!”.

Stary kliwuch roześmiał się i zabrał do ogryzania śmierdzącej kości, którą mu przynieśli młodszy. Pozostałe kliwuchy piszczały z radości. Domyślcie się, że słuchałam uważnie, ponieważ starałam się dowiedzieć więcej o tym Aesahaetrze, jednak z powodu wycia wiatru dotarło do mnie tylko pytanie młodego kliwucha:

„Skoro Lord Asriel potrzebuje aesahaettra, dlaczego go nie przywoła?”.

A starzec odpowiedział:

„Lord Asriel nie wie więcej o aesahaetrze niż ty, drogie dziecko! To tylko legenda!”. Śmiał się długo i głośno...

Spróbowałam się przybliżyć do tych przebrzydłych stworów, aby się dowiedzieć więcej, a wtedy, siostry, zniknęła moja moc i przestałam być niewidzialna. Młodsze dostrzegły mnie, zaczęły wrzeszczeć i musiałam uciekać z powrotem do tego świata przez niewidzialne wrota w powietrzu. Stado kliwuchów poleciało za mną. Te martwe to ostatnie z grupy.

Jedno jest oczywiste – zakończyła – że Lord Asriel nas potrzebuje, drogie siostry.

Niezależnie od tego, kim jest Aesahaettr, Lord Asriel potrzebuje nas, czarownice! Żałuję, że nie mogę wrócić do niego teraz i powiedzieć: „Nie martw się, my, północne czarownice, przybywamy, aby pomóc ci zwyciężyć...”. Zgódź się, Serafino. Zwołajmy wielką radę wszystkich klanów i ogłoszmy, że przystępujemy do wojny!

Serafina Pekkala popatrzyła na Willa. Chłopcu wydało się, że prosi go o zgodę na coś. Nie potrafił jej jednak udzielić, więc czarownica ponownie spojrzała na Rutę Skadi.

–Nie – stwierdziła. – Musimy pomóc Lyrze w wypełnieniu zadania. Trzeba zaprowadzić Willa do ojca. Zgadza się, że powinnaś polecieć z powrotem do naszego świata, my jednak musimy zostać z Lyrą.

Ruta Skadi z niecierpliwością pokręciła głową.

–No cóż, skoro musicie – mruknęła.

Will położył się, ponieważ rana bardzo go bolała. Ból był silniejszy niż pierwszego dnia. Cała ręka spuchła. Lyra także leżała z Pantalaimonem owiniętym wokół szyi, obserwowała ogień spod na wpół przymkniętych powiek i sennie słuchała głosów czarownic.

Ruta Skadi podeszła do strumienia. Serafina Pekkala ruszyła za nią.

–Ach, Serafino, powinnaś zobaczyć Lorda Asriela – powiedziała cicho lotewska królowa. – Jest najwspanialszym dowódcą, jaki kiedykolwiek istniał. Widać, że nad wszystkim czuwa. Przecież ośmielił się wypowiedzieć wojnę Stwórcy! Hm, a kim twoim zdaniem może być ten Aesahaettr? Dlaczego nigdy o nim nie słyszałyśmy? Czy potrafimy go skłonić, by przyłączył się do Lorda Asriela?

–Nie mam pojęcia, kim on jest, siostrze. Wiemy równie niewiele, jak ten młody kliwuch. Ten stary śmiał się z jego niewiedzy. Aesahaettr znaczy mniej więcej „bóg – niszczyciel”. Wiedziałaś o tym?

–Nie, Serafino, lecz w takim razie słowo to może oznaczać nas, czarownice! Gdyby tak było, pomyśl, jak bardzo wzmocnimy siły Lorda, jeśli się do niego przyłączymy. Ach, mam ochotę wziąć łuk i powystrzelać fanatyków z Bolvangaru oraz z każdego podobnego miejsca! Dlaczego oni to robią, siostrze? W każdym świecie przedstawiciele Wszechmocnego składają swemu okrutnemu Bogu dzieci w ofierze! Dlaczego? Po co?

–Boją się Pyłu – odparła Serafina Pekkala – czymkolwiek on jest...

–A ten chłopiec, którego znalazłaś. Któż to taki? Z jakiego świata pochodzi?

Serafina Pekkala opowiedziała jej wszystko, co wiedziała o Willu.

–Nie wiem, dlaczego jest ważny. My służymy przede wszystkim Lyrze. Aletheiometr wyznaczył jej zadanie. Widzisz, siostró... próbowałyśmy uleczyć ranę chłopca, ale nam się nie udało. Zastosowałyśmy zaklęcie powstrzymujące upływ krwi, lecz nie zadziałało. Może rosnące w tym świecie zioła są mniej skuteczne niż nasze. Jest tu zbyt gorąco dla pięciornika...

–Ten chłopiec ma w sobie coś osobliwego – zauważyła Ruta Skadi. – Przypomina mi Lorda Asriela. Patrzyłaś mu w oczy?

–Prawdę mówiąc – przyznała się Serafina Pekkala – nie miałam śmiałości.

Dwie królowe siedziały przy strumieniu. Milczały. Czas mijał, wschodziły jedne gwiazdy, inne znikaly. Lyra krzyknęła przez sen. Czarownice usłyszały dudnienie grzmotów i dostrzegły piorun igrający nad morzem i podgórzem, na szczęście burza była daleko.

–Ta dziewczynka, Lyra... – odezwała się nagle Ruta Skadi. – Jaka jest jej rola? Jest ważna tylko dlatego, że może doprowadzić chłopca do jego ojca? To wszystko? Nie chodzi o nic więcej?

–Cóż, to jej obecne zadanie. Później będzie miała znacznie więcej do zrobienia. My, czarownice, wiele wiemy o tym dziecku i o jego przeznaczeniu. Znamy też jej prawdziwe imię, które tak bardzo pragnęła poznać pani Coulter, i wiemy jeszcze coś, czego ta kobieta nie wie. Naszą tajemnicę prawie zdradziła czarownica torturowana na statku blisko Svalbardu, szczęśliwym trafem na czas przyszła do niej Yambe – Akka. Hm, tak sobie teraz myślę, że może właśnie Lyra jest tym Aesahaetrem. Nie czarownice, nie anioły, ale właśnie to śpiące dziecko: ostateczna broń w wojnie przeciw Wszechmocnemu. Bo inaczej po co pani Coulter tak bardzo starałaby się ją odnaleźć?

–Pani Coulter była kochanką Lorda Asriela – oświadczyła Ruta Skadi. – A zatem Lyra jest ich dzieckiem Och, Serafino, gdybym ja urodziła mu dziewczynkę, jaką byłaby wspaniałą czarownicą! Królowa królowych!

–Cicho, siostró – szepnęła Serafina. – Coś słyszę A cóż to za światło?

Wstały, zaalarmowane myślą, że coś się prześlizgnęło przez ich strażę, potem dostrzegły jakiś błysk w obozowisku: nie było to światło ogniska, nawet w najmniejszym stopniu go nie przypominało.

Ze strzałami nałożonymi na cięciwy pobiegły cicho w tamtym kierunku. Nagle się zatrzymały.

Wszystkie czarownice spały na trawie, podobnie jak Will i Lyra. Tyle, że dwoje dzieci otaczał tuzin albo i więcej aniołów, które patrzyły na nie z góry.

Wtedy Serafina Pekkala zrozumiała istotę pewnego zjawiska, dla którego w języku czarownic nie było odpowiedniego słowa, zrozumiała pojęcie pielgrzymki. Pojęła, że te istoty czekały tysiące lat i przemierzyły ogromne odległości, byleby tylko znaleźć się w otoczeniu pewnej ważnej osoby i choć na chwilę poczuć jej bliskość. Piękni pielgrzymi stali teraz w aureolach rozrzedzonego światła wokół ubranej w kraciatą spódniczkę dziewczynki o brudnej buzi i okaleczonego chłopca, który marszczył brwi we śnie.

Przy karku Lyry coś się poruszyło i w chwilę później pojawił się Pantalaimon jako śnieżnobiały gronostaj. Sennie otworzył czarne oczy i bez lęku rozejrzał się dokoła. Gdy Lyra się obudzi, będzie sądziła, iż anioły jej się tylko przyśniły. Jej dajmona najwyraźniej nie zdziwiła ciekawość świetlistych istot, wkrótce bowiem ponownie owinął się wokół szyi swej pani i zasnął.

W końcu jeden z aniołów rozłożył szeroko skrzydła. Inne, stojąc blisko siebie, poszły za jego przykładem, a wówczas ich skrzydła przenikały się jak światło. Śpiące na trawie dzieci otoczył promienny krąg.

Potem istoty kolejno wzbiły się w powietrze. Niczym płomień wzniosły się w niebo, a następnie każdy anioł przybrał pozycję pionową, ogromniejąc nad głowami czarownic. W chwilę później były już daleko, wyglądały jak mknące ku północy gwiazdy.

Serafina i Ruta Skadi wskoczyły na sosnowe gałęzie i podążyły za nimi w górę, lecz wkrótce zostały daleko w tyle.

–Czy podobnie wyglądały stworzenia, z którymi leciałaś, Ruto Skadi? – spytała Serafina, kiedy zatrzymały się w pół drogi i już tylko obserwowały świetliste płomień, które znikają na horyzoncie.

–Te były chyba większe, lecz z pewnością należały do tego samego rodzaju. Zauważyłaś, że nie mają ciał? Całe składają się ze światła. Ich zmysły zapewne również bardzo się różnią od naszych... Serafino Pekkala, opuszczę cię teraz, zamierzam bowiem zwołać zgromadzenie wszystkich czarownic z naszej północy. Kiedy znowu się spotkamy, będzie wojna. Bądź zdrowa, moja droga...

Objęły się w powietrzu, potem Ruta Skadi odwróciła się i pospiesznie ruszyła na południe.

Serafina przez chwilę obserwowała jej lot, po czym jeszcze raz spojrzała na ostatniego widocznego anioła. Czuła dla tych wielkich istot jedynie współczucie. Jakże wielka tęsknota musiała przenikać ich serca! Przecież nigdy nie czuły ziemi

pod stopami, wiatru we włosach ani dotyku światła gwiazd na gołej skórze! Z tą myślą królowa klanu czarownic oderwała małą gałązkę od gałęzi sosnowej, na której leciała, i z zachłanną przyjemnością wciągnęła w nozdrza ostry, żywiczny zapach. Następnie powoli zaczęła opadać ku trawie, aby się przyłączyć do śpiących czarownic i dzieci.

WĄWÓZ ALAMO

Lee Scoresby spoglądał w dół na spokojny ocean leżący po lewej stronie i zielony brzeg po prawej. Przysłonił oczy, szukając śladu ludzkich istot. Minął już dzień i noc, odkąd opuścili krainę nad Jenisejem.

–Czy to jest już nowy świat? – spytał.

–Nowy dla tych, którzy się w nim nie urodzili – odparł Stanislaus Grumman – lecz w sensie obiektywnym równie stary jak mój czy pański. To, co zrobił Asriel, wstrząsnęło nimi wszystkimi, panie Scoresby, wstrząsnęło nimi tak mocno, jak nigdy. Te drzwi i okna, o których panu wspominałem, otwierają się obecnie w zupełnie nieoczekiwanych miejscach. Wprawdzie trudno się steruje, lecz wiatr jest pomyślny.

–Nowy czy stary, to dziwny świat – zauważył Lee.

–Tak – przyznał Stanislaus Grumman. – Rzeczywiście, choć równocześnie trochę mi przypomina mój własny.

–Wygląda na opustoszały – mruknął Lee.

–Nie. Za tym przylądkiem leży miasto, które było kiedyś wielkie i bogate. Ciągłe mieszkają w nim potomkowie twórców jego świetności – kupców i szlachetnie urodzonych panów, chociaż trzysta lat temu zaczęło podupadać...

Balon unosił się dalej. Po paru minutach Lee zobaczył latarnię, potem łuk kamiennego falochronu, wreszcie wieże, kopuły i czerwonobłękitne dachy pięknego miasta zbudowanego wokół portu. Był tam też wielki, przypominający operę budynek wśród bujnych ogrodów, szerokie bulwary z eleganckimi hotelami i małe uliczki, gdzie ciężkie od kwiecia gałęzie drzew zwisały nad zacienionymi balkonami.

Grumman miał rację – rzeczywiście mieszkają tu żywe istoty. Kiedy jednak lecieli nad miastem, Lee zaskoczony dostrzegł same dzieci. W polu widzenia nie było żadnego dorosłego. Dzieci bawiły się na plaży, wbiegały lub wybiegały z kawiarni, jadły, piły albo wносиły z domów i sklepów torby pełne towarów. Kilku chłopców biło się, rudowłosa dziewczynka zagrzewała ich do walki, a mały chłopczyk rzucał kamieniami, starając się wybić wszystkie okna w sąsiednim budynku. Całość wyglądała jak plac zabaw wielkości miasta; nie było widać żadnego nauczyciela. Dziecięcy świat.

Lee zauważył, że poza dziećmi był w mieście „ktoś” jeszcze, chociaż musiał przetrzeć oczy, by wykluczyć halucynacje. Nie miał jednak wątpliwości: dostrzegł kolumny mgły lub czegoś rzadszego niż mgła... Jakieś zagęszczenie powietrza... Czymkolwiek były te „istoty”, mnóstwo ich unosiło się nad bulwarami, wpływało do

domów, gromadziło się na placach i dziedzińcach. Dzieci najwyraźniej ich nie widziały.

Lee obserwował zachowanie stworów i zauważył, że interesują się niektórymi dziećmi i podążają za nimi, zwłaszcza za starszymi, które (o ile Lee dobrze widział przez teleskop) zbliżały się do wieku dojrzewania. Pewnego chłopca, wysokiego, szczupłego młodzieńca z burzą czarnych włosów przezroczyste istoty otaczały tak ściśle, że jego sylwetka wydawała się migotać w powietrzu. Krążyły jak muchy wokół mięsa. A chłopiec nie miał o niczym pojęcia, chociaż od czasu do czasu przecierał oczy lub potrząsał głową, jak gdyby pragnął widzieć wyraźniej.

–Do diabła, cóż to za potwory? – spytał Lee.

–Ludzie nazywają je upiorami.

–Czym właściwie są?

–Słyszałeś o wampirach?

–Och, to tylko opowieści.

–Wampiry karmią się krwią, natomiast pożywienie upiorów stanowi ludzka uwaga, świadomość i zainteresowanie otaczającym światem. Nie pociągają ich niedojrzałe dzieci.

–Są zatem przeciwieństwem tych diablów z Bolvangaru.

–Myli się pan. Zarówno Radę Oblacyjną, jak i Upiory Obojętności fascynuje niewinność przeciwstawna doświadczeniu. Przedstawiciele Rady Oblacyjnej boją się i nienawidzą Pyłu, a upiory żywią się nim, ale jedni i drudzy są opętani.

–Gromadzą się wokół tamtego chłopca...

–Ten młody człowiek dorasta. Wkrótce go zaatakują, a wówczas stanie się znieruchomiałym, obojętnym nieszczęśnikiem. Jest skazany.

–Na świętego Piotra! Nie możemy go uratować?

–Nie. Upiory natychmiast by się nami zajęły. Tu na górze nie mogą nas dosięgnąć. Możemy tylko obserwować i lecieć dalej.

–Ale gdzie są dorośli? Nie powie mi pan, że cały ten świat zamieszkują jedynie dzieci?

–Te dzieci to społeczne sieroty. Dorośli uciekli, a one łączą się w grupy i włóczą po tym świecie. Starają się przeżyć. Miasto jest pełne wszelakiego dobra, w każdym

razie nie głodują. Prawdopodobnie bardzo wiele upiorów zaatakowało miasto, więc dorośli odeszli w bezpieczniejsze miejsca. Zauważył pan, jak niewiele łodzi stoi w porcie? Dzieciom na razie nic nie grozi.

–Starszym dzieciom jednak tak. Na przykład temu biednemu chłopcu...

–Panie Scoresby, tak się dzieje w tym świecie. Jeśli chce pan położyć kres okrucieństwu i niesprawiedliwości, musimy lecieć dalej. Mam do wykonania zadanie.

–Wydaje mi się... – zaczął Lee, szukając słów. – Wydaje mi się, że z okrucieństwem należy walczyć tam, gdzie się je dostrzeże. Tam jesteśmy potrzebni. Czy się mylę, doktorze Grumman? Jestem tylko niewykształconym aeronautą. Na wielu sprawach się nie znam. Ktoś mi na przykład kiedyś powiedział, że szamani posiadają dar latania. Uwierzyłem mu, a teraz mam przed sobą szamana, który nie lata.

–Och, ależ potrafię latać.

–W jaki sposób pan to robi?

Teren stawał się wyższy, toteż balon unosił się teraz niżej nad powierzchnią ziemi. Bezpośrednio pod lecącymi pojawiła się kwadratowa, kamienna wieża. Lee niemal nie zwrócił na nią uwagi.

–Gdy uznałem – stwierdził Grumman – że muszę odbyć podróż powietrzną, wezwałem pana. No i teraz lecę.

Szaman doskonale zdawał sobie sprawę, że wieża znajduje się zbyt blisko i mogą w nią uderzyć, starał się jednak zachować spokój, wierząc, że aeronauta wie, co robi. I rzeczywiście. W pewnym momencie Lee Scoresby przechylił się nad burtą kosza i pociągnął za sznurek jednego z balastowych worków. Piasek wysypał się, a balon miękko unióśł się w powietrze mniej więcej dwa metry od budowli, płosząc stadko około tuzina zaniepokojonych i kraczących kruków.

–Pewnie ma pan rację – przyznał Lee. – Działa pan w niezwykle sposób, doktorze Grumman. Czy przebywał pan kiedyś wśród czarownic?

–Tak – odparł szaman. – A także wśród członków Akademii oraz wśród duchów. I powiem panu, że wszędzie można znaleźć szczyptę szaleństwa, ale i ziarno mądrości. Część wiedzy mi umknęła, nie potrafiłem z niej czerpać garściami. Życie jest ciężkie panie Scoresby, lecz wszyscy trzymamy się go z całych sił.

–A nasza podróż? To szaleństwo czy przejaw mądrości?

–Z tą podróżą łączy się najważniejsza wiedza, jaką mam.

–Proszę mi opowiedzieć o pańskim celu. Zamierza pan odnaleźć strażnika noża, prawda? I co wtedy?

–Poinformować go o jego zadaniu.

–Z którym się wiąże ochrona małej Lyry – przypomniał mu aeronauta.

–Ochrona nas wszystkich.

Lecieli dalej i wkrótce miasto zniknęło w tyle.

Lee sprawdził urządzenia pokładowe. Igła kompasu nadal szalała wokół tarczy, lecz wysokościomierz funkcjonował bez zarzutu (tak przynajmniej sądził aeronauta) i pokazywał, że lecący równoległe do morskiego brzegu balon wznosi się na wysokości około trzystu metrów nad poziomem morza. Przed podróżnikami pojawiła się lekko zamglona linia wysokich wzgórz i Lee był zadowolony, że zabrał tak wiele balastu.

Kiedy jednak dokładnie się wpatrzył w horyzont, poczuł lekkie ukłucie w sercu. Hester również się zaniepokoiła, zastrzygła uszami i odwróciła łebek w taki sposób, że spojrzenie jednego z jej złotoorzechowych oczu spoczęło na twarzy Lee. Aeronauta podniósł dajmonę i wsunął ją sobie za połę płaszcza, po czym ponownie spojrział przez teleskop.

Nie mylił się. Daleko za nimi, na południu (o ile przybyli z tego kierunku) we mgle unosił się inny balon. Z powodu gorącego, rozmigotanego powietrza i sporej odległości trudno było dostrzec szczegóły, jednak ten drugi balon wydawał się większy i leciał wyżej. Grumman również go zauważył.

–Czy to wrogowie, panie Scoresby? – spytał, przysłaniając oczy, aby lepiej się przyjrzeć w perlistym świetle.

–Nie może być co do tego wątpliwości. Nie jestem tylko pewny, czy zrzucić balast, wzlecieć wyżej i złapać szybszy wiatr, czy też pozostać nisko, gdzie mniej się rzucamy w oczy. Na szczęście nasz przeciwnik nie leci zeppelinem, wtedy bowiem dogoniłby nas w kilka godzin. Hm, doktorze Grumman, niech to cholera, chyba polecę wyżej, ponieważ skoro dostrzegłem tamten balon, zapewne oni również dostrzegli nasz.

Postawił Hester na podłodze, wychylił się i wyrzucił trzy worki z piaskiem. Balon natychmiast się wzniósł. Lee patrzył przez teleskop.

W minutę później był już całkowicie przekonany, że zostali zauważeni, ponieważ w koszu drugiego balonu zapanowało zamieszanie, a następnie pojawił się rozbłysk, który przez moment świecił intensywną czerwienią, po czym rozwiązał się w obłoku

szarego dymu. Widok ten zaalarmował aeronautę.

–Doktorze Grumman, czy może pan przywołać mocniejszy wiatr? – spytał. – Chciałbym dotrzeć do tych wzgórz przed zmrokiem.

Opuszczali już linię brzegową i pod nimi znajdowała się szeroka na sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt kilometrów zatoka. Za nią ciągnęło się pasmo wzgórz, a właściwie gór – Lee dostrzegł to dopiero teraz, gdy balon nabrał trochę wysokości.

Odwrócił się do Grummana, ten jednak zapadł już w głęboki trans. Oczy miał zamknięte, kropelki potu znaczyły jego czoło, ciało kołysało się łagodnie w przód i w tył, z gardła mężczyzny dobywał się niski, rytmiczny jęk. Dajmona szamana, również skupiona, siedziała n krawędzi kosza.

Po chwili – dzięki psychicznej sile Grummana albo jakiemuś zaklęciu – w twarz Lee rzeczywiście uderzył mocniejszy podmuch wiatru. Aeronauta podniósł oczy aby sprawdzić czaszę, i ocenił, że jego balon leci teraz w kierunku gór o stopień czy dwa szybciej.

Pod wpływem wiatru przyspieszył lot również drugi balon. Nie zbliżał się wprawdzie, ale także nie zostawał w tyle. I kiedy Lee ponownie zwrócił ku niemu teleskop zobaczył za balonem ciemniejsze i mniejsze kształty. Leciały w równej odległości i z każdą chwilą stawały się coraz lepiej widoczne.

–Zeppelin – zauważył. – Tutaj nie uda nam się ukryć.

Próbował oszacować, jak daleko jego balon znajduje się zarówno od maszyn wrogów, jak i od gór, ku którym zmierzał. Sterowce leciały znacznie szybciej niż oba balony. W dole wiatr poruszał białymi grzywami fal.

Grumman odpoczywał, siedząc w narożniku kosza. Jego dajmona czyściła sobie pióra. Oczy szamana były zamknięte, Lee jednak wiedział, że mężczyzna nie śpi.

–Sytuacja jest niewesoła, doktorze Grumman – stwierdził. – Nie mogę dać się dogonić tym zeppelinom w powietrzu, ponieważ nie zdołam się przed nimi bronić. Dopadłyby nas w minutę. Nie zamierzam też lądować w wodzie ani dobrowolnie, ani pod przymusem. Przez jakiś czas płynęlibyśmy, lecz szybko obrzuciliby nas granatami i zatopili. Postaram się zatem dotrzeć do tych wzniesień i tam wylądować. Widzę stąd las. Możemy się ukryć między drzewami. Słońce jest coraz niżej. Do jego zachodu, według moich obliczeń, pozostało około trzech godzin. Nie mam stuprocentowej pewności, ale wydaje mi się, że te zeppelin lecą dwa razy szybciej niż my, jednak zanim nas dogonią, powinniśmy dotrzeć do drugiego brzegu zatoki. Rozumie pan mój plan – dodał po chwili. – Dolecimy do tych wzniesień, tam wylądujemy, w przeciwnym razie grozi nam pewna śmierć. Tamci skojarzą pierścień, który im pokazałem, ze Skraelingiem zabitym przeze mnie w Nowej Zemбли. A zatem,

doktorze Grumman, dziś wieczorem zakończymy ten lot. Czy lądował pan kiedykolwiek balonem?

–Nie – odparł szaman. – Ale ufam pańskiej zręczności.

–Postaram się maksymalnie zbliżyć do tego pasma. To kwestia wyczucia, ponieważ im dłużej lecimy, tym bardziej tamci się do nas zbliżają. Jeśli zdecyduję się lądować zbyt późno, nie zdążymy się przed nimi ukryć, jeśli zbyt wcześnie, nie dotrzemy do drzew i nie będziemy się mieli gdzie schronić. Tak czy owak, nie uda nam się chyba uniknąć strzelaniny.

Grumman siedział z obojętną miną i przekładał z ręki do ręki magiczny totem przyozdobiony piórami i paciorkami; Lee podejrzewał, że jest w tym działaniu jakiś cel. Dajmona szamana ani na moment nie spuszczała oczu z zeppelinów.

Minęła godzina, potem następna. Lee żuł niezapalone cygaro i sącył zimną kawę z cynowej flaszki. Słońce zachodziło na niebie z tyłu za balonem, długi cień wieczoru przesuwiał się wzdłuż brzegu zatoki, potem zaczął się wspinać na niższe stoki wzniesień; balon i górskie szczyty pozostawały jeszcze skąpane w słonecznym złocie.

Małe punkty lecących sterowców – mimo iż nieco zamglone w świetle zachodzącego słońca – stawały się z każdą minutą większe i lepiej widoczne. Gdy zrównały się z drugim balonem, można je już było dostrzec gołym okiem; cztery leciały obok siebie. Ciszę rozległej zatoki zakłócał teraz warkot ich silników, na razie cichy, lecz wyraźny i natarczywy. Przypominał brzęczenie komarów. Balon Lee dzieliła od pasma wzniesień jeszcze spora odległość, kiedy aeronauta zauważył coś za zeppelinami. Na tle oświetlonego słonecznymi promieniami nieba chmury zaczęły się zbijać w gęstą masę, wznosząc się kilkaset metrów nad ziemią. Lee z niesmakiem pokręcił głową, zastanawiając się, w jaki sposób mógł przeoczyć nadejście burzy. Uświadomił sobie, że im szybciej wylądują, tym lepiej.

W chwilę później pod chmurami pojawiła się ciemnozielona ściana deszczu. Burza ścigała zeppeliny, tak jak one balon Lee. Deszcz nadciągał znad morza, szybko przesuwając się ku sterowcom. Słońce zniknęło, pojawiła się ogromna błyskawica, a po kilku sekundach usłyszeli tak głośny huk, że zatrzęsł czasą balonu i przez długi czas odbijał się echem od gór.

Później zobaczyli kolejny błysk pioruna, który tym razem uderzył w jeden z zeppelinów. Gaz maszyny zapalił się: jaskrawy kwiat płomienia rozkwitł na tle sinociemnych chmur i maszyna, świecąc niczym morska latarnia, zaczęła powoli opadać, aż spoczęła na wodzie, nie gasnąc.

Lee wypuścił z płuc wstrzymywane przez długą chwilę powietrze. Grumman stał

obok niego, jedną ręką przytrzymując się pierścienia zawieszenia. Jego twarz żłobiły głębokie zmarszczki sugerujące wielkie znużenie.

–Czy to pan sprowadził tę burzę? – spytał Lee.

Szaman skinął głową.

Niebo zabarwiło się teraz niczym tygrys: pasy złota przeplatały obszary głębokiej brązowej czerni, następnie w krótkim czasie złotą barwę pochłonęła brązowa czerń. Morze również zmieniło się w wielobarwną mieszaninę czarnej wody i połyskującej piany; płonący zeppelin zatonął i wraz z nim zniknęły ostatnie jaskrawe błyski ognia.

Niestety, pozostałe trzy maszyny leciały naprzód i mimo silnych podmuchów wichury utrzymywały kurs, pioruny błyskały wokół nich. Burza zbliżała się i Lee zaczął się bać o gaz w czaszy własnego balonu; wystarczyłoby jedno uderzenie pioruna i podróżnicy spadną na ziemię w płomieniach. Aeronauta obawiał się, że szaman nie potrafi tak kontrolować burzy, by ich ominęła.

–Doktorze Grumman – odezwał się – zamierzam zignorować sterówce i całkowicie się skoncentrować na locie w stronę gór, a później na bezpiecznym lądowaniu. Chciałbym, żeby siedział pan w bezruchu, trzymając się krawędzi kosza. Proszę się przygotować do skoku na mój znak. W odpowiednim momencie dam sygnał i postaram się osiąść na powierzchni jak najłagodniej, ale w tych warunkach lądowanie zależy nie tylko od mojej zręczności, lecz także od szczęścia.

–Ufam panu, panie Scoresby – oświadczył szaman.

Usiadł wyprostowany w narożniku kosza; jego dajmona usadowiła się na pierścieniu zawieszenia i wbiła pazury głęboko w skórzaną osłonę.

Wiatr silnie dmuchał w balon. Wielka czasza chwiała się i falowała. Liny skrzypiały i naprężały się, lecz Lee był pewny, że wytrzymają. Wyrzucił kolejną partię balastu i z uwagą obserwował wysokościomierz. Wiedział, że podczas burzy spada ciśnienie powietrza i trzeba skompensować różnicę wysokości, bardzo często obliczając ją „na oko”. Aeronauta spojrzął na cyfry, dwukrotnie je sprawdził, a następnie zrzucił pozostałe worki z piaskiem, pozbywając się balastu. Teraz jedynym regulatorem wysokości pozostał zawór gazu. Balon nie mógł już wznieść się wyżej, należało lądować.

Lee wpatrzył się uważnie w burzowe chmury i w wielką masę gór, czarną na tle ciemniejących niebios. Z dołu dobiegł go gwałtowny szum przypominający huk przybrzeżnej fali uderzającej w kamienistą plażę, aeronauta wiedział jednak, że to tylko wiatr szarpie liśćmi drzew. Więc burza już tu dotarła! Poruszała się niezwykle szybko! Lee wiedział, że nie może się zbyt długo wahać. Był człowiekiem zbyt

opanowanym, aby się złościć na swój los. Wszystkie zdarzenia witał zwykle zaledwie sceptycznym uniesieniem brwi; tym razem jednak poczuł rozpacz, ponieważ zdał sobie sprawę, że jeśli postąpi tak jak powinien – czyli pozwoli się ponieść burzy – zostanie zestrzelony przez wroga.

Podniósł Hester i wsunął ją sobie za pazuchę, po czym szczelnie zapiął płócienny płaszcz, aby dajmona nie wypadła. Grumman trwał w bezruchu, poważny i spokojny. Jego smagana wiatrem dajmona wbiła się mocno pazurami w obrzeże kosza; porywy wichury podnosiły jej wszystkie pióra.

–Opadamy, doktorze Grumman! – aeronauta starał się przekrzywić burzę. – Proszę wstać i przygotować się do skoku. Niech pan się chwyci pierścienia. Kiedy zawołam, wyskoczy pan.

Grumman nie sprzeciwiał się. Lee spojrzał w dół, potem przed siebie, znowu w dół i ponownie przed siebie, wypatrując najmniejszego choćby światełka. Co jakiś czas ścierał z twarzy strugi deszczu; nagły szkwał przyniósł krople ciężkie jak garście żwiru i ich klekotanie połączyło się z wyciem wiatru oraz szumem liści, powodując straszliwy zgiełk, w którym aeronauta niemal nie słyszał grzmotów.

–Ależ ulewa! – krzyknął. – Niezłą burzę pan nam zgotował, szamanie.

Lee szarpnął linę zaworu gazu i okręcił ją wokół klina, dzięki czemu zawór pozostał otwarty. Gdy niewidoczny gaz zaczął się z sykiem wydostawać, czasa balonu – jeszcze przed minutą wypukła – zaczęła zmieniać kształt.

Miotany wiatrem kosz gwałtownie przechylał się na boki. Istniało niebezpieczeństwo, że wichura rzuci balon w niebo. Na szczęście, po mniej więcej minucie aeronauta poczuł nagłe szarpnięcie i wiedział, że kotwica zaczepiła się o gałąź. Niestety, zatrzymali się tylko na chwilę, ponieważ gałąź się złamała. Dzięki temu zdarzeniu Lee ocenił wysokość lecącego balonu.

–Jesteśmy sto pięćdziesiąt metrów ponad drzewami! – krzyknął.

Szaman skinął głową.

Balonem szarpnęło ponownie, tym razem gwałtowniej. Pęd powietrza z ogromną siłą rzucił obu mężczyzn ku obrzeżu kosza. Aeronauta był do tego przyzwyczajony, więc natychmiast odzyskał równowagę, natomiast zaskoczony Grumman nie zdążył odpowiednio zareagować. Na szczęście, udało mu się nie wypuścić z rąk pierścienia utrzymującego zawieszenie. Lee zobaczył, że szamanowi nic się nie stało, był nawet gotów do skoku.

W chwilę później balonem szarpnęło niezwykle gwałtownie, lecz po raz ostatni, kotwica zaczepiła bowiem wreszcie mocno o gałąź. Kosz od razu się przechylił i po

sekundzie wpadł między wierzchołki drzew, między chłostające, wilgotne liście, trzaskające gałązki i skrzypiące, nadwerężone ciągłym szarpaniem konary.

–Jest pan tam, doktorze Grumman?! – zawołał Lee, ponieważ wokół panowała ciemność.

–Tak, panie Scoresby.

–Proszę się nie ruszać, póki balon się nie zatrzyma – polecił Lee, ponieważ kosz kołysał się szaleńczo na wietrze, a obaj podróżnicy wraz z nim.

Czaszą ciągle gwałtownie szarpało na boki; była już prawie pusta i reagowała na wiatr podobnie jak żagiel. Lee przemknęło przez myśl, aby ją odciąć, wiedział jednak, że gdyby nie udało mu się całkowicie przeciąć liny, materiał zawisłby nad wierzchołkami drzew niczym transparent, zdradzając ich pozycję sterowcom; aeronauta doszedł więc do wniosku, że lepiej spróbować ją zwinąć.

Rozjarzyła się kolejna błyskawica, a po sekundzie rozległ się grzmot. Burza szalała już prawie nad głowami podróżników. W błysku światła Lee dostrzegł pień dębu z wielką, białą raną po częściowo odłamanej gałęzi. Na niej opierał się kosz.

–Wyrzucę linę i spuszczę się po niej! – krzyknął. – Gdy staniemy na ziemi, zastanowimy się, co robić dalej.

–Podążę za panem, Scoresby – oświadczył Grumman. – Moja dajmona twierdzi, że grunt znajduje się dwanaście metrów pod nami.

W tym momencie Lee usłyszał odgłos uderzających skrzydeł. Rybołów, dajmona Grummana, usadowiła się ponownie na obrzeżu kosza.

–Potrafi się tak bardzo oddalić? – spytał zaskoczony, lecz po chwili zapomniał o tym zdarzeniu i zaczął zabezpieczać linę: najpierw mocował ją do pierścienia zawieszenia, potem do gałęzi; nawet jeśli kosz by się osunął, nie spadłby na ziemię.

Potem przerzucił resztę liny i zsunął się po niej (Hester siedziała bezpiecznie przy jego piersi), aż poczuł pod stopami twardą ziemię. Drzewo – gigantyczny dąb – okazało się naprawdę wysokie, a najniższe gałęzie bardzo grube. Lee odetchnął z ulgą i szarpnął linę, dając sygnał Grummanowi, że dotarł.

Nagle wydało mu się, że w zgiełku słyszy jakiś szczególny dźwięk, i zaczął nasłuchiwać. Tak, z góry dobiegał łoskot silnika zeppelin, a może nawet kilku. Lee nie miał pojęcia, na jakiej wysokości znajdują się maszyny ani w jakim kierunku lecą. Warkot słyhać było przez mniej więcej minutę, później ucichł.

Szaman zeskoczył na ziemię.

–Słyszał pan? – spytał Lee.

–Tak. Sądzę, że lecą w stronę gór. Gratuluję panu bezpiecznego lądowania, Scoresby.

–To jeszcze nie koniec naszych zmagañ. Przed świtem chciałbym schować gdzieś balon, w przeciwnym razie zdradzi naszą pozycję z odległości wielu kilometrów. Nadaje się pan do pracy fizycznej, doktorze Grumman?

–Proszę mi tylko powiedzieć, co mam robić.

–Dobrze. Zamierzam się wspiąć po linie. Spuszczę panu na niej kilka rzeczy, między innymi namiot. Proszę go rozbić, a ja tymczasem spróbuję ukryć balon.

Pracowali przez długi czas. W pewnej chwili wspierająca kosz gałąź w końcu się złamała i odrywając się, pociągnęła Lee za sobą; na szczęście nie upadł na ziemię, ponieważ materiał balonu nadal wisiał wśród wierzchołków drzew i utrzymywał kosz.

Upadek właściwie ułatwił aeronauce zadanie, ponieważ ściągnął nieco w dół pustą czaszę, tym samym częściowo ją ukrywając. Lee pracował dalej przy błyskach piorunów: szarpał, zwijał i ciągnął, aż udało mu się umieścić balon wśród niższych gałęzi.

Wiatr ciągle szarpał koronami drzew, chociaż deszcz już słabł. Aeronauta uznał, że nie jest w stanie zrobić nic więcej. Zeskoczył z drzewa i zobaczył, że szaman nie tylko ustawił namiot, ale jakimś sposobem rozpałił ognisko i parzył kawę.

–Dokonał pan tego za pomocą magii? – spytał Lee. Przemoknięty i zeszywniały, wziął kubek z ręki Grummana i schronił się w namiocie.

–Nie, moją wiedzę zawdzięczam skautom – odparł Grumman. – Nie ma w pańskim świecie skautów? „Czuwaj!”... No cóż, prawda jest taka, że ze wszystkich sposobów rozpalania ognia, najlepszy to sucha zapałka. Nigdy nie podróżuję bez nich. Mogliśmy trafić gorzej, panie Scoresby.

–Słyszał pan ponownie te zeppelin?

Grumman podniósł rękę, Lee wytężył słuch i w słabnącym deszczu rzeczywiście usłyszał łoskot silnika.

–Krażą nad nami – oświadczył Grumman. – Nie wiedzą, gdzie jesteśmy, podejrzewają jednak, że gdzieś w tej okolicy. W minutę później na niebie od strony, w którą odleciały sterowce, pojawiła się migocząca łuna. Była mniej jaskrawa niż błyskawica i widoczna przez dłuższy czas. Lee wiedział, że coś wybuchło.

–Musimy zgasić ogień, doktorze Grumman – stwierdził. – Lepiej nie ryzykować. Listowie jest tu gęste, ale nigdy nic nie wiadomo. Teraz zamierzam się przespać, chociaż jestem przemoczony.

–Do rana pan wyschnie – powiedział szaman. Wziął garść mokrej ziemi i cisnął nią w płomień, a Lee jak najwygodniej ułożył się w małym namiocie i zasnął.

Nawiedzały go dziwne i sugestywne sny. W pewnym momencie odniósł wrażenie, że się obudził i zobaczył siedzącego ze skrzyżowanymi nogami szamana, otoczonego płomieniami, które szybko trawiły jego ciało; w końcu pozostał tylko biały szkielet, ciągle siedzący w kopcu jarzących się popiołów. Przerażony Lee zaczął szukać Hester. Okazało się, że jego milcząca, często ironiczna dajmona śpi, choć zawsze czuwała wraz z nim. Wydała mu się bardzo delikatna i podatna na zranienie; ten niesamowity widok poruszył aeronautę do głębi, położył się więc obok niej i leżał niespokojnie przez długi czas. W rzeczywistości cała sytuacja mu się przyśniła.

Następny sen również wiązał się z Grummanem. Lee zobaczył we śnie szamana, który potrząsał przystrojoną piórami grzechotką i żądał od jakiejś istoty posłuszeństwa. Ową istotą (gdy Lee ją rozpoznał, poczuł mdłości) był upiór podobny do tych, które widzieli z balonu. Był duży, prawie niewidzialny i wywoływał w aeronaucie takie nudności, że mężczyzna obudził się niemal w panice. Grumman bez lęku rozkazywał tej dziwacznej istocie, nie doznając najmniejszej krzywdy. Upiór wysłuchiwał go uważnie, a potem uniósł się w powietrze niczym bańka mydlana, po czym zniknął wśród gałęzi.

W trzecim śnie tej wyczerpującej nocy Lee znalazł się w kokpicie zeppelinu i obserwował pilota; ściśle rzecz biorąc, aeronauta siedział na siedzeniu drugiego pilota. Krążyli nad lasem, patrzyli w dół na miotane dzikim wiatrem wierzchołki drzew, na rozszalałe morze liści i gałęzi. Nagle w kabinie pojawił się upiór.

Skrępowany sennym koszmarem Lee nie był w stanie ani się poruszyć, ani krzyczeć. Wyczuwał też przerażenie pilota, gdy patrzył, co się dzieje. Upiór pochylił się nad biednym mężczyzną i przycisnął do niego swoją dziwaczną twarz. Dajmona pilota, zięba, trzepotała skrzydełkami, krzyczała i próbowała odciągnąć odrażającą istotę, lecz tylko upadła na wpół zemdlona na tablicę przyrządów sterowca. Pilot odwrócił się ku Lee i wyciągnął rękę, jednak aeronauta nadal nie panował nad swym ciałem, trwając w bezruchu, mimo iż udręka w oczach towarzysza poruszała go do głębi. Lee był świadkiem, jak upiór wysąca z drugiego człowieka życie. Dajmona pilota trzepotała coraz słabiej i skrzeczała dzikim, wysokim głosem. Potem zniknęła.

Pilot jednakże jeszcze ciągle żył. Oczy mu się zamgliły, patrzył tępo w dal, powolnym ruchem cofnął wyciągniętą w stronę aeronauty dłoń i z głuchym łoskotem opuścił ją na przepustnicę maszyny. Był, a równocześnie nie był, żywy – zubożył na wszystko.

Lee siedział i patrzył bezradnie przed siebie. Zeppelin unosił się ku górom. Pilot obserwował je bez zainteresowania. Przerażony aeronauta przycisnął plecy do oparcia fotela, nic nie zatrzymywało maszyny, która leciała prosto ku urwisku.

–Hester! – krzyknął i w tym momencie się obudził.

Był w namiocie, bezpieczny, a dajmona ocierała się o jego policzek. Lee spociał się. Szaman siedział ze skrzyżowanymi nogami, lecz na jego widok aeronauta poczuł dreszcz, ponieważ mężczyźni nie towarzyszyła dajmona – rybołów. Pomyślał, że ten las jest złym miejscem pełnym nawiedzających człowieka zjaw.

Nagle uświadomił sobie, że światło wokół szamana nie jest naturalne, ponieważ ogień zgasili przed wieloma godzinami i las tonął w całkowitej ciemności. Gdzieś daleko przed sobą aeronauta dostrzegł migotanie odbite od pni drzew i opadających liści. Od razu wiedział, co ten fakt oznacza: jego sen sprawdził się, a zeppelin wraz z pilotem rzeczywiście uderzył w zbocze.

–Do diabła, Lee, drżysz jak liść osiki. Co z tobą? – gderwała Hester, strzygąc długimi uszami.

–Nie miałaś tego snu, Hester? – wymamrotał.

–Tobie się również nic nie śniło, Lee. To było widzenie. Nie wiedziałam, że jesteś takim czarodziejem... Ale nie myśl już o tym, dobrze?

Pogłaskał łeb zajęzycy kciukiem, a jego dajmona potrząsnęła uszami.

Po chwili niespodziewanie aeronauta uniósł się w powietrze obok dajmony szamana, rybołowa imieniem Sayan Kótór. Na obecność dajmony innego człowieka i na oddalenie od własnej ciała Lee zareagowało silnym pulsowaniem. Wiedział, że popełnia wielkie przestępstwo, a jednocześnie czuł osobliwą przyjemność. Szybowali – jak gdyby aeronauta również był ptakiem – ponad lasem na niespokojnych prądach wstępujących, a Lee rozglądał się wokół w ciemnościach, zalanych w tej chwili bladą luną księżyca w pełni, która przedzierała się od czasu do czasu przez niewielką szczelinę w pokrywie chmur i otaczała wierzchołki drzew srebrzystym pierścieniem.

Rybołów wydał z siebie chrapliwy okrzyk i z dołu odpowiedziały mu tysiące ptasich głosów: pohukiwanie sów, alarmujące piski małych wróbli, piękne trele słowika. Sayan Kótór zwoływała ptaki, które odpowiadały na jej zew. Wszystkie ptaki w lesie – niezależnie od tego, czy dany osobnik właśnie polował, bezgłośnie machając skrzydłami, czy też spał – ruszyły z trzepotem w górę; w powietrzu pojawiły się ich tysiące.

Lee poczuł, że część jego natury jest ptasia, i radością zareagował na rozkaz królowej ptaków. Pozostawiając za sobą człowieczą naturę, odczuwał najdziwniejszą

z rozkoszy – z zapalem ofiarowywał się w służbę potężniejszemu władcy. Zakołował i zawrócił wraz z resztą wielkiego, złożonego z przedstawicieli stu gatunków, stada, które podążało za rybołowem. Nagle na tle rozjaśnionych srebrnym światłem obłoków Lee dostrzegł nienawistny, ciemny, regularny kształt zeppelinu.

Wszystkie ptaki dokładnie wiedziały, co mają robić. Bez wahania ruszyły ku sterowcowi. Pierwsza dotarła tam Sayan Kótór, za nią maleńkie strzyżyki i zięby, szybkie jerzyki, ciche sowy. W minutę później gęsto obsiadły maszynę, ich pazury szurały po śliskim, nieprzemakalnym jedwabiu lub dziurawiły go, szukając punktu zaczepienia.

Ptaki starały się trzymać z dala od silnika, niestety nie wszystkim się to udało – niektóre śruba poszatkowała na kawałki. Większość ptaków po prostu usadowiła się na powierzchni zeppelinu, a następne osobniki siadały im na grzbietach, aż pokryły nie tylko całą kopułę sterowca (wodór wydostawał się z niego tysiącami maleńkich otworów wydartych przez szpony), ale też okna kabiny, podpórki i liny – do każdego centymetra kwadratowego przylgnął jeden ptak, dwa, trzy lub jeszcze więcej.

Pilot był bezradny. Pod ciężarem setek ptaków jego powietrzny statek zaczął opadać coraz niżej i nagle w nocnej ciemności dostrzegł przed sobą ostre skarpy, niemal zupełnie niewidoczne dla pasażerów maszyny, którzy wymachiwali karabinami i strzelali na oślep.

W ostatniej chwili Sayan Kótór krzyknęła i ptaki podniosły się do lotu; szum ich skrzydeł zagłuszył nawet ryk silnika. Wszystkie odleciały. Ludzie w kabinie natychmiast z przerażeniem uświadomili sobie swoją sytuację, lecz nie zdążyli już wykonać żadnego ruchu, gdyż po czterech czy pięciu sekundach zeppelin wpadł na skałę i zapalił się.

Ogień, gorąco, płomienie... Lee znowu się obudził, ciało miał tak rozpalone, jak gdyby przez wiele godzin leżał w pustynnym słońcu.

Słysząc było odgłosy kropeł deszczu skapujących z mokrych liści na brezent namiotu, lecz burza już się skończyła. Jasnoszare światło wdzierało się do środka. Aeronauta podniósł głowę i dostrzegł obok siebie Hester, która mrużyła oczy, oraz owiniętego w koc szamana, który spał tak głębokim snem, że wyglądałby na martwego, gdyby nie obecność Sayan Kótór drzemiącej na gałęzi przed namiotem.

Poza kapaniem słysząc było poranne trele leśnych ptaków. Na niebie nie było maszyn, nie docierały też żadne inne podejrzane odgłosy. Lee pomyślał, że mógłby nawet rozpalić ogień, wstał więc i zabrał się do parzenia kawy.

–Co teraz, Hester? – spytał.

–To zależy. Z czterech zeppelinów Grumman zniszczył trzy.

–Myślisz, że wypełniliśmy nasze zadanie?

Zajęczyca poruszyła uszami.

–Nie pamiętam żadnej umowy.

–Nie chodzi o umowę, ale o naszą moralność.

–Został jeszcze jeden sterowiec, a ty się martwisz o moralność, Lee? Na pokładzie tej maszyny siedzi trzydziestu lub czterdziestu facetów z karabinami. Polują na nas. W dodatku, pamiętaj, że to carscy żołnierze. Najpierw przetrwanie, potem moralność.

Dajmona miała oczywiście rację, toteż aeronauta, sącząc gorący napar i paląc cygaro, zastanawiał się, jak sobie poradzą z tym ostatnim zeppelinem. W pełnym świetle dziennym z pewnością wzleci on wystarczająco wysoko, by widzieć las oraz otwarty teren, po czym poczeka w powietrzu, aż Lee i Grumman wyjdą z ukrycia. Rybołów Sayan Kótór obudziła się i rozłożyła wielkie skrzydła nad miejscem, w którym siedział aeronauta. Hester spojrzała w górę i pokiwała łebkiem, obserwując złotymi oczyma potężną dajmonę. Po chwili z namiotu wyszedł szaman.

–To była pracowita noc – zauważył Lee.

–Dopiero następna będzie pracowita. Musimy natychmiast opuścić las, panie Scoresby. Tamci zamierzają go spalić.

Z niedowierzaniem aeronauta przyjrzał się mokrej od deszczu roślinności i spytał:

–W jaki sposób?

–Użyją maszyny rozpylającej naftę zmieszaną z węglanem potasu, który zapala się w zetknięciu z wodą. Marynarka Carska korzystała z tego sposobu w wojnie z Japonią. Gdy las nasyci się tą mieszaniną, prędko zajmie się ogniem.

–Pan widzi przyszłość, prawda?

–Równie wyraźnie, jak wypadki, które przydarzyły się tamtym zeppelinom w nocy. Niech pan pakuje, co trzeba, i chodźmy stąd.

Lee potarł szczękę. Najcenniejszą rzeczą, jaką posiadał, była przenośna aparatura balonowa, wyjął więc ją z kosza, spakował troskliwie do plecaka, po czym sprawdził, czy strzelba jest naładowana i sucha. Zostawił kosz, osprzęt i czaszę – wisiały wśród gałęzi. Wiedział, że od tej pory przestaje być aeronautą, chyba że jakimś cudem uda mu się ująć z tej wyprawy z życiem i zdobędzie wystarczająco dużo pieniędzy, by kupić kolejny balon. Teraz musiał się poruszać jak bezskrzydły owad – po ziemi.

Jeszcze zanim usłyszeli trzask płomieni, poczuli dym, który przywiał wiatr od morza. Kiedy natomiast opuszczali las, słyszeli już wyraźnie huk pożaru.

–Czemu nie zrobili tego ostatniej nocy? – spytał Lee. – Mogli nas upiec we śnie.

–Obawiam się, że chcą nas schwytać żywych – odparł Grumman, odzierając z liści gałąź, której zamierzał użyć jako laski – i tylko czekają, aż wyjdziemy z lasu.

Istotnie, warkot zeppelinu zagłuszył wkrótce zarówno huk szalejących płomieni, jak i głośnie sapanie zmęczonych podróżników, którzy wspinali się szybko po korzeniach, skałach i powalonych pniach drzew, zatrzymując się jedynie na krótko dla nabrania oddechu. Lecząca wysoko Sayan Kótór opadała ku nim co jakiś czas i informowała, jak długą drogę przeszli i jak bardzo oddalili się od płomieni; niezbyt daleko za sobą dostrzegali dym ponad drzewami, a także języki ognia.

Małe i większe leśne stworzenia – wiewiórki, ptaki, dziki – uciekały wraz z nimi, toteż Lee i Grummanowi towarzyszył chór wszelkich kwików, pisków i trwożliwych krzyków. Podróżnicy starali się dotrzeć do bliskiej już linii drzew. Dobiegli do nich, popędzani falami gorąca, które wydzielały szalejące płomienie, sięgające obecnie piętnastu metrów. Drzewa płonęły jak pochodnie, sok wrzał w każdym z nich, żywica drzew iglastych paliła się niczym nafta, gałązki nagle zakwitły ogniem o wyglądzie strasznych pomarańczowych kwiatów.

Łapiąc powietrze, Lee i Grumman gramolili się na urwiste zbocza skał i piargi. Dolną połowę nieba przysłaniał dym i drgające gorące powietrze, lecz wyżej unosił się ostatni zeppelin – Lee pomyślał z nadzieją, że maszyna jest zbyt daleko, by ktoś mógł z niej dostrzec dwóch uciekinierów, nawet przez lornetkę.

Przed podróżnikami wyrósł nagle stromy stok górski. Nie sposób było na niego wejść. Z pułapki, w której się znaleźli, prowadziła tylko jedna droga: przez wąski wąwóz, gdzie między urwiskami leżało wyschnięte rzeczne koryto. Lee wskazał je, a Grumman oznajmił:

–Pomyślałem właśnie dokładnie o tym samym, panie Scoresby.

Dajmona – rybołów, szybując i krążąc w górze, złożyła skrzydła i pospieszyła do wąwozu unoszona prądem powietrza. Mężczyźni wspinali się tak szybko, jak tylko mogli.

–Przepraszam, że pytam – odezwał się w pewnej chwili Lee. – Może to impertynencja z mojej strony... Nigdy nie poznałem człowieka, którego dajmon mógłby się tak bardzo oddalać. Chyba że wśród czarownic, ale pan nie jest przecież czarownicą. Trenowaliście tę rozłękę czy przychodzi ona panu naturalnie?

–Istocie ludzkiej nic nie przychodzi w sposób naturalny – odpowiedział Grumman. –

Wszystkiego, co robimy, musimy się nauczyć... Sayan Kótór twierdzi, że wąwóz prowadzi do przełęczy. Jeśli dotrzemy do niej, zanim nas zauważą, uda nam się uciec.

Rybołów znowu poszybował w dół, a dwaj podróżnicy wspinali się dalej. Hester wolała szukać własnej drogi wśród skał, Lee podążał za nią; równocześnie usiłował unikać niestabilnych kamieni i poruszać się jak najszybciej. Przez cały czas kierował się ku małemu wąwózowi.

Lee obawiał się o swego towarzysza, ponieważ Grumman był blady, mizerny i oddychał z trudem. Nocne zadanie kosztowało go sporo energii. Aeronauta starał się odsuwać od siebie pytanie, jak długo jeszcze mężczyzna będzie w stanie iść. Na dodatek, gdy znajdowali się prawie przy wejściu do wąwozu, a dokładnie na brzegu suchego koryta, Lee uświadomił sobie, że odgłos silnika zeppelinu zmienił się.

–Zobaczyli nas – oświadczył.

Stwierdzenie zabrzmiało jak wyrok śmierci. Hester potknęła się i straciła równowagę. Grumman oparł się na lasce i przysłonił oczy, aby spojrzeć za siebie. Lee również się odwrócił. Sterowiec opadał szybko, kierując się ku zboczowi bezpośrednio pod nimi. Z postępowania ścigających jasno wynikało, że nie zamierzają zabić, lecz tylko schwytać podróżników, ponieważ jeden wystrzał armatni od razu zabiłby ich obu. Pilot jednakże skierował maszynę na najwyższy, w miarę płaski punkt zbocza, gdzie bezpiecznie wylądował. Po chwili z kabiny wyskoczyli mężczyźni w błękitnych mundurach i zaczęli się wspinać; wszystkie dajmony żołnierzy były wilkami.

Lee i Grumman znajdowali się sześćset metrów nad nimi, niedaleko od wejścia do wąwozu. Gdyby do niego dotarli, mogliby się ukryć i stamtąd strzelać. Niestety, dysponowali tylko jednym karabinem.

–Panie Scoresby – powiedział Grumman – to mnie gonią, nie pana. Jeśli da mi pan karabin i podda się, przeżyje pan. To zdyscyplinowani żołnierze. Zostanie pan jeńcem wojennym.

Lee zlekceważył te słowa i odparł:

–Idźmy dalej. Niech się pan schroni w wąwozie, a ja zatrzymam ich do czasu, aż znajdzie pan wyjście. Przyprowadziłem pana tak daleko i nie mam zamiaru pozwolić, by pana złapali.

Żołnierze poruszali się szybko. Byli świetnie wyszkoleni i najwyraźniej wypoczęci. Grumman skinął głową.

–Nie wystarczyło mi siły, by zniszczyć czwartego zeppelinu.

Nie powiedział nic więcej. Mężczyźni przyspieszyli kroku, by się schronić w wąwozie.

–Zanim pan odejdzie – odezwał się Lee – proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie. Byłoby mi łatwiej, gdyby mi pan powiedział... Nie wiem, po której stronie walczę, i nie obchodzi mnie to, ale czy to, co teraz robię, pomaga małej Lyrze, czy też nie?

–Pomaga jej – odrzekł Grumman.

–Nie zapomni pan, co mi obiecał?

–Nie zapomnę.

–Doktorze Grumman, Johnie Parry czy jak tam brzmi pańskie nazwisko, musi pan wiedzieć, że kocham tę dziewczynkę jak córkę. Gdybym miał dziecko, nie potrafiłbym go chyba bardziej kochać. Jeśli zatem złamie pan daną mi przysięgę, będę pana ścigał nawet po śmierci i spędzi pan resztę wieczności, żałując, że w ogóle się pan urodził. Pańska obietnica jest dla mnie bardzo istotna...

–Rozumiem. Ma pan moje słowo, że jej dotrzymam.

–Nic więcej nie muszę wiedzieć. Do zobaczenia.

Szaman wyciągnął rękę i Lee ją uścisnął. Potem Grumman odwrócił się i ruszył ścieżką w górę wąwozu, natomiast aeronauta rozejrzał się w poszukiwaniu tymczasowej kryjówki.

–Ten duży głaz nie jest odpowiedni, Lee – oznajmiła Hester. – Nie sposób patrzeć zza niego na prawą stronę. Mogą nas zająć zniecka. Wybierz ten mniejszy.

Aeronauta usłyszał huk, który nie miał nic wspólnego z pożarem lasu ani z męczącym warkotem sterowca, który próbował się ponownie wznieść. Dźwięk miał związek z dzieciństwem Lee i z Alamo. Ileż razy wraz z kolegami odgrywali w ruinach starego fortu tamtą heroiczną bitwę! Byli Duńczykami i Francuzami! Dzieciństwo wracało w dziwnie mściwy sposób. Lee wyjął pierścień matki ze wzorem Nawaho i położył go na skale obok siebie. Podczas dziecięcych zabaw Hester często przybierała postać kuguara, wilka, raz czy dwa grzechotnika, lecz przeważnie ptaka z gatunku przedrzeźniaczy. Teraz...

–Porzuć sny na jawie i rozejrzyj się – przerwała mu dajmona. – To nie zabawa, Lee.

Grupa mężczyzn wspinających się po zboczu uformowała półokrąg. Poruszali się teraz wolniej, ponieważ widzieli, że przed nimi rozciąga się wąwóz, przy którym uciekinier z karabinem może ich odpiąć przez długi czas. Ku zaskoczeniu Lee za żołnierzami stał zeppelin. Nie mógł się wznieść wyżej. Może miał kłopoty ze

sterownością, może wyczerpywało mu się paliwo, w każdym razie jeszcze nie wystartował. Na ten widok aeronaucie przyszedł do głowy pewien pomysł.

Sprawdził pozycję i wycelował ze starego winchestera w lewą burtę kadłuba, gdzie znajdował się silnik odpowiedzialny za wznoszenie się. Potem wystrzelił, żołnierze podnieśli głowy na odgłos strzału. W sekundę później silnik zaryczał, a następnie równie nagle ucichł i sterowiec przechylił się na bok. Lee słyszał, że drugi silnik wyje, lecz statek powietrzny od tej chwili musiał pozostać na ziemi.

Żołnierze rozproszyli się i ukryli w różnych miejscach Lee mógł ich teraz policzyć; wrogów było dwudziestu pięciu, a on miał trzydzieści kul.

Hester przysunęła się blisko jego lewego ramienia.

–Będę obserwować tamtą drogę – szepnęła. Skuliła się na szarym głazie, uszy położyła płasko wzdłuż grzbietu. Wyglądała teraz jak kamień, szarobrazowy i niepozorny. Hester nie była piękną, ale zwykłą szarą zajęczycą, miała jednak niezwykle oczy – śliczne, złotoorzechowe, nakrapiane brązem w odcieniu torfu i leśną zielenią. Spojrzała w dół na krajobraz, jakiego nigdy nie widziała: jałowe zbocze surowych, spękanych skał, a za nimi las w ogniu. Ani jednego źdźbła trawy wokół, żadnej plamki zieleni.

Dajmona lekko poruszyła uszami.

–Rozmawiają – stwierdziła. – Słyszę ich, ale nie potrafię zrozumieć.

–To Rosjanie – wyjaśnił Lee. – Zamierzają wbiec wszyscy razem. Takie rozwiązanie byłoby dla nas najgorsze i dlatego właśnie je wybiorą.

–Celuj dokładnie – mruknęła.

–Postaram się. Ale, do diabła, Hester, nie lubię zabijać.

–Albo oni, albo my.

–Nie, chodzi o coś więcej – powiedział. – Ich życie lub życie Lyry. Nie wiem, jak to się stało, ale nasz los łączy się z losem tego dziecka. Cieszę się z tego.

–Jeden z mężczyzn po lewej gotuje się do strzału – wtrąciła Hester. W chwilę później karabin wystrzelił i skalne odłamki odprysnęły od głazu pół metra od miejsca, gdzie przycupnęła zajęczyca. Hester nie poruszyła ani jednym mięśniem.

–No cóż, walczę przecież w słusznej sprawie – zauważył Lee i starannie wycelował.

Strzelił. Widział przed sobą tylko skrawek błękitnego munduru, niemniej jednak

trafił. Mężczyzna z krzykiem upadł na plecy. Był martwy.

Wtedy zaczęła się prawdziwa walka. W przeciągu minuty rozległa się salwa z karabinów, było słycać świsty kul, a trzaski pękających skał odbijały się echem na całej długości górskiego stoku; w pustym wąwozie długo było je słycać. Smród kordytu i swąd rozkruszonej skały, w którą uderzyły kule, niewiele się różniły od zapachu płonącego lasu. Lee miał wrażenie, że cały świat płonie.

Głaz, za którym siedział aeronauta, został wkrótce mocno ostrzelany i pokryty dziurami. Lee na własnej skórze odczuwał łomotanie uderzających w skałę kul. W pewnej chwili dostrzegł, że futro na grzbiecie Hester stroszy się, kiedy przeleciała nad nim kula; dajmona ani drgnęła. Strzelanina trwała nadal.

Ta pierwsza minuta walki była najtrudniejsza, a po niej, w przerwie, Lee zauważył, że jest ranny: na skale poniżej swego policzka dostrzegł krew, prawa ręka i trzon karabinu również zabarwiły się na czerwono.

Hester odwróciła się, by spojrzeć.

–Nic wielkiego – powiedziała. – Kula drasnęła ci głowę.

–Policzyłaś, jak wielu padło, Hester?

–Nie. Byłam zbyt zajęta robieniem uników. Przeładuj, kiedy będziesz mógł.

Lee skoczył za skałę i przesunął zamek w tył, a potem w przód. Było gorąco i krew, która kapiała z rany na głowie, wyschła już na karabinie, usztywniając mechanizm. Lee ostrożnie splunął na zamek i udało mu się go poluzować.

Potem ponownie zajął strzelecką pozycję, lecz zanim zdołał się rozejrzeć, został trafiony.

Początkowo wydało mu się, że coś wybucha w jego lewym ramieniu. Przez parę sekund był oszołomiony następnie wróciła jasność myślenia, ale ramię pozostało zdrętwiałe i bezużyteczne. Wiedział, że za chwilę zawładnie jego ciałem nieznośny ból, ponieważ jednak na razie nic nie czuł, postanowił skupić umysł na strzelaniu.

Oparł karabin na bezwładnym ramieniu, które jeszcze minutę temu było sprawne, westchnął, skoncentrował się i zaczął strzelać. Pierwszy wystrzał, drugi, trzeci; wszystkie celne.

–Jak się czujesz? – wymamrotał.

–Dobre strzały – odparła szeptem dajmona tuż przy jego policzku. – Strzelaj dalej. O tam, ponad tym czarnym głazem...

Lee spojrzął, wycelował i wypalił. Żołnierz upadł.

–Cholera, to tacy sami ludzie jak ja – zauważył.

–To nie ma znaczenia – odparła. – Zabij ich.

–Wierzysz mu? Grummanowi?

–Jasne, że tak. Celuj przed siebie.

Rozległ się huk, upadł kolejny żołnierz, a jego dajmona zgasła jak świeczka.

Później zapanowała długa cisza. Lee poszperał w kieszeni i znalazł kilka kul. Kiedy załadował broń, ledwo mógł oddychać, gdyż doznał bardzo dziwnego uczucia – poczuł pyszczek Hester przyciśnięty do swojej twarzy; pyszczek dajmony był mokry od łez.

–Lee, to moja wina – stwierdziła zajęczyca.

–Dlaczego?

–Pamiętasz Skraelinga? Powiedziała ci, żebyś wziął jego pierścień. Bez niego nigdy nie popadlibyśmy w takie tarapaty.

–Sądziś, że kiedykolwiek zrobiłem coś, co mi kazałaś? Wziąłem go, ponieważ czarownica...

Nie dokończył, bo dosięgła go kolejna kula, tym razem trafiając w lewą nogę, a potem, zanim zdolał mrugnąć, trzecia kula drasnęła go w głowę i niczym rozpalony do czerwoności pogrzebacz przesunęła się po czaszce.

–Zostało nam już niewiele czasu, Hester – szepnął, starając się nie wykonywać zbędnych ruchów.

–Czarownica, Lee! Powiedziałeś coś o czarownicy! Pamiętasz?

Biedna Hester leżała teraz na ziemi. Nie była już czujna i gotowa do skoku, jak przez całe jego dorosłe życie. Piękne złotobrazowe oczy dajmony z wolna zasnuwały się mgiełką.

–Ciągle piękna – szepnął Lee. – Och, Hester, tak, czarownica. Dała mi...

–No właśnie. Dała ci kwiat...

–W mojej kieszonce na piersi. Wyjmij go, Hester, nie mogę się ruszyć...

Zadanie nie było łatwe, lecz w końcu zajęczyca wyszarpnęła silnymi zębami mały szkarłatny kwiat i położyła go na prawej dłoni Lee. Z wielkim wysiłkiem aeronauta zacisnął rękę i powiedział:

–Serafino Pekkala! Pomóż mi, błagam...

Lee dostrzegł przed sobą poruszającą się postać. Wypuścił z ręki kwiat, westchnął, resztkami sił strzelił z karabinu. Kolejny wróg padł martwy.

Dajmona aeronauty znikła.

–Hester, nie odchodź przede mną – poprosił.

–Lee, nie wytrzymałabym z dala od ciebie ani chwili – szepnęła.

–Sądysz, że czarownica przybędzie?

–Oczywiście, że tak. Powinniśmy byli przywołać ją wcześniej.

–Powinniśmy byli zrobić wiele rzeczy.

–Może i tak...

Rozległ się kolejny huk. Tym razem kula wniknęła głęboko w ciało Lee, jakby szukała „istoty” jego życia. Pomyślał, że nie szuka w odpowiednim miejscu, „istotą” jego życia bowiem jest przecież Hester. Aeronauta dostrzegł w dole, pod sobą błękitny mundur i wyteżył siły aby podnieść lufę karabinu.

–Strzelaj – wydyszała Hester.

Pociągnięcie za spust okazało się bardzo trudne. Każdy ruch był ogromnie wyczerpujący. Lee próbował trzy razy, zanim udało mu się strzelić. Błękitny mundur sturlał się po zboczu.

Znowu zapadła cisza. Z powodu bólu Lee przestał się o siebie bać. Czuł się tak, jak gdyby otaczało go stado szakali; węszyły, podchodziły coraz bliżej i aeronauta wiedział, że nie odejdą, póki nie zjedzą go żywcem.

–Widzę jeszcze jednego mężczyznę – szepnęła Hester. – Kieruje się w stronę zeppelinu.

Aeronauta zobaczył go jak przez mgłę. Żołnierz Carskiej Straży czołgał się, oddalając się od ciała zabitego towarzysza.

–Nie mogę strzelić człowiekowi w plecy – stwierdził Lee.

–Wstyd jednak umierać z jedna kulą w magazynku.

Lee wycelował w sterowiec i strzelił. Jedyne silnik maszyny nadal ryczał. Zeppelin usiłował się wznieść w powietrze. Albo pocisk Lee był rozgrzany do czerwoności, albo wiatr rzucił w powietrzny statek żagiew z płonącego lasu, dość, że gaz nagle wybuchnął pomarańczową kulą ognia, po czym zarówno powłoka, jak i szkielet sterowca uniosły się nieco, a następnie bardzo powoli spadły w dół.

Maszyna wybuchła. Ogień pochłoniął zarówno czołgającego się mężczyznę, jak i sześciu czy siedmiu innych, którzy pozostali przy sterowcu, nie ośmielając zbliżyć się do mężczyzny z karabinem strzegącego wejścia do wąwozu. Lee zobaczył ognistą kulę i usłyszał głos Hester:

–To już wszyscy, Lee.

Odpowiedział, a może tylko pomyślał:

–Ci biedni ludzie nie zasłużyli sobie na to. Tak samo jak my.

–Powstrzymaliśmy ich – szepnęła jego dajmona. – Przetrzyliśmy. Pomogliśmy Lyrze.

Potem jak najbliżej przycisnęła swoje małe, dumne, poranione ciało do twarzy Lee. Tak umarli.

PIĘCIORNIK

„Dalej – dał znak aletheiometr – dalej i wyżej”.

Wspinali się. Czarownice leciały nad nimi, wyszukując najlepsze szlaki. Pagórkowaty teren ustępował miejsca bardziej urwistym zboczom i skalistemu podłożu. Około południa dzieci znalazły się w krainie jałowych wąwozów, urwisk i zarzuconych głazami dolin. Nigdzie wokół nie było zielonych liści, a jedynym towarzyszącym podróżnikom dźwiękiem wydawało się brzęczenie owadów.

Szli dalej, zatrzymując się tylko na parę łyków wody z bukłaków i krótką rozmowę. Przez jakiś czas Pantalaimon leciał nad głową Lyry, aż się zmęczył, a wtedy przybrał postać małej, pewnie stąpającej owcy górskiej, dumnej ze swych rogów. Dajmon skakał wśród skał, podczas gdy Lyra mozolnie wspinała się obok. Will parł naprzód z ponurą, zaciętą miną – mrużył oczy przed światłem, ignorował narastający ból ręki, aż w końcu osiągnął stan, w którym cierpiał bardziej, gdy odpoczywał, niż gdy się poruszał. W dodatku, odkąd zawiodło zaklęcie czarownic, chłopcu zaczęło się zdawać, że piękne istoty na sosnowych gałęziach przyglądają mu się ze strachem, jak gdyby był naznaczony jakimś przekleństwem przewyższającym ich moc.

Wkrótce dzieci dotarły do maleńkiego jeziora – błękitnego akwenu położonego wśród czerwonych skał – o średnicy zaledwie trzydziestu metrów. Tam zatrzymali się na jakiś czas, aby się napić, napełnić bukłaki i zanurzyć obolałe stopy w lodowatej wodzie. Gdy słońce znalazło się w najwyższym punkcie nieba, nadleciała Serafina Pekkala, pragnąc z nimi porozmawiać. Wyglądała na wstrząśniętą.

–Muszę was opuścić – oświadczyła. – Lee Scoresby mnie wzywa. Nie wiem, z jakiego powodu, lecz sądzę, że nie przywoływałby mnie, gdyby naprawdę nie potrzebował mojej pomocy. Idźcie dalej, odnajdę was...

–Pan Scoresby? – spytała Lyra, podekscytowana i niespokojna. – Ale gdzie...

Serafina jednak już odleciała, szybko znikając z pola widzenia, i Lyra nawet nie zdołała dokończyć pytania. Dziewczynka mimowolnie sięgnęła po aletheiometr, aby zapytać, co się przydarzyło Lee Scoresby'emu, lecz opuściła rękę, obiecała bowiem nie konsultować się z urzędzeniem, chyba że Will ją poprosi.

Spojrzała na niego. Siedział obok, z ręki, którą położył na kolanie, ciągle powoli kapiała krew. Twarz chłopca mimo słonecznej opalenizny wydawała się blada.

–Willu – odezwała się dziewczynka – czy wiesz, po co szukasz swego ojca?

–Zawsze czułem, że muszę go odnaleźć. Matka mówiła mi, że włożę jego płaszcz. Nic więcej nie wiem.

–Co to znaczy, że włożysz jego płaszcz? Czy ten płaszcz oznacza coś szczególnego?

–Przypuszczam, że chodzi o zadanie. Że będę kontynuował jego pracę. Jest to całkiem sensowne wytłumaczenie.

Prawą ręką startł pot z czoła. Nie powiedział Lyrze, że tęskni za swoim ojcem, tak jak dzieci, które się zgubiły, tęsknią za domem. To porównanie zresztą nie przyszło mu do głowy, ponieważ dom nie kojarzył mu się z miejscem, w którym miałby zapewnioną opiekę, wręcz przeciwnie – we własnym domu to on musiał dbać o matkę. Minęło już jednak pięć lat od tamtego sobotniego poranka w supermarkecie, kiedy gra w ucieczkę przed wrogami stała się rzeczywista. Pięć lat stanowiło długi okres w życiu chłopca i jego dziecięce serduszko pragnęło znowu usłyszeć słowa: „Bardzo dobrze, bardzo dobrze synku. Nikt na świecie nie potrafiłby tego zrobić lepiej. Jestem z ciebie taka dumna. Teraz chodź i odpocznij...”

Will tęsknił za matczyną aprobatą tak bardzo, że nawet nie zdawał sobie sprawy ze swej tęsknoty. W gruncie rzeczy, chłopiec nie umiał wyjaśnić Lyrze, co czuje, a dziewczynka, mimo iż widziała tę burzę emocji w jego oczach, nie rozumiała jej, a w dodatku dziwiła ją własna nagła spostrzegawczość. Uświadomiła sobie, że gdy myśli o Willu, odkrywa w sobie pokłady nowych uczuć, jak gdyby jej przyjaciel był inny niż wszyscy ludzie, których знаła dotąd. Wszystko, co się z nim wiązało, było wyraźne, pewne, bliskie i bezpośrednie.

Lyra właśnie chciała opowiedzieć o tym chłopcu, lecz w tym samym momencie nadleciała kolejna czarownica.

–Widzę za nami obcych – oświadczyła. – Są daleko w tyle, lecz poruszają się szybko. Czy mam tam polecieć i przyjrzeć się im?

–Proszę cię, zrób to – odparła Lyra. – Bądź jednak ostrożna i nie pozwól, by cię zobaczyli.

Dzieci wstały i ruszyły dalej.

–Wiele razy w życiu było mi zimno – stwierdziła Lyra, aby zająć czymś umysł i nie myśleć o prześladowcach – ale nigdy nie było mi aż tak gorąco. Czy w twoim świecie bywa gorąco?

–Nie w kraju, w którym mieszkam, i nie przez cały czas. Lecz klimat się zmienia. Lata są teraz gorętsze niż kiedyś. Podobno ludzie ingerują w atmosferę, ponieważ wysyłają w kosmos substancje chemiczne i z tego powodu z pogodą dzieją się dziwne rzeczy.

–Tak, to prawda – odrzekła Lyra. – A my jesteśmy w samym środku.

Willowi było zbyt gorąco i był zbyt spragniony, aby odpowiedzieć, toteż wspinali się dalej, dysząc w rozgrzanym powietrzu. Pantalaimon przybrał postać świerszcza i podróżował, siedząc na ramieniu Lyry; za bardzo się zmęczył, by skakać lub latać. Od czasu do czasu czarownice dostrzegały wysoko w górach źródelka, leciały więc tam i napełniały bukłaki. Gdyby nie opiekunki na sosnowych gałęziach, Will i Lyra umarliby na tym pustkowiu z pragnienia. W dodatku, im wyżej się wspinali, tym mniej było wody. Źródła wysychały.

Dzieci szły aż do wieczora.

Czarownica, która udała się na przeszpiegi, nazywała się Lena Feldt. Leciąca nisko, od jednej stromej skały do następnej, a kiedy rozpoczął się zachód słońca, które w dzikiej, krwawoczerwonej aureoli zniknęło powoli za skałami, dotarła do małego jeziora o błękitnej wodzie, gdzie zauważyła oddział żołnierzy rozbijających obóz.

Raz tylko spojrzała i dostrzegła więcej, niż chciałaby widzieć: tych żołnierzy pozbawiono dajmon. Nie pochodzili ze świata Willa ani z Cittagazze, gdzie ludzie mieli dajmony w swoich wnętrzach, dzięki czemu zachowywali się i wyglądali jak żywe istoty; natomiast ci mężczyźni przybyli z jej świata, lecz nie mieli dajmon, toteż czarownica, patrząc na nich, czuła oburzenie, przerażenie i mdłości.

Nagle z namiotu stojącego nad samym brzegiem jeziora wyszła kobieta. Była piękna i poruszała się z gracją, nosiła myśliwskie ubranie barwy khaki i miała w sobie równie wiele życia jak złota małpa, która biegła obok niej. Czarownica ukryła się wśród skał i obserwowała z góry, jak pani Coulter rozmawia z dowódcą żołnierzy; jego ludzie stawiali namioty, rozpalali ogniska, gotowali wodę.

Lena Feldt była w oddziale Serafiny Pekkali, który uratował dzieci w Bolvangarze, toteż zapragnęła natychmiast zastrzelić panią Coulter. Niestety, kobieta miała szczęście, ponieważ czarownica znajdowała się zbyt daleko, by strzelić z łuku, a nie mogła się zbliżyć bez narażenia na schwytanie. Zaczęła więc odprawiać czary, które wymagały dziesięciu minut głębokiej koncentracji.

Wreszcie, przekonana, że jest niewidzialna, Lena Feldt zeszła skalnym zboczem ku jezioru. Gdy przechodziła przez obozowisko, niektórzy żołnierze spoglądali na nią obojętnie, stwierdzając, że to, co widzą, jest zbyt trudne do zapamiętania, i odwracali wzrok. Wreszcie czarownica zatrzymała się przed namiotem, do którego weszła pani Coulter, i nałożyła strzałę na cięciwę łuku.

Przez brezent słyszała cichy głos dochodzący z wnętrza, ruszyła ostrożnie ku wejściu znajdującemu się od strony jeziora.

W namiocie pani Coulter rozmawiała z nieznanym Lenie Feldt mężczyzną – starszym, siwowłosym i mocno zbudowanym; dajmona w postaci węża owinęła się

wokół nadgarstka swego właściciela. Starzec siedział na płóciennym krzeselku obok kobiety, która przemawiała spokojnie, pochylając się ku niemu.

–Oczywiście, Carlo – mówiła – odpowiem ci na każde pytanie. Co chcesz wiedzieć?

–W jaki sposób rozkazujesz upiorom? – spytał mężczyzna. – Nie sądziłem, że to jest w ogóle możliwe, ale one podążają za tobą jak psy... Boją się twoich ochroniarzy? Wyjaśnij mi tę sprawę, proszę.

–To łatwe – odparła. – Wiedzą, że jeśli pozwolą mi żyć, zdobędę dla nich sporo pożywienia. Gdyby mnie zabiły, dostałyby znacznie mniej. Jestem w stanie poprowadzić je do wszystkich ofiar, których pragną. Już kiedyś mi o nich opowiadałeś, wiedziałam, że potrafię nimi dowodzić, i moje podejrzenia sprawdziły się. Te istoty mają w swojej mocy cały świat! Ale, Carlo... – szepnęła – wiesz, że ja również chcę cię o coś prosić. Zdajesz sobie sprawę, że potrafię cię zadowolić, prawda?

–Mariso – mruknął mężczyzna – rozkoszą jest już samo przebywanie blisko ciebie...

–Nie o to mi chodzi, Carlo. Wiesz, że nie o to. Mogę zrobić dla ciebie o wiele więcej...

Małe, czarne, zrogowaciałe łapki jej dajmona głaskały węża. Stopniowo wąż zaczął przesuwać się wzdłuż ramienia swego pana ku małpie. Pani Coulter i mężczyzna trzymali w rękach szklanice z winem o barwie złota; kobieta wypila łyczek i czule przysunęła się do swego towarzysza.

–Ach – szepnął mężczyzna. Jego dajmona zsunęła mu się z ramienia, złota małpa wzięła ją w łapki, podniosła do pyszczka, po czym powoli i delikatnie otarła się łebkiem o szmaragdową skórę węża. Dajmona starca szybko wysunęła czarny język, który w chwilę później zniknął w jej pysku. Mężczyzna westchnął.

–Carlo, powiedz mi, po co tropisz tego chłopca – wyszeptała pani Coulter. Jej głos był równie delikatny jak pieśczoła małpy. – Dlaczego musisz go znaleźć?

–Ma coś, czego pragnę. Och, Mariso...

–Co to takiego, Carlo? Co ma ten chłopiec?

Starzec potrząsnął głową, opierał się jednak z trudem.

Jego dajmona delikatnie owinęła się małpie wokół piersi i tylko od czasu do czasu wysuwała łeb spośród połyskującego futerka; złote łapki głaskały śliskie ciało węża. Lena Feldt obserwowała parę i ich dajmony; niewidzialna, stała zaledwie dwa kroki od miejsca, gdzie siedzieli ludzie. Ciężka łuku była naprężona, strzała przygotowana

– czarownica mogłaby strzelić w ciągu sekundy, a pani Coulter padłaby martwa w czasie krótszym niż jeden wdech. Jednak Lena stała nieruchoma, milcząca, z szeroko otwartymi oczyma.

Czarownica nie oglądała się za siebie na małe, błękitne jezioro, a tymczasem na jego drugim brzegu w ciemnościach pojawił się gaj widmowych drzew; drżały jak gdyby posiadały świadomość. Zresztą, postacie wcale nie były drzewami, a podczas gdy Lena Feldt i jej dajmon całkowicie się skupili na pani Coulter, z rzędu nibydrzew oderwała się jedna ze zjaw i przeleciała ponad powierzchnią lodowatej wody, nie powodując żadnej fali. Zatrzymała się pół metra od skały, na której siedział dajmon czarownicy.

–Odpowiedz mi, Carlo – mruzczała pani Coulter. – Możesz przecież to słowo wyszeptać albo udać, że mówisz przez sen. Nie sposób winić się za to, co się wymknie w nocy, prawda? Po prostu mi powiedz, co ma ten chłopiec i dlaczego pragniesz tej rzeczy. Mogłabym ją dla ciebie zdobyć... Nie chciałbyś? Powiedz mi, Carlo. Nie potrzebuję tego przedmiotu. Chcę dziewczynki. Co to takiego? Powiedz mi tylko, co to jest, a ja to zdobędę...

Mężczyzna lekko wzruszył ramionami. Oczy miał zamknięte.

–Chodzi o nóż – odparł po chwili. – Zaczarowany nóż z Cittagazze. Nie słyszałaś o nim, Mariso? Niektórzy ludzie nazywają go *teleutaia makhaira*, ostatnim nożem ze wszystkich. Inni mówią o nim *aesahaettr*...

–Do czego służy, Carlo? Dlaczego jest taki wyjątkowy?

–Ach... Ten nóż przecina wszystko... Nawet jego twórcy nie wiedzieli, co będzie w stanie przeciąć... Nic nie może mu się oprzeć – kamień, duch, anioł ani powietrze. Mariso, on jest mój, rozumiesz?

–Oczywiście, Carlo. Obiecuję. Pozwól, że napełnię ci kieliszek...

Złota mała ponownie zaczęła powoli przesuwać łapkami po skórze szmaragdowego węża, poklepywała, głaskała, aż sir Charles westchnął z rozkoszą i wtedy Lena Feldt zobaczyła, co się naprawdę dzieje – w czasie gdy oczy starca były zamknięte, pani Coulter dyskretnie nalała do jego kieliszka kilka kropel płynu z jakiejś flaszeczki, a potem dopełniła winem.

–Proszę, kochanie – szepnęła. – Wypijmy za nas oboje...

Mężczyzna był upojony szczęściem. Wziął kieliszek i chciwie, wielkimi łykami wypił jego zawartość.

Wtedy pani Coulter nagle wstała, odwróciła się i spojrzała Lenie Feldt prosto w

twarz.

–No cóż, czarownico – odezwała się – zdaje ci się, że nie wiem, w jaki sposób stałaś się niewidzialna?

Lena Feldt była zbyt zaskoczona, aby się poruszyć. Siedzący mężczyzna rozpaczliwie łapał oddech. Pierś podnosiła mu się gwałtownie, twarz miał czerwoną, natomiast jego osłabiona dajmona mdlała w małych łapach. Mała odsunęła ją z pogardą.

Lena Feldt starała się napiąć łuk, lecz jej ramię było bezwładne. Nie mogła wykonać żadnego ruchu, a ponieważ nigdy wcześniej jej się to nie przydarzyło, wydała z siebie cichy krzyk.

–Och, zbyt późno na walkę – zadrwiła pani Coulter. – Spójrz na jezioro, czarownico.

Lena Feldt odwróciła się i zobaczyła, że jej dajmon, śnieżny trznadel, trzepocze i kwili, jak gdyby zamknięto go w pozbawionej powietrza szklanej kapsule. Machał skrzydłami, upadał na skałę, podskakiwał, znowu upadał; łaknąc powietrza, otwierał szeroko dziób. Jego małym ciałkiem zawładnął upiór.

–Nie! – krzyknęła Lena i próbowała rzucić się ku niemu, lecz chwyciły ją mdłości.

Zrozpaczona zrozumiała, że pani Coulter ma większą moc niż ktokolwiek na świecie. Nie była zatem zaskoczona, widząc, że nawet upiory jej słuchają, gdyż nikt nie był w stanie przeciwstawić się tej charyzmatycznej kobiecie. Lena Feldt odwróciła się do pani Coulter i krzyknęła z bólem w głosie:

–Puść go! Proszę, puść!

–No cóż, zobaczymy. Czy jest z wami dziecko? Dziewczynka imieniem Lyra?

–Tak!

–A chłopiec? Chłopiec z nożem?

–Tak... błagam cię...

–A ile czarownic ich pilnuje?

–Dwadzieścia! Puść go, proszę!

–W powietrzu? A może kilka z was jest na ziemi z dziećmi, co?

–Większość przebywa w powietrzu, trzy czy cztery zawsze na ziemi... To boli... Puść go albo od razu mnie zabij!

–Jak daleko stąd są góry? Twoje towarzyszkę leżą teraz, czy też zatrzymały się, by odpocząć?

Lena Feldt powiedziała jej wszystko. Była zapewne w stanie znieść każdą inną torturę z wyjątkiem tej jedynej – gdy upiór dręczył jej dajmona. Kiedy pani Coulter dowiedziała się, gdzie przebywają czarownice i w jaki sposób strzegą Lyry i Willa, rozkazała:

–A teraz powiedz mi jeszcze jedną rzecz. Wy, czarownice, macie jakieś informacje na temat dziewczynki. Prawie już się wszystkiego dowiedziałam od jednej z twoich sióstr... niestety umarła, zanim zdołałam dokończyć tortury. No cóż, ciebie nikt nie ocali. Powiedz mi prawdę o mojej córce, czarownico!

**–Ona będzie matką... będzie życiem... matką... wypowie posłuszeństwo... będzie...
– wydyszała Lena Feldt.**

–Nazwij ją! Nie mówisz mi najważniejszego! Powiedz, kim będzie moja Lyra! – krzyczała pani Coulter.

–Ewą! Matką wszystkich ludzi! Będzie Ewą! Matką Ewą! – mówiła Lena Feldt, łkając.

–Ach tak – zdziwiła się pani Coulter. Wydała z siebie głośne westchnienie, jak gdyby cel jej życia w końcu się wyklarował.

Nagle czarownica uświadomiła sobie, że zdradziła, przeraziła się i krzyknęła:

–Co jej zrobisz?!

–Hm, chyba będę musiała ją zabić – odparła pani Coulter – aby nie dopuścić do kolejnego Upadku... Dlaczego nie rozumiałam tego wcześniej? To było wyraźnie widoczne...

Lekko klasnęła w ręce – jak dziecko, z szeroko otwartymi oczyma. Lena Feldt, płacząc, usłyszała, jak kobieta kontynuuje:

–No tak, oczywiście. Asriel wypowie wojnę Wszechmocnemu, a potem... Tak, tak, jasne... Tak jak przedtem, znowu to samo. W dodatku Lyra jest nową Ewą. I tym razem nie zgrzeszy. Dopilnuję tego. Nie dojdzie do powtórnego Upadku pierwszych rodziców...

Pani Coulter wyciągnęła rękę i palcami chwyciła upiora żywiącego się ciałem dajmona czarownicy. Mały śnieżny trznadel leżał na skale, upiór natomiast ruszył ku czarownicy. Za nim pojawiły się inne – dwa, trzy, sto. Lena Feldt poczuła mdłości, straszliwą, ściskającą serce rozpacz i tak głębokie melancholijne znużenie, że znalazła się o krok od śmierci. Ostatnią świadomą myślą był wstręt do życia i

wiedziała, że zmysły oszukały ją, życie bowiem nie składa się z energii i radości, lecz z brzydoty, zdrady i zmęczenia. Życia powinno się zatem nienawidzić, a śmierć nie jest lepsza od życia i tak brzmi pierwsza, ostatnia i jedyna w całym wszechświecie prawda.

Czarownica nadal stała z łukiem w ręku, obojętna na wszystko i martwa za życia.

Przeoczyła dalsze poczynania pani Coulter, a jeśli nawet je widziała, nie dbała o nie. Matka Lyry zignorowała siwowłosego mężczyznę, który osunął się nieprzytomny na płócienne krzesło obok swej zwiniętej na zakurzonej ziemi dajmony, której skóra nagle zmatowiała; pani Coulter zawołała kapitana żołnierzy i rozkazała, by przygotowali się do nocnego marszu w góry.

Potem zeszła na brzeg jeziora i przywołała upiory.

Przyleciały na jej rozkaz, szybując nad wodą jak kolumny mgły. Kobieta podniosła ręce i ten gest sprawił, że widma zapomniały, iż ich żywot łączy się z ziemią, i jedno po drugim wzniosły się wysoko w powietrze, lecąc z wiatrem niczym trujący puch ostu, i poleciały w noc ku Willowi, Lyrze i czarownicom. Leny Feldt nic już nie interesowało.

Po zmroku temperatura szybko spadła. Dzieci zjadły ostatnie kawałki suchego chleba, położyły się pod wiszącą, jeszcze ciepłą skałą i postanowiły zasnąć. Przytulona do Pantalaimona Lyra niemal natychmiast zapadła w sen, Will jednak ciągle czuwał. Jednym z powodów jego bezsenności była niepokojąco spuchnięta ręka, która bolała go teraz aż po łokieć, drugim – twarde podłoże, trzecim – zimno, czwartym – wyczerpanie organizmu, a piątym – tęsknota za matką...

Chłopiec bał się o nią i wiedział, że gdyby był przy niej, zapewniłby jej większe bezpieczeństwo i czulszą opiekę. Równocześnie jednak pragnął, by ona troszczyła się o niego, tak jak w jego wczesnym dzieciństwie; chciał, by zabandażowała mu rękę, położyła go do łóżka, zaśpiewała mu, wzięła na siebie wszystkie problemy i otoczyła go ciepłem, łagodnością i matczyną dobrocią, której tak bardzo potrzebował. Podejrzewał, że tamten okres nigdy już nie wróci, lecz nagle poczuł się tylko małym, bezbronnym chłopcem. Z tego powodu zapłakał, ale niemal bezgłośnie, by nie zbudzić Lyry.

Nie mógł zasnąć. Właściwie był bardziej rozbudzony niż kiedykolwiek. W końcu rozprostował zeszywniałe kończyny, cicho wstał i z nożem przy pasie wyruszył na spacer w góry, by podczas wędrówki ukoić ból. Na widok wspinającego się na skały Willa najpierw podniósł łebek dajmon wartowniczeki, rudzik, potem jego właścicielka porzuciła swe stanowisko, sięgnęła po gałąź sosnową i cicho wzbiła się w powietrze. Nie chciała chłopca niepokoić i zamierzała go strzec z daleka.

Nie dostrzegł jej. Czuł taką potrzebę ruchu i wędrówki, że już ledwie odczuwał ból w ręce. Przyszło mu do głowy, że powinien iść całą noc, cały dzień, bez przerwy, ponieważ nic innego nie ukoji gorączki, która paliła mu ciało. Zerwał się wiatr, jak gdyby jednoczył się z Willem w żalu. Było cicho, uderzające w plecy chłopca powietrze zachęcało go do dalszej wspinaczki i rozwiewało mu włosy; wokół Willa i w nim coś się działo.

Chłopiec wchodził coraz wyżej, prawie nie myśląc o tym, czy odnajdzie powrotną drogę do Lyry, aż dotarł na niewielki płaskowyż; wydawało mu się, że stoi na szczycie świata. Rozejrzał się i zobaczył, że góry wokół niego nie sięgają wyżej. W olśniewającym świetle księżyca wszystko było zupełnie czarne albo trupio białe, każda krawędź – dziwnie wyszczerbiona, każda powierzchnia – jakby wypolerowana.

Gwałtowny wiatr przywiał chmury, które zakryły księżyc; przez ich gęstą pokrywę nie przebijał się żaden promień. W niecałą minutę Will znalazł się w niemal całkowitych ciemnościach.

I w tym samym momencie poczuł, że ktoś ściska go za prawe ramię.

Krzyknął zaskoczony i natychmiast usiłował się wyrwać, ale uchwyt był mocny. Chłopiec wpadł w szal. Czuł, że znalazł się w ogromnym niebezpieczeństwie, że może nawet stracić życie, zamierzał więc walczyć tak długo, aż zwycięży lub zginie.

Wił się, kopał i wrywał, lecz przeciwnik nie puszczał, a ponieważ unieruchomił Willowi prawą rękę, chłopiec nie mógł dobyć noża. Próbował go wyjąć lewą, ale poczuł tylko silne pulsowanie – dłoń była tak obolała i opuchnięta, że po prostu odmówiła posłuszeństwa. Willowi pozostało tylko walczyć jedną ranną ręką przeciw dorosłemu mężczyźnie.

Wbił zęby w przedramię napastnika, a ten uderzył go w tył głowy. Na chwilę chłopiec poczuł oszołomienie potem znowu zaczął kopać; niektóre kopniaki były celne inne nie. Przez cały czas nie przestawał szarpać się i wrywać, niestety mężczyzna trzymał go mocno.

Jak przez mgłę do uszu chłopca docierały odgłosy własnego sapania i świszczący oddech przeciwnika. Nagle Will przypadkowo wsunął kolano między nogi pochylonego mężczyzny, a następnie uderzył go w pierś. Napastnik upadł ciężko, a chłopiec skoczył na niego; niestety tamten nawet na chwilę nie wypuścił z ręki ramienia Willa i chłopiec, tocząc się gwałtownie po kamiennym podłożu, poczuł, jak ogromny strach ściska mu serce – bał się, że napastnik nigdy go nie puści i nawet jeśli Will go zabije, nadal będzie trzymał chłopca z całych sił.

Słabł i zaczął krzyczeć, a następnie głośno łkać. Nie przestawał wprawdzie kopać, szarpać się i uderzać mężczyznę głową i nogami, wiedział jednak, że jego mięśnie

wkrótce się zmęczą. Jednak w pewnej chwili mężczyzna padł nieruchomo, choć nie wypuścił z uścisku ramienia chłopca. Napastnik leżał, a Will mocno uderzał go kolanami i głową. Po kilku sekundach zupełnie osłabł i padł bezradnie obok przeciwnika. Każdy nerw w jego ciele drgał.

Po chwili podniósł się z bólem i spojrzał. W głębokiej ciemności dostrzegł jasną plamę na ziemi obok mężczyzny. Była to biała pierś i łeb wielkiego ptaka, rybołowa. Dajmona leżała nieruchomo. Will próbował się odsunąć i jego ruch ocucił mężczyznę.

Napastnik nie poluzował uchwytu, ale poruszył się. Drugą ręką obmacał ostrożnie prawą dłoń chłopca. Willowi stanęły włosy na głowie.

–Daj mi drugą rękę – polecił mężczyzna.

–Proszę, niech pan uważa – jęknął Will.

Napastnik dotknął wolną ręką lewego ramienia chłopca. Will poczuł, jak opuszki palców tamtego lekko suną w dół, potem obmacują nadgarstek, docierają do spuchniętej dłoni i z największą delikatnością dotykają dwóch kikutów.

Mężczyzna natychmiast puścił chłopca i usiadł.

–Masz nóż – stwierdził. – Jesteś jego strażnikiem.

Głos był donośny, chrapliwy i zadyszany. Will podejrzewał, że mężczyzna jest poważnie ranny. Czyżby to on zranił go podczas walki w ciemnościach?

Ciągle leżał na kamieniach, zupełnie wyczerpany. Widział jedynie zarys pochylającego się nad nim człowieka, nie mógł dostrzec jego twarzy. Mężczyzna sięgnął po coś na bok i po kilku chwilach cudowny, kojący chłód zawładnął całą dłonią chłopca aż po kikuty; mężczyzna wmasowywał mu maść w skórę.

–Co pan robi? – spytał Will.

–Leczę ci ranę. Nie ruszaj się.

–Kim pan jest?

–Jestem jedynym człowiekiem, który wie, do czego naprawdę służy ten nóż. Trzymaj rękę w górze i nie ruszaj się.

Wiatr dał coraz silniej, na twarz chłopca spadło kilka kropel deszczu. Will drżał, więc podparł prawą ręką lewą dłoń, mężczyzna tymczasem nakładał balsam na rany chłopca, po czym ciasno owinął rękę paskiem płótna. Zakończywszy opatrunek, położył się na boku. Will, ciągle otumaniony cudownym, chłodnym odrętwieniem ręki,

próbował usiąść prosto i spojrzeć na leżącego, było jednak zbyt ciemno. Pomacał przed sobą prawą ręką, dotknął piersi mężczyzny, poczuł bicie serca, które szarpało się jak ptak uwięziony w klatce.

–Tak – odezwał się mężczyzna ochryplym głosem. – Spróbuj to wyleczyć. No dalej.

–Jest pan chory?

–Wkrótce poczuję się lepiej. Masz zatem nóż?

–Tak.

–I wiesz, jak go używać?

–Tak. Czy pan pochodzi z tego świata? Skąd pan wie o nożu?

–Posłuchaj – powiedział mężczyzna, starając się usiąść prosto. – Nie przerywaj mi. Jeśli jesteś strażnikiem noża, masz przed sobą trudniejsze zadanie, niż możesz sobie wyobrazić. Dziecko... Jak mogli pozwolić, by strażnikiem zostało dziecko? No cóż, tak widocznie musi być... Nadchodzi wojna, chłopcze. Największa wojna w historii świata. Podobna zdarzyła się już kiedyś, ale tym razem musi zwyciężyć prawość... Przez tysiące lat nie otaczało nas nic poza kłamstwami, propagandą, okrucieństwem i podstępem. Czas zacząć jeszcze raz, lecz tym razem w odpowiedni sposób...

Mężczyzna umilkł i kilka razy odetchnął; w jego płucach świstało.

–No więc... – kontynuował po minucie. – Ci starzy filozofowie nie wiedzieli, co robią. Wykonali przyrząd, który potrafi przeciąć nawet najmniejszą cząsteczkę materii, i używali go, by kraść cukierki. Nie mieli pojęcia, że zrobili jedyną we wszystkich wszechświatach broń, która może pokonać tyrana. Wszechmocnego. Boga. Zbuntowane anioły przegrały walkę, ponieważ nie dysponowały takim narzędziem. Teraz jednak...

–Nie pragnąłem go! Teraz też nie chcę! – krzyknął Will. – Jeśli pan go chce, niech pan weźmie! Nienawidzę go i tego, co mi zrobił...

–Za późno, chłopcze. Nie masz wyboru, jesteś przecież strażnikiem. Nóż cię wybrał. I, co więcej, tamci wiedzą, że go masz. Jeśli nie użyjesz noża przeciwko nim, wydrą ci go z ręki i zaatakują z jego pomocą nas wszystkich...

–Dlaczego mam z nimi walczyć? Zbyt wiele razy walczyłem, nie mogę więcej, chciałbym...

–Wygrałeś swoje walki?

Will milczał. Wreszcie odparł:

–Tak, przypuszczam, że tak.

–Walczyłeś o nóż?

–Tak, ale...

–W takim razie jesteś wojownikiem. Tak, wojownikiem. Nie można się opierać własnej naturze.

Will wiedział, że mężczyzna mówi prawdę, nie miał jednak ochoty słuchać jego słów; brzmiały zbyt poważnie i przerażająco. Mężczyzna chyba to rozumiał, ponieważ odczekał, aż chłopiec zastanowi się chwilę, później podjął:

–Istnieją dwie wielkie siły, które ścierają się ze sobą od początku czasu. Wydierały sobie każdą cząstkę wiedzy, mądrości i przyzwoitości. Ci, którzy pragną, by ludzie wiedzieli więcej, by byli mądrzejsi i silniejsi, stale walczą z przeciwnikami postępu, którym wystarczy, byśmy byli posłuszni, pokorni i ulegli. Walczą o każdy nowy przejaw naszej wolności. Obecnie te dwie siły stoją naprzeciw siebie, gotowe do bitwy. Jedni i drudzy pragną twojego noża bardziej niż czegokolwiek na świecie. Musisz wybrać, chłopcze, po której stronie chcesz stanąć. Obu nas przywiódł tu los – ty masz nóż, ja muszę ci przekazać te informacje.

–Nie! Pan się myli! – krzyczał Will. – Nie szukałem niczego takiego! Wcale tego nie chciałem!

–Może i tak, niestety nóż wybrał ciebie – oświadczył mężczyzna z ciemności.

–Ale co mam zrobić?

Wtedy Stanislaus Grumman, Jopari, John Parry zawahał się, pamiętał bowiem o przysiędze, którą dał Lee Scoresby'emu. Zawahał się, zanim ją złamał, musiał jednak to zrobić.

–Pójdiesz do Lorda Asriela – odrzekł – i powiesz mu, że przysłał cię Stanislaus Grumman i że masz niezbędną broń. Musisz wykonać to zadanie. Porzuć wszystkie inne sprawy, niezależnie od tego, jak bardzo wydają ci się ważne. Idź i zrób, jak mówię. Pojawi się ktoś, kto cię poprowadzi – noc pełna jest aniołów. Teraz twoja rana się zagoi. Poczekaj. Zanim odejdiesz, chcę ci się dobrze przyjrzeć.

Pomacał wokół siebie, a gdy znalazł torbę, coś z niej wyjął, po czym odwinął z ceraty pudełko zapalek; od pierwszej zapalił małą cynową latarnię. W jej świetle, zanim zalał ją deszcz, mężczyzna i chłopiec spojrzeli na siebie.

Will zobaczył błyszczące błękitne oczy w wychudzonej twarzy, kilkudniowy zarost na wydatnej szczęce, siwe włosy, wykrzywione z bólu usta, chude, zgarbione ciało pod ciężkim płaszczem przyozdobionym piórami.

Szaman natomiast dostrzegł przed sobą chłopca znacznie młodszego, niż sądził. Wątle ciało dziecka dygotało w podartej koszuli, na jego zmęczonej twarzy zobaczył gwałtowność, ostrożność i ogromną ciekawość. Szeroko rozstawione oczy pod prostymi, czarnymi brwiami, dokładnie takimi, jakie miała jego matka...

Nagle światło zamigotało przed twarzą Johna Parry'ego, a w sekundę później z zamglonego nieba nadleciała strzała i mężczyzna padł martwy, zanim zdołał powiedzieć choćby jedno słowo; strzała trafiła go prosto w chore serce. Jego dajmona w postaci rybołowa natychmiast zniknęła.

Will przez jakiś czas siedział w otępieniu.

Po chwili dostrzegł kątem oka jakiś trzepot, błyskawicznie wyciągnął prawą rękę i złapał w nią rudzika o czerwonej piersi. Ptak był przerażony.

–Nie! Nie! – krzyknęła czarownica Juta Kamainen i kładąc sobie rękę na sercu, rzuciła się ku chłopcu; niezdarnie upadła na skalisty teren i usiłowała się podnieść. Will dotarł do niej, zanim zdążyła wstać. Przyłożył jej zaczarowany nóż do gardła i krzyczał:

–Dlaczego to zrobiłaś?! Dlaczego go zabiłaś?!

–Ponieważ go kochałam, a on mną wzgardził! Jestem czarownicą! Nigdy nie wybaczam!

Jako czarownica nie bałaby się zwykłego chłopca, Willa się jednak obawiała. Nigdy nie spotkała człowieka, który uosabiałby większą moc niż ten ranny młodzik. Wycofała się więc. Upadła na plecy, ale chłopiec stanął nad jej głową i lewą ręką chwycił ją za włosy. Nie czuł bólu, lecz jedynie bezgraniczną, straszną rozpacz.

–Nie wiesz, kim bym bym!!! – wrzasnął. – To był mój ojciec! Rozumiesz?!

Juta potrząsnęła głową i szepnęła:

–Nie. Nie! To nie może być prawda. To niemożliwe!

–Możliwe, niemożliwe! – zadrwił. – To prawda i tyle! Ten człowiek był moim ojcem. Dowiedzieliśmy się o tym w tej samej sekundzie, w której go zabiłaś! Czarownico, czekałem na to spotkanie przez całe moje życie, przeszedłem tak daleką drogę, wreszcie go odnalazłem, a ty go zabiłaś...

Potrząsnął jej głową niczym gałganem, potem pchnął czarownicę na ziemię. Uderzenie częściowo ją ogłuszyło. Zdziwienie niemal przytłumiło w niej strach przed Willem. Oszołomiona Juta podniosła się na klęczki i złapała połą koszuli chłopca w błagalnym geście. Will kopnął jej rękę.

–Cóż takiego ci uczynił, że musiałaś go zabić?! – krzyknął. – Wytłumacz mi to, jeśli potrafisz!

Czarownica popatrzyła na martwego człowieka, potem spojrzała na Willa i ze smutną miną potrząsnęła głową.

–Nie, nie potrafię ci tego wyjaśnić – odparła. – Jesteś zbyt młody. Nie zrozumiesz. Kochałam go. To wszystko. To wystarczy.

Zanim Will zdołał ją powstrzymać, obróciła się powoli na bok, wyciągnęła zza paska nóż i wbiła go sobie między żebra.

Chłopiec nie przeraził się, poczuł tylko ogromny żal. Wstał powoli i spojrzał na martwą czarownicę, na jej gęste, czarne włosy, rumiane policzki, gładkie, blade mokre od deszczu ramiona, na jej usta rozchylone jak u kochanki.

–Nie rozumiem – powiedział na głos. – Ta sprawa jest zbyt dziwna.

Odwrócił się ponownie do martwego mężczyzny, swego ojca.

Tysiąc słów cisnęło mu się na usta, do oczu napływały gorące łzy, które chłodził jedynie zacinający deszcz. Ogień małej latarni ciągle mrugał i migotał, gdy wiatr poruszał płomień wysuwający się z otworu w szklanej obudowie. Will ukląkł, oświetlając sobie widok. Położył ręce na ciele mężczyzny, dotykał jego twarzy, ramion, piersi, zamknął mu oczy, odgarnął mokre, siwe włosy z czoła, przyłożył dłonie do nieogolonych policzków, zamknął ojcu usta i ścisnął go za ręce.

–Ojcie – szepnął. – Tato, tatusiu... Ojcie... Nie rozumiem, dlaczego ta czarownica zabiła ciebie i siebie. To takie dziwne. Obiecuję... przysięgam ci, że zrobię tak, jak mi polecisz. Będę walczył. Będę wojownikiem. Zostanę nim. Zaniosę nóż do Lorda Asriela, gdziekolwiek w tej chwili przebywa, i pomogę mu walczyć z wrogiem. Zrobię to. Możesz już odpocząć. Spełniłeś swoje zadanie. Wszystko będzie dobrze. Możesz teraz spać.

Chłopiec dostrzegł, że obok martwego mężczyzny leży torba ze skóry renifera. Spakował do niej owinięte nieprzemakalną ceratką zapalniczki oraz małe rogowe pudełko zawierające masę z pięciornika. Nagle zauważył zdobiony piórami płaszcz, ciężki i przemoczony, ale ciepły. Pomyślał, że ojciec nie potrzebuje już grubego okrycia, a on sam trzęsie się z zimna, odpiął więc spiżową sprzączkę przy gardle martwego mężczyzny, wyciągnął okrycie spod jego ciała, zdjął z ramienia torbę i włożył płaszcz.

Zgasił latarnię i spojrzął jeszcze raz za siebie – na niewyraźną sylwetkę zabitego ojca, na czarownicę – samobójczynię, znowu na ojca – po czym odwrócił się i zaczął schodzić po zboczu.

Burzowe powietrze wypełniały dźwięki szalejącego wichru oraz rozmaite odgłosy: osobliwe szepty, echo, mieszanina krzyków i śpiewów, szcęk metalu o metal, trzepot wielkich skrzydeł, odgłosy słyszalne bardzo blisko (Willowi wydawało się wówczas, że powstają w jego głowie), a następnie z tak znacznej odległości, jak gdyby dochodziły z innej planety. Skalna powierzchnia była tu śliska i zarzucona drobnymi kamykami, toteż droga w dół okazała się znacznie trudniejsza niż wspinaczka. Chłopiec ani na chwilę nie tracił jednak odwagi.

Zanim dotarł do małego wąwozu, w którym przed kilkoma godzinami zostawił śpiącą Lyrę, zatrzymał się nagle, dostrzegł bowiem dwóch mężczyzn. Stali w ciemnościach i wyglądali, jak gdyby na coś czekali. Will położył dłoń na rękojeści noża.

W tym momencie odezwał się jeden z mężczyzn.

–Jesteś tym chłopcem z nożem? – spytał. Jego głos był niezwykle i przypominał trzepot skrzydeł. Will uświadomił sobie, że z pewnością nie ma do czynienia z istotą ludzką.

–Kim jesteście? – spytał. – Nie jesteście przecież ludźmi...

–Rzeczywiście. Jesteśmy Stróżami. *Bene elim*. Aniołami, mówiąc w twoim języku.

Will milczał. Mówca kontynuował:

–Anioły dysponują różnymi możliwościami, które wiążą się z wykonywanymi pracami. Nam wyznaczono proste zadanie: odnaleźć ciebie. Podążaliśmy krok w krok za szamanem, mieliśmy bowiem nadzieję, że przywiedzie nas do ciebie, i nie pomyliliśmy się. Chodź z nami, zaprowadzimy cię do Lorda Asriela.

–Przez cały czas towarzyszyliście mojemu ojcu?

–W każdej chwili.

–Wiedział o tym?

–Nie miał pojęcia.

–Dlaczego więc nie powstrzymaliście tej czarownicy? Czemu pozwoliliście, by go zabiła?

–Chroniliśmy go przez całą drogę. Niestety, nasza misja zakończyła się, gdy

szaman doprowadził nas do ciebie.

Will milczał. W głowie mu szumiało. Te odpowiedzi były równie trudne do zrozumienia jak wiele poprzednich.

–W porządku – odparł w końcu – pójdę z wami. Najpierw jednak muszę obudzić Lyrę.

Anioły odsunęły się, aby pozwolić mu przejść. Gdy Will je mijał, poczuł w powietrzu dziwne drżenie, lecz nie zwrócił na to uwagi i schodził po zboczu ku osłoniętemu miejscu, gdzie zostawił dziewczynkę.

Coś jednak kazało mu się zatrzymać.

W półmroku zauważył strzegące Lyry czarownice. Wszystkie siedziały lub stały nieruchomo i przypominały posągi, tyle że oddychały, chociaż były ledwie żywe. Na ziemi leżało również kilka odzianych w czarny jedwab martwych ciał. Will domyślił się, że zapewne w powietrzu zaatakowały je upiory i pozbawiły świadomości, po czym zobojętniałe czarownice spadły na ziemię i straciły życie.

Ale...

–Gdzie jest Lyra?! – krzyknął głośno.

Kotlinka pod skałą była pusta. Dziewczynka zniknęła.

Pod okapem, gdzie spała, coś leżało – mały płócienny plecaczek. Chłopiec podniósł go i bez zaglądania do środka, po samym ciężarze poznał, że aletheiometr nadal znajduje się w środku. Chłopiec potrząsnął głową i pomyślał, że to nie może być prawda. Niestety, nie mylił się – Lyra rzeczywiście zniknęła, porwano ją, zaginęła, nie było jej...

Żadna z ciemnych sylwetek *bene elim* nie poruszyła się, ale obie istoty przemówiły:

–Teraz musisz pójść z nami. Lord Asriel potrzebuje nas natychmiast. Siły wroga z każdą minutą rosną. Szaman powiedział nam o twoim zadaniu. Chodź z nami i pomóż nam zwyciężyć. Chodź. Tędy. Teraz.

Will popatrzył na plecak Lyry, potem znowu na anioły. Z całej ich przemowy nie usłyszał ani jednego słowa.

